

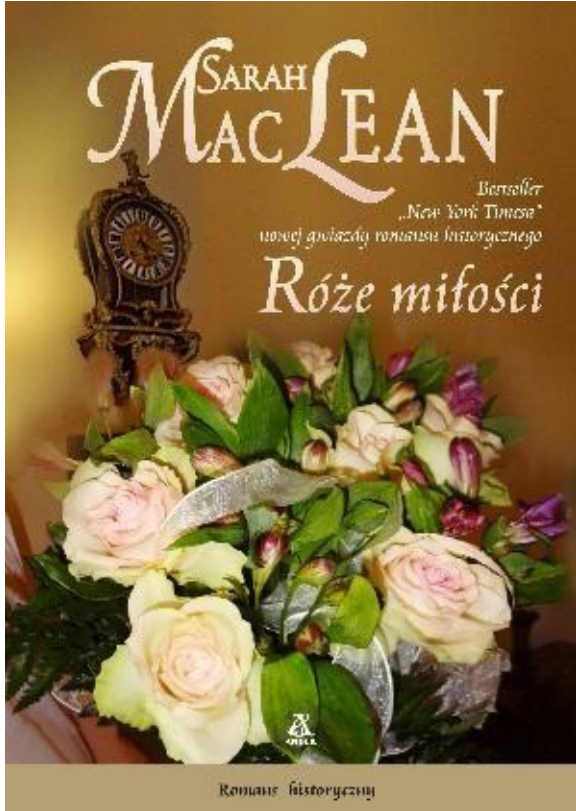
SARAH MACLEAN

Bestseller
„New York Times”
nowej gwiazdy romanse historycznego

Róże miłości



Roman historyczny



Maclean Sarah

Zasady łajdaków 02

Róże miłości

Lady Philippa interesuje się bardziej książkami niż balami, botaniką bardziej niż modą, nauką bardziej niż towarzyskim sezonem. Za dwa tygodnie ma wyjść za mąż, przedtem jednak zamierza zbadać naukowo „mechanizmy” miłości, o której wie tak mało. Na swego nauczyciela wybiera właściciela okrytego złą sławą kasyna. Pan Cross jest wszak mężczyzną, którego skandaliczna reputacja czyni kandydatem idealnym...

Pippa nie przeczuwa jednak, że legendarny uwodziciel ma tajemnice, którym nie dorównują najbardziej sensacyjne plotki. I że tylko ona może uleczyć rany jego

duszy...

Cross

Wczesna wiosna 1824, Londyn

Status drugiego syna wiązał się z pewnymi korzyściami.

W istocie, jeśli jakaś prawda obowiązywała socjetę, to była ona następująca: nicpoń, drań czy hulaka - dziedzic miał obowiązek nawrócić się na dobrą drogę. Jako młodzieniec mógł się wyszaleć, szokować skandalicznym trybem życia, ale jego przyszłość była wykuta w kamieniu niczym dzieło najzręczniejszego rzeźbiarza: w końcu odnajdował swoje miejsce przykuty do tytułu, ziemi, majątku - więzień urodzenia wśród sobie podobnych w Izbie Lordów.

Nie, wolność nie była udziałem dziedziców, była dla tych pozostałych. A Jasper Arlesey, drugi syn hrabiego Harlow, wiedział o tym. Pojmował także, z przenikliwością szubrawca cudem zbiegłego spod szubienicy, że bez praw do tytułu, ziemi i majątku był mimo to najszcześniejszym człowiekiem na ziemi, ponieważ urodził się równo siedemnaście miesięcy po Owenie Elwoodzie Arthurze Arleseyu, najstarszym dziecku, pierworodnym synu, wicehrabim Baine i dziedzicu hrabstwa.

Na Baine spoczywał przymus nienaganności i ciężar odpowiedzialności związany z dziedziczeniem. Baine'a dotyczyły nadzieje i marzenia pradawnego rodu lordów Harlow. To Baine musiał sprostać oczekiwaniom wszystkich wokół - rodziców... parów... służby... wszystkich.

I nieskazitelny, przyzwoity, nudny Baine spełniał wszystkie te oczekiwania do ostatniego.

Na szczęście.

Właśnie dlatego owego wieczoru to Baine towarzyszył ich młodszej siostrze

podczas jej pierwszej wizyty w londyńskim klubie Almacka, w którym spotykały się damy z wyższych sfer. Owszem, Jasper początkowo podjął się tego zadania, zapewniając Lavinie, że nie ośmieliłby się opuścić tak ważnego wydarzenia w jej młodym życiu. Ale jego zapewnienia i obietnice były jak szum wiatru - wszyscy o tym wiedzieli - tak więc to Baine odgrywał rolę przyzwoitki. Spełniając oczekiwania, jak zwykle.

Za to Jasper zajął się wygrywaniem fortuny w jednym z najbardziej osławionych londyńskich kasyn gry... a potem świętował zwycięstwo w sposób zwyczajowy dla młodszych synów. W łóżku pięknej kobiety.

Baine nie był jedynym, który spełniał oczekiwania.

Jasper uniósł kącik ust w uśmiechu na wspomnienie przyjemności, jaką dał mu szalony wieczór; uśmiech zbladł po chwili pod wpływem ukłucia żalu, jaki odczuł, wygrzebując się z ciepłej pościeli i wyplątując z chętnych ramion.

Otworzył bez trudu tylne drzwi od kuchni rezydencji Arlesejów i zakradł się do środka. Pomieszczenie okazało się ciemne i ciche w szarawej poświacie dojmująco zimnego marcowego poranka, na tyle ciemne, żeby ukryć jego wymięte ubranie, źle zawiązaną krawatę i ślad ukąszenia na szyi, dowód miłosnych uniesień, pod rozchyłonym kołnierzykiem.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, przestraszona służąca, na pół ukryta w piecu, przy którym kuciała, rozniecając ogień przed przyjściem kucharki, podniosła głowę. Stała, przyciskając dłoń do pięknych, dojrzałych piersi.

- Panie! Ale się przestraszyłam!

Jasper posłał jej szelmowski uśmiech, po czym wykonał ukłon godny dworzanina.

- Wybacz, kochana - powiedział przeciągle, zachwycając się rumieńcem, który

wykwitł na jej policzkach.

Pochylił się, sięgając poza nią - na tyle blisko, żeby usłyszeć, jak wciąga gwałtownie powietrze, zobaczyć, jak krew pulsuje w jej szyi oszalałym rytmem - biorąc twardego herbatnika z talerza, który przygotowała dla reszty służby kuchennej, trwając w tej pozycji odrobinę dłużej, niż potrzeba, i ciesząc się tym, że dziewczyna drży z podniecenia.

Nie tknąłby jej, rzecz jasna; dawno temu nauczył się, że służba jest nietykalna.

Ale to mu nie przeszkadzało trochę się w niej zakochać.

Nie przeszkadzało kochać wszystkich kobiet - wszelkich kształtów, rozmiarów, o różnym pochodzeniu. Ich miękkiej skóry i miększych jeszcze zaokrągleń, sposobu, w jaki wciągały powietrze zaskoczone, chichotały i wzdychały, sekretnych gier prowadzonych przez zamożne panny, tego, jak patrzyły na niego te mniej obdarowane przez los - z gwiazdami w oczach, spragnione jego uwagi.

Kobiety były, bez wątpienia, najdoskonalszym dziełem niebios. A on, w wieku lat dwudziestu trzech, zamierzał czcić je przez całe życie.

Odgryzł kęs słodkiego herbatnika i puścił oko do dziewczyny.

- Nie powiesz nikomu, że mnie widziałaś, prawda? Otworzyła szeroko oczy, kręcąc szybko głową.

- N...nie, panie. Jaśnie panie, nie.

Tak, pozycja drugiego syna dawała zdecydowane korzyści.

Ponownie mrugnawszy, z kolejnym skradzionym herbatnikiem w ręku, Jasper wymknął się z kuchni do tylnego holu, skąd wiodły schody dla służby.

- Gdzie byłeś?

Spowity w czerń Stine, prawa ręka ojca, wychynął z cienia; na jego pociągłej,

blądej twarzy widniał wyraz oskarżenia i czegoś znacznie gorszego. Jasper, zaskoczony, poczuł, że serce bije mu szybciej, chociaż prędeziej dałby się zabić, niżby się do tego przyznał. Nie odpowiedział Stine'owi. Wystarczyło, że musiał odpowiadać jego pracodawcy.

Swojemu ojcu.

Człowiekowi, którego oczekiwania wobec młodszego syna były mniejsze niż jakiegokolwiek inne.

Jasper zakołysał się na piętach, uśmiechając z wystudiowaną afektacją.

- Stern - wycedził, obserwując z zadowoleniem, jak starszy mężczyzna sztywnieje na dźwięk przekręconego nazwiska. - Raczej wcześniej na straszenie, co?

- Dla ciebie nie za wcześniej.

Jasper uśmiechnął się - kot wobec kanarka.

- Masz słuszność. Raczej późno. Miałem burzliwą noc i nie chciałbym zepsuć sobie... jej wspomnienia. - Klepnął Stine'a po ramieniu i minął go.

- Ojciec cię szuka. Nie odwrócił głowy.

- Z pewnością. Jestem także pewien, że to może poczekać.

- Nie sądzę, lordzie Baine.

Trwało chwilę, zanim dotarły do niego te słowa. Zanim usłyszał tytuł. I zrozumiał ich znaczenie. Odwrócił się, przerażony i zdezorientowany. Kiedy się odezwał, wydobył z siebie chrapliwy szept:

- Jak mnie nazwałeś?

Stine zmrużył lekko oczy. Na moment. Później właśnie ten prawie niedostrzegalny ruch powiek nad zimnymi czarnymi oczami Jasper będzie pamiętał.

Rozwścieczony, podniósł głos.

- Zadałem ci pytanie.

- Nazwał cię Baine'em.

Jasper zakręcił się na pięcie, żeby stanąć twarzą w twarz z ojcem, hrabią

Harlow, wysokim, silnym, który nawet teraz się nie garbił. Nawet w tej chwili.

Nawet kiedy jego dziedzictwo rozsypało się w gruzy, a on spoglądał na

największy zawód swojego życia.

Na obecnego dziedzica.

Jasper z trudem chwycił powietrze, usiłując wydobyć z siebie słowa. Ojciec

odezwał się pierwszy.

- To powinieneś być ty.

1.

Możliwości badań są mocno ograniczone, podobnie jak czas. W celu uzyskania satysfakcjonujących wyników wprowadziłam zmiany w planie badań.

Tajne-Poważne zmiany.

Dziennik naukowy lady Philippy Marbury

21 marca 1831; piętnaście dni przed jej ślubem

Siedem lat później

T a dama jest szalona.

Uświadomiłby to sobie pięć minut wcześniej, gdyby nie był na wpół śpiący i

nieludzko zaszokowany widokiem młodej, jasnowłosej panny w okularach

siedzącej przy jego biurku i czytającej jego księgę rachunkową.

Może doszedłby do tego wniosku przed trzema minutami, gdyby nie oznajmiła,

z wielką pewnością siebie, że popełnił błąd w kolumnie F, przez co przekonanie o

jej obłądnie uległo u niego chwilowemu zachwianiu, ponieważ zaskoczyła go

odwagą i wzbudziła podziw dla zdolności matematycznych. A może na odwrót.

A już z całą pewnością zdałby sobie sprawę sześćdziesiąt sekund wcześniej, iż kobieta owa zupełnie postradała rozum, gdyby nie podejmował raczej rozpaczliwych wysiłków, żeby się jakoś przyodziać. Przez długą chwilę zdawało mu się, że jego koszula ma pozaszywane brzegi, co wytrąciło go lekko z równowagi.

Teraz jednak otrząsnął się w pełni ze snu, zamknął (prawidłowo wypełnioną) księgę i ubrał całkowicie (jeśli nawet niezupełnie odpowiednio). Świat wrócił na właściwe tory, on sam odzyskał zdolność racjonalnego myślenia, mniej więcej w momencie, kiedy wyjaśniła, o co jej chodzi.

Wówczas, w ciszy, która nastąpiła po jej oświadczeniu, Cross w pełni pojął prawdę.

Nie było co do tego wątpliwości: lady Philippa Marbury, córka markiza Needham-Dolby, szwagierka markiza Bourne, dama z najlepszego towarzystwa, plotła od rzeczy.

- Proszę wybaczyć - powiedział, poruszony własną uprzejmością w obliczu takiego szaleństwa. - Musiałem panią źle usłyszeć.

- Och, jestem pewna, że nie - odparła zwyczajnie, jakby mówiła o pogodzie. Jej wielkie niebieskie oczy za grubymi szklami wprawiały go w niepokój. - Mogłam pana zaszokować, ale przypuszczam, że słuch ma pan dobry.

Ruszyła w jego stronę, przebijając się między stosami książek a popiersiem Meduzy, które dawno już zamierzał przestawić. Krawędź jej bladoniebieskiej spódnicy otarła się o ciało długiego węża z brązu. Szelest materiału przyprawił Crossa o dreszcz.

Niedobrze.

Nie budziła w nim żadnych uczuć. Nie wzbudziłaby. W tym przeklętym pokoju było za ciemno. Ruszył ku lampie, stojącej daleko, przy drzwiach, żeby ją zapalić. Uczyniwszy to, odwrócił się i stwierdził, że dama zmieniła kierunek. Podeszła bliżej, spychając go w stronę ciężkiego mebla z mahoniu. Przez chwilę zastanawiał się, czyby nie otworzyć drzwi. Może wtedy ona przez nie wypadnie i zostawi go w biurze samego, uwolnionego od jej obecności. Od tego, co reprezentowała. A wtedy będzie mógł szczelnie zamknąć za nią drzwi, udawać, że to spotkanie nigdy się nie zdarzyło, i zacząć dzień na nowo. Zahaczył o wielkie liczydła i łoskot, jaki wydało hebanowe drewno, oderwał go od tych myśli. Zatrzymał się. Ona szła dalej.

Był jednym z najpotężniejszych ludzi w Brytanii, współwłaścicielem najbardziej osławionego londyńskiego kasyna gry, miał nad nią przewagę co najmniej dziesięciu cali wzrostu i potrafił wzbudzać strach, kiedy chciał.

Ona zaś nie była jedną z tych kobiet, na które zwykł zwracać uwagę, ani taką, która by się spodziewała uwagi z jego strony. A już na pewno nie taką, która odbierałaby mu panowanie nad sobą.

Weź się w garść, człowieku.

- Stój.

Znieruchomiała. To słowo zawisło między nimi, szorstkie i rozpaczliwe. Nie spodobało mu się to. Nie podobało mu się, co ten stłumiony dźwięk, który wyrwał się z jego ust, zdradzał o wpływie, jaki ta dziwna istota na niego wywarła.

Ale, dzięki Bogu, ona niczego nie spostrzegła. Przechyliła tylko głowę jak szczeniaczek, zaciekawiony i chętny do zabawy, a on oparł się pokusie, żeby jej się przyjrzeć.

Nie należało na nią patrzeć.

On z pewnością nie powinien na nią patrzeć.

- Czy mam powtórzyć? - zapytała, ponieważ milczał.

Nie odpowiedział. Powtarzanie było zbędne. Żądanie lady Marbury wbiło mu się wyraźnie w pamięć.

A jednak podniosła rękę, wsunęła okulary głębiej na nos i zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Domagam się zrujnowania reputacji. Deprawacji. - Słowa padły prosto i pewnie, pozbawione emocji, tak samo jak za pierwszym razem.

Deprawacja. Patrzył, jak jej wargi wyginają się wokół sylab, pieszczą spółgłoski, zatrzymują dłużej na samogłoskach, powodując, że słuchanie tego słowa zamieniało się w coś niepokojąco zbliżonego do jego znaczenia.

W biurze zrobiło się nagle gorąco.

- Jest pani szalona.

Najwyraźniej ją to zdumiało. Dobrze. Pora, żeby kogoś poza nim zdziwiły wydarzenia tego dnia. W końcu pokręciła głową.

- Nie sędzę.

- Powinna pani poważnie zastanowić się nad tą możliwością - powiedział, omijając ją i zwiększając odległość między nimi, co stanowiło prawdziwy wyczyn w zagraconym biurze - jako że nie ma innego racjonalnego wyjaśnienia, dlaczego jest pani bez przyzwoitki w cieszącym się najgorszą sławą londyńskim kasynie i domaga się zrujnowania pani reputacji.

- Przyzwoitka nie miałaby nic wspólnego z racjonalnością - zauważyła. - W gruncie rzeczy uniemożliwiłaby cały ten scenariusz.

- W rzeczy samej - przyznał, przestawiając nogę nad stosem gazet oraz ignorując zapach świeżego płótna i zapach słońca, jaki ją otaczał. Jaki otaczał

jego.

- Zabranie przyzwoitki do „cieszącego się najgorszą sławą londyńskiego

kasyna" byłoby jeszcze bardziej szalone, nieprawdaż? - Wyciągnęła

rękę i przesunęła palcem po wielkich liczydłach. - Są piękne. Często ich pan

używa?

Dekocentrowały go jej długie, białe palce przesuwające się po czarnych kulach,

a także koniuszek jej wskazującego palca, wykrzywiony nieznacznie w prawo.

Niedoskonałość.

Dlaczego nie nosiła rękawiczek? Czy w tej kobiecie nie było nic normalnego?

- Nie.

Spojrzała na niego zaciekawionymi, niebieskimi oczyma.

- Nie? Nie używa pan liczydeł? Och, nie, nie uważa pan, że przyście z

przyzwoitką byłoby szaleństwem?

- Jedno i drugie. Liczydła są nieporęczne... Przesunęła kulkę z jednej strony

ramy na drugą.

- Liczy pan szybciej bez nich?

- Właśnie.

- To samo można powiedzieć o przyzwoitkach - oznajmiła z powagą. - Działam

dużo skuteczniej bez nich.

- Bez nich wydaje mi się pani dużo bardziej niebezpieczna.

- Uważa pan, że panu zagrażam, panie Cross?

- Cross. Darujmy sobie tego „pana". Owszem, tak. Sądzę, że stanowi pani

zagrożenie.

Nie wyglądała na urażoną.

- Dla pana? - W jej głosie brzmiało zadowolenie.

- Głównie dla siebie samej, ale jeśli szwagier by panią tutaj znalazł, sądzę, że dla mnie także okazałoby się to niebezpieczne. - Stary przyjaciel, wspólnik, Bourne zażądałby głowy Crossa na talerzu, gdyby odkryto obecność lady Philippy w biurze.

Wydawało się, że przyjęła owo wyjaśnienie.

- Cóż, zatem postaram się szybko to załatwić.

- Wolałbym, żeby pani szybko stąd wyszła.

Pokręciła głową, podnosząc głos na tyle, żeby sobie to uświadomił. Żeby odczuł jej obecność.

- O, nie. Obawiam się, że nic z tego. Widzi pan, mam konkretny plan i potrzebuję pańskiej pomocy.

Dzięki Bogu, dotarł do biurka. Opadł na skrzypiące krzesło, otworzył księgę i udawał, że patrzy na kolumny cyfr, nie zwracając uwagi na to, że przy lady Philippie cyfry zlewały się w szare linie.

- Obawiam się, lady Philippo, że pani plan nie stanowi części moich planów.

Fatygowała się pani na próżno. - Podniósł głowę. - A tak przy okazji, jak się pani tutaj dostała?

Jej niezmaczone spojrzenie zmąciło się lekko.

- W zwykły sposób, jak mniemam.

- Już ustaliliśmy, że zwykły sposób obejmuje przyzwoitkę. I nie obejmuje kasyna.

- Przyszłam. Chwila ciszy.

- Przyszła pani?

- Tak.

- Sama.

- W pełnym świetle dnia. - W jej głosie odezwała się obronna nuta.

- Szła pani przez Londyn...

- Niezbyt daleko. Nasz dom jest...

- Pół mili w górę Tamizy.

- Nie musi pan mówić tego tak, jakby znajdował się w Szkocji.

- Przeszła pani przez Londyn w pełnym świetle dnia aż do drzwi Upadłego

Anioła, gdzie, jak się domyślam, zapukała pani, czekając na wejście.

Odeła wargi. Zmusił się, żeby nie reagować.

- Tak.

- Na ulicy.

- W Mayfair.

Nie przejął się naciskiem, z jakim wymówiła nazwę dzielnicy.

- Na ulicy, przy której mieszczą się najbardziej ekskluzywne męskie kluby w

Londynie. - Zamilkł na chwilę. - Czy ktoś panią widział?

- Nie mam pojęcia. Wariatka.

- Przypuszczam, że wie pani, że damy tak nie postępują? Między jej brwiami

pojawiła się maleńka zmarszczka.

- To niemądre, nie sądzi pan? Płeć żeńska uprawia lokomocję dwunożną od

czasów... cóż... Ewy.

Cross poznał w życiu wiele, bardzo wiele kobiet. Cieszył się ich towarzystwem,

rozmową z nimi, ich ciekawością. Ale nigdy nie spotkał kobiety tak dziwnej jak

ta.

- Jednakże mamy teraz rok 1831. W obecnych czasach kobiety takie jak pani

używają powozów. I nie bywają w kasynach gry.

Uśmiechnęła się.

- Cóż, niezupełnie takie jak ja, ponieważ ja przyszedłam na piechotę i oto jestem.

W kasynie gry.

- Kto panią wpuścił?

- Jakiś mężczyzna. Zrobił to chętnie, kiedy oznajmiłam, kim jestem.

- Bez wątpienia. Bourne zniszczyłby go z przyjemnością, gdyby pani reputacja ucierpiała.

Zastanowiła się.

- Nie pomyślałam o tym. Nigdy nie miałam opiekuna. On mógłby zapewnić jej opiekę.

Skąd taka myśl? Nieważne.

- Lady Philippo, wydaje się, że potrzebuje pani armii opiekunów. -Zajął się ponownie księgą. - Na nieszczęście nie mam ani czasu, ani chęci, żeby się zaciągnąć. Wierzę, że znajdzie pani drogę do wyjścia.

Podeszła bliżej, nie przejmując się jego słowami. Podniósł głowę, zaskoczony.

Ludzie nie zwykli go ignorować.

- Och, doprawdy, nie ma potrzeby zwracania się do mnie per „lady Philippa”.

Zwłaszcza biorąc pod uwagę powód, który mnie tu sprowadza. Proszę nazywać mnie Pippą.

Pippa. Pasowało do niej. Bardziej niż pełniejsza, bardziej ekstrawagancka forma imienia. Ale nie miał cienia zamiaru tak się do niej zwracać.

- Lady Philippo - celowo pozwolił, żeby to słowo zawisło przez chwilę w powietrzu między nimi - pora, żeby pani wyszła.

Zrobiła krok w jego stronę, jedną rękę kładąc na dużym globusie z boku biurka.

Zerknął ukradkiem na miejsce, gdzie płaską dłonią przygniatała Brytanię, i oparł się pokusie, żeby z gestu wyciągać daleko idące wnioski.

- Obawiam się, że nie mogę wyjść, panie Cross. Domagam się... Nie sądził, że zniósłby ponowne wymówienie przez nią tych słów.

- Zrujnowania reputacji. Deprawacji. Tak. Przedstawiła pani swój cel jasno. Tak samo, jak ja jasno odmówiłem.

- Ale... pan nie może odmówić. Ponownie zagłębił się w księdze.

- Niestety, tak właśnie uczyniłem.

Nie odpowiedziała, ale kątem oka widział, jak jej palce - dziwne, niezwykle palce - suną brzegiem hebanowego biurka. Czekał, aż się zatrzymają.

Znieruchomieją. Znikną.

Gdy podniósł wzrok, przyglądała mu się z góry niebieskimi, ogromnymi za okrągłymi szklami okularów, oczami, tak jakby miała zamiar czekać całe życie, żeby w nie spojrzeć.

- Wybrałam pana, panie Cross. Bardzo starannie. Mam bardzo szczegółny, bardzo określony, niecierpiący zwłoki plan. Plan, którego realizacja wymaga udziału naukowego współuczestnika. Naukowego asystenta. To pan ma nim być.

Naukowy współuczestnik?

Nie obchodziło go to. Nie obchodziło.

- Naukowego współuczestnika w czym? A niech to.

Złożyła ręce, zaciskając dłonie.

- Jest pan człowiekiem legendą. Poczul zimny dreszcz na plecach.

- Wszyscy o panu mówią. Powiadają, że jest pan ekspertem, jeśli chodzi o kluczowe aspekty deprawacji.

Zacisnął zęby, głęboko niezadowolony, starając się udawać obojętność.

- Czyżby?

Uszczęśliwiona, pokiwała głową, szybko odliczając na palcach:

- Istotnie. Hazard, alkohol, walka na pięści i... - przerwała. - I...

Jej policzki pokryły się rumieńcem, a on chciał, żeby dopowiedziała resztę.

Żeby usłyszała absurdalność swoich słów. Żeby położyła kres temu szaleństwu.

- I...?

Wyprostowała się. Mógłby postawić wszystko, co miał, że tego nie powie.

Przegrałby.

- I stosunki płciowe. - Słowa zabrzmiało cicho, padły na wydechu, tak jakby

wreszcie powiedziała to, co miała do powiedzenia. Co nie było możliwe. Z

pewnością źle usłyszał. Z pewnością jego ciało reagowało niewłaściwie.

Zanim zdążył poprosić, żeby powtórzyła, wciągnęła powietrze i odezwała się

znowu.

- W tym ostatnim jest pan podobno najlepszy. I, prawdę mówiąc, tego się

właśnie domagam.

Tylko lata gry w karty z najzręczniejszymi graczami Europy pozwoliły

Crossowi ukryć szok. Przyglądał jej się długo i uważnie. Nie wyglądała na

obłąkaną.

W gruncie rzeczy wydawała się raczej zwyczajna - włosy zwykłego jasnego

koloru, zwyczajnie niebieskie oczy, wzrost nieco wyższy niż

przeciętny, ale nie na tyle, żeby zwracać uwagę, zwykła sukienka odsłaniająca

miejscami doskonale zwyczajną, gładką skórę.

Nie, zupełnie nic nie wskazywało, że lady Philippa Marbury, córka jednego z

najpotężniejszych parów w Brytanii, jest kimś innym niż doskonale zwyczajną

młodą kobietą.

Nic, póki nie otworzyła ust, wypowiadając rzeczy w rodzaju „lokomocja

dwunożna”.

I stosunek płciowy.

Westchnęła.

- Bardzo mi to pan utrudnia, rozumie pan? Nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, spróbował:

- Przepraszam.

Zmrużyła lekko oczy za okularami.

- Nie jestem pewna, czy wierzę w pańską skrucę, panie Cross. Jeśli wierzyć plotkom w damskich salonach Londynu, a zapewniam, że mówi się o tym dużo, jest pan prawdziwym nicponiem.

Boże, zbaw go od dam i ich jęzorów.

- Nie powinna pani wierzyć we wszystko, co usłyszy w damskich salonach.

- Zwykle nie wierzę, ale kiedy słyszy się tyle o jednym dżentelmenie, ile ja o panu... zaczyna się wierzyć, że jest w plotkach ziarnko prawdy. Nie ma dymu bez ognia i tak dalej.

- Nie mogę sobie wyobrazić, co pani słyszała. Kłamał. Naturalnie, że wiedział.

Machnęła ręką.

- Cóż, część z tego to kompletna bzdura. Mówią, na przykład, że potrafi pan pozbawić damę stroju, nie używając rąk.

- Tak?

Uśmiechnęła się.

- Głupie, wiem. W to zdecydowanie nie wierzę.

- Dlaczego nie?

- Jeśli nie działa siła fizyczna, obiekt w spoczynku pozostaje w spoczynku - wyjaśniła.

Nie mógł się powstrzymać.

- Damskie ubranie jest obiektem w spoczynku w tym szczególnym wypadku?

- Tak. A siłę fizyczną, konieczną, żeby poruszyć wspomniany obiekt, dawałyby pana ręce.

Czy miała pojęcie, jaki kuszący obraz odmalowała swoim chłodnym, naukowym opisem? Nie sądził.

- Mówiono mi, że moje ręce są wyjątkowo utalentowane. Zatrzepotała powiekami.

- Jak już ustaliliśmy, słyszałam to samo. Ale zapewniam pana, że nie są w stanie łamać praw fizyki.

Och, jakże chciał jej udowodnić, że się myli. Ale ona już mówiła dalej.

- Tak czy inaczej. Siostra służącej jednej damy, kuzynka przyjaciółki innej czy też kuzynka służącej... kobiety mówią, panie Cross. I musi pan mieć świadomość, że nie wstydzą się zdradzać szczegółów. O panu.

Uniósł brew.

- Jakiego rodzaju szczegółów?

Zawahała się, rumieniec znowu zabarwił jej policzki. Stłumił przyjemność, jaką sprawił mu widok jej ślicznie zaróżowionej buzi. Czy jest coś bardziej kuszącego niż kobieta zarumieniona pod wpływem nieprzyzwoitych myśli?

- Słyszałam, że jest pan dżentelmenem, który posiadał głęboką wiedzę na temat... mechanizmów... aktu, o którym mowa. - Wypowiadała się w sposób rzeczowy. Jakby rozmawiali o pogodzie.

Nie miała pojęcia, co robi. Jaką bestię usiłuje obudzić. Czego jej jednak nie brakowało, to odwagi. Takiej, która znakomite, szlachetne damy wpędzała niezawodnie w tarapaty.

A on miał dość rozumu, żeby się w to nie mieszać.

Położył obie ręce na biurku, stanął i po raz pierwszy tego dnia powiedział

prawdę:

- Obawiam się, że wprowadzono panią w błąd, lady Philippo. I już pora, żeby pani wyszła. Oddam pani przysługę i ukryję przed pani szwagrem, że pani tu była. Po prostu zapomnę, że panią tu w ogóle widziałem.

Znieruchomiała, a on uświadomił sobie, że ten bezruch do niej nie pasuje. Ta kobieta była cały czas w ruchu, odkąd obudził go szmer jej palców przesuwających się po kartach księgi rachunkowej. To, że teraz trwała nieruchomo, wytrącało go z równowagi. Zbierał siły na to, co miało nastąpić, na jakąś logiczną ripostę, jakieś niezwykle sformułowanie, które skusiłoby go bardziej, niż chciałby przyznać.

- Przypuszczam, że łatwo panu przyjdzie mnie zapomnieć.

Nic w jej tonie nie wskazywało, że doprasza się komplementów albo zaprzeczenia. Nic, czego mógłby się spodziewać u innych kobiet. Chociaż zaczynał sobie zdawać sprawę, że lady Philippa Marbury w żaden sposób nie przypomina innych kobiet.

I chciałby jej zagwarantować, że nie sposób o niej zapomnieć.

- Boję się jednak, że nie mogę na to pozwolić - ciągnęła, wyraźnie zawiedziona.

Miał wrażenie, że mówi raczej do siebie, nie do niego. - Mam mnóstwo pytań i nikogo, kto by na nie odpowiedział. I zostało mi tylko czternaście dni, żeby się tego dowiedzieć.

- Co stanie się za czternaście dni?

Do diabła. Nic mu do tego. Niepotrzebnie zapytał.

Pytanie ją zaskoczyło, miał wrażenie, że o nim zapomniała. Przechyliła głowę, marszcząc brwi, jakby zapytał o coś oczywistego. I tak, w istocie, było.

- Wychodzę za mąż.

Tyle wiedział. Od dwóch sezonów do lady Philippy zalecał się lord Castleton, młody dandys z mózgiem wielkości orzeszka ziemnego. Ale Cross zapomniał o jej przyszłym mężu w momencie, kiedy się przedstawiła, śmiała, bystra i cokolwiek dziwaczna.

Ta kobieta nie zapowiadała się na stosowną, choćby w części, hrabinę Castleton.

Nie twoja sprawa.

Odchrząknął.

- Moje najszczerze gratulacje.

- Pan nawet nie wie, kim jest mój przyszły mąż.

- Szczerze mówiąc, wiem. Uniosła brwi.

- Naprawdę? Skąd?

- Pomijając fakt, że pani szwagier jest moim współnikiem w interesach i że podwójny ślub ostatnich niezamężnych sióstr Marbury jest na ustach całego towarzystwa, musi pani wiedzieć, że mało jest rzeczy, niezależnie od środowiska, o których bym nie wiedział - przerwał. - Lord Castleton może się uważać za szczęśliwca.

- To bardzo łaskawe z pana strony. Pokręcił głową.

- Nie łaskawe. Prawdziwe. Jeden kącik jej ust lekko zadrgał.

- A ja?

Skrzyżował ręce na piersi. Znudzony Castletonem w ciągu dwudziestu czterech godzin po ślubie. A potem będzie nieszczęśliwa.

Nie twoja sprawa.

- Castleton jest dżentelmenem.

- Jakże dyplomatycznie - powiedziała, wprawiając globus w ruch i pozwalając,

aby jej palce muskały jego wypukłe części w trakcie obrotów. - Tak jest

rzeczywiście. Jest także hrabią. I lubi psy.

- Takich zalet szukają u mężów kobiety w obecnych czasach? Czy nie miała już wyjść? Dlaczego więc wciąż z nią rozmawiał?

- Są lepsze niż niektóre inne, które występują niekiedy u mężów -stwierdziła.

Wydawało mu się, że słyszy w jej głosie obronną nutkę.

- Na przykład?

- Niewierność. Skłonność do trunków. Zainteresowanie polowaniem na byki.

- Polowaniem na byki? Skinęła głową.

- Okrutny sport. Dla byka i dla psów.

- Żaden sport, jak sądzę. Ale, co ważniejsze, czy zna pani wielu mężczyzn, którzy oddają się temu zajęciu?

Podsunęła okulary wysoko na nosie.

- Sporo czytam. Była na ten temat bardzo poważna dyskusja w „Wiadomościach Londyńskich” w zeszłym tygodniu. Więcej mężczyzn, niż mogłoby się panu wydawać, uprawia to barbarzyństwo. Na szczęście, nie lord Castleton.

- Prawdziwy książę wśród mężczyzn - powiedział Cross, nie zwracając uwagi na to, że zmrużyła oczy pod wpływem sarkazmu w jego głosie. -Proszę sobie zatem wyobrazić moje zdumienie, kiedy zastałem tego właśnie poranka jego hrabinę przy moim łóżku, żądającą, aby ją zdeprawować.

- Nie wiedziałam, że pan tu śpi - odparła. - Ani też się nie spodziewałam, że będzie pan spać o pierwszej po południu.

Uniósł brew.

- Pracuję do późna. Skinęła głową.

- Wyobrażam sobie. Powinien pan jednak kupić łóżko. - Machnęła ręką w

stronę prowizorycznego posłania. - To nie może być wygodne.

Odciągała ich od tematu rozmowy. A on chciał się jej pozbyć z biura.

Natychmiast.

- Nie jestem zainteresowany i pani też nie powinna, w tym, żeby pani pomóc w publicznej kompromitacji.

Spojrzała mu w oczy, wyraźnie zaskoczona.

- Nie domagam się publicznej kompromitacji.

Cross zwykł się uważać za rozumnego, inteligentnego mężczyznę.

Fascynowała go wiedza i powszechnie uchodził za matematycznego geniusza.

Nie potrafił wysiedzieć w grze *vingt et un*, nie licząc kart, i dyskutował o prawie i polityce z chłodną, logiczną precyzją.

Dlaczego więc przy tej kobiecie czuł się jak dureń?

- Czyż nie zażądała pani, dwukrotnie w ciągu ostatnich dwudziestu minut, abym zrujnował pani reputację i zdeprawował?

- W istocie, trzy razy. - Przechyliła głowę na bok. - Cóż, ostatnim razem to pan wypowiedział słowa „zrujnowanie reputacji”, ale myślę, że można to uznać za część mojej prośby.

Jak kompletny dureń.

- A zatem trzy razy. Kiwnęła głową.

- Tak. Ale nie chodzi o publiczne zrujnowanie reputacji. To zupełnie co innego.

Pokręcił głową.

- Wracam do mojej pierwotnej diagnozy, lady Philippe Zamrugąła.

- Obłąd?

- Dokładnie tak.

Milczała przez długą chwilę, widział, jak usiłuje znaleźć odpowiednie słowa,

żeby nakłonić go do zgody na spełnienie jej żądania. Spojrzała na jego biurko, zatrzymując wzrok na parze ciężkich srebrnych wahadeł stojących obok siebie. Sięgnęła po nie i wprawiała w delikatny ruch. Patrzyli dłuższą chwilę, jak ciężarki poruszają się w doskonałej harmonii.

- Po co to panu? - zapytała.

- Lubię ruch. - Przewidywalność. To, co poruszało się w jedną stronę, musiało w końcu poruszyć się w przeciwną. Żadnych pytań. Żadnych niespodzianek.

- Tak jak Newton - powiedziała cicho, zwyczajnie, bardziej do siebie niż do niego. - Za czternaście dni poślubię człowieka, z którym mam mało wspólnego.

Zrobię to, ponieważ tego się ode mnie oczekuje, jako damy. Ponieważ cały Londyn na to czeka. Ponieważ nie wierzę, żebym miała kiedykolwiek okazję wyjść za kogoś, z kim więcej mnie łączy. I, co ważniejsze, zrobię to, ponieważ się zgodziłam, a nie uznaję nieuczciwości.

Patrzył na nią, żałując, że nie widzi jej oczu bez zasłony grubych szkieleł.

Przełknęła ślinę, wzdłuż jej szyi przebiegła lekka fala.

- Dlaczego sądzi pani, że nie spotka nikogo, z kim miałaby więcej wspólnego?

Podniosła głowę, mówiąc zwyczajnie:

- Jestem dziwna.

Uniósł brwi, ale milczał. Nie był pewien, jak należało odpowiedzieć na takie oświadczenie.

Uśmiechnęła się, widząc jego wahanie.

- Nie musi pan być dżentelmenem, jeśli o to chodzi. Nie jestem głupia. Całe życie byłam dziwna. Powinnam być wdzięczna losowi, że w ogóle ktoś chce się ze mną ożenić, i dziękować Bogu, że to hrabia chce mnie poślubić. Ze się do mnie zalecał. I, szczerze mówiąc, jestem całkiem zadowolona z tego, jaka przyszłość

się przede mną rysuje. Przenieś się do Sussex i nikt nie będzie się domagał, żebym się pojawiała na Bond Street czy w salach balowych. Lord Castleton zaoferował mi miejsce pod budowę szklarni, gdzie będę przeprowadzać moje eksperymenty, a nawet poprosił, żebym mu pomogła zarządzać majątkiem.

Myślę, że będzie szczęśliwy, mając pomoc.

Zważywszy, że Castleton był niezwykle miłym, doskonale nieinteligentnym człowiekiem, Cross mógł sobie wyobrazić zachwyty hrabiego, że mądra narieczona pragnie zarządzać jego majątkiem i oszczędzić mu komplikacji.

- To brzmi cudownie. Czy obdaruje panią również sforą psów? Jeśli usłyszała sarkazm w jego głosie, nie okazała tego, a on pożałował użytego tonu.

- Spodziewam się. Raczej się z tego cieszę. Lubię psy. - Przerwała, odwracając podbródek i wpatrując się przez chwilę w sufit. - Ale martwi mnie reszta.

Nie powinien pytać. Przysiędze małżeńskiej nigdy nie poświęcił chwili zastanowienia. Z pewnością nie miał zamiaru robić tego teraz.

- Reszta? Skinęła głową.

- Szczerze mówiąc, czuję się raczej nieprzygotowana. Nie mam pojęcia o czynnościach, jakie mają miejsce po ślubie... wieczorem... w łóżu małżeńskim - dodała, tak jakby mógł nie zrozumieć.

Jakby nie miał bardzo klarownej wizji tej kobiety w łóżu małżeńskim.

- I, prawdę mówiąc, przysięga małżeńska wydaje mi się dosyć pokrętna.

Uniósł brwi.

- Przysięga? Przytaknęła.

- Cóż, fragment przed przysięgą, ściśle mówiąc.

- Widzę, że ścisłość ma dla pani ogromne znaczenie. Uśmiechnęła się i w biurze zrobiło się cieplej.

- A nie mówiłam? Byłby pan doskonałym asystentem w badaniach naukowych.

- Nie odpowiedział, a ona wypełniła ciszę, recytując z naciskiem: - Małżeństwem nie wolno się wiązać lekkomyślnie ani z lubieżności.

Zamrugła.

- To fragment tekstu z ceremonii zaślubin - wyjaśniła.

To z pewnością był jedyny raz, kiedy ktoś cytował *Modlitewnik powszechny* w jego biurze. Zapewne w całym budynku. Kiedykolwiek.

- Brzmi rozsądnie.

- Zgadzam się. Ale jest dalszy ciąg. Nie wolno się nim także wiązać, żeby zaspokajać męskie cielesne żądze i apetyty, niczym u dzikich, bezrozumnych zwierząt.

Nie mógł się powstrzymać.

- Tak się mówi podczas ceremonii?

- Dziwne, prawda? Gdybym wspomniała o żądzy cielesnej, przy, powiedzmy, herbacie, wyrzucono by mnie z towarzystwa, ale mówienie o tym wobec Boga i Londynu w kościele St. George jest w porządku. - Pokręciła głową. - Nieważne.

Widzi pan, dlaczego jestem zaniepokojona.

- Za dużo pani o tym myśli, lady Philippo. Lord Castleton może nie być wyjątkowo błyskotliwy, ale jestem przekonany, że poradzi sobie w łóżu małżeńskim.

Ściągnęła brwi.

- Ja mam wątpliwości.

- Nie powinna pani.

- Nie sądzę, żeby pan rozumiał - oznajmiła. - Jest niezwykle ważne, żebym wiedziała, czego się spodziewać. Żebym była przygotowana. Cóż. Nie rozumie

pan? To wszystko dotyczy najważniejszego zadania, jakie stanie przede mną jako żoną.

- Czyli?

- Prokreacji.

To słowo - naukowe i pozbawione emocji - nie powinno go poruszyć do żywego. Nie powinno wywołać obrazu długich nóg, miękkiego ciała, ogromnych oczu za okularami. Ale tak się stało.

Drgnął niespokojnie, kiedy odezwała się ponownie.

- Lubię dzieci, więc z pewnością to akurat będzie w porządku. Ale widzi pan, chcę zrozumieć. A ponieważ pan uchodzi za eksperta w tej kwestii, nie mogłam sobie wyobrazić nikogo lepszego, kto mógłby mi pomóc w badaniach.

- W kwestii dzieci? Westchnęła zniecierpliwiona.

- W kwestii rozmnażania się.

Miał ochotę nauczyć ją wszystkiego, co wiedział o rozmnażaniu.

- Panie Cross? Odchrząknął.

- Nie zna mnie pani.

Zamrugała. Widocznie ta myśl nie przyszła jej do głowy.

- Cóż. Wiem sporo o panu. To wystarczy. Będzie pan doskonałym asystentem w badaniach.

- Nad czym?

- Wiele czytałam na ten temat, ale chciałabym lepiej zrozumieć. Tak, żebym mogła szczęśliwie wkroczyć w małżeństwo, nie martwiąc się niczym. Szczerze mówiąc, ten fragment o dzikich zwierzętach jest dość niepokojący.

- Wyobrażam sobie - stwierdził sucho. Ciągnęła jednak, jakby go tam nie było.

- Rozumiem także, że dla kobiet, które... tego nie doznały... czasami akt, o

którym mowa, nie jest całkiem... przyjemny. W tym konkretnym przypadku badanie by pomogło. W gruncie rzeczy przyjmuję hipotezę, że jeśli skorzystam z pana bogatego doświadczenia, Castleton i ja będziemy mieli z tego większą przyjemność. Będziemy musieli zrobić to wiele razy, zanim osiągniemy cel, jak przypuszczam, więc wszystko, co mogłoby rzucić światło...

Z jakiegoś powodu Crossowi słuchanie jej przychodziło z coraz większym trudem. Coraz trudniej było mu uchwycić własne myśli. Z pewnością nie powiedziała przed chwilą...

- To połączone wahadła. Co?

W ślad za jej spojrzeniem skierował wzrok na kołyszące się, metalowe kule, poruszające się teraz w przeciwne strony. Niezależnie od tego, jak precyzyjnie wprawiano je w ruch, zawsze w końcu jedna z ciężkich kul zmieniała kierunek. Zawsze.

- Tak.

- Jedno wpływa na ruch drugiego - powiedziała po prostu.

- Taka jest teoria, owszem.

Skinęła głową, obserwując, jak srebrne kule biegną do siebie, a potem od siebie.

Jeden raz. Drugi. Spojrzała na niego z głęboką powagą.

- Jeśli mam złożyć przysięgę, chcę wszystko z tego rozumieć. Żądza cielesna jest czymś, co bez wątplenia powinnam rozumieć. Czy wie pan, dlaczego małżeństwo może zamieniać mężczyzn w dzikie bestie?

Przed oczami mignął mu obraz zgiętych palców na ciele, niebieskich oczu za okularami, wpatrujących się w niego z rozkoszą. Tak. Wiedział, oczywiście.

- Nie.

Skinęła krótko głową, biorąc go za słowo.

- Z pewnością ma to jakiś związek ze stosunkiem. Dobry Boże.

Wyjaśniła:

- W Coldharbor, w majątku ojca, jest byk. Nie jestem taka zielona, jak pan myśli.

- Jeśli pani sądzi, że byk na pastwisku przypomina mężczyznę, to jest pani dokładnie taka zielona, jak myślę.

- Widzi pan? Właśnie dlatego potrzebuję pańskiej pomocy.

Do diabła. Wpadł prosto w jej pułapkę. Zmusił się, żeby się nie poruszyć. Żeby przeciwstawić się oczywistemu faktowi, że go niezmiernie pociągała.

- Rozumiem, że pan jest w tym bardzo dobry - ciągnęła, nieświadoma spustoszenia, jakie bezwiednie sieje. A może całkowicie świadoma. Nie potrafił tego stwierdzić. Nie mógł już sobie ufać. - Czy to prawda?

- Nie - odparł natychmiast. Może to skłoni ją do odejścia.

- Znam mężczyzn na tyle, żeby wiedzieć, że nie przyznają się do braku umiejętności w tej dziedzinie, panie Cross. Z pewnością nie spodziewa się pan, że uwierzę. - Roześmiała się; ten dźwięk, czysty i wesoły, wydawał się nie na miejscu w ciemnym pokoju. - Jako człowiek nauki, co oczywiste... sądziłabym raczej, że chętnie mi pan pomoże w moich dociekaniach.

- W dociekaniach na temat godowych obyczajów byków? Uśmiechnęła się z rozbawieniem.

- W badaniu żądz cielesnej i apetytów.

Pozostawało jedno wyjście. Przerazić ją tak, żeby wyszła. Obrazić, aby uciekła.

- Chce pani, żebym panią przeleciał? Otworzyła szeroko oczy.

- Wie pan, nigdy nie słyszałam, żeby ktoś powiedział to głośno. Po tym prostym, zwyczajnym stwierdzeniu poczuł się jak robak.

Otworzył usta, żeby przeprosić.

Ubiegła go, zwracając się jak do dziecka. Jakby rozmawiali o czymś zupełnie zwyczajnym.

- Widzę, że nie wyraziłam się jasno. Nie chcę, żeby pan dokonał aktu, że się tak wyrażę. Chciałabym po prostu, żeby pomógł mi pan lepiej go zrozumieć.

- Zrozumieć.

- Właśnie. Przysięga, dzieci i cała reszta. - Po chwili dodała: - Rodzaj wykładu.

O obyczajach zwierząt. W pewnym sensie.

- Proszę znaleźć kogoś innego. Innego pokroju. Zmrużyła oczy, słysząc kpinę.

- Nie ma nikogo innego.

- Szukała pani?

- Kto, pana zdaniem, mógłby mi wyjaśnić ten proces? Z pewnością nie moja matka.

- A siostry? Pytała ich pani?

- Po pierwsze, nie jestem pewna, czy Wiktoria lub Valerie są zainteresowane tym, jak duże mają doświadczenie w samym akcie. A Penelopa... Mówi głupstwa, kiedy pyta się ją o coś związanego z Bourne'em. Albo o miłość i tym podobne. - Przewróciła oczami. - W badaniach nie ma miejsca na miłość.

Uniósł brwi.

- Nie?

Wydawała się zbulwersowana.

- Z pewnością nie. Pan jednakże jest człowiekiem nauki z legendarnym doświadczeniem. Nie wątpię, że jest mnóstwo rzeczy, które potrafi pan wyjaśnić.

Na przykład bardzo mnie interesuje męski członek.

Zakrztusił się. Potem zakasłał.

- Nie wątpię - powiedział, kiedy odzyskał zdolność mówienia.

- Oczywiście, widziałam rysunki, w książkach anatomicznych, ale może pomógłby mi pan wyjaśnić niektóre szczegóły. Na przykład...

- Nie. - Nie czekał, aż zada mu jedno ze swoich bezpośrednich, naukowych pytań.

- Będę szczęśliwa, płacąc panu - oznajmiła. - Za pańskie usługi. W pokoju rozległ się dziwny, zdławiony dźwięk. Wydobył się z jego gardła.

- Płacąc mi. Kiwnęła głową.

- Czy, powiedzmy, dwadzieścia pięć funtów wystarczy?

- Nie.

Ściągnęła brwi.

- Oczywiście, osoba o pańskiej... biegłości... jest warta więcej. Przepraszam za niestosowność. Pięćdziesiąt? Obawiam się, że nie mogę więcej. To dosyć dużo pieniędzy.

Myślała, że to wymieniona suma czyniła ofertę obraźliwą? Nie rozumiała, że niewiele mu było trzeba, żeby spełnić jej prośbę za darmo. Żeby to on chciał jej zapłacić za możliwość pokazania wszystkiego, o co prosiła.

W jego życiu, jak dotąd, nie było niczego, czego Cross pragnąłby bardziej, niż rzucić tę dziwną kobietę na biurko i dać jej dokładnie to, czego się domagała.

Pożądanie nie miało znaczenia. Albo może tylko ono się liczyło. Tak czy inaczej, nie mógł pomóc lady Philippie Marbury.

Nigdy nie spotkał równie niebezpiecznej kobiety.

Pokręcił głową i wypowiedział jedyne słowa, które zdołał z siebie wydobyć.

Krótko. Rzeczowo.

- Obawiam się, że nie jestem w stanie zadośćuczynić pani prośbie, lady Philippo. Sugeruję, żeby pani zapytała kogoś innego. Może narzeczonego. - Nienawidził tej propozycji już w chwili, kiedy ją przedstawił. Powstrzymał się z trudem, żeby jej nie odwołać.

Milczała długą chwilę, mrugając za grubymi szklami, przypominając mu, że jest nietykalna.

Oczekiwał, że podwoi wysiłki. Że zaatakuje go ponownie swoją otwartością i bezpośrednimi słowami.

Oczywiście, ta kobieta była całkowicie nieprzewidywalna.

- Chciałabym, żeby zwracał się pan do mnie „Pippa” - powiedziała, po czym odwróciła się i wyszła.

2.

Gdy Pippa miała nie więcej niż sześć, siedem lat, pięć sióstr Marbury, jak jasnowłose kacząta, prezentowano gościom na przyjęciach w wiejskiej rezydencji w trakcie muzycznego interludium (dzieci gospodarzy często wtedy występowały) ; szczegółów tych przyjęć Pippa nie zachowała w pamięci.

Pewnego razu, gdy opuszczały salon muzyczny, zatrzymał ją starszy dżentelmen o roześmianych oczach i zapytał o jej ulubiony instrument. Gdyby ów dżentelmen zapytał o to samo Penelopę, ta odparłaby z przekonaniem, że jest nim fortepian. Gdyby zapytał Wiktorię czy Valerie, bliźniaczki odparłyby chórem, że lubią grać na wiolonczeli. Olivia podbiłaby jego serce uśmiechem pięciolatki - zalotnym nawet wówczas -i zapewniłaby, że lubi rogi.

Nieszczęśliwym przypadkiem zapytał jednak Pippę, która oznajmiła dumnie, że ma niewiele czasu na muzykę, ponieważ jest zbyt zajęta studiowaniem anatomii.

Biorąc omyłkowo zaszokowane milczenie dżentelmena za wyraz

zainteresowania, uniosła spódnice swojej sukieneczki, dumnie nazywając kości stopy i nogi.

Dotarła do kości strzałkowej, kiedy wkroczyła matka, wykrzykując histerycznie jej imię, czemu wtórował cichy śmiech zebranych.

Wtedy po raz pierwszy Pippa zrozumiała, że jest dziwna.

Również po raz pierwszy poczuła się zakłopotana. Dziwne uczucie, zupełnie odmienne od pozostałych, które wydawały się blednąć z czasem. Na przykład po zjedzeniu posiłku trudno było sobie przypomnieć, czym dokładnie jest głód.

Pamiętało się, oczywiście, że miało się ochotę na jedzenie, ale trudno było odtworzyć palące pragnienie zaspokojenia głodu.

Podobnie Pippie nieobce było uczucie irytacji - ostatecznie miała cztery siostry

- ale nie mogła przypomnieć sobie dokładnie, jak się czuła, wściekając się na

którą z nich. Bogu wiadomo, że bywały dni, kiedy z radością wypchnęłaby

Oliwię z pędzącego powozu, ale nie potrafiła teraz odtworzyć tego uczucia.

Pamiętała jednak uczucie dotkliwego zakłopotania, kiedy się z niej śmiano na

owym wiejskim przyjęciu, jakby to było wczoraj. Jakby to się zdarzyło przed

chwilą.

Ale to, co naprawdę zaszło przed kilkoma chwilami, wydawało się w jakiś

sposób gorsze niż pokazanie połowie socjety swoich siedmioletnich kostek u

nóg. Przypięta Pippie etykieta najdziwniejszej siostry

Marbury, nabyta w tak młodym wieku, pozwoliła jej osłonić się z czasem

pancerzem z dość twardej skóry. Trzeba było czegoś dużo więcej niż

słumionego chichotu zza wachlarza, żeby wprawić Pippę w zakłopotanie.

Widocznie trzeba było mężczyzny, który odmówił jej prośbie o deprawację.

Bardzo wysokiego, niewątpliwie inteligentnego, zdecydowanie fascynującego

mężczyzny.

Zrobiła, co mogła - przedstawiła swoją propozycję szczegółowo, odwołała się do niego jako do człowieka nauki - a on i tak odmówił.

Nie brała pod uwagę tej możliwości.

Oczywiście, należało. Powinna była się tego domyślić w momencie, kiedy przekroczyła próg tego wspaniałego biura, pełnego tylu interesujących rzeczy, powinna była zrozumieć, że jej oferta go nie zaintryguje. Pan Cross był najwyraźniej człowiekiem o dużej wiedzy i doświadczeniu, a ona czwartą córką podwójnego markiza Needham-Dolby, która potrafiła nazwać wszystkie kości w ludzkim ciele i w związku z tym stanowiła rodzaj anomalii.

Nie miało znaczenia, że szukała współuczestnika do prowadzenia naukowych badań i że zostało jej marne czternaście dni - tylko trzysta trzydzieści sześć godzin - żeby znaleźć odpowiedzi dotyczące jej przyszłego małżeństwa.

Miał widocznie za sobą mnóstwo własnych już przeprowadzonych badań i nie potrzebował współuczestnika.

Nawet takiego, który chętnie by za to zapłacił.

Rozglądając się po obszernym, pustym pomieszczeniu kasyna, uznała, że tym także nie powinna być zaskoczona. Ostatecznie, właściciel kasyna, w którym dokonywano takich transakcji finansowych jak te udokumentowane w wielkiej, oprawnej w skórę księdze, jaką odkryła u niego w biurze, nie mógł dać się skusić dwudziestoma pięcioma funtami. Ani pięćdziesięcioma.

To również należało wziąć pod uwagę.

Szkoda, doprawdy. Wybór tego człowieka wydał się jej taki obiecujący, gdy, parę nocy wcześniej, po przeczytaniu tekstu ceremonii, w której miała wkrótce uczestniczyć, powzięła swój plan.

Żądza cielesna.

Prokreacja.

Czyż to nie jest niewłaściwe, że kobiecie bez żadnego doświadczenia każe się brać udział w takich rzeczach? Bez żadnych sensownych wyjaśnień? Niejasności pojawiały się, jeszcze zanim pastor dochodził do fragmentów o posłuszeństwie i oddaniu.

To wszystko wprawiało ją w ogromny niepokój.

Tym większy, kiedy myślała o swoim rozczarowaniu odmową pana Crossa.

Miałaby ochotę spędzać więcej czasu z jego liczydłami. Nie tylko liczydłami.

Pippa nie uznawała kłamstwa, ani wobec siebie, ani wobec innych. Jeśli inni

wokół chcą ukrywać prawdę, proszę bardzo, niech to robią, ale ona sama

przekonała się już dawno, że nieuczciwość przysparza tylko więcej kłopotów w przyszłości.

Więc intrygowały ją nie tylko liczydła.

Intrygował ją ten mężczyzna. Przychodząc do klubu, spodziewała się spotkać

Crossa z legendy - przystojnego, inteligentnego, czarującego i potrafiącego w

kilka sekund rozebrać każdą kobietę... bez użycia rąk.

Ale nie znalazła nikogo takiego. Był niewątpliwie inteligentny, ale w rozmowie

okazał niewiele czaru, a co do urody - cóż, bardzo wysokiego wzrostu, o długich

rękach i nogach, kanciasty, z szopą krótkich rudych włosów, jakich w ogóle sobie

u niego nie wyobrażała - nie, nie był przystojny. Nie klasycznie.

Był za to interesujący. A to dużo lepiej.

Albo może, w tym wypadku, gorzej.

Najwyraźniej miał szeroką wiedzę w dziedzinie fizyki i geografii i dobrze radził

sobie z liczbami. Mogłaby się założyć, że brak kartek na jego biurku świadczył o

umiejętności pamięciowego dokonywania obliczeń w księdze rachunkowej.

Imponujące, zważywszy rząd wielkości tam występujących.

I spał na podłodze.

Półnagi.

Ten fakt był raczej ciekawy i dziwny. Pippa lubiła to, co ciekawe i dziwne. On raczej nie. I to zdecydowało.

Zadała sobie jednak zbyt wiele trudu, obmyślając plan, żeby pozwolić, aby sprzeciw jednego mężczyzny, choćby najbardziej fascynującego, go zniweczył.

Znajdowała się, ostatecznie, w kasynie. A w kasynach powinno roić się od mężczyzn. Z pewnością znajdzie się tu człowiek, który z większą życzliwością podejdzie do jej prośby. Była naukowcem, a cechą naukowca jest zdolność przystosowywania się.

Pippa zatem przystosuje się i zrobi wszystko, żeby zdobyć wiedzę niezbędną, aby dobrze się przygotować do nocy poślubnej. Swojej nocy poślubnej.

Nie lubiła tego mówić - nie lubiła nawet o tym myśleć - ale lord Castleton nie był najbardziej ekscytujący spośród potencjalnych mężów. Och, był przystojny i utytułowany, co podobało się jej matce. I miał piękną posiadłość.

Ale nie był zbyt bystry. Delikatnie rzecz ujmując. Zapytał ją kiedyś, z jakiej części świni pochodzi kiełbasa. Nie chciała się nawet zastanawiać, jaka jego zdaniem była odpowiedź.

To nie znaczy, że nie chciała go poślubić. Był dla niej najlepszym wyborem, tępy czy nie. Wiedział, że brakuje mu intelektu, i wydawał się chętny - w gruncie rzeczy zachwycony - że Pippa pomoże mu zarządzać majątkiem i prowadzić dom. Czekwała na to z przyjemnością, mając za sobą lekturę wielu tekstów na temat płodozmianu, nowoczesnego nawadniania i hodowli zwierząt.

Będzie doskonałą żoną pod tym względem.

Jej wątpliwości budziła reszta. A pozostało jej czternaście dni, żeby je rozwiązać.

Czy zbyt wiele żądała?

Widocznie. Zerknęła na zamknięte teraz drzwi do pokojów pana Crossa i

poczuła ukłucie czegoś niezbyt przyjemnego w piersi. Żal? Niezadowolenie? To

bez znaczenia. Ważne, że musiała zmodyfikować swój plan.

Westchnęła i ten dźwięk wybił ją z zamyślenia, każąc przyjrzeć się wielkiemu,

pustemu pomieszczeniu.

Skupiła się wcześniej na tym, żeby znaleźć drogę do prywatnego biura Crossa i

nie miała okazji zwiedzić samego kasyna. Jak większość kobiet w Londynie,

słyszała plotki o Upadłym Aniele - że było to niezwykle, skandaliczne miejsce,

gdzie damy nie miały wstępu. Że to w pokojach kasyna, a nie w parlamencie,

wykuwała się przyszłość Brytanii. Że to właściciele Upadłego Anioła

sprawowali w Londynie władzę z ukrycia.

Rozglądając się wokół, Pippa przyznała, że pomieszczenie jest imponujące...

ale pozostałe plotki wydawały się lekko przesadzone. Nie dało się za wiele

powiedzieć o tym miejscu, poza tym że było...

Raczej mroczne.

Rząd okien pod sufitem z jednej strony sali stanowił jedyne źródło światła,

wpuszczając zabłąkane promyki słońca. Pippa ruszyła drogą wy-

znaczoną przez jeden snop światła, w którym wirowały wolno drobinki kurzu,

do ciężkiego dębowego stołu znajdującego się o kilkanaście stóp dalej. Światło

wydobyło wymalowane na grubym zielonym suknie białe i żółte litery, liczby i

linie.

Zbliżyła się i jej oczom ukazała się dziwaczna sieć numerów i słów widocznych

na długim owalnym suknie. Nie mogła się powstrzymać, żeby nie przesunąć palcami po materiale i wzdłuż oznaczeń - tajemniczych hieroglifów - aż dotknęła szeregu białych kości do gry ustawionych przy krawędzi stołu.

Podniosła jedną parę kości, przyglądając się doskonałym dołączkom na ich powierzchni, wążąc w dłoni małe kwadraciki z kości słoniowej, zastanawiając się nad mocą, jaka w nich tkwiła. Wydawały się dosyć niewinne - ledwie godne uwagi - a jednak rządziły ludzkim życiem. Dawno temu jej szwagier stracił wszystko w jednym zakładzie w grze w karty. Prawda, wszystko potem odzyskał, ale Pippa zastanawiała się nad pokusą, jaka skłaniała ludzi do takich szalonych postępów.

Bez wątpienia jakaś moc kryła się w małych, białych sześcianikach.

Potrząsnęła nimi w dłoni, wyobrażając sobie, że to ona bierze udział w hazardowej grze, wyobrażając sobie, co mogłoby ją skłonić do gry. Naukowe badania. Zrozumienie sekretów małżeństwa, życia kobiety zamężnej.

Macierzyństwa. Jasne oczekiwania wobec zbyt mglistej przyszłości.

Odpowiedzi. Nie miała żadnych.

Informacje, które złagodziłyby dławienie w piersi, nasilające się za każdym razem, kiedy myślała o małżeństwie. Gdyby mogła zagrać o to, zagrałaby.

Potoczyła kości w dłoniach, rozmyślając o zakładzie, który przyniósłby jej oświecenie, zanim przypieczętuje swój los, ale nagły hałas odwrócił jej uwagę - ktoś tłukł z całej siły w drzwi od zewnątrz.

Odłożyła kości na krawędź stołu do gry i ruszyła w stronę hałasu, zanim zdążyła sobie uświadomić, że nie ma z tym miejscem nic wspólnego i wobec tego nie powinna otwierać drzwi.

Bach.

Bach, bach.

Rozejrzała się pośpiesznie po wielkiej sali. Ktoś z pewnością musiał usłyszeć ten łomot. Służąca, dziewczyna z kuchni, dżentelmen w okularach, który ją tu wpuścił?

Bach, bach, bach.

Wydawało się, że nie ma nikogo w zasięgu słuchu.

Może powinna sprowadzić pana Crossa?

Ta myśl ją zastanowiła. Albo raczej to, że wraz z tą myślą pojawił się obraz pana Crossa z krótkimi, sterczącymi na wszystkie strony rudymi włosami, które przeczesał palcami, przywracając je do porządku. Zastanowiło ją, że ta myśl przyspieszyła bicie jej serca. Zmarszczyła nos. Nie spodobało jej się to. Było męczące.

Bachbachbachbachbach.

Osoba przy drzwiach wyraźnie traciła cierpliwość. I podwajała wysiłki.

Musiała mieć pilną sprawę.

Pippa ruszyła do drzwi zamaskowanych ciężkimi, aksamitnymi kotarami, zwisającymi z wysokości dwudziestu stóp. Ciężkie, lekko uchylone mahoniowe drzwi osłaniały mały, ciemny hol, cichy i niepokojący - rzekę Styks pomiędzy klubem a resztą świata.

Przeszła przez ciemność do zewnętrznych stalowych drzwi, nawet większych niż te wewnątrz.

W przyćmionym świetle przesunęła dłonią wzdłuż miejsca, gdzie drzwi dotykały ramy. Niepokoiło ją, że w ciemności ktoś mógłby wyciągnąć rękę i dotknąć jej, a ona nie zorientowałaby się nawet, że ktoś tam jest. Odsunęła jeden rygiel, potem drugi, i nacisnęła na potężną klamkę, otwierając drzwi. Za nimi

rozciągało się szare marcowe popołudnie, a ona instynktownie zamknęła oczy.

Po czasie spędzonym w mrocznym wnętrzu Upadłego Anioła światło wręcz oślepiło ją, jakby to był najśnieczniejszy dzień lata.

- Cóż, muszę przyznać, że nie spodziewałem się tak pięknego powitania.

Pippa otworzyła oczy, słysząc obłądną zaczepkę, i podniosła dłoń do czoła dla osłony przed światłem.

O mężczyźnie, który stał przed nią, nie mogła powiedzieć wiele. Miał klasyczny, przekrzywiony na bok czarny kapelusz ze szkarłatną jedwabną taśmą, laskę ze srebrną końcówką w jednej dłoni, szerokie ramiona i eleganckie ubranie, ale tyle wiedziała na pewno - to nie był dzentelmen.

Żaden mężczyzna, dobrze urodzony czy nie, nigdy nie uśmiecha się do niej w taki sposób - jakby był lisem, a ona kurą. Jakby była całym kurnikiem. Jakby, jeśli nie będzie ostrożna, pożarł ją i powędrował ulicą St. James z piórkiem w zębach za szerokimi, wygiętymi w uśmiechu ustami.

Wiało od niego zepsuciem.

Inteligentna kobieta uciekłaby przed nim, a Pippie inteligencji nie brakowało.

Cofnęła się, wracając w mrok Anioła.

Poszedł za nią.

- Dużo lepszy z ciebie odźwierny niż ta cała banda. Oni mnie nigdy nie wpuszczają.

Pippa powiedziała to, co pierwsze przyszło jej do głowy.

- Nie jestem odźwiernym.

Jego lodowate, niebieskie oczy zabłyśły.

- W ogóle nie jesteś mężczyzną, kochana. Stary Digger widzi to jasno. Drzwi zewnątrz zamknęły się z głośnym hukiem. Pippa drgnęła,

cofając się jeszcze bardziej w głąb kasyna. Dotknęła plecami drzwi wewnętrznych i precyzyjnie się przez szparę, rozsuwając kotary. Poszedł za nią.

- A może to ty jesteś upadłym aniołem? Pippa pokręciła głową.

Wydawało się, że na taką odpowiedź czekał. Błysnął zębami w słabym świetle kasyna i zniżył głos do pomruku.

- A chciałabyś być?

Pytanie zawisło w szybko kurczącej się przestrzeni między nimi, wprawiając Pippę w zmieszanie. Nie знаła tego człowieka, ale instynkt jej podpowiadał, że za tym dwuznacznym uśmiechem kryje się hulaka, a może i drań, który ma obszerną wiedzę o występku w każdej postaci. Wiedzę, której szukała, zjawiając się tutaj niecałą godzinę wcześniej, by ją uzyskać od innego mężczyzny.

Mężczyzny, który nie okazał się skłonny nią podzielić.

Tak więc, kiedy ten człowiek, zepsuty i beztroski, odezwał się do niej, zachowała się tak, jak zwykle. Odpowiedziała zgodnie z prawdą.

- Istotnie, mam kilka pytań.

Zaskoczyła go. Jego dziwne, niebieskie oczy rozszerzyły się odrobinę, a potem zmrużyły znowu w wesołym uśmiechu. Roześmiał się głośno i radośnie.

- Doskonale! - zawołał, obejmując ją silnym ramieniem w talii i przyciągając do siebie, jak rozbawiony dzieciak szmacianą lalkę. - Mam mnóstwo odpowiedzi, kochanie.

Pippie nie podobało się to, że znalazła się w mocy tego zanadto śmiałego mężczyzny. Odepchnęła się dłońmi od jego piersi, a serce jej zabiło mocno, kiedy pomyślała, że być może powiedziała coś zupełnie niewłaściwego do zupełnie niewłaściwej osoby. On sądził, że ona chciała...

- Mój panie - rzuciła pośpiesznie. - Nie miałam na myśli...

- Nie jestem „panem”, złotko, ale z pewnością chciałbym być twój -znowu się roześmiał, wciskając twarz w jej szyję. Pippa walczyła z tym dotykiem, usiłując nie oddychać. Pachniał potem i czymś słodkim. Połączenie nie było przyjemne. Odwróciła głowę, odpychając się od jego piersi i żałując, że nie przemyślała tego starannie, zanim wdała się w rozmowę z tym człowiekiem. Zaśmiał się i przyciągnął ją mocniej, obiecując więcej, niż prosiła, przyciskając miękkie wargi do zagłębienia w jej ramieniu.

- Chodź, kochana, wujek Digger się tobą zaopiekuje.

- Nie jestem pewna, czy opieka, o jakiej pan wspomina, ma coś wspólnego z byciem wujkiem - zauważyła Pippa, starając się mówić jak najsurowszym tonem i usiłując wyplątać się z jego ramion. Rozejrzała się gorączkowo wokół: z pewnością znajdzie się w tym wielkim budynku ktoś, kto zechce jej pomóc.

Gdzie podziewał się ten ktoś?

Digger śmiał się znowu.

- Podniecająca z ciebie panienka, złotko.

Pippa odchyliła głowę najdalej, jak się dało, nie chcąc narażać się na dotyk.

- Wcale nie. Wprost przeciwnie.

- Nonsens. Jesteś tutaj, nieprawdaż? Jeśli to nie jest podniecające, to nie wiem, co jest.

Miał rację. Ale nawet Pippa rozumiała, że przyznanie mu racji skieruje ich na niewłaściwą drogę. Znieruchomiała, odwołując się do tego, czego uczono ją jako damę.

- Panie! - powiedziała stanowczo, wijąc się w jego ramionach jak piskorz i usiłując odepchnąć jego rękę. - Nalegam, żeby mnie pan puścił!

- Chodź, śliczna... zabawmy się. Ile byś tu dostawała... podwoję to w moim

kasynie.

Co on podwoi?

Nie było czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

- Jakkolwiek kusząca byłaby pańska oferta...

- Pokażę ci kilka rzeczy, jeśli chodzi o pokusę.

Och, Boże. Nic nie układało się według planu. Będzie musiała krzyczeć, żeby ktoś jej pomógł. Krzyk był taki emocjonalny. Absolutnie nienaukowy.

Ale rozpaczliwa sytuacja wymagała... cóż. Wciągnęła głęboko powietrze, gotowa wrzasnąć tak głośno, jak tylko potrafi, i wtedy w cichym pomieszczeniu rozległy się słowa, niczym wystrzał.

- Zabieraj od niej łapy.

Pippa i Digger zamarli na ten dźwięk - niski i cichy, a jednak doskonale słyszalny. I jadowity. Odwróciła głowę, zerkając przez ramię na pana Crossa, wysokiego, zadbanego, z rudymi włosami ułożonymi starannie, jakby nigdy nie zachowywały się inaczej. Wsunął także koszulę w spodnie i włożył surdut, co uznała za gest w stronę obowiązujących co do stroju dżentelmena norm, chociaż to teraz nie miało znaczenia, bo „dżentelmen” było ostatnim słowem, jakiego by użyła, żeby go opisać.

Nigdy w życiu nie widziała kogoś tak wściekłego.

Wyglądał, jakby mógł zabić.

Kogoś.

Możliwe, że ją.

Ta myśl ją otrzeźwiła i zaczęła znowu walczyć, odsuwając się o kilka cali, ale siła Diggera zwyciężyła. Przyciągnął ją do swojego boku, jak kawał wybornego mięsa.

- Nie.

Szare oczy Crossa spoczęły tam, gdzie Digger trzymał swoją szeroką dłoń zaborczym gestem - w okolicy jej pępka.

- To nie była prośba. Puść dziewczynę.

- Przyszła do mnie, Cross - odparł Digger ze śmiechem w głosie. - Skusiła mnie natychmiast. Myślę, że ją zatrzymam.

- To wszystko nieprawda. - Pippa broniła się instynktownie, walcząc z lisim uściskiem, błagając w duchu, żeby Cross spojrział jej w oczy. - Zapukał pan!

- A ty otworzyłaś, skarbie. Skrzywiła się i spojrzała na Crossa. Nie patrzył jej w oczy.

- Nie wygląda, jakby chciała, żebyś ją trzymał.

- Oczywiście, że nie - zgodziła się Pippa.

- Puść damę.

- Zawsze taki szlachetny, nazywasz damami ptaszki z Anioła. Pippa zeszywniała.

- Przepraszam? Jestem damą. Digger parsknął śmiechem.

- Z twoimi manierami mogłabyś kogoś nabrać w dzisiejszych czasach!

Ogarnęła ją irytacja. Miała dość tego człowieka. Wyginając szyję, żeby spojrzeć w jego niebieskie oczy, oznajmiła:

- Widzę, że popełniłam poważny błąd, wdając się z panem w rozmowę, panie...

- Zamilkła, czekając, żeby zachował się właściwie i podał swoje nazwisko. Nie zrobił tego, więc ciągnęła: - Panie Digger. Zapewniam pana, że niewątpliwie jestem damą. A wkrótce mam zostać hrabiną.

Uniósł w górę czarną brew.

- Czy to prawda? Skinęła głową.

- Tak. A nie sądzę, żeby chciał się pan narazić hrabiemu, prawda? Digger

uśmiechnął się, znowu przypominając jej lisa.

- To nie byłby pierwszy raz, słonko. Którego hrabiego?

- Nie odpowiadaj - parsknął Cross. - No już, Digger.

Mężczyzna puścił ją, przesuwając dłonią powoli po jej brzuchu. Uwolniona, natychmiast stanęła obok Crossa, który teraz, o ile to możliwe, poświęcał jej jeszcze mniej uwagi. Szedł w stronę Diggera, zwracając się do niego obojętnym tonem, któremu przeczyła z trudem hamowana wściekłość.

- Teraz, kiedy mamy to z głowy, może mógłbyś mi, do diabła, wyjaśnić, co robisz w moim kasynie?

Digger wciąż nie spuszczał z niej wzroku, zastanawiając się nad czymś, nawet w trakcie odpowiedzi:

- No, no, Cross. Zapominasz się. Przyszedłem tylko, żeby przekazać ci informację, którą możesz być zainteresowany. Tak po sąsiedzku.

- Nie jesteśmy sąsiadami.

- Nie szkodzi. Ale mam informacje, które i ty chciałbyś mieć.

- W twoim posiadaniu nie ma informacji, które chciałbym mieć.

- Nie? Nawet dotyczących twojej siostry?

Cross zeszywniał. Napięcie mięśni sprawiło, że jego szyja wyciągnęła się, a plecy wyprostowały, co czyniło go jeszcze wyższym.

- Myślę, że nie tylko chcesz... - naciskał Digger - ale jesteś gotów za nie zapłacić.

Powietrze zgęstniało. Znała ten zwrot i zawsze uważała, że jest niemożliwie głupi. Oczywiście, powietrze gęstniało od mgły czy dymu... przyznałaby nawet, że tak samo działał nieznośny zapach perfum 01ivii... ale pomyśl, że emocje

mogą wpływać na gęstość gazu, zawsze uznawała za raczej niemądry. Śmieszny, utarty zwrot, który należałoby wykorzenić z języka angielskiego.

Ale tutaj powietrze rzeczywiście zgęstniało. Trudno jej byto odetchnąć głębiej, kiedy pochyliła się w przód w oczekiwaniu na to, co się wydarzy.

- Bóg świadkiem, że sama do ciebie nie przyjdzie, draniu.

Pippa sapnęła z wrażenia, słysząc zniewagę. Pan Cross z pewnością nie pozwoli się obrazić. Ale wydawał się nie zwracać na to uwagi.

- Nie dotkniesz mojej siostry.

- Nie mój kłopot, jeśli pociągam damy - stwierdził Digger. - Dżentelmen nie odmawia, kiedy proszą o chwilkę czy dwie. - Przesunął znowu wzrok na Pippę. -

Nie myślę się, panno Wkrótce-Hrabino?

- Trudno mi uwierzyć, żeby pan pociągał damy, albo, jeśli już, odgrywał wówczas rolę dżentelmena - odparowała Pippa.

- No, no! Słuchajcie, słuchajcie! - Digger roześmiał się; dźwięk przetoczył się hałaśliwie po pustej sali. - Milutka z ciebie kotka.

Pippa zmrużyła oczy.

- Sądzę, że chodziło panu o słowo „cnotka”.

- Nie, to właściwe słowo. Jesteś kotką. Ostre ząbki i... - przesunął po niej lubieżnym spojrzeniem - założę się, że bardzo miękkie futerko. Powiedz, Cross, sprawdziłeś to już?

Pippa nie zrozumiała, o czym mowa, ale kiedy Cross rzucił się na Diggera, chwytając go mocno za kłapy, nie miała wątpliwości, że została dotkliwie znieważona.

- Przepraszam damę.

Digger uwolnił się bez większego wysiłku, wygładzając brązowy płaszcz.

- Ach, a zatem zgaduję, że jeszcze nie - powiedział drwiąco. - Ale pewnie niedługo. Raczej nie twój typ, pozwolę sobie zauważyć. - Ukłonił się nisko, z kpiącym błyskiem w oczach. - Proszę wybaczyć, panno Wkrótce.

Zacisnęła zęby z irytacji.

- Opuść to miejsce - odezwał się Cross z cichą groźbą w głosie.

- Nie chcesz wiedzieć, z czym przyszedłem?

Zawahał się nieznacznie... pół sekundy... mniej. Ale Pippa to usłyszała.

- Nie.

Digger wygiął wargi szyderczo.

- Zmienisz zdanie. Daję ci dwa dni. - Czekał chwilę, a Pippa miała wrażenie, że między tymi dwoma silnymi, każdy na swój sposób, mężczyznami unosi się w powietrzu niewidzialny nóż. Ciekawa była, który z nich go użyje.

- Nigdy nie traktowałeś obojętnie spraw rodziny - słowa Diggera były jak pchnięcie nożem.

Pan Cross uniósł wyzywająco brodę.

Digger uchylił kapelusza przed Pippą, obrzucając ją przy okazji pożądlwym spojrzeniem.

- A co do ciebie, pani... nie spotykamy się po raz ostatni.

- Jeśli zależy ci na własnej skórze, to będzie ostatni raz - odezwał się zimnym, nieustępliwym tonem pan Cross, nie dając tamtemu szansy na sprzeciw.

- Nonsens. Dama ma pytania. - Digger wbił spojrzenie swoich niebieskich oczu w oczy Pippy. - A ja mam odpowiedzi.

Pan Cross zrobił krok w jego stronę. Wydał przy tym z siebie cichy, groźny pomruk, którego Digger nie mógł nie usłyszeć. Uśmiechnął się złośliwie.

- A zatem jeszcze jeden powód, żebyś mnie odwiedził.

Pan Cross był wyraźnie wściekły, co budziło w Pippie niezbyt przyjemne uczucia.

- Wyjdź.

Digger nie wydawał się przestraszony, ale nie zwlekał.

- Dwa dni, Cross.

Zniknął, mrugnawszy bezczelnie do Pippy.

Stali w milczeniu przez długą chwilę, patrząc, jak kołyszą się ciężkie kotary po jego wyjściu i nasłuchując głośnego stuknięcia drzwi wejściowych. Dopiero wtedy Pippa wypuściła powietrze z płuc, nie zdając sobie sprawy, że wstrzymywała oddech.

Cross zwrócił na nią wściekłe spojrzenie.

- Może zechciałaby pani wyjaśnić, jak to się stało, że wciąż pani tu jest?

3

Przyszło mi do głowy, że powinnam zastanowić się nad taką drogą postępowania wcześniej. Wszakże... jeśli chce się pojąć zachowanie gęsi, należy obserwować gąsiora.

U pospolitych gęsi gęgawych (Anser anser) występują gąsiorzy najłatwiejsze do zidentyfikowania ze wszystkich gatunków gęsi. Gąsiorzy są większe od samic, z większymi głowami i dłuższymi szyjami, a kiedy osiągną dojrzałość płciową, zdradzają tendencje do agresywnych zachowań wobec samic. Co interesujące, samce potrafią też przejawiać zachowania niezwykle opiekuńcze, chociaż często trudno jest wyraźnie rozróżnić te dwa typy zachowań.

Dziennik naukowy lady Philippy Marbury

22 marca 1831; czternaście dni przed jej ślubem

Instynkt samozachowawczy nasunął Pippie odpowiedź, jaka pierwsza przyszła jej do głowy:

- Zapukał.

- A nie pomyślała pani, że ktoś, kto puka do drzwi kasyna, może nie być osobą, z którą chciałaby pani zawrzeć znajomość?

Jak na mężczyznę cieszącego się opinią czarującego i miłego, wcale się taki nie wydawał.

- Nie jestem głupia, panie Cross. Skrzyżował ręce na piersi.

- Mówienie takich słów nie sprawia, że stają się prawdziwe, lady Philippo.

Zastanawiała się, czy nie unieść spódnicy i nie nazwać wszystkich kości w stopie. Zdecydowała się milczeć.

- Zachowanie milczenia jest być może pierwszą rozsądną rzeczą, jaką pani

dzisiaj zrobiła.

- Nie było nikogo innego, kto mógłby otworzyć. Byłam wręcz zaskoczona, że pozwala się dżentelmenowi stukać w nieskończoność.

Zmrużył oczy.

- Zapewniam panią, że takie zaniedbanie się nie powtórzy. A dla pani wiadomości, Digger Knight nie jest dżentelmenem.

- Tak. Teraz to wiem. - Zamrugwała niebieskimi oczami zza grubych szkieleł. -

Oczywiście, zanim to sobie uświadomiłam, był już w środku.

- Może mi pani wyjaśnić, dlaczego jego ręce znajdowały się na pani ciele?

Uznała, że najlepiej będzie nie odpowiadać. Nie chciała, aby sytuacja została źle zrozumiana.

Wykorzystał jej wahanie, żeby się znowu odezwać.

- Prosiła pani o to? Czy był kolejnym kandydatem na partnera w badaniach?

Zerknęła w stronę drzwi, rozważając ucieczkę.

- Nie... niezupełnie.

Mam kilka pytań. Wolałaby, żeby się nie dowiedział, że to powiedziała.

Postąpił krok w jej stronę, zagradzając drogę.

- Więc jak to było?

Spojrzała na niego, czując się bardziej winna, niż należało. Przecież nie było tak, że się rzuciła obcemu mężczyźnie w ramiona.

- Złożyła mu pani propozycję?

- Nie! - Nie wahała się. Nie zrobiła tego. Bez wątpienia. Usłyszał jej myśl, jakby ją wykrzyczała.

- Nie jestem pewien, czy pani wierzę. Mnie złożyła pani propozycję nie dalej niż trzydzieści minut temu.

- To nie to samo i wie pan o tym. - Gdybyś powiedział „tak”, nie znalazłabym się w tej sytuacji.

- Nie? - Zakołysał się na piętach.

- Nie! - Fuknęła gniewnie. - Pan był częścią planu. - Planu, który przez ciebie zupełnie nie wypalił.

Wpatrywał się w nią zmrużonymi oczami, jakby mógł czytać jej myśli.

- Przypuszczam, że w tym jest nawet, w jakiś dziwny sposób, sens. Odwrócił się od niej i ruszył przez mroczne pomieszczenie, rzucając przez ramię:

- Sugeruję, żeby wróciła pani do domu, lady Philippo, i poczekała na swojego szwagra. Z pewnością będzie pani szukał, kiedy powiem mu, że kompletnie straciła pani rozum.

Nie mógł powiedzieć Bourne'owi. Bourne powiedziała by ojcu, a ojciec zamknąłby ją w Surrey aż do dnia ślubu. Bez cienia wątpliwości. I Pippa nie zdobyłaby wiedzy, której potrzebowała. Nie zyskałaby poczucia bezpieczeństwa, jakie wiedza dawała. Nie mogła do tego dopuścić.

- Nie! - krzyknęła przez całą salę. Odwrócił się.

- Powzięła pani mylne mniemanie - oznajmił ponuro - że jestem zainteresowany spełnianiem pani życzeń, lady Philippo.

Zawahała się.

- Nie zaczęłam go. Nic się nie stało. Pójdę. Proszę... nie mówić Bourne'owi.

Mogłaby sobie darować te słowa, bo i tak nie zwracał na nią uwagi, patrząc na stół do gry. Na kości, które tam zostawiła, blisko mahoniowej krawędzi.

Zrobiła krok w jego stronę, spojrział jej prosto w oczy. Wstrzymała oddech.

Znieruchomiła.

- Pani kości? Kiwnęła głową.

- Tak.

- Stawiała pani zakłady?

- Miałam taki zamiar. - Słowa padały szybko. - Kiedy wpadniesz między wrony, i tak dalej.

Zignorował żart.

- Z Knightem?

- Sama ze sobą.

- Na jakich warunkach?

- Nie zdecydowałam. Myślałam, że może... - Urwała, zrobiło jej się gorąco z zakłopotania. - Może mogłabym...

Jego spojrzenie stało się palące.

- Mogłaby pani...? Spojrzała na kości.

- Może mogłabym podwoić wysiłki, żeby zdobyć pana asystę.

- W kwestii deprawacji.

Cóż. Kiedy tak to przedstawił, w tym wielkim pokoju, słowa zabrzmiały bardziej skandalicznie niż przedtem.

- Tak.

- A jeśli nie? To co? Poszłaby pani do domu i czekała na ślub, jak grzeczna dziewczynka?

Traktował ją jak dziecko. Jakby cały jej plan nie miał sensu. Czy nie rozumiał, jakie to ważne? Że chodziło o naukę?

- Nie zdecydowałam - odparła wymijająco. - Sądzę jednak, że zastanowiłabym się nad innymi możliwościami. W Londynie trwa sezon. Nie brakuje hulaków, którzy mogliby mi pomóc.

- Jest pani równie kłopotliwa, jak pani siostra - powiedział bezbarwnym tonem.

Zdziwiła się.

- Penelopa?

- Ta właśnie.

Niemożliwe. Penelopa zachowywała się stosownie pod każdym względem.

Nigdy nie przyszłaby tutaj bez eskorty. Pokręciła głową.

- Penelopa nie sprawia żadnych kłopotów. Jedna ruda brew podniosła się z niedowierzaniem.

- Wątpię, żeby Bourne się z tym zgodził. Tak czy inaczej, Digger Knight nie jest możliwym kandydatem w tej sprawie. Najlepiej by było, gdyby pani uciekła jak najszybciej i najdalej, jeśli jeszcze kiedyś pani na niego wpadnie.

- Kim on jest?

- Nikim, kogo powinna pani była poznać. - Skrzywił się. Dobrze. Dlaczego tylko ona miałaby się irytować? - Nie rzuciła pani tych kości.

- Nie - powiedziała. - Sądzę, że to się szczęśliwie dla pana składa. A co, jeśli bym wygrała?

Jego oczy pociemniały.

- Ja byłbym wygraną? Skinęła głową.

- Oczywiście. Pan byłby idealnym asystentem. Ale ponieważ nie miałam okazji zagrać, może pan uznać się za szczęściarza. - Uniosła spódnicę, żeby odejść możliwie elegancko.

- Nie uważam się za takowego. Nie wierzę w szczęście. Opuściła rękę.

- Prowadzi pan kasyno i nie wierzy pan w szczęście? Uśmiechnął się nieznacznie.

- To dlatego, że prowadzę kasyno, nie wierzę. Zwłaszcza w grze w kości. Choć

są w tej grze szanse powodzenia. Ale prawdę mówiąc, lady Philippo, pani ich nie ma. Nie można grać przeciwko sobie.

- Nonsens. Oparł się o stół.

- Nie ma w tym ryzyka. Jeśli wynik jest po naszej myśli, nic nie tracimy. A jeśli wynik jest inny... możemy o tym po prostu zapomnieć. Jeśli nikt nas nie sprawdza, nie musimy dotrzymywać warunków.

Wyprostowała się.

- Odpowiadam sama przed sobą. Mówiłam panu. Nie uznaję krętactwa.

- I nigdy pani siebie nie okłamuje?

- Ani innych.

- To jedno dowodzi, że nie jest pani w najmniejszym stopniu przygotowana na to, o co stawiałaby pani zakład.

- Uczciwość jest przeszkodą?

- Ogromną. Świat jest pełen kłamców, lady Philippo. Kłamców, oszustów i wszelkiego rodzaju drani.

- Jak pan? - Pytanie padło, zanim zdążyła ugryźć się w język. Nie wydawał się urażony.

- Dokładnie takich, jak ja.

- Cóż, najlepiej zatem, jeśli pozostanę uczciwa, żeby zrównoważyć pańską nieuczciwość.

Uniósł brew.

- Nie uważa pani, że utrzymywanie w sekrecie własnej deprawacji jest nieuczciwe?

- Wcale nie.

- Lord Castleton nie spodziewa się, że wstąpi pani do jego łóżka jako dziewczica?

Gorąco oblało jej policzki. Przypuszczała, że należy od niego oczekiwać otwartości, ale nigdy dotąd nie poruszała tego akurat tematu w rozmowie.

- Nadal zamierzam... - odwróciła wzrok - to zrobić. Chcę po prostu mieć większą wiedzę na temat aktu.

Zmarszczył czoło.

- Pani pozwoli, że ujmę to inaczej. Lord Castleton nie spodziewa się, że wstąpi pani w związek małżeński niewinna?

- Nigdy o tym nie rozmawialiśmy

- A więc znalazła pani furtkę. Znów spojrzała na niego.

- Nieprawda.

- Nieuczciwość, o której się nie mówi, pozostaje nieuczciwością.

Zdumiewające, że uchodził za czarującego. Wcale nie wydawał się czarujący.

- Jeśli mnie zapyta, nie oszukam go.

- Musi być cudownie żyć w czarno-białym świecie. Nie powinna pytać.

- Co to znaczy?

- Tylko tyle, że w prawdziwym świecie, gdzie dziewcząt nie chroni się przed rzeczywistością, wszystko spowija szarość, a prawda jest względna.

- Widzę, że niesłusznie uważałam pana za naukowca. Prawda jest prawdą.

Wygiął usta w kpiącym uśmiechu.

- Moja droga, nic podobnego.

Straszliwie nie podobał jej się sposób, w jaki wymówił te słowa, z taką pewnością siebie. Najwyraźniej popełniła błąd. Przyszła w nadziei zyskania doświadczenia i wiedzy, a nie lekcji męskiej wyższości.

Nadeszła pora, żeby odejść.

Milczał, kiedy szła przez pokój w stronę drzwi. Nie odezwał się ani słowem, kiedy rozsunęła kotary i otworzyła wewnętrzne drzwi, ogarnięta nagłym pośpiechem.

- Jeśli chce się pani zakładać, powinna pani to zrobić uczciwie. Zamarła, jedną ręką podtrzymując ciężki aksamit. Z pewnością źle go zrozumiała. Odwróciła głowę, patrząc przez ramię na jego wysoką, szczupłą sylwetkę.

- Słucham?

Powoli wysunął jedną rękę z kieszeni i wyciągnął w jej stronę. Przez moment myślała, że ją wzywa.

Przez moment miała zamiar do niego pójść.

- Przebyła pani całą tę drogę, Pippo. - Po raz pierwszy użył skrótu jej imienia; zdumiał ją dźwięk tego skrótu w jego ustach. Szybka sekwencja spółgłosek.

Sposób, w jaki wyginały się jego usta. Kpina. I coś jeszcze. Coś, czego nie potrafiła wyjaśnić. - Powinna pani dokonać prawdziwego zakładu, nie sądzi pani?

Otworzył dłoń, ukazując dwie małe kostki.

Utkwiła wzrok w jego wyczekujących szarych oczach.

- Sądziłam, że nie wierzy pan w szczęście.

- Nie wierzę - odparł. - Jednak stwierdzam, że jeszcze mniej wierzę w zakładanie się z samym sobą, w ten sposób wymuszając wynik, jaki pasowałyby do pani przygody...

- To nie przygoda - zaprotestowała. - Eksperyment.

- Co za różnica? Nie rozumiał tego?

- Jedno jest głupie, a drugie to nauka.

- Mój błąd. Proszę mi powiedzieć, gdzie kryła się nauka w pani potencjalnym

zakładzie?

Nie miała na to odpowiedzi.

- Powiem pani... w ogóle jej nie było. Ludzie nauki nie stawiają zakładów. Są mądrzejsi. Wiedzą, że niezależnie od tego, ile razy wygrają, szanse i tak są przeciwko nim.

Zbliżył się do niej, odcinając ją od światła. Nie dotykał jej, ale, co dziwne, to nie miało znaczenia. Był na tyle blisko, żeby go czuć - wysoki, szczupły, promieniujący ciepłem.

- Ale teraz pani zagra, Pippo, czyż nie?

Mącił jej w głowie, trudno jej było myśleć. Odetchnęła głęboko, otoczył ją zapach drzewa sandałowego, wprawiając w jeszcze większe zmieszanie. Nie powinna się zgadzać.

Sięgnęła po kości leżące na jego szerokiej dłoni. Dotknęła ich, dotknęła jego - muśnięcie skóry czubkami palców wywołało dreszcz w jej ciele. Zastanowiła się nad uczuciem, jakie temu towarzyszyło, usiłowała rozłożyć je na czynniki pierwsze. Zidentyfikować. Posmakować. Ale szybko minęło, a jego ręka odsunęła się, zostawiając ją jedynie z sześcianami z kości słoniowej, wciąż ciepłymi od jego dotyku.

Tak jak ona.

Oczywiście, ta myśl była żałośnie głupia. Nie można się ogrzać od przelotnego dotyku. Tak pisano w powieściach. Jej siostry wzdychałyby nad czymś takim ze wzruszenia.

Cofnął się, wskazując na stół do gry.

- Jest pani gotowa? - Mówił niskim, cichym głosem, który zabrzmiał intymnie, mimo wielkiej sali.

- Tak.

- Ponieważ jest pani w moim kasynie, ja określam zasady gry.

- To nie wydaje się w porządku. Powieka mu nie drgnęła.

- Gdy będziemy grać przy pani stole, z chęcią przyjmę pani zasady.

- To brzmi logicznie. Skłonił głowę.

- Lubię kobiety ze skłonnością do logiki. Uśmiechnęła się.

- A zatem zasady hultajskie, czyż nie? Stali teraz w jednym końcu długiego stołu.

- Siódemka lub jedenastka wygrywają w Aniele przy pierwszym rzucie.

Ponieważ pani stawia zakład, pozwolę pani wyznaczyć cenę.

Nie musiała się zastanawiać.

- Jeśli wygram, powie mi pan wszystko, co chcę wiedzieć. Zawahał się i przez chwilę bała się, że zmieni zdanie. A jednak skinął potakująco głową.

- Zgoda. A jeśli pani przegra... wróci pani do domu, do swojego życia, cierpliwie czekając na ślub. I powstrzyma się pani od składania innym mężczyznom swoich wariackich propozycji.

Ściągnęła brwi w wyrazie protestu.

- To bardzo poważny zakład. Przechylił głowę.

- Tylko w ten sposób może pani skłonić mnie do udziału.

Pippa zastanawiała się, obliczając w myślach prawdopodobieństwo wygranej.

- Nie podoba mi się to. Mam tylko dwadzieścia dwa przecinek dwa procent szansy na wygraną.

Uniósł brwi, wyraźnie pod wrażeniem. Ha. A więc mimo wszystko nie ptasi mózdzek.

- I tu jest miejsce na szczęśliwy traf.

- Coś, w co pan nie wierzy? Wzruszył ramieniem.

- Mogę się mylić.

- A jeśli nie zagram? Skrzyżował ramiona na piersi.

- Wtedy zmusi mnie pani, żebym powiedział wszystko Bourne'owi.

- Nie może pan!

- Mogę, moja pani. Zamierzałem tego nie robić, ale prawda jest taka: nie można pani zaufać, że będzie pani unikać kłopotów. Zatem otoczenie musi zadbać o pani bezpieczeństwo.

- Mógł pan zapewnić mi bezpieczeństwo, przystając na moją propozycję - zauważyła.

Uśmiechnął się i błysk jego zębów wywołał w niej dziwaczną sensację, coś w rodzaju zawrotu głowy. Jakby znalazła się w powozie, który zbyt gwałtownie skręcił.

- Bourne'owi znacznie łatwiej wykonać to zadanie. Poza tym podoba mi się myśl o zamknięciu pani w wieży aż do dnia ślubu. Dzięki temu trzymałaby się pani z daleka od tego miejsca.

Od niego. Stwierdziła, że nie bardzo jej to odpowiada. Zmrużyła oczy.

- Nie zostawia mi pan wyboru.

- Nie jest pani pierwszym graczem, który tak to widzi. Nie będzie pani ostatnia.

Potrząsnęła kośćmi.

- Znakomicie. Cokolwiek innego niż siódemka czy jedenastka i idę do domu.

- I powstrzyma się pani od składania propozycji innym mężczyznom - dodał z naciskiem.

- To nie było wcale takie nieprzyzwoite, jak pan to przedstawił -oznajmiła.

- Wystarczająco nieprzyzwoite.

Niedawno był niemal nagi. To akurat było fantastycznie nieprzyzwoite.

Poczuła, że się czerwieni, i kiwnęła głową.

- Dobrze. Powstrzymam się od proszenia innych mężczyzn o pomoc w badaniach.

Wydawał się usatysfakcjonowany.

- Gramy.

Wciągnęła głęboko powietrze, zbierając siły. Z bijącym sercem rzuciła kości, patrząc, jak jedna uderzyła w wygiętą mahoniową ściankę po drugiej stronie, odbiła się i wylądowała obok siostry na dużym, białym S -pierwszej literze słowa Szczęście, które wiło się po stole wymalowane fantazyjnym pismem.

Dziewięć.

Szczęście, rzeczywiście. Przegrała.

Położyła ręce na chłodnym drewnie stołu, pochylając się, jakby siłą woli chciała zmusić kostkę, aby toczyła się dalej - aż do wygranej. Podniosła wzrok na przeciwnika.

- *Alea iacta est* - stwierdził.

Kości zostały rzucone. Słowa Cezara, kiedy szedł na Rzym. Oczywiście, ryzyko przyniosło Cezarowi cesarstwo, Pippa zaś straciła ostatnią, ulotną szansę na wiedzę.

- Przegrałam - powiedziała. Nic innego nie przyszło jej w tej chwili do głowy.

- Owszem.

- Chciałam wygrać. - Ogarnęło ją rozczarowanie, nieprzyjemne i obce uczucie.

- Wiem. - Podniósł jedną rękę do jej policzka. Ten ruch odwrócił jej uwagę od kości, sprawiając, że zapragnęła nagle czegoś zupełnie innego. Wstrzymała oddech - nie potrafiła nazwać uczucia, które pojawiło się znikąd.

Długie palce zawahały się, ale nie dotknęły jej, zostawiając plamę ciepła tam, gdzie się zatrzymały.

- Zbieram kości, lady Philippo - powiedział cicho. Zbieram. To słowo było czymś więcej niż sumą liter. Uświadomiła sobie nagle, że on może podać swoją cenę. Że ona ją zapłaci.

Napotkała jego wzrok w przyćmionym świetle.

- Ja tylko chciałam dowiedzieć się czegoś o małżeństwie. Przechylił głowę, pasemko rudych włosów opadło mu na czoło.

- To najzwyczajniejsza rzecz na świecie. Dlaczego tak bardzo panią niepokoi? Bo go nie rozumiała. Milczała.

- Pora, żeby pani wróciła do domu - odezwał się po długiej chwili. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, przekonać go, że zakład był niemądry, namówić, żeby pozwolił jej zostać, ale w tej właśnie chwili jego ręka poruszyła się, przesuając wzdłuż jej szyi, niemal jej dotykając, ale nie spełniając obietnicy. Jej prośba utonęła w dziwnym, przemożnym pragnieniu dotyku. Wstrzymała oddech, tłumiąc chęć zbliżenia się do niego.

- Pippa... - szepnęła; była w tym dźwięku jakaś nutka, coś, czego nie potrafiła nazwać. Trudno jej było zebrać myśli. Był tak blisko. Za blisko i w jakiś sposób nie dość blisko. - Idź do domu, moja droga - powiedział, w końcu, w końcu muskając delikatnie palcami miejsce, które pulsowało na jej szyi. Dając jej jednocześnie wszystko, czego chciała, i nic w ogóle. Przyjęła pieszczotę, nie myśląc, pragnąc więcej. Chcąc odmówić.

Natychmiast cofnął rękę, zanim zdążyła zachwycić się dotykiem jego palców, i przez jedną, szaloną chwilę miała ochotę chwycić jego dłoń i położyć ją z powrotem tam, gdzie była.

Jakie fascynujące.

Jakie straszne.

Westchnęła głęboko i odsunęła się o krok. O stopę, o dwie. Pięć, kiedy założył ręce na piersi w charakterystycznym, jak się przekonała, dla niego geście.

- To nie jest miejsce dla ciebie.

Kiedy patrzyła na niego, czując niepokojącą, niemal nie do pokonania chęć pozostania w klubie, uświadomiła sobie, że to miejsce jest czymś dużo więcej niż to, czego szukała.

4.

Róże wypuściły pączki - dwa doskonałe różowe pączki na łodydze czerwonej róży, co jest zgodne z moją hipotezą. Byłabym niezmiernie dumna z tego dokonania, gdybym nie poniosła tak dotkliwej klęski w dziedzinie innych badań niż botanika.

Wydaje się, że lepiej rozumiem ogrodnictwo niż ludzi.

Niestety, nie jest to zaskakujące odkrycie.

Dziennik naukowy lady Philippy Marbury

23 marca 1831; trzynaście dni przed jej ślubem

Doprawdy, Pippo - westchnęła Olivia, stojąca w drzwiach oranżerii rezydencji

Dolby - mogłabyś znaleźć sobie inne zajęcie niż zabawa roślinami. Przecież za dwanaście dni wychodzimy za mąż.

- Trzynaście - sprostowała Pippa, nie podnosząc głowy znad dziennika, w

którym zapisywała dzisiejsze obserwacje. Wiedziała, że nie warto wyjaśniać

Olivii, iż jej praca z różami jest dużo bardziej interesująca i ma charakter badań naukowych. I że nie jest zabawą.

Olivia nie odróżniała nauki od narty.

- Dzisiejszy dzień się nie liczy - odparła z nieukrywaniem entuzjazmem Olivia, druga bohaterka, albo pierwsza, wydarzenia, które zyskało już nazwę podwójnego ślubu stulecia (przynajmniej zdaniem ich matki). - Już praktycznie minął!

Pippa powstrzymała się przed sprostowaniem błędu młodszej siostry, uznając, że jeśli ktoś czeka niecierpliwie na wspomniane wydarzenie, dzień dzisiejszy mógł się, istotnie, nie liczyć. Ale ponieważ Pippa odczuwała niepewność i zaniepokojenie w związku z owym wydarzeniem, dzień dzisiejszy dla niej liczył się i to zasadniczo.

Z dzisiejszego dnia zostało czternaście godzin i - zerknęła na zegar - czterdzieści trzy minuty; był dwudziesty trzeci marca i Pippa nie zamierzała się rozstawać z trzynastym dniem swojego przedślubnego życia, nie wykorzystawszy go co do minuty.

Olivia stanęła po drugiej stronie stołu, przy którym pracowała Pippa. Pochyliła się nad nim z uśmiechem na ślicznej twarzy.

- Czy zauważyłaś we mnie dzisiaj jakąś zmianę?

Pippa odłożyła pióro i spojrzała na siostrę.

- Poza tym, że pacniesz za chwilę nosem w kupkę ziemi? Doskonały nosek

Olivii zmarszczył się z obrzydzeniem. Wyprostowała się.

- Tak.

Pippa podsunęła okulary wyżej na nosie, przyglądając się lśniącom oczom siostry, tajemniczemu uśmiechowi i w ogóle wdzięcznej postaci. Nie zauważyła niczego odmiennego.

- Nowa fryzura?

Olivia uśmiechnęła się kpiąco.

- Nie.

- Nowa suknia?

Olivia uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Wiesz, jak na naukowca, nie jesteś zbyt spostrzegawcza. - Położyła dłoń na ramieniu i wtedy Pippa zobaczyła. Ogromny, pobłyskujący rubin. Otworzyła szeroko oczy, a Olivia parsknęła śmiechem. - Aha! Teraz widzisz!

Wysunęła rękę w stronę Pippy, która odsunęła się, żeby nie dostać po nosie rubinem.

- Czyż nie jest wspaniały?

Pippa pochyliła się, żeby ocenić klejnot.

- Jest. - Podniosła głowę. - Wielki. Olivia rozpromieniła się.

- Mój przyszły mąż mnie uwielbia.

- Twój przyszły mąż cię rozpieszcza. Olivia machnęła ręką.

- Mówisz tak, jakbym nie zasługiwała na rozpieszczenie.

- Biedny Tottenham - roześmiała się Pippa. - Nie ma pojęcia, w co się pakuje.

Olivia rzuciła jej wyniosłe spojrzenie.

- Nieprawda. Wie dokładnie, w co się pakuje. I jest zachwycony. - Ponownie

zwróciła uwagę na rubin. - Jest taki piękny i czerwony.

Pippa skinęła głową.

- To chrom.

- Co takiego?

- Chrom. To substancja w kryształach, która nadaje mu czerwony kolor. Gdyby

było tam coś innego... to nie byłby rubin. Byłby szafir. - Olivia zatrzepotała

powiekami, a Pippa mówiła dalej: - Przekonanie, że

wszystkie szafiry są niebieskie, jest mylne. Mogą być rozmaitego koloru...

zielone, żółte, nawet różowe. Zależy od domieszki innych substancji. Ale wszystkie nazywa się szafirami. Tylko czerwone mają inną nazwę. Rubiny. Z powodu chromu.

Zamilkła, rozpoznając dziwny wyraz na twarzy Olivii. Taki sam wyraz pojawiał się na twarzach innych ludzi, gdy Pippa mówiła za dużo.

Jednak nie u wszystkich.

Nie u pana Crossa.

Wydawał się nią zainteresowany. Nawet jeśli nazwał ją szaloną. Aż do chwili, kiedy wyrzucił ją ze swojego klubu. I swojego życia. Nie mówiąc jej niczego, co chciała wiedzieć.

Olivia spojrzała na pierścień.

- Cóż, mój rubin jest czerwony. I śliczny.

- Jest - zgodziła się Pippa. - Kiedy go dostałaś?

Na pięknej twarzy Olivii pojawił się lekki, tajemniczy uśmiech.

- Tottenham dał mi go zeszłego wieczoru po teatrze.

- A matka nie wspomniała o tym przy śniadaniu? Jestem zaszokowana. Olivia uśmiechnęła się szeroko.

- Mamy tam nie było, kiedy mi go dawał.

W jej głosie zabrzmiał jakiś ton, coś, czego Pippa omal nie zauważyła. Czego mogłaby nie zauważyć, gdyby nie znaczące spojrzenie niebieskich oczu Olivii.

- A gdzie była?

- Przypuszczam, że mnie szukała. - Nastąpiła długa przerwa; Pippa wiedziała, że powinna się domyślić reszty. - Nie było jej z nami.

Pippa pochyliła się przez stół.

- Gdzie ty byłaś?

- Nie powinnam ci mówić - odparła uśmiechnięta Olivia.

- Byłaś sama? - zdumiała się Pippa. - Z wicehrabią? Olivia roześmiała się wesoło.

- Doprawdy, Pippo... nie musisz mówić jak zaszokowana przyzwoitka. -
Zniżyła głos. - Nie byłam z nim... długo. Na tyle długo, żeby zdążył mi dać pierścień... i żebym mogła mu podziękować.

- Podziękować w jaki sposób?

- Możesz sobie wyobrazić.

- Nie potrafię. - To była prawda.

- Z pewnością miałaś jakiś powód, czy dwa, żeby podziękować Castletonowi.
Wcale nie. Cóż, oczywiście miała okazję powiedzieć „dziękuję” narzeczonemu, ale nigdy nie byli wtedy sami. I z pewnością nigdy nie przyszłoby mu do głowy, żeby dać jej tak wspaniały prezent, jakim Tottenham obdarował Olivię.

- Jak mu, dokładnie, podziękowałaś, Olivio?

- Byliśmy w teatrze - oznajmiła Olivia tonem wyższości. - Nie mogliśmy wiele zrobić. Tylko parę pocałunków.

Pocałunki. Liczba mnoga.

Pippa drgnęła, przewracając kałamarz. Czarna kałuża popłynęła w stronę małego drzewka cytrynowego w doniczce. Olivia odskoczyła z piskiem.

- Nie zabrudź mi sukni!

Pippa postawiła kałamarz i zaczęła wycierać atrament szmatą, pragnąc koniecznie dowiedzieć się czegoś więcej.

- Całowałaś - zerknęła na drzwi oranżerii, żeby się upewnić, że są same -
Tottenham?

Olivia odsunęła się od stołu.

- Oczywiście, że tak. Nie mogę przecież poślubić mężczyzny, nie wiedząc, czy do siebie... pasujemy.

Pippa zamrugła.

- Pasujecie? - Popatrzyła na swój dziennik badań, który leżał otwarty na stole - pełen zapisków o różach, daliach, gęsiach i ludzkiej anatomii. Oddałaby to wszystko za kilka stron solidnych informacji o doświadczeniach Olivii.

- Tak. Z pewnością zastanawiałaś się, jak to będzie, fizycznie, z Castletonem... kiedy już się pobierzecie?

To, jakie uczucia budziła w Pippie fizyczna natura związku z Castletonem, należałoby określić mocniejszym słowem niż „zastanawiać się”.

- Oczywiście.

- No więc sama rozumiesz - stwierdziła Olivia.

Tylko że Pippa nie rozumiała. Wcale. Powstrzymała się, żeby tego z siebie nie wyrzucić, i gorączkowo szukała sposobu, aby skłonić OHwię do dyskusji na ten temat, nie dając przy tym po sobie poznać, jak bardzo zależy jej na wiedzy.

- I... lubisz się całować?

Olivia pokiwała głową z zachwytem.

- O, tak. Jest w tym bardzo dobry. Najpierw zaskoczył mnie jego entuzjazm...

W tej chwili Pippa nienawidziła języka angielskiego i wszystkich jego eufemizmów.

- Entuzjazm?

Olivia parsknęła śmiechem.

- W jak najlepszym sensie... Przedtem całowałam się z paroma chłopcami -

Całowała się? - ale byłam trochę zdumiona jego... - Machnęła ozdobioną pierścieniem dłonią, jakby ten gest oddawał znaczenie niedopowiedzianych

słów.

Pippa miała ochotę udusić siostrzyczkę.

- Jego... - nie ustępowała. Olivia zniżyła głos do szeptu.

- Jego umiejętnościami.

- Rozwiń to.

- Cóż, ma bardzo zręczny język. Pippa zmarszczyła brwi.

- Język?

Słyszając jej zaszokowane pytanie, Olivia się wyprostowała.

- Och. Nie całowałaś się z Castletonem.

Pippa zastanawiała się nad zagadką. Co też mężczyzna robi ze swoim językiem

w takiej sytuacji? Język to organ przydatny podczas jedzenia i mówienia. Jak to

się ma do całowania? Choć, logicznie rozumując, przy zbliżonych ustach, języki

także znajdują się blisko siebie... ta myśl była, prawdę mówiąc, niepokojąca.

- ...Przypuszczam, że nie powinnam się dziwić - ciągnęła Olivia. Zaraz.

Pippa spojrzała na siostrę.

- Co?

Olivia znowu pomachała ręką z rubinem.

- No, to jest przecież Castleton...

- Z Castletonem jest wszystko w porządku - pośpieszyła z obroną Pippa. - To

miły, dobry człowiek. - Już mówiąc te słowa, wiedziała, co Olivia ma na myśli. O

co chodziło Crossowi, kiedy poprzedniego dnia niezbyt pochlebnie wyrażał się o

Castletonie.

Castleton był przemiłym człowiekiem, ale nie takim, z którym miałyby się

ochotę całować.

Na pewno nie z użyciem języka.

Cokolwiek by to znaczyło.

- Oczywiście, że tak - powiedziała Olivia, nieświadoma burzy myśli, jaka przetaczała się w głowie siostry. - Jest też bogaty. A to pomaga.

- Nie wychodzę za niego dlatego, że jest bogaty. Olivia spojrzała uważnie na Pippę.

- Dlaczego za niego wychodzisz? Pytanie nie było obraźliwe.

- Ponieważ wyraziłam zgodę.

- Nie to miałam na myśli i wiesz o tym.

Pippa wiedziała i miała wiele powodów, żeby poślubić Castletona. Wszystko, co powiedziała Olivii i panu Crossowi, było prawdą. Hrabia był miły, dobry i lubił psy. Doceniał inteligencję Pippy i zgodził się powierzyć jej wszystkie sprawy związane z majątkiem. Może nie był szczególnie inteligentny, bystry czy zabawny, ale i tak lepszy niż wielu innych.

Nie, wiele kobiet nie uznałoby go za dobrą partię, nie był wicehrabią z perspektywą na stanowisko premiera, jak narzeczony Olivii, ani markizem, cieszącym się dwuznaczną sławą właścicielem kasyna, jak Bourne Penelopy, ale też nie był stary, jak mąż Wiktorii, ani ciągle nieobecny, jak mąż Valerie.

I poprosił ją o rękę.

Zawahała się.

To także.

Philippa Marbury była dziwna, a lordowi Castletonowi to, jak się wydawało, nie sprawiało różnicy.

Ale nie chciała powiedzieć tego głośno. Nie Olivii - najwspanialszej pannie młodej, która miała wkrótce wyjść za mąż z miłości za jednego z najpotężniejszych ludzi w Brytanii. Zamiast tego powiedziała więc:

- Może znakomicie całuje.

Wyraz twarzy Olivii odbijał odczucia Pippy w tym względzie.

- Może.

Zresztą Pippa nie zamierzała przetestować tego zadziwiającego założenia.

Nie mogła tego zrobić. Przystała na warunki pana Crossa. Przyrzekła.

Zobaczyła w wyobraźni kości toczące się po zielonym suknie, ciepły dotyk silnych palców, poważne szare oczy, usłyszała głęboki, stanowczy głos:

Powstrzyma się pani od składania tego typu propozycji innym mężczyznom.

Philippa Marbury nie łamała danego słowa.

Ale to byłoby czymś w rodzaju wyższej konieczności. Przecież Olivia całowała się z Tottenhamem. Na pewno całowanie się z narzeczoną nie mieściło się w ramach zakładu.

Tylko że ona nie miała ochoty pocałować swojego narzeczonego.

Wzrok Pippy powędrował do krzaka róż, który tak pochłaniał jej uwagę, zanim zjawiała się siostra... wspaniałe odkrycie naukowe, które zbladło w porównaniu z wiedzą, jaką podzieliła się z nią Olivia.

Nieważne, że nie miała ochoty o nic pytać Castletona.

I nie miało znaczenia, że miała ochotę złożyć taką propozycję zupełnie innemu mężczyźnie - zwłaszcza że tamten wyrzucił ją z klubu, nie przejawiając cienia zainteresowania jej pytaniami.

A co do ściskania, jakie czuła w piersi, Pippa uznała, że nie ma ono nic wspólnego ze wspomnieniem wysokiego, fascynującego mężczyzny, natomiast jest to normalny niepokój właściwy pannom młodym.

Wszystkie panny młode czuły niepokój.

- Oby tych dwanaście dni minęło jak najszybciej! - zawołała Olivia znudzona

rozmową i nieświadoma, o czym myśli Pippa.

Mogłoby się wydawać, że niepokoją się wszystkie panny młode z wyjątkiem Olivii.

- Dwadzieścia osiem godzin. - Digger Knight zerknął najpierw leniwie na swój kieszonkowy zegarek, po czym uśmiechnął się zrozumiale. - Przyznaję, że przypuszczałem, iż będzie mniej niż dwanaście.

- Lubię trzymać cię w niepewności. - Cross zrzucił płaszcz i usadowił się na niewygodnym, drewnianym fotelu po drugiej stronie masywnego biurka Knighta. Rzucił przez ramię znaczące spojrzenie na draba o twarzy ze śladami po ospie, który doprowadził go do biura Diggera. - Zamknij drzwi.

Drab z ospowatą twarzą zamknął drzwi.

- Jesteś po ich niewłaściwej stronie. Mężczyzna skrzywił się szyderczo. Knight uśmiechnął się.

- Zostaw nas. - Kiedy zostali w końcu sami, zauważył: - Co na to poradzę, moi ludzie mnie chronią.

Cross odchylił się do tyłu w niewygodnym fotelu i założył nogę na nogę, nie pozwalając, aby mebel spełnił swoją funkcję - pozbawił go pewności siebie.

- Twoi ludzie chronią swoje udziały. Knight nie zaprzeczył.

- Lojalność za każdą cenę.

- Ładna dewiza dla ulicznego bandyty. Knight przechylił głowę.

- Chcesz powiedzieć, że twoi ludzie nie są lojalni wobec Anioła dla pieniędzy?

- Anioł daje im więcej niż bezpieczeństwo finansowe.

- Ty, Bourne i Chase nigdy nie mogliście zapomnieć o nieszczęśliwej, biednej duszy - parsknął Knight, podnosząc się zza biurka. - Zawsze uważałem, że to zadanie należy zostawić proboszczowi. - Ginu?

- Wolę nie pić niczego, co serwujesz.

Knight zawahał się, nalewając alkohol do kieliszka.

- Sądysz, że bym cię otruł?

- Nie udaję, że wiem, co byś ze mną zrobił, gdybyś miał okazję. Knight uśmiechnął się.

- Mam plany wobec ciebie żywego, chłopcze.

Crossowi nie podobała się jego pewność siebie, to, że znajdował się po niewłaściwej stronie stołu - że mógł za chwilę zostać wciągnięty w wysoce ryzykowną grę, nie znając nawet jej reguł. Rozejrzał się przez chwilę uważnie po biurze Knighta.

Był już tutaj, ostatni raz przed sześcioma laty, ale pokoje się nie zmieniły. Były wciąż nieskazitelnie czyste i prawie puste, niezdradzające niczego o właścicielu i jego prywatnym życiu. Po jednej stronie małego pokoju, w którym się teraz znajdowali, stały księgi rachunkowe. Ubezpieczenie, jak nazywał je Knight. Cross wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, co zawierały: historię finansową każdego człowieka, który zagrał kiedyś przy stole w kasynie Knighta.

Cross wiedział o tym nie tylko dlatego, że podobny zestaw zalegał podłogę w jego własnym biurze, ale także dlatego, że widział je tamtej nocy, kiedy Digger otworzył ogromną księgę, a jeden z jego drabów, o pięściach jak bochny, pokazał Crossowi dowód jego uchybień, zanim pobili go niemal na śmierć.

Nie walczył.

Modlił się, żeby im się udało.

Knight powstrzymał ich, zanim dokończyli dzieła, kazał zabrać Crossowi pieniądze i wyrzucić go z kasyna. Ale przedtem pchnął go na nową drogę.

Starszy mężczyzna pochylił się wtedy nad nim, nie zwracając uwagi na jego

posiniaczoną twarz, zakrwawione ubranie, połamane żebra i palce.

„Myślisz, że nie widzę, co robisz? Jak chcesz mną manipulować? Nie zabiję cię. Twój czas nie nadszedł”.

Cross miał tak spuchnięte oczy, że ledwie mógł je otworzyć, ale widział gniewną twarz Knighta. „Nie pozwolę ci się oskubać po raz drugi”, mówił starszy mężczyzna. „To, jak się teraz czujesz... to moja gwarancja. Wrócisz, będzie gorzej. Oddaj sam sobie przysługę i trzymaj się z daleka, żebym nie musiał cię zniszczyć”.

To już się stało, ale i tak trzymał się z daleka.

Aż do dzisiaj.

- Po co tu jestem?

Knight wrócił na swój fotel i pociągnął łyk jasnego alkoholu. Krzywiąc się, powiedział:

- Twój szwagier jest mi winien dziesięć tysięcy funtów.

Lata praktyki pozwoliły Crossowi ukryć szok. Dziesięć tysięcy funtów to ogromna suma. Więcej niż większość ludzi była w stanie zarobić w ciągu całego życia. Więcej niż większość parów zdołałaby zgromadzić w ciągu roku. Dwóch lat. I z pewnością więcej niż baron Dunblade zdołałby kiedykolwiek spłacić. Już zdążył sprzedać każdy kawałek wolnej ziemi dziedzictwa i miał dochód w wysokości dwóch tysięcy funtów rocznie.

W zeszłym roku dwa tysiące czterysta trzydzieści pięć funtów.

To nie było dużo, ale dość, żeby zapewnić dach nad głową żonie i dzieciom Dunblade'a. Dość, żeby później wysłać syna do szkoły. Dość, żeby zachować pozory wielkopaństwa, dzięki którym baronostwo otrzymywało cenne zaproszenia i mogło bywać w towarzystwie.

Cross o to zadbał.

- Jak to możliwe?

Knight odchylił się w fotelu, obracając kryształowy kieliszek między palcami.

- Lubi grać. Kim jestem, żeby go od tego powstrzymać?

Cross zmusił się, żeby siedzieć spokojnie, nie sięgnąć przez biurko i nie chwycić tamtego za gardło.

- Dziesięć tysięcy funtów to więcej niż upodobanie do hazardu, Digger. Jak to się stało?

- Wygląda na to, że dostał kredyt, na jaki nie było go stać.

- Nigdy w życiu nie miał takich pieniędzy.

- Zapewnił mnie, że go stać. - Knight mówił teraz tonem niewinnym i żalonym.

- Skąd mogłem wiedzieć, że kłamie? - Spojrzał w pełne niedowierzania oczy

Crossa. - Niektórzy ludzie nie potrafią przestać. Ty mnie tego nauczyłeś.

Te słowa miały zranić. Przypomnieć tę odległą noc, kiedy Cross, świeżo po uniwersytecie, z błyszczącymi oczami, pewny siebie jak kogut, grał u Knighta i wygrał. Opanował do perfekcji *vingt et un* i tylko wygrywał.

Od miesięcy włóczył się po kasynach, grając tu przez jedną noc, tam przez dwie, i przekonując wszystkich, że ma po prostu szczęście.

Wszystkich, z wyjątkiem Diggera.

- A więc to jest twoja zemsta? Czekalesz sześć lat? Knight westchnął.

- Nonsens. Już dawno mi przeszło. Nigdy nie miałem przekonania do zemsty na zimno. Zawsze wolałem gorące dania. Lepsze na trawienie.

- Więc wymaż dług.

Knight roześmiał się, rozsuwając palce dłoni na mahoniowym biurku.

- Na tyle nie wyrównaliśmy rachunków, Cross. Dług pozostaje. Dunblade jest

durniem, ale to nie zmienia faktu, że jest mi winien pieniądze. To interesy, z pewnością się ze mną zgodzisz. - Zamilkł na dłuższą chwilę. - Szkoda, że jest parem. Więzienie za długi może być lepsze niż to, co dla niego szykuję.

Cross nawet nie udawał, że nie rozumie. Ostatecznie, sam prowadził kasyno i wiedział, jakie kary czekają parów, którzy nie poczuwali się do spłaty długów.

Pochylił się.

- Mogę zamienić to miejsce w ruinę. Połowa parów to nasi członkowie. Knight również pochylił się w przód.

- Nie potrzebuję połowy parów królestwa. Mam twoją siostrę. Lavinia.

Jedyny powód, dla którego się tutaj znalazł.

Stał mu przed oczami obraz - Lavinia, młoda, o świeżej buzi, śmieje się do niego, pędząc na swojej ulubionej kasztanowej klaczy wzdłuż klifów

Devonshire. Młodsza o siedem lat, rozpieszczona do niemożliwości, nie bała się niczego. Nic dziwnego, że przyszła osobiście stawić czoło Knightowi. Lavinia nigdy nie należała do tych, co stoją spokojnie z boku, nawet jeśli tak by było lepiej dla wszystkich.

Poślubiła Dunblade'a w rok po śmierci Baine'a i odejściu Crossa z domu.

Przeczytał o ślubie w gazetach. Po krótkim okresie zalotów jeszcze szybszy ślub, dzięki specjalnemu zezwoleniu, żeby obejść ro-

dzinną żałobę. Nic dziwnego, że ojciec chciał, aby małżeństwo zawarto jak najszybciej - musiał się upewnić, że córka w ogóle wyjdzie za mąż. Cross spojrział w błyszczące zadowoleniem niebieskie oczy Knighta.

- Ona nie ma z tym nic wspólnego.

- Och, ależ tak. Interesujące, jak damy potrafią pakować się w kłopoty, nieprawdaż? Niezależnie od tego, jak próbuje się je utrzymać na uwięzi, jeśli

któraś chce narobić zamieszania, zrobi to - powiedział Knight, otwierając ozdobną, hebanową szkatułkę i wyjmując z niej cygaro. Postukał długim, brązowym cygarem w biurko dwa razy, zanim je zapalił. Zaciągnął się mocno. - A ty masz na głowie dwie. Pomówmy o mojej nowej znajomej. O damie, którą spotkałem wczoraj. Kim ona jest?

- Nikim ważnym. - Cross natychmiast zrozumiał swój błąd. Należało zignorować pytanie. Mówić o czymś innym. Szybka odpowiedź zdradzała zbyt wiele.

Knight, zaciekawiony, przechylił głowę na bok.

- Wydaje się, że kimś bardzo ważnym.

Do diabła. To nie miejsce ani czas na rozmowę o Philippie Marbury z jej wielkimi, niebieskimi oczami, zbyt logicznym umysłem i dziwnym, intrygującym poczuciem humoru. Stłumił te myśli.

Nie będzie tutaj o niej mówić.

- Przyszedłem rozmawiać o mojej siostrze.

Knight pozwolił na zmianę tematu. Być może zbyt łatwo.

- Twoja siostra ma charakter, muszę przyznać.

W przytłaczająco małym pomieszczeniu było zbyt ciepło. Cross oparł się pokusie, żeby się poprawić w fotelu.

- Czego chcesz?

- Nie chodzi o to, czego ja chcę. Chodzi o to, co oferowała twoja siostra. Była bardzo łaskawa. Wygląda na to, że dama gotowa jest na wszystko, byle uchronić dzieci przed skandalem.

- Dzieci Lavinii nie dotknie skandal. - Słowa zabrzmiały stanowczo i zdecydowanie. Cross poruszyłby kulę ziemską, żeby zapewnić ich prawdziwość.

- Jesteś pewien? - zapytał Knight, opierając się wygodnie w fotelu. - Wydaje się, że nad ich głowami wisi raczej rujnujący skandal. Bieda. Ojciec, który dla hazardu trwoni ich dziedzictwo. Załamana matka. Dodajmy do tego wuja, który odwrócił się od społeczeństwa i rodziny, nigdy nie oglądając się za siebie, i... - Nie musiał kończyć.

To nie była prawda. Nie cała.

Nigdy się od nich nie odwrócił. Cross zmrużył oczy.

- Straciłeś akcent, Digger. Knight uśmiechnął się krzywo.

- Nie ma potrzeby go używać ze starymi przyjaciółmi. - Zaciągnął się mocno. -

Ale wracając do tych szczęśliwych chłopców. Mają dzielną matkę. Obiecała, że mnie spłaci. Szkoda, że nie ma żadnych pieniędzy.

Nie potrzeba było geniuszu, żeby usłyszeć insynuację. Usłyszeć podłość w tych słowach. Ktoś mniej mądry dałby się ponieść wściekłości, nie obejmując wszystkich elementów układanki, ale Cross miał dość rozumu.

Nie usłyszał tylko groźby. Usłyszał propozycję.

- Nie będziesz więcej rozmawiał z moją siostrą. Knight schylił głowę.

- Czy naprawdę sądzisz, że w twojej sytuacji możesz stawiać warunki? Cross wstał, przerzucając płaszcz w zgięcie ramienia.

- Spłacę długi. Podwoję sumę. Jutro przyślę papiery. A ty trzymaj się z daleka od mojej rodziny.

Odwrócił się, żeby wyjść.

- Nie - odezwał się Knight ze swojego miejsca.

Cross zatrzymał się, odwrócił przez ramię, po raz pierwszy dopuszczając do głosu emocje.

- To już drugi raz, kiedy mi odmawiasz w krótkim czasie, Digger. Nie podoba

mi się to.

- Obawiam się, że nie możesz pozbyć się długu tak łatwo. Digger Knight nie

wyrobił sobie renomy jednego z najtwardszych

graczy w Londynie, przestrzegając reguł. W gruncie rzeczy to właśnie

skłonność Knighta do ich łamania ocaliła Crossowi skórę kilka lat wcześniej.

Podobał mu się sposób, w jaki pracował umysł Crossa. Zmusił go, żeby wyjawiał,

jak liczy karty, jak kalkuluje kolejny krok, skąd wie, kiedy i ile postawić.

Jak to się dzieje, że Cross zawsze wygrywa.

Przynajmniej w hazardzie.

Odwrócił się ponownie do swojej nemezis.

- A więc czego chcesz?

Digger roześmiał się na całe gardło, prawie dławiąc się ze śmiechu, aż Cross

miał ochotę zazgrzytać zębami.

- Co za wspaniała chwila... wielki Cross, gotów dać mi wszystko, czego

zażądam. Jakie to... odpowiedzialne z twojej strony. - Nie było zaskoczenia w

jego głosie, tylko satysfakcja.

I wtedy Cross uświadomił sobie, że tu w ogóle nie chodziło o Dunblade'a.

Knight chciał czegoś więcej i wykorzystał okazję, by posłużyć się jedyną osobą,

która była Crossowi droga.

- Marnujesz mój czas. Czego chcesz?

- To naprawdę proste - odparł Knight. - Chcę, żebyś uczynił moją córkę hrabiną.

Gdyby mu wcześniej kazano zgadnąć, jaką cenę wyznaczy Knight za reputację

siostry i bezpieczeństwo jej dzieci, Cross oświadczyłby, że nic nie może go

zaskoczyć. Sądziłby, że Knight zechce zostać współwłaścicielem Anioła, zażąda,

żeby ludzie Crossa pracowali dla niego albo żeby sam Cross zajął jakieś

stanowisko w kasynie Knighta.

Cross spodziewałby się, że Knight będzie chciał go zrujnować - że podwoi albo potroi dług. Mógłby sobie nawet wyobrazić rodzaj spółki między obydwoma klubami; Knight nie mógł przeżyć, że Anioł odniósł wspaniały sukces wśród arystokracji w parę miesięcy od otwarcia, podczas gdy jego własny klub pozostawał drugorzędnym kasynem, w którym grali parowie niespełniający rygorystycznych standardów członkostwa w Aniele.

Ale nigdy, przenigdy nie potrafiłby sobie wyobrazić żądania, jakie przed chwilą usłyszał.

A zatem uczynił jedyną rzecz, jaką można było uczynić w tej sytuacji. Parsknął śmiechem.

- Mówimy o swoich życzeniach? No to ja bym chciał dostać urządzenie latające ze złota.

- A ja znalazłbym sposób, żeby ci je dać, gdybyś miał w swoich rękach jedną z niewielu osób, które są mi drogie. - Knight zgasił cygaro.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że Meghan jest ci droga. Knight spojrzał na Crossa, zaskoczony.

- Skąd znasz jej imię? Trafiony.

Cross zastanowił się, co wie o jedynym dziecku Knighta, a czego dowiedział się z informacji zamkniętych w tajnym sejfie Anioła. Trzymano tam dane dotyczące potencjalnych wrogów - polityków, przestępców, duchownych zionących ogniem i siarką, konkurentów.

„Meghan Margaret Knight; ur. 3 lipca 1812”.

- Wiem sporo o młodej Meghan - przerwał. - Czy powinienem ją nazywać Maggie?

Knigh t opanował się.

- Nigdy nie lubiłem tego imienia.

- Nie, wyobrażam sobie, że nie. Jest takie irlandzkie. - Cross zawiesił płaszcz na oparciu fotela, zadowolony z niewielkiej przewagi. - Meghan Margaret Knight.

Dziwię się, że na to pozwoliłeś.

Knigh t odwrócił wzrok.

- Pozwoliłem matce nadać jej imię.

- Mary Katharine.

„Mary Katharine O'Brien, Irlandka; ur. 1796, poślubiła Knighta w lutym 1812”.

- Powiniennem przewidzieć, że będziesz o nich wiedział. - Skrzywił się. - Chase to drań. Pewnego dnia potraktuję go tak, jak na to zasługuje.

Cross założył ramiona na wzmiankę o swoim partnerze i współzałożycielu Upadłego Anioła.

- Gwarantuję, że tak się nigdy nie stanie. Knight spojrzał mu w oczy.

- Przypuszczam, że powiniennem być wdzięczny. Ostatecznie, znasz już dziewczynę. To tak, jak wziąć ślub z przyjaciółką z dzieciństwa.

„Miejsce zamieszkania: Bedfordshire; niewielki dom na High Street. Knight posyła 200 funtów, czwartego każdego miesiąca; nie odwiedza, nie widział dziewczyny, odkąd matka i córka zostały odesłane w październiku 1813.

Dziewczynka wychowana z guwernantką; mówi poprawnie po francusku.

Uczęszczała do szkoły dla dziewcząt pani Coldphell jako uczennica dzienna”.

- Od kiedy to córka cię obchodzi? Knight wzruszył ramionami.

- Odkąd na tyle urosła, że jest coś warta.

W papierach była jeszcze jedna linijka, zapisana śmiałym charakterem pisma Chase'a.

„NB: dziewczynce każe się pisać do Knighta raz w tygodniu. Listy nadawane we wtorki.

Knight nie odpowiada".

- Zawsze kochający ojciec - powiedział sucho Cross. - Chcesz sobie kupić tytuł?

- Takie są w dzisiejszych czasach reguły gry, zgodzisz się? Arystokracja nie jest już tym, czym była. Bogu wiadomo, że dzięki takim jak my coraz mniej tych panów ma jakieś pieniądze. Meghan będzie tu za sześć dni. Ożenisz się z nią. Dostanie tytuł, a mój wnuk będzie hrabią Har-low.

Hrabia Harlow.

Minęło sześć lat, odkąd ktoś wymówił przy nim głośno te słowa.

Tempie - czwarty właściciel Anioła - powiedział je w dniu, kiedy umarł ojciec Crossa i Cross rzucił się na kolosa, nie ustępując, póki tamten nie znalazł się na podłodze. Teraz Cross ukrył wściekłość za krzywym uśmiechem.

- Jeśli twoja córka za mnie wyjdzie, dostanie zbrukany tytuł, pokryty popiołem i sadzą. Nie zyskasz dzięki niemu szacunku. Towarzystwo nie będzie jej zapraszać.

- Dostaniesz zaproszenia poprzez Anioła.

- Musiałbym tego najpierw chcieć.

- Będziesz.

- Zapewniam cię, że nie - oświadczył Cross.

- Nie masz wyboru. Ja chcę. Ty żenisz się z moją córką. Ja zapominam o długach twojego szwagra.

- Za wysoka cena. Są inne sposoby, żeby to zakończyć.

- Stawiasz mnie przed trudnym wyborem. Jak sądzisz, co będzie gorsze dla

dzieci, skandal, jakim okryję ich nazwisko? Cicha kara, wymierzona ich ojcu pewnej nocy, kiedy najmniej się będzie tego spodziewał? Prostyucja matki? Z tymi rudymi włosami, zapewniam cię, będzie sporo chętnych, którzy dużo zapłacą, żeby wziąć ją do łóżka, kulawą, czy nie.

Cross nie zapanował już nad wściekłością. Rzucił się przez biurko, wyciągając Knighta z fotela.

- Zniszczę cię, jeśli ją dotkniesz.

- Nie wcześniej, niż ja zniszczę ciebie. - Knight mówił zdławionym głosem, ale prawda jego słów wystarczyła, żeby ostudzić gniew Crossa. Knight wyczuł zmianę. - Czy nie pora, żeby zapewnić bezpieczeństwo komuś w twojej rodzinie? Te słowa, echo jego własnych myśli, wstrząsnęły nim. Nienawidził za nie Knighta.

Ale siebie nienawidził bardziej.

- Mam w ręku wszystkie karty - powtórzył Knight i tym razem nie było w jego głosie pyszałkowej pewności siebie.

Mówił prawdę.

5.

Po bliższym zbadaniu okazuje się, że ludzki język nie jest jednym mięśniem, ale raczej ośmioma osobnymi mięśniami, z których potowa jest przytwierdzona do kości - mięśnie głosowe - pozostała połowa stanowi zaś integralną część większego organu.

Podczas gdy dodatkowe badanie rzuciło interesujące światło na sferę ludzkiej anatomii, której nie byłam dotąd świadoma, nie mam nadal jasności co do przydatności owego organu w czynnościach nie związanych z jedzeniem i artykulacją.

Może będą musiała poprosić Olivię o dalsze wyjaśnienia. Rozwiązanie dalekie od idealnego.

Dziennik naukowy lady Philippy Marbury

24 marca 1831; dwanaście dni przed jej ślubem

Chcę, żeby został ukarany.

Cross patrzył, jak Tempie pochyła się nisko nad stołem bilardowym w pokojach właścicieli Upadłego Anioła i strzela, a biała kula uderza w swoją czerwoną siostrę, a następnie odbija się od krawędzi stołu i wpada na trzecią, kropkowaną kulę.

- Jesteś pewien? Zemsta nigdy nie była w twoim stylu. Zwłaszcza nie wobec

Knigha. - Bourne wysunął się naprzód i ogarnął wzrokiem stół bilardowy. -

Niech cię z twoim szczęściem, Tempie.

- Zostaw mi przynajmniej bilard - powiedział Tempie. - To jedyna gra, w której

mam szansę pokonać was obu. - Odsunął się, opierając biodrem o pobliskie

krzesło; ponownie zwrócił uwagę na Crossa. - Są sposoby, żeby się go pozbyć na

dobrze.

- Zawsze pierwszy w sugerowaniu zabicia człowieka - zauważył Bourne,

uderzając kijem; kula przeleciała w sporej odległości od drugiej. Bourne zaklął ze

złością.

- Szybkie rozwiązanie. I ostateczne. - Tempie poruszył masywnym ramieniem.

- Gdyby ktoś spoza tego pokoju usłyszał, co mówisz, uwierzyłby w historie,

jakie o tobie krążą - rzekł Cross.

- Już wierzą w te historie. W porządku, żadnych trupów. Dlaczego po prostu nie

spłacić długu?

- To nie wchodzi w rachubę.

- I bardzo dobrze. Dunblade grałby dalej i za miesiąc znaleźlibyśmy się w punkcie wyjścia. - Bourne skierował się do kredensu, gdzie Chase trzymał najlepszą szkocką w klubie. - Napijesz się?

Cross pokręcił głową.

- A więc co? - zapytał Tempie.

- Knight chce wydać córkę za mąż.

- Za ciebie?

Cross nie odpowiedział.

Tempie wydał z siebie długi, niski gwizd.

- Genialne.

Cross spojrzał na Temple'a.

- W małżeństwie ze mną nie ma nic genialnego.

- Czemu nie? - wtrącił Bourne. - Jesteś hrabią, bogatym jak Krezus, i, co jeszcze lepsze, prowadzisz interes rodzinny. Pieniądze z kasyn gry.

- Zatem jeden z was powinien ją poślubić.

Tempie uśmiechnął się, przyjmując kieliszek szkockiej od Bourne'a.

- Obaj wiemy, że Digger Knight wpierw zacznie latać, nim dopuści mnie w pobliże swojej córki. Chodzi o ciebie, Cross. Bourne jest żonaty, moja reputacja została zrujnowana na zawsze, a Chase jest... cóż, Chase'em. Dodaj do tego, że tylko ciebie spośród nas Knight szanuje, i jesteś doskonałym kandydatem.

Nie był.

- Pomylił się co do mnie.

- Nie on pierwszy - stwierdził Bourne. - Przyznaję jednak, że gdyby miał moją siostrę w swoich szponach, zastanowiłbym się nad spełnieniem jego żądań.

Digger Knight jest bezwzględny. Dostanie to, co chce, nie przebierając w

środkach.

Cross starał się stłumić poczucie winy. Dzień wcześniej szwagierka Bourne'a znalazła się w szponach Knighta. Wysoka, smukła Pippa w silnych łapach Knighta, przyciśnięta do niego, podczas gdy on szeptał jej, Bóg wie co, do ucha. Ten obraz wywołał w nim wściekłość.

Szwagierka Bourne'a. Potem jego własna siostra.

Odstawił kij i podszedł do odległej ściany ozdobionej witrażem, przez który w dole można było oglądać główne pomieszczenie kasyna. Witraż stanowił największą ozdobę Upadłego Anioła. Przedstawiał, drobiazgowo oddając szczegóły, upadek Lucyfera - ogromny, sześciokrotnie przewyższający wzrostem przeciętnego człowieka jasnowłosy anioł spadał z nieba na dno piekieł, z rozpostartymi z tyłu bezużytecznymi skrzydłami, łańcuchem wokół kostki i lśniąca, wysadzana klejnotami koroną w dłoni.

Dla ludzi w dole było to ostrzeżenie - przypomnienie, gdzie się znajdują, jak bliscy są upadku. Witraż opowiadał o pokusie grzechu i luksusie występku.

Ale dla właścicieli Anioła był czymś zupełnie innym.

Dowodem, że ci, którzy znaleźli się na wygnaniu, mogą stać się władcami w swoim własnym świecie, z władzą równą tym, którym kiedyś służyli.

Cross poświęcił ostatnich sześć lat życia, żeby udowodnić, że nie jest tylko zepsutym chłopcem, wykluczonym z towarzystwa, i że jest kimś więcej niż nosicielem tytułu. Że wyrasta ponad okoliczności swojego urodzenia. Ponad okoliczności śmierci brata. I wszystko, co nastąpiło potem.

I prędzej zginie, niż pozwoli, żeby Digger Knight wskrzesił tamtego chłopaka.

Nie wtedy, kiedy Cross tak ciężko pracował, żeby o nim zapomnieć. Kiedy tyle poświęcił.

Popatrzył na ludzi w dole. Paru przy stołach z ruletką, reszta grająca w karty.

Koło ruletki obracało się w wirze barw, na wybranka fortuny czekał majątek. Z tej odległości nie widział, gdzie upadła kula ani też nie słyszał głosu krupiera, ale dostrzegł rozczarowanie na twarzach mężczyzn przy stole, kiedy dowiedzieli się, że przegrali. Widział także, jak wraca im nadzieja, jak ulegają pokusie, znowu stawiają na inny numer... albo może ten sam... bo szczęście z pewnością miało się do nich dzisiaj uśmiechnąć. Jak mało wiedzieli.

Przyjrzał się także, bezpośrednio pod sobą, grze *vingt et un*, karty były na tyle blisko, że je widział. Osiem, trzy, dziesięć, pięć. Królowa, dwa, sześć, sześć.

Mocne karty.

Rozdający położył następne.

Król.

Walet.

Nie ma czegoś takiego, jak szczęście. Podjąwszy decyzję, odwrócił się do partnerów.

- Nie pozwolę, żeby zrujnował moją siostrę. Bourne pokiwał głową ze zrozumieniem.

- I nie pozwolisz Temple'owi go zabić. A więc... co? Poślubisz córkę? Cross pokręcił głową.

- On grozi mnie; ja zagrozę jemu. Tempie podniósł brwi.

- Poprzez dziewczynę?

- Dziewczyna nic go nie obchodzi - odparł Cross. - Mam na myśli klub. Bourne oparł rękę na końcu kija.

- Klub Knighta. - Pokręcił głową. - Nigdy nie przekonasz jego członków, żeby

go opuścili. Musiałbyś zaprosić ich do nas.

- Co się nie stanie - oznajmił Tempie.

- Nie zależy mi na tym, żeby go wszyscy opuścili na dobre - powiedział Cross ze swojego oddalenia. - Chcę, żeby go opuścili na jedną noc. Chcę udowodnić, że jego królestwo istnieje tylko dzięki naszej łasce. Ze jeśli mielibyśmy na to ochotę, zniszczylibyśmy go. - Spojrzał znowu na klub w dole. - Ona będzie za sześć dni. Muszę do tego czasu zyskać przewagę.

Muszę mieć kontrolę.

- Sześć dni? - zapytał Tempie, uśmiechając się, kiedy Cross potwierdził. - Za sześć dni będzie dwudziesty dziewiąty marca.

Bourne gwizdnął.

- Oto nasza przewaga.

- Pandemonium. - Słowo klucz; lepszego rozwiązania sam diabeł by nie wymyślił.

Pandemonium - które odbywało się co roku dwudziestego dziewiątego marca - to była jedyna noc w roku, kiedy Anioł otwierał swe podwoje dla wszystkich, nie tylko dla członków klubu. Zaproszenie dawało dostęp do kasyna od zachodu do wschodu słońca. Z takim zaproszeniem można było zanurzyć się w rozpuście i posmakować występku, doświadczyć tajemnego, legendarnego świata, jakim był klub Upadły Anioł.

Każdy członek klubu otrzymywał trzy zaproszenia na Pandemonium - małe, kwadratowe karteczki tak pożądane, że dla mężczyzn marzących o dostaniu się w szeregi członków klubu warte były tysiące funtów. Ludzi pragnących udowodnić właścicielom Anioła swoją wartość. Pewnych, że jeśli zagrają dostatecznie wysoko, wyjdą z klubu jako stali członkowie.

Rzadko im się to udawało.

Najczęściej wychodzili z kieszeniami lżejszymi o tysiące funtów i opowieściami, którymi mieli uraczyć później przyjaciół, niemających tyle szczęścia, żeby dostać zaproszenie.

Cross napotkał wzrok Temple'a.

- Każdy, kto regularnie gra u Knighta, pragnie wejść do Anioła. Bourne kiwnął głową.

- To dobry plan. Jedna noc bez jego największych graczy dowiedzie, że możemy mu ich zabrać, kiedy nam się spodoba.

- Ilu ich jest... trzydziestu?

- Raczej koło pięćdziesięciu - powiedział Bourne.

Cross wrócił do obserwacji kasyna w dole; myślał intensywnie nad planem i jak go wprowadzić w życie. Uratuje rodzinę. Tym razem.

- Będziesz potrzebował kogoś wewnątrz, żeby zidentyfikować właściwe osoby.

- Mam ją - odparł, przyglądając się graczom w dole.

- Oczywiście - odezwał się Tempie z podziwem w głosie. - Twoje kobiety.

- Nie są moje. - Dopilnował tego. Żadna nawet nie zbliżyła się do tego, żeby być jego.

- Nieważne - stwierdził Bourne. - Uwielbiają cię.

- Uwielbiają to, co mogę dla nich zrobić.

- Założę się, że to prawda - zauważył kpiąco Tempie.

- Co z twoją siostrą? - zapytał Bourne. - Jedyne sposoby, żeby groźba podziałała, to żeby trzymała się od niego z daleka. Dunblade tak samo.

Cross patrzył na grających w dole, odruchowo obliczając zakłady - ile zwykle stawiali, jaki był zysk, kiedy przegrywali. Ile ryzykowano, jeśli wygrywali.

- Pomówię z nią.

Nastąpiła długa cisza, którą zrozumiał właściwie. Pomysł, że mógłby porozmawiać z siostrą - czy z innym członkiem rodziny - był zaskakujący. Nie przejmując się zdumieniem partnerów, Cross odwrócił się, patrząc Bourne'owi w oczy.

- Dlaczego dzisiaj jest tak mało ludzi?

- Bal zaręczynowy sióstr Marbury - odparł Bourne; jego słowom towarzyszył dźwięk postukających o siebie kostek z kości słoniowej. -Teściowa zaprosiła wszystkich parów. Dziwię się, że wy dwaj nie dostaliście zaproszeń.

Tempie roześmiał się.

- Lady Needham pobiegłaby po sole trzeźwiące, gdybym ośmielił się splamić swoją obecnością jej progi.

- To o niczym nie świadczy. Ta dama na okrągło biega po sole trzeźwiące.

Bal zaręczynowy panien Marbury. Bal zaręczynowy Pippy Marbury. Znowu poczuł ukłucie winy. Może powinien powiedzieć Bourne'owi o wszystkim.

Niech pan nie mówi Bourne'owi, proszę. Przypomniał sobie prośbę i zazgrzytał zębami.

- Lady Philippa wciąż zaręczona z Castletonem? - zapytał Cross; czuł się jak głupiec. Bourne z pewnością go przejrzy, zauważy ciekawość, która go zastanowi.

- Miała mnóstwo okazji, żeby z tym skończyć - odparł Bourne. -Dziewczyna ma wygórowane poczucie honoru, a znudzi się nim po dwóch tygodniach.

Nawet szybciej.

- Powinieneś to przerwać. Do diabła, Needham powinien to zrobić -stwierdził Cross. Bóg świadkiem, że markiz Needham-Dolby już wcześniej zrywał

zaręczyny. O mało nie zrujnował szans wszystkich pięciu córek na korzystne małżeństwo, zrywając przed laty pewne zaręczyny, co przeszło do legendy.

- To moja wina. Powinienem przerwać, zanim się nawet zaczęło - stwierdził z goryczą Bourne. Słysząc było żal w jego głosie. - Prosiłem, żeby z nim zerwała.

Penelopa także. Oboje zapewniliśmy, że otoczymy ją opieką. Do diabła, znalazłbym jej odpowiedniego narzeczonego jeszcze dziś, gdyby to coś pomogło.

Ale Pippa nie chce zerwania zaręczyn.

Zrobię to, ponieważ się zgodziłam, a nie uznaję nieuczciwości. Słyszał jej słowa, widział poważne spojrzenie niebieskich oczu, kiedy broniła swego wyboru - małżeństwa z Castletonem - człowiekiem tak bardzo ustępującym jej intelektem, że trudno było nie uznać zbliżającego się ślubu za farsę.

Tak czy inaczej, dama złożyła obietnicę i zamierzała jej dotrzymać.

Już to samo czyniło ją niezwykłą.

Nieświadom myśli Crossa Bourne wyprostował się i zaklął brzydko, poprawiając rękawy.

- Już jest za późno. Teraz właśnie jest na swoim balu zaręczynowym w obecności całej socjety. Muszę iść. Penelopa utnie mi głowę, jeśli się nie pokażę.

- Żona wodzi cię na pasku - stwierdził sucho Tempie przy akompaniamencie stukotu kul karambolowych.

Bourne nie chwycił przynęty.

- Istotnie. I pewnego dnia, jeśli dopisze ci szczęście, będziesz miał taką samą przyjemność z tej sytuacji, jak ja. - Ruszył ku wyjściu, wracając do swojego drugiego życia: świeżo nawróconego arystokraty.

- Większość parów jest na balu? - zatrzymał go Cross. Bourne odwrócił się.

- Chodzi ci o kogoś w szczególności?

- Dunblade'a.

Brązowe oczy Bourne'a błysnęły zrozumieniem.

- Wyobrażam sobie, że przyjdzie. Razem ze swoją baronową.

- Być może złożę wizytę w rezydencji Dolby. Bourne uniósł brew.

- Uwielbiam robić coś teściowi na przekór. Cross skinął głową.

Pora zobaczyć się z siostrą. Siedem lat to za długo.

W sali balowej poniżej zgromadziła się połowa Londynu.

Pippa stała w ukryciu wśród górnej kolumnady sali balowej rezydencji Dolby, przyciśnięta do potężnej marmurowej kolumny, gładząc łepkę swojej spanielki, Trotuli, i obserwując wirujące w walcu na mahoniowej podłodze jedwabie i satyny. Odsunęła ciężką, aksamitną kotarę i patrzyła, jak matka wita niekończący się strumień gości przybyłych na bal, który można by uznać za największe osiągnięcie markizy Needham-Dolby.

W końcu niecodziennie się zdarza, że matka pięciu córek ma okazję ogłosić zaręczyny ostatnich z nich. Ostatniej dwójki potomstwa. Markiza niemal mdlała ze szczęścia.

Nie była jednak na tyle słaba, żeby nie wydać podwójnego balu zaręczynowego, gromadzącego wręcz armię gości.

- Tylko wybrani przyjaciele - oznajmiła lady Needham w zeszłym tygodniu, kiedy Pippę zaintrygował pewnego popołudnia stos odpowiedzi na srebrnej tacy, tak wysoki i chwiejny, że groził osunięciem się na lśniący, czarny but lokaja.

Wybrani przyjaciele, wspominała Pippa z ironią, błędząc wzrokiem po tłumie gości. Mogłaby przysiąc, że w życiu nie spotkała większości obecnych.

Co nie znaczy, że nie rozumiała podniecenia matki. Na ten dzień, który oficjalnie i publicznie wieńczył poszukiwanie odpowiedniej partii dla wszystkich

pięciu sióstr Marbury, czekali bardzo długo i z niespodziankami. Ale teraz markiza mogła już triumfować.

Śluby były głównie dla matek, czyż nie?

A jeśli nie śluby, to przynajmniej bale zaręczynowe.

I to podwójne, ponieważ były dwie narzeczone.

Wzrok Pippy ześlizgnął się z zaróżowionej twarzy matki na najmłodszą siostrę Marbury. Stała po przeciwległej stronie sali balowej, w otoczeniu tłumu składających życzenia, uśmiechając się radośnie i trzymając jedną, lśniąca od klejnotów, rękę na ramieniu wysokiego, przystojnego narzeczonego.

Olivia, najładniejsza z kwintetu, tryskająca życiem, wydawała się dostać od rodziny to, co najlepsze. Czy była wyjątkowo skupiona na własnej osobie i wyjątkowo pewna siebie? Z pewnością. Ale trudno było oceniać ją surowo, gdyż Olivia nigdy nie spotkała osoby, której nie zdołałaby pozyskać dla siebie.

Włącznie z mężczyzną, który miał wkrótce stać się jednym z najpotężniejszych ludzi w Anglii, ponieważ, jeśli były dwie cechy, jakie powinna wykazywać żona polityka, to były nimi ujmujący uśmiech i wola zwycięstwa, a tego Olivia miała w nadmiarze.

Doprawdy, skoro cały Londyn nie mówił o niczym innym jak tylko o zbliżającym się ślubie tych dwojga, Pippa sądziła, że nikt raczej nie zauważyłby jej nieobecności.

- Pomyślałam, że cię tutaj znajdę.

Pippa puściła kotarę i odwróciła się twarzą do starszej siostry, świeżo upieczonej markizy Bourne.

- Czy nie powinnaś być na balu?

Penelopa schyliła się, żeby pogłaskać Trotulę, i uśmiechnęła się, kiedy pies

zapiszczał, domagając się więcej pieśszot.

- Mogłabym cię zapytać o to samo. Ostatecznie teraz, kiedy wyszłam za mąż, matka dużo bardziej interesuje się tobą niż mną.

- Matka nie wie, co traci - odparła Pippa. - Jesteś żoną legendarnego nicponia.

Penelopa się uśmiechnęła.

- Nieprawdaż? Pippa roześmiała się.

- Taka z siebie dumna. - Spojrzała na dół, przebiegając wzrokiem

zgromadzonych gości. - Gdzie jest Bourne? Nie widzę go.

- Coś go zatrzymało w klubie. Klub.

Te słowa przypomniały jej, co się działo dwa dni wcześniej. Przypomniały pana Crossa.

Pana Crossa, który w świecie na dole byłby tak samo obcy, jak ona sama - we własnym odczuciu. Pana Crossa, z którym się zakładała. I z którym przegrała.

Odchrząknęła; Penelopa źle zrozumiała ten dźwięk.

- Przysięgał, że będzie - broniła męża. - Późno, ale przyjdzie.

- Co się dzieje w klubie o tej porze? - Pippa nie zapanowała nad ciekawością.

- Nie mam... pojęcia. Pippa się uśmiechnęła.

- Kłamczucha. Gdyby wahanie cię nie zdradziło, wystarczyłaby twoja zaczerwieniona twarz.

Zmieszanie ustąpiło miejsca smutkowi.

- Damy nie powinny się interesować takimi sprawami. Pippa zamruwała.

- Nonsens. Damy, które poślubiły właściciela kasyna, z pewnością mogą wiedzieć, co tam się dzieje.

Penelopa uniosła brwi.

- Matka by się z tym nie zgodziła.

- Matka nie jest dla mnie barometrem, jeśli chodzi o to, jak kobiety powinny, a jak nie powinny się zachowywać. Matka co pół godziny sięga po sole trzeźwiące.

Odsunęła kotarę; w dole markiza rozmawiała właśnie z ożywieniem z lady Beaufetheringstone, jedną z największych plotkarek socjety. Jak na dany sygnał lady Needham wydała pisk podniecenia, który uniósł się wysoko w górę.

Pippa popatrzyła znacząco na Penelopę.

- A teraz powiedz mi, co się teraz dzieje w klubie.

- Uprawia się hazard.

- Tyle wiem, Penny. Co poza tym? Penelopa zniżyła głos.

- Są tam kobiety. Pippa zmarszczyła brwi.

- Prostitutek? - Tak podejrzewała. Ostatecznie, na podstawie przeczytanych lektur, miała prawo sądzić, że mężczyźni lubią towarzystwo kobiet, rzadko własnych żon.

- Pippa! - oburzyła się Penelopa.

- Co?

- Nie powinnaś nawet znać tego słowa.

- A to dlaczego? Na Boga, przecież to słowo jest w Biblii.

- Nie ma.

Pippa zastanowiła się długą chwilę, zanim oparła się o kolumnę.

- Wiesz, wydaje mi się, że jest. Jeśli go nie ma, to być powinno. To nie jest nowa profesja.

Przerwała.

Prostitutek muszą mieć niewyobrażalne mnóstwo wiedzy na tematy ją interesujące. Mogłyby odpowiedzieć na wszystkie pytania.

Pytała pani swoich sióstr? Echo słów pana Crossa kazało jej się odwrócić do

starszej siostry. A gdyby tak zapytała Penny?

- Czy mogę ci zadać pytanie? Penelopa uniosła brew.

- Wątpię, żebym mogła cię powstrzymać.

- Chciałabym wiedzieć coś na temat... logistyki. Małżeństwa. Penelopa spojrzała na nią uważnie.

- Logistyki?

Pippa machnęła ręką.

- Sprawy... osobiste. Penelopa spurpurowiała.

- Ach.

- Olivia powiedziała mi o językach.

Najstarsza siostra Marbury zmarszczyła brwi.

- A co ona o tym wie?

- Więcej niż sobie wyobrażałyśmy - odparła Pippa - ale nie mogłam jej prosić o dalsze wyjaśnienia. Nie miałam ochoty pobierać lekcji u najmłodszej siostry. Ty z kolei...

Zapadła chwilowa cisza i Penelopa otworzyła szeroko oczy.

- Chyba nie spodziewasz się, że będę cię kształcić!

- Tylko kilka istotnych kwestii - powiedziała szybko Pippa.

- Na przykład?

- Cóż, choćby języki. Penelopa zakryła uszy dłońmi.

- Dosyć! Nie chcę myśleć o OHvii i Tottenhamie, kiedy... - Głos jej zamarł.

Pippa chciała nią potrząsnąć.

- Kiedy co?

- Kiedy to robią!

- Ale czy nie rozumiesz? Jak mogę być przygotowana na coś, czego nie

rozumiem? Byki w Coldharbor nie wystarczą.

Penelopa lekko się zaśmiała.

- Byki w Coldharbor? Pippa się zarumieniła.

- Widziałam...

- Myślisz, że tak to wygląda?

- Cóż, gdyby ktoś mi powiedział... to znaczy, czy mężczyźni... czy ich... -

Machnęła dłonią, wskazując wyraźnie, o co jej chodzi. - Czy są tak wielkie?

Penelopa zakryła usta dłonią, tłumiąc śmiech, a Pippa poczuła, jak ogarnia ją złość.

- Cieszę się, że daję ci tyle powodów do śmiechu. Penny pokręciła głową.

- Ja... - Zachichotała znowu i Pippa posłała jej gniewne spojrzenie.

-Przepraszam. To tylko... nie. Nie. Mają niewiele wspólnego z bykiem w

Coldharbor. - Zamilkła na chwilę. - I dzięki Bogu.

- Czy to... przerażające?

I nagle spojrzenie Penelopy stało się pełne melancholijnej zadumy.

- Wcale nie - szepnęła głosem słodkim jak melasa, a chociaż uczciwa

odpowiedź okazała się pocieszająca, Pippa z trudem powstrzymała się od przewrócenia oczami.

- I dlatego cię utraciłam. Penelopa znów się roześmiała.

- Jesteś ciekawa, Pippo. Rozumiem to. Ale wszystko stanie się jasne. Pippie nie wystarczyła obietnica, że wszystko się wyjaśni. Chciała mieć jasność już teraz.

Do diabła z panem Crossem i jego głupim zakładem.

Do diabła z nią, że się zgodziła na ten zakład.

Penelopa mówiła dalej, głosem cichym i słodkim jak sacharyna.

- Jeśli będziesz miała szczęście, odkryjesz... - Westchnęła. - Cóż, będziesz miała z tego dużo przyjemności, mam nadzieję. - Pokręciła głową, wychodząc z rozmarzenia, i roześmiała się znowu. - Przestań myśleć o bykach.

Pippa skrzywiła się.

- Skąd miałam wiedzieć?

- Masz bibliotekę pełną tekstów o anatomii - szepnęła Penelopa.

- Cóż, zastanawiam się nad skalą ilustracji w wielu tych tekstach - odparła również szeptem Pippa.

Penny zaczęła coś mówić, ale zmieniła zdanie.

- Rozmowy z tobą zawsze przybierają najdziwniejszy obrót. Niebezpieczny obrót. Powinnyśmy zejść na dół.

Siostry nie nadawały się do niczego. Pippa uznała, że lepiej zrobi, rozmawiając z prostytutkami. Prostytutki. Poprawiła okulary.

- Wracając do pań, Penny. Czy to prostytutki? Penny westchnęła i spojrzała w sufit.

- Nie aż tak.

- Może być tylko tak albo nie - zauważyła Pippa.

- Cóż, wystarczy powiedzieć, że przychodzą z dżentelmenami, ale z pewnością nie są damami.

Fascynujące.

Pippa była ciekawa, czy pan Cross miał do czynienia z owymi paniami.

Zastanawiała się, czy leżały z nim na tym dziwnym, małym posłaniu w zagraconym, niezwykłym biurze. Ta myśl zaciążyła jej nieprzyjemnie, napełniając dziwnym uczuciem. Usiłowała je zbadać. Nie były to ani mdłości, ani brak powietrza.

Nic miłego.

Zanim zdążyła zagłębić się w to bardziej zdecydowanie, Penelopa odezwała się znowu.

- W każdym razie, cokolwiek by się działo w klubie dzisiejszej nocy, Bourne nie ma nic wspólnego z prostytutkami.

Pippa nie mogła sobie wyobrazić, żeby jej szwagier robił coś podobnego. W gruncie rzeczy nie mogła sobie wyobrazić, żeby robił coś innego niż rozpieszczanie swojej żony. To był ciekawy związek - jedno z niewielu małżeństw opartych na czymś innym niż wyrachowanie i rozsądek.

W istocie, większość rozsądnie myślących ludzi zgodziłaby się, że Penelopa i Bourne nie pasują zupełnie do siebie i do tego, żeby stworzyć udany związek.

Ale w jakiś sposób właśnie go stworzyli.

Kolejna anomalia.

Niektórzy, bez wątplenia, nazwaliby to miłością. Może tak było, ale Pippa nigdy nie ceniła owego uczucia. W socjecie zawierano tak mało małżeństw z miłości, że wydawały się raczej tworamiz mitów. Jak minotaury. Jednorożce.

Albo pegazowie.

Pegazy?

Zapewne ani jedno, ani drugie, jako że był tylko jeden Pegaz, ale, podobnie jak ze związkami z miłości, nigdy nie wiadomo.

- Pippa?

Pippa ocknęła się. O czym to rozmawiały? O Bourne'em.

- Cóż, nie wiem, dlaczego miałyby przyjść - zauważyła Pippa. - Nikt się nie spodziewa, że będzie starał się zadowolić socjetę.

- Ja chcę, żeby przyszedł - powiedziała po prostu Penelopa, jakby tylko to się

liczyło.

I widocznie tak było.

- Penny, doprawdy. Zostaw biedaka w spokoju.

- Biedaka - parsknęła Penelopa. - Bourne dostaje wszystko, czego chce i kiedy chce.

- To też ma swoją cenę - stwierdziła Pippa. - Musi cię gorąco kochać, skoro przyjdzie. Ja, gdybym mogła, wcale bym tam nie zeszła.

- Starasz się, jak możesz, ale i tak tego nie unikniesz.

Penny miała, oczywiście, rację. Poniżej zgromadziła się połowa Londynu i co najmniej jedna osoba czekała na jej pojawienie się. Jej przyszły mąż.

Nie było trudno znaleźć go w tłumie. Nawet w czarnym fraku i spodniach, jakie nosili arystokraci, hrabia Castleton wydawał się do nich nie pasować, jakby czegoś mu brakowało.

Stał z boku sali, nachylając się nisko do matki, która szeptała mu coś do ucha.

Pippa nigdy dotąd nie zwróciła na to uwagi, ale wyżej wspomniane ucho odstawało pod raczej nieszczęśliwym kątem.

- Wciąż możesz się od tego wykręcić - powiedziała cicho Penelopa. - Nikt nie miałby do ciebie pretensji.

- Od balu?

- Od małżeństwa.

Pippa nie odpowiedziała. Mogła. Mogła powiedzieć coś zabawnego albo cierpkiego, a Penny przyjęłaby to spokojnie. W gruncie rzeczy, siostra byłaby pewnie szczęśliwa, że siostra ma jakąś opinię o narzeczonym.

Ale Pippa dała hrabiemu słowo i nie chciała być nielojalna. Nie zasługiwał na to. Był miłym człowiekiem o dobrym sercu. A to więcej niż dałoby się

powiedzieć o wielu innych.

Nieuczciwość, o której się nie mówi, pozostaje nieuczciwością.

Znowu wróciło wspomnienie człowieka, który podał w wątpliwość jej umiłowanie prawdy.

Świat jest pełen kłamców. Kłamców i oszustów.

To nie było prawdą, rzecz jasna. Pippa nie była kłamczuchą. I nie oszukiwała.

Trotula westchnęła i oparła się o udo swojej pani. Pippa pogładziła leniwie psie uszy.

- Obiecałam.

- Wiem, Pippo. Ale czasami obietnice... - Penny nie dokończyła. Pippa przyglądała się Castletonowi przez długą chwilę.

- Nie lubię balów.

- Wiem.

- I sal balowych.

- Tak.

- Jest dobry, Penny. I poprosił mnie o rękę. Spojrzenie Penelopy złagodniało.

- Wiesz, mogłabyś pragnąć czegoś więcej niż to. Nie pragnęła. Czyżby?

Pippa poruszyła się nerwowo w ciasnym gorsecie.

- I sukni balowych.

Penelopa pozwoliła na zmianę tematu.

- To ładna suknia, w każdym razie.

Suknię Pippy - wybraną z niemal fanatycznym poświęceniem przez lady

Needham - uszyto z pięknej, bladozielonej gazy i białej satyny. Nisko wycięta, odsłaniająca ramiona, podkreślała figurę do talii, po czym przechodziła w szeroką, wspaniałą spódnicę, szeleszczącą przy każdym ruchu. Na każdej innej

dziewczynie wyglądałyby ślicznie.

Ale na niej... suknia sprawiała, że wydawała się chudsza, wyższa, wiotka jak trzcina.

- Wyglądam w niej *Jak Ardea cinerea*. Penelopa zamrugła.

- Czapla.

- Bzdura. Jesteś piękna.

Pippa przesunęła dłońmi po doskonałym materiale.

- A więc myślę, że najlepiej będzie zostać tutaj i zachować tę iluzję. Penelopa zachichotała.

- Odsuwasz to, co nieuniknione. Miała rację.

A ponieważ tak było, Pippa pozwoliła, aby siostra sprowadziła ją po wąskich schodach do tylnego wejścia sali balowej, gdzie wypuściły Tro-tulę na teren rezydencji Dolby, a same wtopiły się niezauważone w tłum gości, jakby były tam obecne przez cały czas.

Przyszła teściowa Pippy znalazła je po paru chwilach.

- Filippo, moja droga! - zawołała, machając energicznie przed twarzą

wachlarzem z pawich piór. - Twoja matka mówiła, że to będzie tylko mała *fête!*

Ach, i cóż to jest za *fête Fête*, żeby fetować mojego Roberta i jego przyszłą żonę!

Pippa uśmiechnęła się.

- I proszę nie zapominać o Jamesie lady Tottenham i jego przyszłej żonie.

Przez chwilę wydawało się, że hrabina Castleton nie rozumie. Pippa czekała.

Znaczenie słów dotarło i przyszła teściowa wybuchnęła głośnym, piskliwym śmiechem.

- Och, oczywiście! Twoja siostra jest śliczna! Tak jak ty. Nieprawdaż,

Robercie? - Pacnęła hrabiego po ramieniu. - Czy nie jest śliczna?

Aż podskoczył.

- Jest! Eee... jesteś, lady Philippo! Jesteś! Śliczna! Pippa uśmiechnęła się.

- Dziękuję.

Podeszła do nich gospodyni balu. Markiza Needham-Dolby wyraźnie starała się wyróżnić jako najbardziej podniecona oczekiwaniem na ślub dziecka matka.

- Lady Castleton! Czyż oni nie tworzą najpiękniejszej pary?

- Tacy piękni! - zgodziła się lady Castleton, manewrując tak, żeby ustawić syna koło Pippy. - Po prostu musicie zatańczyć! Wszyscy chcą koniecznie zobaczyć, jak tańczycie!

Pippa była absolutnie przekonana, że tylko dwie osoby na sali chcą ich zobaczyć w tańcu. Istotnie, każdy, kto widział Pippę tańczącą, wiedział, że nie należy oczekiwać zbyt wiele, jeśli chodzi o wdzięk i umiejętności, a doświadczenie Pippy z Castletonem wskazywało, że podobne przywary są i jego cechą. Niestety, te dwie osoby były matkami.

Nie dało się tego uniknąć.

Taniec miał także zmniejszyć ilość radosnych okrzyków wydawanych w jej bezpośredniej bliskości.

Uśmiechnęła się do narzeczonego.

- Wydaje się, milordzie, że chcą, abyśmy zatańczyli.

- Tak jest! Tak jest! - ożywił się Castleton, stukając obcasami i skłaniając lekko przed Pippą. - Pani, czy zechcesz mnie zaszczyścić tańcem ze mną?

Pippa z trudem zapanowała nad sobą, żeby nie parsknąć śmiechem na tę formalną prośbę, ale zamiast tego wzięła go za rękę i pozwoliła poprowadzić się na parkiet.

To była katastrofa.

Z trudem utrzymywali równowagę, dając rozpaczliwe widowisko. Kiedy byli razem, deptali sobie po palcach i potykali nawzajem o swoje stopy. W pewnym momencie przycisnął ją do siebie, żeby się nie przewrócić. Kiedy byli osobno, potykali się o swoje własne stopy.

Kiedy nie liczył kroków, żeby nie wypaść z rytmu, Castleton podtrzymywał konwersację, prawie wrzeszcząc przez parkiet.

Pobliskie pary starały się usilnie na nich nie patrzeć, ale Pippa musiała przyznać, że było to prawie niemożliwe, kiedy Castleton z odległości dziesięciu stóp, w szeregu tancerzy naprzeciwko, krzychał:

- Och, o mało nie zapomniałem ci powiedzieć! Mam nową sukę!

Chodziło, rzecz jasna, o psy - to zainteresowanie akurat ich łączyło - ale Pippa wyobrażała sobie, że Louisa Holbrooke musiała przeżyć szok, kiedy Castleton rzucał to oświadczenie ponad jej starannie ufryzowaną głowę.

Pippa nie mogła się powstrzymać. Uśmiechnęła się kpiąco, wywołując dziwne spojrzenie u swojego partnera. Podniosła dłoń, żeby zakryć usta, kiedy Castleton dodał:

- To piękność! Brązowa w śliczne łątki! Brązowa z złotym... jak twoje włosy!

Gościom wokół zaokrągliły się oczy na to porównanie jej jasnych włosów ze złotą sierścią najnowszego czworonożnego nabytku Castle-ona. I wtedy uśmiech

Pippy zamienił się w wybuch śmiechu. To była, w końcu, najdziwniejsza - i najgłośniejsza - rozmowa, jaką kiedykolwiek prowadziła w tańcu.

Śmiała się podczas ostatnich figur kadryla. Trzęsły jej się ramiona, kiedy wykonała głęboki ukłon na zakończenie. Jeśli było coś, czego straty nie żałowałyby w związku z zamążpójściem, to taniec.

Wyprostowała się, a Castleton natychmiast zjawił się u jej boku i odprowadził

w drugi koniec sali, gdzie stali dłuższą chwilę w niezręcznym milczeniu. Patrzyła na innych gości, którzy z wdziękiem krążyli po parkiecie, świadoma milczącej obecności Castletona obok Roberta.

Ileż to razy słyszała, jak Penny mówiła do męża „Michaelu” tonem głębokiego oddania?

Zerknęła na Castletona. Nie mogła sobie w ogóle wyobrazić, żeby miała się do niego zwracać „Robercie”.

- Czy napiłabyś się lemoniady? - przerwał milczenie. Pokręciła głową przecząco, wracając do obserwacji tańczących.

- Nie, dziękuję.

- Powinienem poczekać, żeby powiedzieć ci o psie, aż skończymy tańczyć - odezwał się, ponownie zwracając jej uwagę. Zaczerwienił się.

Było jej nieprzyjemnie, że się zmieszał. Nie zasługiwał na to.

- Nie! - sprzeciwiła się, wdzięczna, że znowu o tym mówią. Łatwo rozmawiać o psach. - Wydaje się cudna. Jak ją nazwałś?

Uśmiechnął się, radośnie i szczerze. Robił to często. Kolejna dobra cecha.

- Pomyślałem, że może ty będziesz miała jakiś pomysł.

Zaskoczył ją. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, żeby prosić Castletona o pomoc w podobnej sprawie. Nadałaby po prostu psu imię i przyjęła do rodziny.

- Ostatecznie, mamy się pobrać - dodał, zauważywszy widocznie jej zdziwienie.

- To będzie nasz pies.

Nasz pies.

Pies był rubinowym pierścionkiem Castletona. Żyjący, oddychający, napełniony chromem kryształ.

Nagle to wszystko zaczęło wyglądać bardzo poważnie.

Mieli się pobrać. Posiadać wspólnie psa. Ona miała nadać mu imię.

Pies wydawał się czymś znacznie więcej niż bale zaręczynowe, posagi i weselne plany. Sprawy, w gruncie rzeczy, bez znaczenia.

Pies czynił przyszłość czymś rzeczywistym.

Pies oznaczał dom, zmiany pór roku, wizyty sąsiadów, msze niedzielne i święta żniw. Pies oznaczał rodzinę. Dzieci. Jego dzieci.

Spojrzała w dobre, uśmiechnięte oczy narzeczonego. Czekał z uwagą na jej odpowiedź.

- Ja... - przerwała, nie wiedząc, co powiedzieć. - Nie mam dobrych pomysłów.

Zachichotał.

- Cóż, ona się na tym nie pozna. Pomyśl o tym, proszę. - Pochylił się nisko, kosmyk jasnych włosów opadł mu na czoło. - Powinnaś ją najpierw poznać.

Może to ci ułatwi wybór imienia.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Być może.

Może dzięki temu naprawdę będzie miała ochotę za niego wyjść. Lubiła psy. To ich łączyło.

Ta myśl przypomniała jej rozmowę z panem Crossem, kiedy wspomniała o tym wspólnym upodobaniu na dowód, że ona i hrabia do siebie pasują. Parsknął wtedy drwiąco, a ona to zignorowała.

Więcej nie wspominali o hrabim... aż do chwili, kiedy pan Cross odesłał ją do domu, odmówiwszy jej prośbie, dodając komentarz, który teraz usłyszała wyraźnie w wyobraźni, stojąc, zmieszana, obok przyszłego męża. Sugeruję, żeby zapytała pani kogoś innego. Może narzeczonego?

Może powinna porozmawiać z narzeczonym. Z pewnością wiedział więcej, niż

okazywał, o... zawiłościach małżeństwa. Nieważne, że nigdy nie dał jej nawet lekko do zrozumienia, że owe zawiłości mają dla niego znaczenie.

Dzientelmeni wiedzieli takie rzeczy. W dużo większym stopniu niż damy.

To, że nie była to prawda absolutna, nie miało w tej chwili znaczenia. Podniosła wzrok na Castletona, który patrzył w drugą stronę.

Wydawało się, że patrzy wszędzie, tylko nie na nią. Zastanowiła się nad kolejnym krokiem. Ostatecznie, był blisko - na tyle blisko, że można go było dotknąć. Może powinna go dotknąć.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem w ciepłych, brązowych oczach, kiedy zauważył, że mu się przygląda. Uśmiechnął się.

Teraz albo nigdy.

Wyciągnęła rękę i dotknęła go, przesuwając palcami w jedwabiu po jego rękę, obleczonej w koźlą skórkę. Nie przestał się uśmiechać. A nawet podniósł drugą rękę i poklepał ją dwa razy po dłoni; mógłby tak samo poklepać psią głowę. Był to najmniej zmysłowy dotyk, jaki mogła sobie wyobrazić. Niekojarzący się w żaden sposób z przysięgą małżeńską. Wskazywał jasno, że hrabia nie miał żadnego problemu z tym, żeby nie wkroczyć w małżeństwo niczym dzika bestia.

Uwolniła rękę.

- W porządku? - zapytał, ponownie zwracając wzrok na salę.

Nie trzeba było kobiety z dużym doświadczeniem, żeby rozumieć, że jej dotyk nie wywarł na nim żadnego wrażenia. Uznała, że to uczciwe, ponieważ jego dotyk także nie wzbudził w niej żadnych uczuć.

W pobliżu roześmiała się jakaś dama, lekko, wesoło, fałszywie. Pip-pa odwróciła się w tamtą stronę. Nigdy nie udało jej się opanować tej umiejętności. Śmiała się zbyt głośno albo w niewłaściwym momencie, albo wcale.

- Myślę, że napiłabym się lemoniady, jeśli nadal chcesz mi ją przynieść -

powiedziała.

Ożywił się.

- Przyniosę ci ją! Uśmiechnęła się.

- To miłe.

Wskazał na podłogę.

- Wrócę.

- Doskonale.

Odszedł, przedzierając się przez tłum z zapalem, który można by przypisać czemuś bardziej podniecającemu niż lemoniada.

Pippa miała zamiar poczekać, ale nudziła się, a z powodu setek gości i gorąca panującego na sali Castleton mógł równie dobrze wrócić po godzinie. Stojąc tak samotnie na widoku wszystkich, czuła się niezbyt przyjemnie. Tak więc przeszła do ciemniejszego, spokojniejszego kąta, gdzie mogła obserwować gości.

Wszyscy wydawali się świetnie bawić. Nieco dalej stała, przyjmując hołdy, Olivia, wraz z nią Tottenham, oboje otoczeni ludźmi, którzy chcieli zwrócić na siebie uwagę przyszłego premiera. Matka Pippy i lady Castleton razem z lady Tottenham i gronem nesterek oddawały się zapewne namiętnemu plotkowaniu. Rozglądając się wokół, w alkowie na wprost wypatrzyła ciemnowłosego, wysokiego dżentelmena, który pochylał się zbyt nisko nad swoją towarzyszką, niemal dotykając ustami jej ucha w sposób, który wyraźnie zdradzał łączące ich tajemne sprawy. Para wydawała się zupełnie nie przejmować tym, że są na widoku publicznym i wprawiają bez wątpienia wścibskie języki w ruch.

Wyraźnie takie zachowanie nie było dla tych dwojga czymś niezwykłym.

Pippa uśmiechnęła się. Bourne zjawił się i, jak zwykle, nie widział nikogo poza

jej siostrą.

Niewielu było w stanie zrozumieć, w jaki sposób Penny ujarzmiła chłodnego, wyniosłego, niewzruszonego Bourne'a - Pippa rzadko widywała, żeby markiz się uśmiechał czy okazywał jakieś emocje, kiedy w pobliżu nie było kochającej żony - nie ulegało jednak wątpliwości, że został ujarzmiony i to bardzo skutecznie.

Penny przysięgała, że to miłość, i tego właśnie Pippa nie rozumiała. Nie lubiła pojęcia związków z miłości - było w nich zbyt wiele tajemniczości. Były zbyt ulotne. Pippa nie uznawała tego, co ulotne. Wierzyła w fakty.

Patrzyła, jak jej własna siostra kładzie dłonie na piersi męża i odpycha go ze śmiechem, rumieniąc się niczym debiutantka. Przyciągnął ją mocno jeszcze raz, całując w skroń, zanim uwolniła się, zanurzając w tłumie. Bourne poszedł za nią jak uwiązany na sznurku.

Pippa pokręciła głową z niedowierzaniem.

Miłość, jeśli istnieje, jest czymś dziwnym.

Powiew zimnego powietrza poruszył jej spódnicę, odwróciła się. Ktoś otworzył wielkie podwójne drzwi za jej plecami - zapewne, żeby przewietrzyć dokuczliwie duszne pomieszczenie - i jedna ich część rozwarła się na oścież. Pippa podeszła, chcąc je zamknąć, i wychyliła się daleko na kamienny balkon, żeby dosięgnąć klamki.

Wtedy to usłyszała.

- Potrzebujesz mnie.

- Nic podobnego. Od pewnego czasu daję sobie radę bez ciebie.

Pippa znieruchomiała. Ktoś tam był. Dwie osoby.

- Mogę wszystko naprawić. Mogę pomóc. Daj mi tylko czas. Sześć dni.

- Odkąd to jesteś taki chętny do pomagania?

Pippa zacisnęła dłoń na krawędzi oszklonych drzwi, każąc sobie je zamknąć.

Udawać, że nic nie słyszała. Żeby wrócić na bal. Nie ruszyła się z miejsca.

- Zawsze chciałem pomóc. - Głos mężczyzny był cichy i nagły. Pippa wyszła na balkon.

- Z pewnością tego nie okazywałeś. - Głos kobiety brzmiał twardo jak stal.

Gniewny i nieustępliwy. - W gruncie rzeczy nigdy nie pomogłeś. Tylko utrudniałeś.

- Jesteś w trudnej sytuacji.

- Nie po raz pierwszy.

Wahanie. Kiedy mężczyzna znowu się odezwał, w jego urywanych słowach słychać było troskę.

- Co jeszcze?

Roześmiała się cicho, ale nie było w tym dźwięku radości, tylko gorzycz.

- Nic, co mógłbyś teraz naprawić.

- Nie powinnaś była za niego wychodzić.

- Nie miałam wyboru. Nie dałeś mi go.

Pippa otworzyła szeroko oczy. Stała się świadkiem kłótni kochanków. Cóż, nie obecnych kochanków, jak można się było domyślić... dawnych kochanków.

Pozostawało pytanie, kim są owi kochankowie?

- Nie powinienem był do tego dopuścić - szepnął.

- Ale nie zrobiłeś tego - odparła tamta natychmiast.

Pippa przycisnęła się do wielkiej kamiennej kolumny, która okazała się wygodną kryjówką, i przechyliła głowę na bok, wstrzymując oddech, niezdolna opanować chęci odkrycia ich tożsamości.

Balkon był pusty.

Wychyliła głowę zza kolumny.

Zupełnie pusty.

Gdzie oni są?

- Mogę naprawić szkodę. Ale musisz trzymać się od niego z daleka. Bardzo daleko. Nie może mieć z tobą styczności.

W ogrodach poniżej.

Pippa przysunęła się cicho do kamiennej balustrady, zaciekawiona w najwyższym stopniu.

- Och, mam ci wierzyć? Nagle zapragnąłeś zapewnić mi bezpieczeństwo?

Pippa skrzywiła się. Ton głosu damy brzmiał jadowicie. Dżentelmen -który, jak domyślała się Pippa, w ogóle nie był dżentelmenem - najwidoczniej skrzywdził ją w przeszłości. Podeszła bliżej, niemal do samej krawędzi balkonu, zdolna teraz zerknąć w dół i zobaczyć tajemniczych kochanków.

- Lavinio... - zaczął cicho, błagalnie; Pippę ogarnęło podniecenie. Imię! Wtedy kopnęła doniczkę z kwiatami.

Może i nie usłyszeli by zgrzytnięcia, które rozległo się, kiedy weszła w kontakt z wielką, glinianą bestią... gdyby nie okrzyk bólu, jaki z siebie wydała. Nie pomogło, że natychmiast zakryła ręką usta, zamieniając bardzo głośne au! w przytłumione aa!

Cisza, jaka zapanowała na dole, dowiodła niezbitcie, że ją usłyszeli.

- Nie powinnam tu być - szepnęła dama i Pippa usłyszała cichnący w oddaleniu szelest sukni.

Nastąpiła długa chwila ciszy, podczas której Pippa trwała nieruchomo, jak kamień, zagryzając wargę z ćmiącego w palcu bólu.

- A niech to - nie wytrzymała w końcu. Przykucnęła, dotykając stopy i mrucząc:

- Z pewnością zasłużył pan na to. - W tej samej chwili uświadomiła sobie, że drażnienie obcego mężczyzny w ciemnym ogrodzie jej rodzinnego domu to nie jest najlepszy pomysł.

- Słucham? - odezwał się spokojnie, już nie szepcząc. Powinna wrócić na bal.

Zamiast tego powiedziała:

- Nie wydaje się, żeby był pan bardzo dobry dla tej damy. Milczenie.

- Nie byłem.

- Cóż, zatem zasłużył pan na to, żeby odeszła. - Ścisnęła najmniejszy palec i syknęła z bólu. - Pewnie na więcej niż to.

- Zraniła się pani.

Ból ją rozproszył, w przeciwnym razie by nie odpowiedziała.

- Uderzyłam się w palec.

- Kara za podsłuchiwanie?

- Bez wątplenia.

- To dla pani nauczka na przyszłość. Uśmiechnęła się.

- Nie sądzę.

Nie miała pewności, ale wydawało jej się, że zachichotał.

- Musi pani dopilnować, żeby partnerzy nie deptali pani po palcach, kiedy pani wróci na parkiet.

Przed jej oczami pojawiła się wizja Castletona.

- Obawiam się, że jest bardzo prawdopodobne, że przynajmniej jeden z nich właśnie będzie to robić - zamilkła. - Wydaje się, że uczynił pan damie coś bardzo złego. Co?

Nie odzywał się tak długo, że miała wrażenie, iż odszedł.

- Nie było mnie, kiedy mnie potrzebowała.

- Ach.

- Ach?

- Nie trzeba czytać romansów tak często, jak moja siostra, żeby domyślić się, co się stało.

- Pani, oczywiście, nie czyta romansów.

- Nierzęsto.

- Wyobrażam sobie, że czyta pani poważniejsze książki.

- Tak jest, w istocie - oznajmiła dumnie.

- Dzieła o fizyce i ogrodnictwie. - Pippa otworzyła szeroko oczy. - Takie są zainteresowania lady Philippy Marbury.

Skoczyła na równe nogi i spojrzała przez poręcz balkonu w czarną przepaść w dole. Nie dostrzegła niczego. Usłyszała szelest wełny, kiedy poruszył rękami, a może nogami. Był tam. Dokładnie pod nią.

Poruszyła się, nie myśląc. Wyciągnęła ręce przez poręcz.

- Kim pan jest? - szepnęła.

Nawet przez jedwab rękawiczek jego włosy wydawały się miękkie, jak futro sobola. Pozwoliła, żeby jej palce zagłębiły się w te włosy i zatrzymały na skórze głowy. Jej ciepło stanowiło żywy kontrast z chłodnym, marcowym powietrzem.

Doznanie prysło, zanim zdążyła się nim nacieszyć. Jedna silna dłoń, zaledwie cień w ciemności, chwyciła z łatwością jej obie dłonie

Sapnęła, próbując się uwolnić.

Nie puścił jej.

Co ona sobie myślała?

Okulary ześlizgiwały jej się z nosa, znieruchomiła, bojąc się, że spadną, jeśli

poruszy się zbyt gwałtownie.

- Powinnaś być ostrożniejsza, nim sięgniesz rękami w ciemność, Pippo -
powiedział cicho, dźwięk jej imienia zabrzmiał znajomo w jego ustach. - Nigdy
nie wiadomo, na co można się natknąć.

- Proszę mnie puścić - szepnęła, ryzykując spojrzenie przez ramię na wciąż
otwarte drzwi balkonu. - Ktoś może zobaczyć.

- Czy nie tego chcesz? - Jego palce splatały się z jej palcami, ich ciepło było
prawie nie do wytrzymania. Jak mógł być taki gorący na tym chłodzie?

Pokręciła głową, czując, że druciane oprawki okularów zsuwają się jeszcze
bardziej.

- Nie.

- Na pewno? - Przesunął dłoń i nagle to ona jego trzymała, a nie on ją. Zmusiła
się, żeby go puścić.

- Tak. - Położyła bezpiecznie obie ręce na kamiennej poręczy i wyprostowała
się; okulary jednak spadły z nosa. Sięgnęła po nie i potrafiła je, oczywiście,
czubkami palców, tak że poleciały w ciemność na dole. -Moje okulary!

Zniknął, usłyszała jedynie szelest materiału, kiedy się oddalał. Nie rozumiała
dlaczego, ale odczuła to jako stratę. Nagle ukazał się czubek jego głowy,
rozmazana pomarańczowa plama, widoczna w blasku świec z sali balowej.

Rozpoznała go, ogarnięta podnieceniem. Pan Cross.

Wskazała w jego stronę.

- Proszę się nie ruszać.

Zmierzała już do odległego kąta balkonu, gdzie długie schody prowadziły do
ogrodów.

Spotkali się u podstawy kamiennych schodów. Jego twarz w słabym świetle

ledwie wyłaniała się z mroku.

- Proszę wracać na salę balową - powiedział, podając jej okulary. Wzięła je i nałożyła szybko na nos. Znowu widziała go wyraźnie.

- Nie.

- Ustaliliśmy, że porzuci pani swoje żądanie deprawacji. Wciągnęła głęboko powietrze.

- Więc nie trzeba było mnie zachęcać.

- Zachęcać do tego, żeby pani podsłuchiwała i uderzyła się w nogę?

Przesunęła ciężar ciała na stopę, krzywiąc się boleśnie.

- Myślę, że w najgorszym wypadku to drobne złamanie paliczka. Zagoi się. Już to miałam.

- Złamała pani palec. Skinęła głową.

- To tylko najmniejszy palec. Koń nastąpi! mi kiedyś na ten sam palec w drugiej stopie. Nie muszę dodawać, że damskie obuwie nie stanowi żadnej ochrony przed tymi, którzy są obuci znacznie lepiej od nas.

- Przypuszczam, że anatomia jest kolejną dziedziną pani zainteresowań?

- Tak jest.

- Jestem pod wrażeniem.

Nie była pewna, czy mówi prawdę.

- Z mojego doświadczenia wynika, że „bycie pod wrażeniem” nie jest codzienną reakcją na moją znajomość anatomii.

- Nie?

Cieszyła się z marnego światła, bo wydawało się, że nie jest w stanie przestać mówić.

- Dla większości ludzi to dziwne.

- Ja nie jestem większością ludzi. Odpowiedź ją zdumiała.

- Przypuszczam, że nie. - Zamilkła, myśląc o rozmowie, jaką podsłuchiwała.

Stłumiła uczucie zmieszania, które pojawiło się wraz z tym wspomnieniem.

- Kto to jest Lavinia?

- Niech pani wraca na swój bal, Pippo. - Odwrócił się i ruszył wzdłuż domu.

Nie mogła pozwolić mu odejść. Mogła obiecać, że nie będzie go szukać, ale

teraz był w jej ogrodzie. Poszła za nim. Zatrzymał się i odwrócił.

- Nauczyła się pani nazw części ucha? Uśmiechnęła się, zadowolona z jego zainteresowania.

- Oczywiście. Zewnętrzna część nazywa się *pinna*. Niektórzy mówią na to „małżowina”, ale ja wolę *pinna*, co po łacinie znaczy „pióro”, a mnie zawsze się podobało to wyobrażenie. Wewnętrzne ucho składa się z imponującej kolekcji kości i tkanek, począwszy od...

- Zdumiewające - przerwał jej. - Tak wiele wydaje się pani wiedzieć o wspomnianym organie, a tak słabo go pani używa. Mógłbym przysiąc, że mówiłem, żeby wróciła pani na bal.

Odwrócił się ponownie. Ruszyła za nim.

- Słuch mam w porządku, panie Cross. Podobnie jak wolę.

- Jest pani trudna.

- Na ogół nie jestem.

- Zaczyna pani nowe życie? - Nie zwolnił kroku.

- Czy zwykle zmusza pan towarzyszące damy do biegu, żeby dotrzymały panu kroku?

Zatrzymał się, a ona o mało na niego nie wpadła.

- Tylko te, które chciałbym zgubić. Uśmiechnęła się.

- Zjawił się pan na moim terenie, panie Cross. Proszę o tym nie zapominać.

Spojrzał w niebo, potem znowu na nią. Żałowała, że nie widzi jego oczu.

- Warunki naszego zakładu były jasne. Ma pani pozostać nieskompromitowana.

Jeśli zostanie pani tutaj, ze mną, będą pani szukać. A jeśli panią znajdą, zostanie pani skompromitowana. Proszę wrócić. Natychmiast.

Było w tym człowieku coś bardzo pociągającego - w jego spokoju, w sposobie, w jaki panował nad sytuacją. Nigdy w życiu nie pragnęła niczego mniej, niż go zostawić.

- Nikomu nie będzie mnie brakować.

- Nawet Castletonowi?

Zawahała się, poczuła coś w rodzaju ukłucia winy. Hrabia pewnie na nią czekał, a lemoniada grzała się w jego dłoni. Pan Cross wydawał się czytać w jej myślach.

- On na panią czeka.

Może to była ciemność. A może ból w stopie. Albo może ich szybka wymiana zdań, która sprawiła, że miała wrażenie, iż wreszcie spotkała kogoś, kogo umysł pracuje podobnie jak jej własny. Nigdy nie była później w stanie zgadnąć, dlaczego wyrzuciła z siebie:

- On chce, żebym nadała imię jego psu.

Nastąpiła cisza, bała się, że pan Cross wybuchnie śmiechem. Proszę, tylko się nie śmiej. Nie roześmiał się.

- Wychodzi pani za mąż za tego człowieka. To raczej niewinna prośba, biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności.

Nie zrozumiał.

- Nie jest niewinna.

- Czy jest z nim coś nie tak?

- Z psem?

- Tak.

- Nie, myślę, że to miły pies. - Podniosła ręce, potem je opuściła. - Tylko że to się wydaje takie... takie...

- Ostateczne. Zrozumiał.

- Właśnie.

- To jest ostateczne. Wychodzi pani za niego. Będzie pani musiała nadawać imiona jego dzieciom. Pies to drobnostka.

- Tak, owszem, ale wydaje się, że jednak nie jest drobnostką. - Odetchnęła głęboko. - Czy zastanawiał się pan kiedyś nad małżeństwem?

- Nie. - Szybka i uczciwa odpowiedź.

- Dlaczego nie?

- To nie dla mnie.

- Wydaje się pan tego pewien.

- Jestem.

- Skąd pan wie?

Nie odpowiedział, dzięki Trotuli, która wypadła zza rogu budynku z radosnym poszczekiwaniem.

- Pani?

Skinęła głową, podczas gdy spaniel podbiegł do ich nóg, a pan Cross schylił się, żeby go pogłaskać. Pies sapnął zachwycony.

- Podoba jej się to - zauważyła Pippa.

- Jak się nazywa?

- Trotula.

Uniósł kącik ust w pełnym zrozumienia uśmiechu.

- Jak Trotula z Salerno? Włoski medyk?

Oczywiście, że wiedział, iż nazwała psa na cześć naukowca. Oczywiście, że się domyślił.

- Medyczka. Pokręcił głową.

- Okropne imię. Może jednak nie powinna pani nadawać imienia psu

Castletona.

- Nieprawda! Trotula z Salerno to doskonałe imię dla psa!

- Nie. Zgodziłbym się na „doskonały przykład dla młodych kobiet” albo „doskonały bohater nauki”, ale nie przyjmuję „doskonałego imienia dla psa”. -

Przerwał, drapiąc spaniela za uchem. - Biedne zwierzę - powiedział, a Pippie zrobiło się przyjemnie na ciepły ton jego głosu. - Potraktowano cię okropnie.

Trotula przewróciła się na grzbiet, ukazując zupełnie bezwstydnie brzuszek.

Podrapał ją tam, a Pippa stała zauroczona jego silnymi, pięknymi dłońmi - tym, jak poruszały się w gęstej psiej sierści.

- Zostanę na dworze. Z panem - powiedziała po dłuższej chwili. Jego ręka znieruchomiała na psim brzuchu.

- Co z pani awersją do nieuczciwości? Ściągnęła brwi.

- Nie zmieniła się.

- Próbuje pani uciec z balu zaręczynowego z innym mężczyzną.

Powiedziałbym, że to jest właśnie nieuczciwość.

- Nie z innym mężczyzną. Zesztywniał.

- Słucham?

Poprawiła się pośpiesznie.

- To znaczy, jest pan innym mężczyzną, oczywiście, ale nie jest pan

prawdziwym mężczyzną. To jest, nie stanowi pan groźby dla Castletona. Jest pan

bezpieczny. - Urwała... nagle przestała się czuć bezpieczna.

- A fakt, że poprosiła mnie pani o pomoc w sprawach, które mogłyby zniszczyć pani reputację i doprowadzić do zerwania zaręczyn?

- To wciąż nie czyni pana mężczyzną - powiedziała szybko. Zbyt szybko. Na tyle szybko, żeby to zaraz odwołać. - To znaczy. Cóż. Wie pan, co mam na myśli.

Nie to, co pan ma na myśli.

Roześmiał się cicho, wstając.

- Najpierw proponuje mi pani zapłatę za akt fizyczny, potem kwestionuje moją męskość. Ktoś inny mógłby wziąć sobie te słowa do serca.

Otworzyła szeroko oczy. Nigdy nie chciała sugerować...

- Ja nie... - Głos jej zamarł.

Podszedł bliżej, tak blisko, że czuła jego ciepło. Mówił niskim, spokojnym głosem.

- Ktoś inny zechciałby pani udowodnić, że się pani myli. Przełknęła ślinę. Był onieśmielająco wysoki, kiedy stał tak blisko.

O wiele wyższy niż inni, znani jej, mężczyźni.

- Ja...

- Proszę mi powiedzieć, lady Philippo. - Podniósł rękę, zbliżając palec do wycięcia jej górnej wargi, niemal jej dotykając. - Czy w swoich studiach nad anatomią poznała pani kiedyś nazwę miejsca pomiędzy nosem a górną wargą?

Rozchyliła usta, walcząc z chęcią przysunięcia się do niego, zmuszenia go, żeby jej dotknął. Odparła szeptem:

- *Philtrum*. Uśmiechnął się.

- Mądra dziewczyna. To po łacinie. Czy wie pani, co owo słowo znaczy?

- Nie.

- Napój miłosny. Rzymianie wierzyli, że to najbardziej erotyczne miejsce na ciele. Nazywali je łukiem Kupidyna, ze względu na kształt górnej wargi. -

Mówiąc to, przesunął palcem wzdłuż jej wargi; była to bardziej pokusa niż ledwie wyczuwalny dotyk. Jego głos stał się cichszy, głębszy. - Wierzyli, że to znak boga miłości.

Odetchnęła cicho, płytko.

- Nie wiedziałam.

Pochylił się niżej, opuszczając dłoń.

- Chętnie bym się założył, że jest wiele rzeczy o ludzkim ciele, których pani nie wie, mój mały ekspercie. Z radością bym ich pani nauczył.

Stał tak blisko... słowa były bardziej oddechem niż dźwiękiem, czuła je na uchu, potem na policzku; wzbudzały w niej przedziwne odczucia.

Tak powinnam się czuć przy Castletonie. Myśl pojawiła się znenacka.

Odsunęła ją na bok, obiecując sobie, że później się tym zajmie.

Ale teraz...

- Chciałabym się ich nauczyć - powiedziała.

- Taka uczciwa. - Uśmiechnął się, wygięcie jego ust - jego *philtrum* - było tak niepokojąco blisko. - To jest pani pierwsza lekcja.

Chciała, żeby nauczył ją wszystkiego.

- Nie kuś lwa - słowa musnęły jej usta, powodując, że się rozwarły. - Bo ugryzie z całą pewnością.

Dobry Boże. Jakże tego pragnęła.

Wyprostował się, cofając się i poprawiając od niechcienia ubranie, całkowicie niewzruszony.

- Wracaj na bal i do swojego narzeczonego, Pippo.

Odwrócił się, a ona wciągnęła powietrze, czując się tak, jakby niebezpiecznie długo brakowało jej tlenu.

Patrzyła, jak znika w ciemności, marząc, żeby wrócił. Nadaremnie.

6.

Wiele godzin po tym, jak ostatni z gości opuścił Anioła, Cross siedział przy biurku w swoim biurze, usiłując po raz trzeci obliczyć zyski dzisiejszego wieczoru. I po raz trzeci mu się to nie udało.

Nie udało, ponieważ nie był w stanie wyrzucić z pamięci widoku jasnowłosej okularnicy, Philippy Marbury, zbiegającej ku niemu po tylnych schodach rezydencji Dolby. W istocie, za każdym razem, kiedy próbował przenieść cyfrę z jednej kolumny do drugiej, wyobrażał sobie jej palce w swoich włosach albo jej usta poruszające się pod jego dłonią i mylił liczbę.

Cross nie zwykł mylić liczb. Kawał dorosłego życia stał się dla niego pokutą za to, że nie potrafił ich mylić. Ponownie pochylił się nad księgą.

Dodał trzy linijki kolumny, kiedy wahadła na biurku przyciągnęły jego uwagę i przypomniał sobie jej delikatny dotyk, którym wprowadziła kule w ruch. Ogarnęło go pożądanie i wyobraził sobie, jak ten dotyk wprowadza w ruch co innego. Na przykład zapięcie jego spodni.

Czubek pióra zaczepił się o papier księgi, prysnął atrament, brudząc kartę koloru ecru.

Uważała go za bezpiecznego.

I z każdą inną kobietą tak było. Przy innej kobiecie był uosobieniem bezpieczeństwa.

Ale przy niej... jego opanowanie, które cenił nade wszystko, mogło go zawieść w każdej chwili, równie słabe, jak cienka nić. Delikatna, jedwabna nić, miękka

jak jej włosy. Jak jej skóra. Jej głos w ciemności.

Z jękiem przeczesał palcami czuprynę i odsunął krzesło od biurka, opierając je o ścianę i wyciągając przed siebie nogi. Musi przegnać stąd jej wspomnienie.

Gdziekolwiek by spojrzeł - liczydła, globus, przekłute biurko - wszystko było nią przesiąknięte. Mógłby przysiąc, że w powietrzu wciąż unosi się jej zapach - zapach słońca i świeżego płótna.

A niech to wszyscy diabli.

Zniszczyła mu biuro... równie skutecznie, jakby wkroczyła do pokoju i zdjęła z siebie całe ubranie.

I położyła się na jego biurku, tylko w okularach, z lekkim, nieco krzywym uśmiechem, blada i piękna na tle hebanowego biurka.

Zamknął oczy. Tę wizję aż nazbyt łatwo przychodziło mu przywoływać.

Przycisnął ją dłonią tuż poniżej ponętnych, białych piersi o czubkach koloru jej warg - dojrzałych brzoskwiń z miodem. Ślina napłynęła mu do ust. Nie mógłby się powstrzymać, żeby się nad nią nie pochylić i nie spróbować jednego z tych doskonałych owoców. Spędziłby wieki, pieszcząc jej piersi, aż zaczęłyby się pod nim wić, błagając o więcej.

Dopiero kiedy zaczęłyby błagać, dałby jej to, czego oboje chcieli - rozsuwając jej uda, przesuwając dłońmi po miękkiej, kremowej skórze i...

Pukanie do drzwi zabrzmiało jak wystrzał ze strzelby. Krzesło opadło na podłogę z hukiem; Cross zaklął szpetnie.

Ktokolwiek to był, Cross miał zamiar go zamordować. Powoli. I z wielką przyjemnością.

- Czego? - warknął.

Drzwi otworzyły się, ukazując założyciela Upadłego Anioła.

- Miłe powitanie.

Cross zastanawiał się, czy by nie przeskoczyć przez biurko i nie udusić Chase'a.

- Chyba wyraziłem się niejasno. Jeśli klub nie stoi w płomieniach, nie jesteś tu mile widziany.

Chase nie słuchał; zamknął drzwi i usiadł na fotelu po drugiej stronie biurka.

Cross się skrzywił.

Partner wzruszył ramionami.

- Powiedzmy, że klub się pali.

- Czego chcesz?

- Księgi.

Kluby dżentelmenów w Londynie szczyliły się swoimi księgami zakładów i

Anioł się od nich nie różnił. W potężnej, oprawnej w skórę księdze katalogowano

wszystkie zakłady, jakie podejmowano w klubie. Członkowie mogli zapisać

każdy zakład - nawet zupełnie błahy - Anioł zaś pobierał jakiś procent, żeby

zapewnić dotrzymania warunków, choćby najbardziej dziwacznych, przez

strony.

Chase zbierał informacje i kochał księgę za tajemnice, jakie zawierała o

członkach klubu. Zabezpieczenie, jakie dawała.

Cross położył ciężkie tomiszczce na biurku.

Chase nie sięgnął po księgę.

- Justin mówił, że nie było cię tutaj przez większość wieczoru.

- Justin zasługuje na porządne bicie za donoszenie na nas wszystkich.

- Inni teraz obchodzą mnie znacznie mniej - oznajmił Chase, wyciągając rękę i wprawiając globus w ruch. - Głównie zajmujesz mnie ty.

Cross patrzył, jak globus się obraca, uświadamiając sobie z niechęcią, że

ostatnią osobą, która poruszyła ten globus, była Philippa Marbury. Miał

Chase'owi za złe, że go dotknął.

- Nie wiem dlaczego.

- Knighta łatwiej obserwować, kiedy wiem, gdzie jest. Cross ściągnął brwi.

Widocznie źle zrozumiał.

- Chcesz powiedzieć, że nie obchodzi mnie fakt, że zrujnował mojego szwagra, zagraża bezpieczeństwu mojej siostry, a mnie szantażuje?

- Nie. Oczywiście, że nie. - Chase zatrzymał globus, trzymając jeden długi palec na Saharze. - I jest mi całkowicie obojętne, czy ożenisz się z dziewczyną, czy nie.

Ale chcę, żebyś ostrożnie wybrał sposób, w jaki go ukarzesz. Półśrodki mogą okazać się niebezpieczne.

Cross spojrział partnerowi w oczy.

- To znaczy?

- To znaczy, że masz jedną szansę. Dajesz mu odczuć naszą przewagę całkowicie albo wcale.

- Mam w planach to pierwsze.

- Istnieją powody, dla których jego najwięksi gracze nie mają członkostwa w Aniele. To nie są ludzie, których chętnie widzielibyśmy przy naszych stołach.

- Może nie. Ale status, jaki to daje, ich pociąga. Władza. Możliwość obcowania z tymi, którzy ją posiadają, z tymi, którzy mają tytuły. Szansa zostania Aniołem.

Chase skinął głową, sięgając po pudełko cygar na stole.

- Gdzie byłeś dziś wieczorem?

- Nie potrzebuję opiekuna.

- Oczywiście, że tak. Sądzisz, że nie wiem, gdzie byłeś? - Słowa wydobyły się zza chmury dymu.

- Chyba mnie nie śledziłeś - zirytował się Cross. Chase nie zareagował na gniew.

- Boję się o ciebie w związku z Knightem. Wasze... stosunki zawsze były... burzliwe.

Cross wstał, górując nad biurkiem i partnerem.

- Nie kazałeś chyba mnie śledzić. Chase obrócił cygarem w palcach.

- Żałuję, że nie masz tu szkockiej.

- Wynoś się. - Cross miał tego dość. Chase nie drgnął.

- Nie kazałem cię śledzić, ale teraz widzę, że byłoby to pouczające. Cross zaklął brutalnie.

- Miałeś złą noc, co? Gdzie byłeś?

- Widziałem się z siostrą. Chase uniósł złote brwi.

- Poszedłeś na bal do Needhamów?

Widziałem się także z Philippą Marbury. Cóż, tego z pewnością Chase'owi nie powie. Wolał milczeć.

- Domyślam się, że spotkanie nie przebiegło pomyślnie - odezwał się Chase.

- Ona nie chce mieć ze mną do czynienia. Nawet, kiedy powiedziałem, że zajmę się Knightem, prawie nie zareagowała. Nie wierzy mi.

Chase milczał chwilę, pogrążony w myślach.

- Siostry bywają trudne. Nie zawsze dobrze przyjmują polecenia starszych braci.

- Wiesz to lepiej niż kto inny.

- Chciałbyś, żebym z nią pomówił?

- Masz o sobie stanowczo za wysokie mniemanie. Chase uśmiechnął się.

- Damy zwykle witają mnie z otwartymi ramionami. Nawet takie damy, jak

twoja siostra.

Cross zmrużył oczy.

- Nie chcę, żebyś się do niej zbliżał. Wystarczy, że musi znosić Knighta... i mnie.

- Ranisz mnie. - Chase zaciągnął się cygarem. - Czy będzie się od niego trzymać z daleka?

Wcześniej już zastanawiał się nad tym pytaniem i gniewem swojej siostry.

Lavinia miała siedemnaście lat, kiedy zmarł Baine, a Cross odszedł. Została zmuszona do małżeństwa z Dunblade'em, ponieważ on chciał się z nią ożenić, pomimo jej braków.

Niedoskonałości, które wynikły z winy Crossa.

Niedoskonałości, które nie miałyby znaczenia, gdyby nie odbiła się na niej rozpacz matki i gniew ojca. Gdyby nie była zmuszona dawać sobie radę sama, bez niczyjej pomocy.

Bez brata, który zapewniłby jej bezpieczeństwo.

Nic dziwnego, że mu nie uwierzyła, kiedy twierdził, że naprawi szkody wyrządzone przez Knighta i jej męża. Odczuł gniew, żal i nienawiść do samego siebie.

- Nie wiem, co zrobi. Wiem jednak, że Knight nie dopuści, żeby coś stało na przeszkodzie małżeństwu jego córki.

- Należało go zrujnować lata temu. - Cross nie odpowiadał. - Zawsze byłeś wobec niego za miękki - dodał Chase.

Cross wzruszył lekko ramionami.

- Gdyby nie on...

Chase błysnął białymi zębami.

- Nie byłbyś z nami. Cross parsknął śmiechem.
- Może jednak zdobyłbym się na to, żeby go zrujnować. Chase myślał chwilę, smakując cygaro.
- Musisz działać podstępem. Żeby chronić Lavinie. - Cross kiwnął głową. -
Tempie wspomniał, że zamierzasz wykorzystać kobiety. Zdajesz sobie sprawę, że będę ci do tego potrzebny?
- Cross uniósł brew.
- Obejdzie się bez twojej pomocy.
- Jesteś pewien? Bardzo mnie lubią.
- Jestem o tym przekonany.
- Ciekaw jestem, jak ta córka wygląda - powiedział Chase.
- To dziecko Knighta, więc albo skończona wiedźma, albo chodzące nieszczęście.
- Jest także kobietą, więc jedno i drugie prawdopodobne - zamilkł. -Może jednak powinienes się z nią ożenić. Bourne'owi ożenek świetnie zrobił.
- Nie jestem Bourne'em.
- Nie, nie jesteś. - Chase wyprostował się na krześle, wprawiając ponownie w ruch globus i rozglądając się wokół. - Zdumiewające, że możesz tu cokolwiek znaleźć. Miałbym ochotę przysłać tu dziewczyny, żeby posprzątały.
- Spróbuj.
- Nie warto cię denerwować. - Chase zgasił cygaro i podszedł bliżej, postukując palcem w grubą księgę zakładów. - Jest późno, idę do domu, ale pomyślałem, że może chciałbyś się przedtem założyć.
- Nie zapisuję zakładów w księdze, wiesz o tym. Chase uniósł jedną złotą brew.
- Jesteś pewien, że nie chcesz zrobić wyjątku? Masz duże szanse. Cross poczuł

się nieswojo. Skrzyżował ręce na piersi, odchylając się na krześle i mierząc Chase'a chłodnym spojrzeniem.

- O co chodzi?

- O lady Philippę Marbury - oznajmił Chase.

Nieprzyjemne uczucie zamieniło się w strach. Chase wiedział. Cross nie był zaskoczony. Naprawdę. Chase zawsze wszystko wiedział. Cross nie musiał mu jednak tego przyznawać.

- Kogo?

Chase rzucił mu kpiące spojrzenie.

- A więc tak? Będziesz udawać, że nie wiesz, o czym mówię?

- Wcale nie udaję. - Cross rozparł się demonstracyjnie na krześle. - Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Justin ją wpuścił. Skierował do twojego biura. A potem mi o tym powiedział. Do wszystkich diabłów.

- Justin plotkuje jak baba.

- Płokarze bywają użyteczni. A co do dziewczyny...

Cross skrzywił się. Jego nastrój ze złego stał się iście morderczy.

- Co z nią?

- Czego tutaj chciała?

- Nie twoja sprawa.

- Ale to może być sprawa Bourne'a, więc zapytam, tak czy inaczej. „Gdyby miał moją siostrę w swoich szponach, zastanowiłbym się nad spełnieniem jego żądań”.

Słowa Bourne'a obudziły w Crossie ponownie poczucie winy.

- To, czego chciała, nie ma znaczenia. Istotne jest to, że Knight ją widział.

Postronny obserwator mógłby nie zauważyć, że Chase lekko zeszywniał.

- Rozpoznał ją?

- Nie. - Dzięki Bogu.

Chase usłyszał wahanie w jego głosie.

- Ale?

- Zaintrygowała go.

- To mnie nie dziwi. Lady Philippa jest intrygująca.

- Łagodnie rzecz ujmując. - Nie spodobało mu się zrozumienie, jakie wyczytał w oczach partnera.

- Nie mówiłeś Bourne'owi?

Cross nie potrafił powiedzieć dlaczego. Bourne'a powszechnie uważano za jednego z najzimniejszych, najtwardszych ludzi w Londynie. Gdyby przez chwilę pomyślał, że Pippie coś grozi, zniszczyłby zagrożenie gołymi rękami.

Ale Cross przyrzekł dotrzymać jej sekretów.

Świat jest pełen kłamców.

Usłyszał w myślach własne słowa. Nie miał powodu, żeby się wywiązać z obietnicy. Powinien powiedzieć Bourne'owi. Powiedzieć i mieć to za sobą.

A jednak...

Przypomniał sobie wieczorne spotkanie, jak uśmiechała się uszczęśliwiona do psa, wyraz jej twarzy jeszcze teraz przejmował go ciepłem. Lubił patrzeć, jak się uśmiecha. Lubił na nią patrzeć bez względu na to, co robiła.

Lubił ją.

Do diabła.

- Wziąłem to na siebie.

- Istotnie - powiedział Chase po długiej chwili milczenia. Cross z trudem się

powstrzymał, żeby nie odwrócić wzroku.

- Dziewczyna przyszła do mnie.

- Nie jest to dla mnie jasne.

- Nie musisz wiedzieć wszystkiego.

Chase uniósł kącik ust w kpiącym uśmiechu.

- A jednak często wiem.

- Nie tym razem.

Chase przyglądał mu się. Toczyli milczącą walkę.

- Tak, wydaje się, że tym razem nie.

- Nie powiesz Bourne'owi?

- Nie, chyba że tego zażąda - stwierdził Chase, opierając się wygodnie. - Poza tym to by mi nie pomogło wygrać zakładu.

Nie powinno go to obchodzić.

Ale pamięć delikatnego dotyku Pippy i jej dziwne słowa widocznie sprawiły, że oszalał tak samo, jak ona.

- Jakie są warunki?

Chase uśmiechnął się, ukazując nieskazitelne zęby.

- Sto funtów stawiam na to, że ta kobieta uwolni cię od twojej klątwy. Klątwa.

Powstrzymał się całą siłą woli, żeby nie zareagować na te słowa. Na zaczepkę w nich zawartą.

Złota brew uniosła się do góry.

- Nie wchodzisz?

- Nie zapisuję zakładów w księdze - powtórzył Cross. Słowa padały ciężkie jak kamienie.

Chase uśmiechnął się drwiąco, ale nie odpowiedział. Podniósł się z fotela z

niezaprzeczalnym wdziękiem.

- Szkoda. Byłem pewien, że sto funtów mam w kieszeni.

- Nie wiedziałem, że brak ci pieniędzy.

- Nie brak. Ale lubię wygrywać.

Cross milczał, kiedy partner wyszedł. Cichy odgłos zamykanych mahoniowych drzwi był jedynym znakiem, że Chase w ogóle tu był. Dopiero wtedy Cross odetchnął z ulgą. Trzeba było się założyć.

Chase mógł znać lepiej niż ktokolwiek inny tajemnice londyńskiej elity, ale jeden fakt nie ulegał wątpliwości.

Cross nigdy już nie dotknie Philippy Marbury. Nie może.

- Pippa, pora przymierzyć suknię.

Słowa markizy Needham-Dolby - brzmiące podnieceniem, ale i wyrzutem - odwróciły uwagę Pippy od obserwowania tłumów wchodzących i wychodzących ze sklepów na Bond Street. Pippa bardzo lubiła wystawę sklepu madame Hebert. Zapewniała doskonały widok na londyńską arystokrację zajmującą się swoimi codziennymi sprawami, ale Pippę niespecjalnie interesowały stroje.

Wysiadywanie u krawcowej, podobnie jak tańce, nie należało do jej ulubionych zajęć.

Jednak suknia ślubna wymagała wprawnej krawcowej. Również bielizna i reszta wyprawy ślubnej.

Tak więc znalazła się tutaj. To była z pewnością najdłuższa wizyta u krawca w dziejach tego fachu.

- Philippa! - Ostry, podniecony głos matki dobiegający z przymierzalni w głębi sklepu odwrócił jej uwagę od grupy mężczyzn po drugiej stronie ulicy przy wejściu do sklepu tytoniowego Boucher & Babcock's. - Chodź zobaczyć siostrę!

Pippa z westchnieniem odwróciła się od okna, przesuując zasłony. Miała wrażenie, że szykuje się do bitwy. Aksamitne zasłony nie zdążyły wrócić na miejsce, kiedy Pippa stanęła zdumiona, patrząc na siostrę, drobną, skończenie doskonałą, stojącą na podeście na środku pokoju w stroju, który musiał być najpiękniejszą suknią ślubną wszech czasów.

- Olivio - szepnęła Pippa, kręcąc głową. - Jesteś...

- Olśniewająca! - zawołała markiza, klaszcząc w ręce z matczynej radości.

Olivia wzburzyła spódnicę z przepięknej koronki w kolorze kości słoniowej i uśmiechnęła się.

- Wspaniale wyglądam, prawda?

- Wspaniale - zgodziła się Pippa. To, ostatecznie, była prawda. Nie mogła się jednak powstrzymać od uwagi: - I jakże jesteś skromna.

- Och, daj spokój - odparła Olivia, odwracając się, żeby spojrzeć uważnie w lustro. - Jeśli nie można być szczerym na zapleczu u pani Hebert, to gdzie można?

Pracownie krawieckie to miejsca, gdzie się plotkuje i mówi prawdę.

Krawcowa - uchodząca w opinii ogółu za najlepszą w Brytanii - wyjęła szpilkę z ust i przypięła gors sukni, po czym mrugnęła do Pippy zza ramienia Olivii.

- Zgadzam się całkowicie.

Olivia nie mogła oderwać oczu od swojego odbicia w jednym z wielu luster.

- Tak, jest doskonale.

I tak było. Olivia, rzecz jasna, nie potrzebowała takiej sukni, żeby wyglądać pięknie. Najmłodsza i najpiękniejsza z sióstr Marbury mogłaby się owinać workiem ze stajni majątku Needhamów, a i tak wyglądałaby dużo lepiej niż większość piękności w swoje najlepsze dni. Nie, nie ulegało wątpliwości, że za dwa tygodnie, kiedy Olivia i wicehrabia Tottenham staną przed ołtarzem w

kościół St. George wobec londyńskiej śmietanki towarzyskiej, panna Marbury będzie najwspanialszą panną młodą, o której będzie się długo mówiło w salonach.

Pippa z pewnością znajdzie się w cieniu siostry podczas podwójnego ślubu.

- Lady Philippo, Alys jest gotowa. - Krawcowa wyrwała ją z zamyślenia, machając ręką ozdobioną szkarłatną poduszczką na szpilki w kierunku młodej pomocnicy, która stała obok długiej zasłony w drugim końcu pokoju, trzymając w dłoniach masę koronek i jedwabiu.

Suknia ślubna Pippy.

Ogarnęło ją dziwne uczucie, zawahała się.

- No dalej, Pippa. Włóż ją. - Olivia spojrzała z góry na krawcową. - Mam nadzieję, że jest zupełnie inna. Nie chciałabym, żeby myślano, że mamy takie same suknie ślubne.

Pippa nie wątpiła, że gdyby nawet jej suknia była dokładną kopią stroju Olivii, w tym szybko zbliżającym się dniu nikt by nie pomylił dwóch panien młodych.

Podczas gdy czwórka sióstr Marbury otrzymała od natury proste, popielatoblond włosy, cerę albo zbyt rumianą (Wiktorii i Valerie), albo zbyt bladą (Pippa i Penelopa), Olivia była uosobieniem doskonałości. Jej bujne, złote włosy lśniły w słońcu, cerę miała czystą i różową, a jej figura stanowiła idealne połączenie zakrzywionych i prostych linii. Miała ciało stworzone dla francuskiej mody, a madame Hebert wyczarowała dla niej suknię, która to udowadniała.

Pippa nie sądziła, żeby krawcowa, nawet najlepsza w Londynie, chciała zrobić to samo dla niej.

Pomocnica krawcowej zaczęła wkładać jej suknię przez głowę; szelest tkanin przegnał wszelkie myśli, podczas gdy krawcowa upinała, zapinała i wiązała.

Pippa wierciła się podczas tego całego procesu, sztywna koronka drażniła jej skórę, a gorset groził uduszeniem.

Nie widziała się jeszcze w tej sukni, ale było jej w niej bardzo niewygodnie.

Skończywszy pracę, Alys dała Pippie znak, żeby przeszła do głównego pomieszczenia, i Pippa przez jedną, krótką chwilę zastanawiała się, co by się stało, gdyby zamiast ukazać się krytycznemu spojrzeniu siostry, matki oraz najlepszej krawcowej po tej stronie Kanału Angielskiego, zwanego na kontynencie La Manche, uciekła na tył sklepu i na dwór tylnym wyjściem.

Może wtedy ona i Castleton daliby sobie spokój z całym tym ślubnym zamieszaniem i poprzestaliby po prostu na samym małżeństwie. W końcu to chyba było najważniejsze w tym wszystkim?

- To będzie ślub sezonu! - rozplęwała się lady Needham za zasłoną.

Cóż... może sama ceremonia nie była najważniejsza dla matek.

- Naturalnie, że tak - zgodziła się Olivia. - Czy nie mówiłam ci, że niezależnie od tej historii z Penny wyjdę dobrze za mąż?

- Tak, kochanie. Zawsze osiągasz to, co zamierzysz. Olivia - szczęściara.

- Milady? - Młoda krawcowa wydawała się zmieszana. Pippa domyśliła się, że nie codziennie zdarzało się, żeby panna młoda z takim wahaniem zabierała się do prezentowania swojej sukni ślubnej.

Wysunęła się zza zasłony.

- Cóż? Oto jestem.

- Och! - Lady Needham omal nie spadła z wygodnej kanapy, rozchlapując herbatę z filiżanki, kiedy podskakiwała na szafirowym obiciu. - Och! Jakaż z ciebie będzie cudowna hrabina!

Pippa zerknęła ponad głowę matki na Oliwię, która już przeniosła uwagę na pół

tuzina młodych krawcowych, na kolanach upinających kraj jej sukni,

podnoszących falbany i przenoszących wstążki.

- Bardzo ładna, Pippo - odezwała się Olivia. - Nie taka ładna, jak moja, oczywiście...

Pewne rzeczy się nie zmieniają. Na szczęście.

- Oczywiście.

Madame Hebert, ze szpilkami trzymanymi mocno w zębach, pomagała już

Pippie wejść na drugi podest. Obrzuciła krytycznym spojrzeniem gors sukni.

Pippa odwróciła się, żeby spojrzeć na siebie w dużym lustrze, ale Francuzka natychmiast stanęła przed nią, zasłaniając jej widok.

- Jeszcze nie.

Krawcowe pracowały w milczeniu, a Pippa wodziła palcami wzdłuż koronek i jedwabi.

- Jedwab pochodzi od gąsienic - powiedziała. Wiedza podnosiła na duchu w trudnych chwilach. - No, niezupełnie gąsienic. Z kokonów jedwabników. - Nikt się nie odezwał. Pippa spojrzała na swoje dłonie, dodając: - *Bombyx mori* przepoczwarza się i zanim stanie się ćmą, mamy jedwab.

Cisza przeciągała się, Pippa podniosła wzrok - wszyscy patrzyli na nią, jakby wyrosła jej druga głowa. Olivia odezwała się pierwsza.

- Jesteś taka dziwna.

- Kto może myśleć o jakichś robakach w takiej chwili? - dodała swoje trzy grosze markiza. - Robaki nie mają nic wspólnego ze ślubami!

Pippa uznała, że to raczej odpowiedni moment, żeby o nich myśleć. Pracowite stworzenia, które porzucają życie, jakie znały - i bezpieczne schronienie - żeby uwić kokon, przygotowując się do życia, którego nie rozumiały i nie potrafiły

sobie wyobrazić, po to tylko, żeby w połowie tego procesu przerwano im snucie nici i zamieniono ją w suknię ślubną.

W żaden sposób nie mogła przypuszczać, żeby matkę zainteresował ten opis, więc milczała, podczas gdy krawcowa wpinała w suknię szpilkę za szpilką, a gors stawał się coraz ciaśniejszy. W końcu nie wytrzymała:

- Gors jest przyciasny.

Madame Hebert wydawała się jej nie słyszeć, chwytając właśnie ćwierć cala materiału w talii sukni i spinając ją silniej.

- Jest pani pewna...? - spróbowała Pippa raz jeszcze, zanim krawcowa podniosła głowę.

- Jestem pewna. Bez wątpienia.

Krawcowa odsunęła się i Pippa mogła bez przeszkód spojrzeć w lustro, żeby stanąć oko w oko z przyszłą sobą. Suknia była piękna, dopasowana do jej małego biustu i długiej talii. Nie sprawiała, że Pippa wyglądała jak okaz długonogiego ptaka.

Nie, Pippa wyglądała jak panna młoda w każdym calu.

Suknia z każdą chwilą stawała się coraz ciaśniejsza. Czy coś takiego jest w ogóle możliwe?

- Co pani sądzi? - zapytała krawcowa, przyglądając jej się uważnie w lustrze.

Pippa otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, nie wiedząc, co się z nich wydobędzie.

- Jest zachwycona, oczywiście! - zawołała piskliwie markiza. - Obie są zachwycone! To będzie ślub sezonu! Ślub stulecia!

Pippa spotkała zaciekawione spojrzenie czekoladowych oczu krawcowej.

- A stulecie dopiero się zaczęło.

W oczach Francuzki błysnął ledwie zauważalny uśmiech, Olivia zaś westchnęła ze szczęścia.

- Tak, w istocie. Tottenham nie będzie mógł mi się oprzeć w tej sukni. Żaden mężczyzna nie będzie w stanie.

- Olivia - skarciła ją markiza ze swojego miejsca. - Damy nie mówią w ten sposób.

- Dlaczego? Taki jest cel, nieprawdaż? Uwieść męża?

- Nie uwodzi się swojego męża! - upierała się markiza. Uśmiech Olivii stał się kpiący.

- Musiałaś swojego uwieść raz czy dwa razy, matko.

- Och! - Lady Needham opadła na oparcie kanapy.

Madame Hebert nie brała udziału w rozmowie. Przywołała dwie dziewczyny, żeby pracowały nad spódnicą Pippy. Olivia mrugnęła do Pippy.

- Co najmniej pięć razy.

- Cztery - uściśliła Pippa. - Valerie i Wiktoria są bliźniaczkami.

- Dostyc! Nie mogę tego słuchać! - Markiza wstała, odsunęła zasłony i przeszła na przód sklepu, zostawiając roześmiane córki.

- To, że pewnego dnia możesz zostać żoną premiera, raczej mnie martwi - oświadczyła Pippa.

Olivia uśmiechnęła się.

- Tottenhamowi to się podoba. Mówi, że przywódcy państw europejskich docenią mój silny charakter.

Pippa roześmiała się, zadowolona, że coś odwraca jej uwagę od niepokojącego widoku panny młodej w lustrze.

- Silny charakter? Łagodnie powiedziane. Olivia kiwnęła głową, przyzywając

krawcową.

- Madame - powiedziała cicho. - Teraz, kiedy matka wyszła, może porozmawiamy o szczegółach uwodzenia własnego męża?

Pippa uniosła brwi.

- Olivio!

Olivia machnęła ręką, nie zrażając się siostrą.

- Wyprawa, którą matka zamówiła... są tam bawełniane i lniane nocne koszule, nieprawdaż?

Usta madame Hebert ułożyły się w psotnym uśmiechu.

- Musiałabym wyciągnąć zamówienia, ale znając preferencje markizy, w kolekcji jest niewiele rzeczy mających uwodzicielski charakter.

Olivia przybrała najśłodszy, najpiękniejszy uśmiech. Taki, który zjednywał jej każdego mężczyznę i kobietę, jacy chodzili po ziemi. Taki, który uczynił z niej uznaną w całej Brytanii faworytkę wśród sióstr Marbury.

- Ale mogą być?

- *Oui*. Sypialnia to moja specjalność. Olivia kiwnęła głową.

- Doskonale. Obie prosimy o najlepsze, co może pani oferować w tej dziedzinie.

- Wskazała ręką siostrę. - Zwłaszcza Pippa.

Pippa była zdumiona.

- Co to znaczy?

- Tylko tyle, że Castleton wydaje się typem, który potrzebuje drogowskazów w trakcie podróży. - Olivia popatrzyła na krawcową, dodając:

- Nie sądzę, żeby drogowskazy wchodziły w grę? Francuzka roześmiała się.

- Potrafię sprawić, że wskażą drogę.

Drogowskazy. Pippa przypomniała sobie, jak dotknęła ręki Castle-ona

poprzedniego wieczoru. Jak się uśmiechnął, a ona nic nie poczuła. Ani odrobiny wiedzy, której szukała.

Może to Pippa potrzebuje drogowskazów.

Skąd można wiedzieć?

- Ja się nie martwię - oznajmiła Olivia; wyraz jej oczu wskazywał na wiedzę,

której zwykle brakuje pannom w jej wieku. Dłonią z rubinem gładziła suknię. -

Tottenham nie ma kłopotów ze znalezieniem drogi. -Pippa poczuła, jak opada jej

szczeka. Te słowa przywodziły na myśl coś znacznie więcej niż pocałunki. Olivia

spojrzała na nią i parsknęła śmiechem. - Nie musisz być taka zaszokowana.

- Czy ty...? - Zniżyła głos do cichego szeptu. - Więcej niż pocałunki? Z

językami?

Olivia uśmiechnęła się, przytakując.

- Zeszłej nocy. Ale całowaliśmy się także. Z cudownymi językami. W

intrygujących miejscach. - Pippa myślała, że jeśli przewróci oczami, to te

wyskoczą jej z głowy. - Nie miałaś podobnego doświadczenia, jak rozumiem?

Nie!

- Jak? Gdzie?

- Cóż, to jest odpowiedź na moje pytanie - odparła Olivia sucho, przyglądając

się długiemu, koronkowemu rękawowi. - Myślę, że w zwykły sposób. A co do

jak i gdzie, będziesz zaskoczona, jaki pomysłowy może się okazać inteligentny,

rozpalony dżentelmen.

Mała Olivia, najmłodsza Marbury. Pozbawiona dziewictwa.

Tak więc Pippa okazała się jedyną Marbury, która pozostała... dziewicą.

- Mam nadzieję, że, dla twojego dobra, Castleton wykaże się pomysłowością -

dodała Olivia cichym głosem. - To wyjątkowo cenne doświadczenie.

Pippa pokręciła głową.

- Ty... - Nie wiedziała, co powiedzieć. Olivia spojrzała na nią zaskoczona.

- Doprawdy, Pippo. To zupełnie normalne, że zaręczone pary... eksperymentują.

Wszyscy to robią.

Pippa podniosła okulary wyżej na nosie.

- Wszyscy?

- No cóż, wydaje się, że nie wszyscy.

Olivia zwróciła się ponownie do krawcowej, żeby dyskutować o kroju sukni, sposobie cięcia materiału czy o czymś równie niedorzecznym, nieświadoma burzy myśli, jaką przeżywała siostra.

Eksperymentować.

To słowo ją poruszyło, przypomniało spotkanie z panem Crossem. Zamierzała zdobyć jakąś choćby niewielką wiedzę na temat tego, co ją czekało w małżeństwie, zdając sobie sprawę, że oboje z przyszłym mężem nie mają doświadczenia.

Ale nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że Olivia... że lord Tottenham i Olivia... mogliby... się poznać. W biblijnym sensie tego słowa.

Castleton nigdy nie próbował nawet jej pocałować. Ani w ciągu dwóch lat przed oficjalnymi staraniami o rękę. Ani w ciągu miesiąca oficjalnych zalotów.

Ani nawet zeszłej nocy na balu zaręczynowym po tym, jak go dotknęła. Miał mnóstwo okazji, żeby zabrać ją w jakieś ustronne miejsce, kiedy stali pod ścianą, milcząc sztywno.

Ale nie zrobił tego.

A ona nie widziała w tym nic zastanawiającego. Aż do tej chwili.

Teraz, kiedy pragnęła eksperymentów bardziej niż kiedykolwiek. I straciła

przez zakład możliwość, żeby to zrobić. Całkowicie. Powstrzymam się od proszenia innego mężczyzny o pomoc w badaniach.

Słowa zakładu zabrzmiały w jej uszach, jakby powiedziała je głośno tu i teraz.

Założyła się i przegrała. Przyrzekła. Teraz jednak, w tumultie myśli, rozpaczliwie szukała rozwiązania. To dwie różne sprawy: nie mieć doświadczenia, którego pragnęła, w noc poślubną, czy też nie mieć doświadczenia, którego się po niej spodziewają.

Ślub miał nastąpić zbyt szybko. Spojrzała przypadkiem na własne odbicie w lustrze. Miała na sobie suknię ślubną, na Boga.

Zostało tak mało czasu. Badania były koniecznością. Z nim albo bez niego.

Może powinna zapytać Olivii.

Zerknęła na doskonały uśmiech Olivii, zdradzający wiedzę, czego Pippa przedtem nie zauważała, ale teraz potrafiła bezbłędnie rozpoznać. Musiała działać. Natychmiast. Rozwiązanie wydawało się oczywiste.

Musi wrócić do Anioła.

Z tym postanowieniem Pippa spojrzała na siostrę, piękną w swojej ślubnej sukni, i powiedziała coś, co nie było całkowicie kłamstwem:

- Źle się czuję.

Olivia spojrzała na nią uważnie.

- Co to znaczy, że źle się czujesz? Pippa położyła rękę na brzuchu.

- Czuję się dosyć... niedobrze. - Spojrzała na dziewczęta pracujące gorączkowo u jej stóp. Mrówki atakujące porzucone ciastko na pikniku.

- Ale co z twoją suknią? - Olivia pokręciła głową.

- Jest piękna. I pasuje. Ale muszę ją zdjąć. - Dziewczęta podniosły jednocześnie głowy. - Teraz.

Miała pracę badawczą do wykonania. Pilnie.

- Nie mogę zostać - zwróciła się do madame Hebert. - Muszę wrócić. Źle się czuję.

Francuzka przyglądała jej się uważnie przez długą chwilę.

- Oczywiście. Olivia przeraziła się.

- Cóż, cokolwiek to jest, nie chcę tego złapać.

Pippa zeszła z podestu, idąc pośpiesznie do przebieralni za zasłoną.

- Nie, nie chciałabym. Żebyś się czuła...

- Źle? - dokończyła madame Hebert.

Pippa przypuszczała, że powtórzenie tego słowa może sprawić dziwne wrażenie.

- Niedobrze mi - wyrzuciła z siebie. Olivia zmarszczyła zadarty noseć.

- Pippa, na Boga. Jedź do domu. Ale wezwij powóz z miasta. Matka i ja potrzebujemy powozu, żeby zabrać wszystkie paczki.

Nie czekała, żeby usłyszeć to jeszcze raz.

- Tak zrobię.

Oczywiście, zrobiła inaczej.

Poprawiła ubranie, zapewniła matkę, że nic jej nie grozi w drodze do domu, i wyszła z pracowni, mając jasny i niewzruszony cel na uwadze.

Ze spuszczoną głową, ciasno owinięta peleryną, Pippa ruszyła Bond Street, przeszła przez Piccadilly, gdzie razem ze służącą wsiadły do miejskiego powoziku, po czym Pippa, nałożywszy kaptur na głowę, ześlizgnęła się z ławki powozu i wyszła z drugiej strony, prosząc przedtem służącą o dochowanie sekretu.

Przemknęła, niezauważona, wąską uliczką za kościołem St. James, licząc

budynki - jeden, dwa, trzy - zanim zatrzymała się przed ciężkimi stalowymi drzwiami i zastukała w nie energicznie.

Żadnej odpowiedzi.

Zdwoiła wysiłki. Tłukła w stalowe drzwi płaską dłonią, hałasując okropnie.

Gdyby ją odkryto...

Na to pytanie dałoby się odpowiedzieć na sto sposobów. Lepiej było się nad tym nie zastanawiać.

Zastukała ponownie mocniej. Gwałtowniej.

A potem, kiedy upłynęły, jak jej się wydawało, całe wieki, na środku drzwi otworzyła się wąska szpara i czarne oczy spojrzały na nią z irytacją, a potem ze zdumieniem.

- Co, do diabła? - Głos był przytłumiony przez zaporę ze stali.

- Jestem lady Philippa Marbury - oznajmiła, ale słowa utonęły w szczęku zamykanego otworu w drzwiach, szurania zasuw i skrzypienia stali o kamień.

Drzwi otworzyły się, ukazując ciemność oraz najpotężniejszego, najgroźniejszego mężczyznę, jakiego kiedykolwiek widziała - wysokiego, o szerokich ramionach, z blizną na wardze i nosie, który musiał być złamany więcej niż raz.

Poczuła się niezbyt pewnie, kiedy otwierała usta, żeby powiedzieć:

- Jestem...

- Wiem, kim pani jest - odparł szorstko. - Niech pani wejdzie.

- Ja nie... - urwała. - Kim pan jest?

Wyciągnął rękę, masywną dłonią chwycił ją za ramię i wciągnął do środka.

- Nie przyszło pani do głowy, że ktoś może panią tu zobaczyć? - powiedział, wysuwając głowę za drzwi, patrząc w jedną, potem w drugą stronę. Zadowolony,

że nikt jej nie widział, zamknął drzwi, zatrzasnął zasuwę, odwrócił się od niej, rozsunął zasłony, przechodząc do pięknie urządzonego holu, po czym wrzasnął: -
Za co, do diabła, płacimy odźwiernym? Dlaczego nie ma nikogo przy tych przeklętych drzwiach?

Ze swojego miejsca przy drzwiach zawołała:

- O tej porze dnia wydaje się, że przy większości drzwi nikogo nie ma.

Ogromny mężczyzna odwrócił się do niej, zaciekawiony.

- A skąd pani może to wiedzieć?

- Byłam tu już - powiedziała po prostu. Pokręcił głową, uśmiechając się cierpko.

- Czy Bourne wie, że Penelope oprowadza po klubie swoją siostrę?

- Och, źle mnie pan zrozumiał. Nie przyszłam tutaj z Penelopą. Byłam z panem Crossem.

Olbrzym był wyraźnie zdumiony.

- Cross. - Pippa zauważyła zmianę w jego głosie. Niedowierzenie. Może coś innego.

Skinęła głową.

- Tak.

Uniósł czarne brwi.

- Cross - powtórzył. - I pani. Zmarszczyła czoło.

- Tak. Cóż, miałam powód, żeby go odwiedzić w zeszłym tygodniu.

- Odwiedzić.

To nie było pytanie, ale mimo to odpowiedziała:

- Tak. - Zawahała się, po czym dodała: - Chociaż byłoby lepiej, gdyby pan mu

nie mówił, że tu dzisiaj jestem.

Spojrzał na nią znacząco.

- Byłoby lepiej. Zbyt znacząco. Wyciągnęła rękę.

- Obawiam się, że ma pan nade mną przewagę. Nie miałam przyjemności pana poznać.

Popatrzył na jej wyciągniętą rękę, zanim spojrzał jej ponownie w oczy, jakby dawał jej czas, żeby zmieniła zdanie.

- Jestem Tempie. Księżę Lamont. Morderca.

Cofnęła się, ręka opadła jej mimowolnie.

- Och.

Wygiął usta w krzywym uśmiechu.

- Teraz żałuje pani, że w ogóle tu przyszła.

Myślała gorączkowo. Nie skrzywdziłby jej. Jest partnerem Bourne'a. Jest środek dnia. Nie zabija się ludzi w Mayfair w środku dnia.

I niezależnie od wszystkiego, co słyszała o tym mrocznym, niebezpiecznym człowieku, nie było najdrobniejszego dowodu, że zrobił to, co mu przypisywano.

Wyciągnęła dłoń ponownie.

- Jestem Philippa Marbury.

Wygiął w łuk jedną czarną brew, ale ujął mocno podaną dłoń.

- Dzielna dziewczyna.

- Nie ma dowodu, że jest pan tym, za kogo pana uważają.

- Plotki są dostatecznie niszczące. Pokręciła głową.

- Jestem naukowcem. Hipotezy są bezużyteczne bez dowodów. Kącik ust lekko mu zadrżał.

- Gdyby tak cała Anglia zgadzała się z tą opinią.

Puścił jej rękę i przytrzymał zasłonę, zapraszając do holu o ścianach obitych bogato aksamitem i jedwabiem; Pippa nie mogła się powstrzymać, żeby ich nie dotknąć.

- Bourne'a nie ma - powiedział. Uśmiechnęła się.

- Wiem, jest w Surrey z moją siostrą. Nie przyszłam do niego. Zawahał się.

Pippę zastanowiło, jak taki wielki człowiek - któremu

z pewnością nie były obce przemoc i brutalność - może poruszać się z takim niezwykłym wdziękiem, lekko przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę. Ruszył dalej, jakby w ogóle się nie zatrzymywał.

- Do Crossa także nie?

- Nie. Nie odpowiada mu moje towarzystwo.

Słowa padły, zanim zdołała je powstrzymać, i Tempie pochwycił jej wzrok.

- Tak powiedział?

Wzruszyła ramionami, poprawiając okulary.

- Nie wyraził tego w ten sposób, ale dał mi jasno do zrozumienia, że nie pomoże mi w realizacji mojego planu, więc...

- Jakiego planu?

Mojej deprawacji. Nie mogła mu tego powiedzieć.

- Pracy badawczej, w której miałam nadzieję uzyskać... jego pomoc. Tempie uśmiechnął się promiennie.

- A co ze mną? Mógłbym pani pomóc.

Poświęciła tej ofercie dłuższą chwilę zastanowienia. Ten człowiek mógł odpowiedzieć na wszystkie pytania. I jeszcze parę innych. Ale nie jest Crossem.

Oparła się pokusie i uczuciu zmieszania, jakie jej towarzyszyło, zamiast tego skupiając uwagę na księciu, który odwrócił się do niej, otwierając

od niechęcie jedno z niekończącego się, jak mogło się wydawać, szeregu drzwi i odsuwając się na bok, żeby wpuścić Pippę do obszernego pokoju, na środku którego stały dwa stoły przykryte zielonym sukniem.

- Nie, dziękuję. Przynależałam panu Crossowi, że nie będę... - urwała.

- Że nie będzie pani...?

- Nie poproszę innego mężczyzny. Jego oczy rozszerzyły się na chwilę.

- To brzmi fascynująco.

Puściła te słowa mimo uszu, zwracając się do niego twarzą, z dłońmi mocno zaciśniętymi, kiedy on zamykał drzwi, a potem chował klucz do kieszeni.

- Ale nie mówił nic o kobietach. Znieruchomiał.

- Słucham?

Wciągnęła głęboko powietrze.

- Domagam się spotkania z jedną z waszych kobiet.

- Naszych kobiet? Machnęła ręką.

- Tak, waszych. Z jedną z waszych dam. - Ponieważ milczał, wydusiła z siebie wyjaśnienie: - prostytutek.

Milczał tak długo, że Pippa zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście to powiedziała.

A potem roześmiał się na całe gardło.

Pippa nie była pewna, czy nie popełniła poważnego błędu.

7.

W celu otrzymania wysokiej jakości jedwabiu wytwórca jedwabiu zapewnia swoim gąsienicom wartościową dietę z liści morwy, pilnując, aby nie przedostało się do niej żadne inne pożywienie (nawet zapachy). Kiedy zjedzą dość, przepoczwarzają się, przędąc kokony, i po kilku dniach hodowca przerywa inkubację, zapobiegając wykształceniu się ćmy, żeby uzyskać jedwab z kokonów. Nie mam zamiaru pozwolić, żeby coś takiego zdarzyło się mnie. Dzięki Bogu za luki-logiczne myślenie.

Dziennik naukowy lady Philippy Marbury

25 marca 1831; jedenaście dni przed jej ślubem

Śmiech Temple'a rozbrzmiewał w małym, zamkniętym pomieszczeniu.

- Wasza Wysokość? - odezwała się Pippa.

Śmiech ustał równie szybko, jak się zaczął. Książę nie odpowiedział, tylko podszedł do wysokiego regalu w drugim końcu pokoju. Przyglądał się książkom przez jakiś czas.

Odeśle ją do domu. Zapewne szukał jakiejś książki, żeby zająć dziwaczną, naukowo usposobioną Philippę Marbury, póki nie zawiadomi kogoś o jej obecności.

- Nie potrzebuję książki. Doskonale potrafię zająć się sobą - oznajmiła. Nie odpowiadał. - Proszę nie mówić Bourne'owi. Ani mojemu ojcu.

Ściągnął z wysokiej półki oprawny w czerwoną skórę tom.

- Nie mówić czego?

Zapomniała o pytaniu, kiedy półka przesunęła się do wewnątrz ściany, odsłaniając ciemną przestrzeń.

Pippa sapnęła z wrażenia i podeszła bliżej, żeby się temu przyjrzeć.

- Nigdy...

Oparła się na regale, zaglądając w coś, co wydawało się niekończącym się korytarzem. Spojrzała na towarzysza, niezdolna powstrzymać uśmiechu.

- Tajemne przejście.

Tempie uśmiechnął się również.

- Zgadza się. - Wręczył jej świecę i odstawił książkę na miejsce, zapraszając ją gestem dłoni do tajemniczego korytarza. Ale nie wcześniej, niż przyjrzała się dziełu, które strzegło tej niezwyklej tajemnicy.

Raj utracony.

Pippa wstąpiła w ciemność. Zaprawdę.

Tempie prowadził, a serce Pippy biło niespokojnie w rytm rosnącego z każdym krokiem podniecenia. Nie widziała żadnych drzwi, a ściany zakrzywiały się, tworząc jakby ogromne koło.

- Co jest po drugiej stronie ściany?

Tempie się nie zawahał.

- Nic ważnego.

- O, tak. Wierzę. Roześmiał się.

- Może Cross pani pokaże pewnego dnia. Albo lady Bourne. Uniosła brwi.

- Penelopa wie? - Trudno było sobie wyobrazić jej przestrzegającą konwenansów siostrę, jak zwiedza tajemne przejście w osławionym męskim klubie. Ale Penelopa wyszła, ostatecznie, za mąż za jednego z właścicieli.

- Przypuszczam, że tak. - Szkoda, że nie mogła zadać pytań na interesujący ją temat Penelopie, nie wzbudzając podejrzeń.

Nie podejrzeń. Paniki.

A panika nie była przecież uzasadniona. Skoro Penelopa знаła tajemnice klubu, dlaczego Pippa miała być od tego odsunięta? Ponieważ Pippa nie miała tutaj opiekuna. Prawdziwego.

Po czasie, który wydawał się wiecznością, Tempie zatrzymał się i położył dłoń płasko na ścianie. Niczym za sprawą magii otworzyły się drzwi, które wzięły się znikąd.

Wprowadził ją do alkowy obok głównego pomieszczenia Anioła, zamykając drzwi za nimi z cichym stuknięciem. Odwróciła się, żeby zbadać ścianę, przesuając palcami po grubym jedwabiu. Tylko dlatego, że wiedziała o istnieniu drzwi, znalazła szew. Spojrzała na towarzysza szeroko otwartymi oczami.

- Imponujące.

Nie odpowiedział od razu, zamiast tego wpatrując się z nieodgad-nionym wyrazem twarzy w ścianę naprzeciwko, jakby widział ją po raz pierwszy i zrozumiał, że reszta świata nie kryje tajemnych przejść, zakrzywionych ścian i tajemniczych mężczyzn. Po tej refleksji uśmiechnął się.

- Nieprawdaż?

- Kto to projektował?

Uśmiechnął się, jego białe zęby błysnęły w słabym świetle.

- Cross.

Ponownie dotknęła dłonią niewidzialnego szwu w ścianie. Oczywiście, że on.

- Tempie!

Krzyk ją zaskoczył, ale Tempie wydawał się na to przygotowany, przechodząc przez zasłony u wejścia do alkowy. Ukazał się w pokoju... skąd dobiegł potok pełnych podniecenia słów w języku francuskim. Olbrzym podniósł ręce, jakby w

geście poddania, i przeszedł przez kasyno, znikając z oczu. Pippa wystawiła głowę, żeby się rozejrzeć.

W pewnym oddaleniu znajdowała się tam kobieta o czerwonych policzkach, włosach wysoko upiętych i w fartuchu. W ręce... czy to była ryba? Tak czy inaczej, klęła jak marynarz. Francuski marynarz.

Przeszła na angielski.

- Ten dureń Irvington dał znać, że sprowadza bandę swoich znajomków kretynów na kolację. On mi mówi, jak mam przygotować rybę! Gotowałam dla Karola II! Powinien paść na kolana i dziękować Bogu, że chce mi się gotować dla imbecyla Irvingtona I!

Pippa była głęboko przekonana, że to nie pierwszy Irvington, który okazał się imbecylem. Ani też pierwszy, który wykazał brak wrażliwości. Lub manier.

- Posłuchaj, Didier... - zaczął Tempie z nienagannym francuskim akcentem, cichym, łagodnym głosem, jakby przemawiał do dzikiego zwierzęcia.

I może tak było.

- Zawiadom tego kretyna, że jeśli nie chce jeść ryby przyrządzonej w taki sposób, w jaki ja chcę ją przyrządzić, to niech sobie znajdzie inną rybę... inną kucharkę... i inny klub! - To ostatnie niemal wprawilo w drżenie belki pod sufitem.

W odległości niecałych dziesięciu stóp od miejsca, gdzie stała dziwna kobieta, otworzyły się drzwi gabinetu pana Crossa.

- Co się do diabła tutaj dzieje?

Pippa wstrzymała oddech, kiedy się pojawił - wysoki, szczupły, nieogolony.

Był w koszuli z podwiniętymi rękawami i jej wzrok padł na długie, szczupłe przedramiona, w których pracowały mięśnie. W ustach jej zaschło. Nigdy nie

uwazała, żeby przedramiona były szczególnie interesujące, ale też niecodziennie ma się okazję oglądać tak piękny okaz.

Tak. To anatomia ją interesowała. Kości.

Radius. Ulna.

To pomagało. Myślenie o kościach. Kucharka pomachała rybą.

- Irvington myśli, że może krytykować mój sos! Imbecyl nie poznałby się na sosie, nawet jakby mu go wlać do kieszeni!

Pan Cross przewrócił oczami.

- Didier... wróć do kuchni i ugotuj rybę. Irvington zje to, co mu każemy.

Kucharka otworzyła usta.

- Zje to, co mu podamy, i nic lepszego nie dostanie.

- Ten człowiek ma podniebienie kozła - burknęła kucharka. Tempie uśmiechnął się szeroko, rozkładając ręce.

- Mam nadzieję, że, dla dobra nas wszystkich, nie podasz mu *poisson en papier mâché*.

Kucharka uśmiechnęła się. Pippa również.

- Nie lubię go.

- Ja też nie, ale on i jego przyjaciele lubią przegrywać, więc trzymamy go mimo wszystko.

Wojowniczy duch wyraźnie opuścił kucharkę.

- Doskonale - oznajmiła, wymachując rybą. - Ugotuję mu rybę.

- Może niekoniecznie tę właśnie rybę - powiedział sucho Cross.

Pippa roześmiała się, zapominając, gdzie jest, i że dźwięk się rozchodzi szybko i głośno w wielkim pomieszczeniu. Szare oczy Crossa spojrzały w jej stronę.

Wsunęła głowę z powrotem do alkowy, z bijącym sercem przyciskając się

plecami do ściany.

- Posłuchaj, Cross - usłyszała przymilny głos Temple'a.

Bez odpowiedzi. Pippa wyęczała słuch, żeby usłyszeć, co nastąpiło później, zbliżając się do wyjścia, czekając na jakiś znak, że ją widział, że zauważył.

Cisza. Która trwała wieki.

W końcu, nie mogąc oprzeć się pokusie, zerknęła dyskretnie przez szparę.

Pan Cross stał nie dalej niż sześć stóp, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, czekając na nią.

Wzdrygnęła się, przestraszona jego bliskością, i wypowiedziała słowa, które pierwsze przyszyły jej do głowy.

- Dzień dobry.

Jedna rudawa brew uniosła się do góry.

- Dzień dobry.

Wyszła, zaciskając mocno dłonie przed sobą. Tempie i kucharka przyglądali im się z ciekawością. Jakby to spotkanie było ciekawsze od kucharki wymachującej pstrągiem w kasynie.

Wcale nie było.

Pippa wiedziała to z całą pewnością.

Spojrzała w chłodne, szare oczy pana Crossa, czekając, aż on powie coś jeszcze.

Nie powiedział.

Świetnie. Może poczekać. Czekala już przedtem. Tylko że po upływie, jak jej się wydawało, dobrego kwadransa nie mogła dłużej tego znieść.

- Przypuszczam, że zastanawia się pan, skąd się tutaj wzięłam.

- Zaczyna pani szpiegować, lady Philippo. Wyprostowała się.

- Ja nie szpieguję.

- Nie? Moje biuro? Pani balkon? A teraz... w moim klubie... w ciemnej

alkowie? Nazwałbym to szpiegowaniem.

- Balkon był mój - zauważyła z oburzeniem. - Jeśli ktoś szpiegował, to pan.

- Mhm. - Zmrużył oczy. - Może wyjaśniłaby mi pani swoją obecność w tym miejscu?

- Byłam w pobliżu - oznajmiła. - Blisko klubu. Nie alkowy. Choć przypuszczam, że bliskość jednego oznacza bliskość drugiego. Sądzę jednak, że koncepcyjna bliskość względem każdego z tych miejsc jest względna. W pana umyśle. Przynajmniej.

Tempie parsknął.

- Lepiej by było, gdybyś nas zostawił - zwrócił się Cross do partnera, nie odwracając wzroku od Pippy. - Zanim ukarzę cię za to, że ją tu wpuściłeś.

- Co miałem zrobić, zostawić ją na ulicy, żeby waliła w drzwi, aż ktoś by ją zauważył? - Tempie mówił lekkim, kpiącym tonem. Zupełnie niestosownie do sytuacji. - Poza tym ona nie przyszła do ciebie.

Oczy Crossa pociemniały, a Pippie serce zabiło gwałtowniej. Był rozgniewany.

Odsunęła się mimowolnie z powrotem do alkowy. Poszedł za nią, pozwalając zasłonom opaść. Otoczył ich mrok. Stali o parę stóp od pozostałych - którzy wiedzieli, że są tutaj - a jednak jej puls jeszcze przyspieszył, kiedy odezwał się niskim, groźnym głosem:

- Co pani tutaj robi? Podniosła brodę.

- To nie... - Odchrząknęła. - To nie pańska sprawa. Wstrzymał na chwilę oddech, jakby go zaskoczyła.

- Mieliśmy czy nie mieliśmy zakładu?

- Mieliśmy.

Wyciągnął rękę, kładąc dłoń na ścianie za jej głową; przedramię, tylko w rękawie koszuli, nie pozwalało jej skupić myśli.

- Czy myślę się, że jednym z warunków było zobowiązanie, że nie będzie się pani zbliżać do innych mężczyzn poza swoim narzeczonym?

Nie podobał jej się jego ton.

- Nie myli się pan.

Pochylił się, tak blisko... Jej wzrok padł na rozchylony kołnierzyk jego koszuli, gdzie powinna być krawatka, ale jej nie było. Trójkąt skóry lekko pokryty włoskami pociągał ją irracjonalnie. Chciała go dotknąć.

- Proszę mi wobec tego, do diabła, wyjaśnić, co pani robi w towarzystwie Temple'a?

Gniew w jego głosie przywołał ją do rzeczywistości. Niepokoił ją i wytrącał z równowagi.

Próbowała się opanować - prawie niemożliwe w ciemnym pokoiku i z nim tak blisko.

- Otworzył mi drzwi.

- Jeśli przyszło pani do głowy, żeby złamać warunki zakładu, wezwę Boga, Bourne'a i pani ojca, żeby przywołali panią do porządku. W tej kolejności.

- Nie powinnam się dziwić, że w swoim mniemaniu ma pan kontrolę nad Wszechmogącym - odparła.

Wyglądał tak, jakby miał ochotę kogoś zamordować.

- Cross. - Tempie ruszył jej na pomoc zza zasłony. Uratowana. Pippa wypuściła z płuc powietrze; nie zdawała sobie dotąd sprawy, że je powstrzymuje.

Cross odwrócił głowę, ale nie ruszył się z miejsca.

- Zostaw nas.

Tempie szarpnął zasłonę, wpuszczając światło do środka.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Dama nie przyszła do ciebie. Cross przebył alkowę w jednej chwili.

- Do wszystkich diabłów, z pewnością nie przyszła tutaj do ciebie. Poczowała dreszcz podniecenia. Jakby jej bronił. Jakby chciał o nią walczyć.

Jakie to fascynujące. Wstrzymała oddech, obserwując jego ruchy - szybkie, oszczędne. Dzielili ich teraz parę cali. Cross wysoki i szczupły, o mięśniach napiętych jak węzły, i Tempie parę cali niższy, ale o połowę szerszy i... uśmiechający się kpiąco.

- Nie, wcale nie - odparł Tempie. - Przyszła po coś innego. Cross obejrzał się na nią przez ramię; jego szare oczy lśniły gniewnie.

- Mam tylko jedenaście dni. - Była gotowa wyjaśnić swój cel. Z pewnością zrozumie, że jest w trudnej sytuacji.

- Może chciałbyś jej towarzyszyć? - wtrącił Tempie lekkim tonem. Oczy Crossa straciły wyraz, przez chwilę miała irracjonalną ochotę, żeby go dotknąć i w ten sposób przywrócić mu uczucia. Choć wcale jej na tym nie zależało. Uczucia jej nie interesowały. Jej celem była wiedza.

Tak czy inaczej, było już za późno. Cross odwrócił się, minął Temple'a i poszedł do swojego biura.

Ruszyła za nim, jakby do niego uwiązana.

- Czy to wszystko?

Dotarł do drzwi biura i znowu na nią spojrzał.

- To nie moja sprawa.

Poczuła ukłucie czegoś bardzo podobnego do bólu.

- Ma pan rację. To nie pana sprawa.

- Nie będę pani opiekunem. Mam ważniejsze sprawy.

Otworzył drzwi biura, nie próbując ukryć kobiety w środku.

Pięknej kobiety o kruczoczarnych włosach, ciemnych oczach, karminowych ustach i uśmiechu, który sam w sobie był skandalem. Pippa, ze wzrokiem wbitym w nieznajomą, zrobiła krok do tyłu. W myślach analizowała wydarzenia ostatnich kilku minut - jego nieogolona twarz, pognieciona koszula, irytacja, z jaką otworzył drzwi - jakby kucharka przerwała coś bardzo ważnego.

Był w biurze z tą kobietą, kobietą, która uśmiechała się tak, jakby on był jedynym mężczyzną na świecie. Jakby ona była jedyną kobietą. Jakby postawili sobie za zadanie ponowne zaludnienie ziemi. Pippa przełknęła ślinę.

- Rozumiem. Uśmiechnął się krzywo.

- Nie wątpię.

Cofnęła się jeszcze bardziej, a on zamknął drzwi.

- Nigdy nie widziałam, żebyś traktował w ten sposób kobietę - powiedziała Sally Tasser, podciągając pod siebie nogi na szerokim fotelu, żeby Cross mógł przejść.

Cross zignorował jej słowa i poczucie winy, jakie w nim obudziły.

- Na czym skończyliśmy?

Co ona tutaj robi? Jak mogła tak przekreślić warunki zakładu, żeby rościć sobie prawo do wkraczania w jego prywatną przestrzeń?

Prostytutka uniosła czarne brwi w milczącym niedowierzaniu, zagładając w notatki.

- Mam trzynaście dziewcząt, wszystkie pracujące w kasynie. - Przerwała. - Kim

ona jest?

Uosobieniem pokusy. Zesłanym, żeby go zniszczyć.

- Można im ufać?

I co, do diabła, robiła z Temple'em?

- Wiedzą, że dotrzymujesz obietnic. - Znowu przerwała. - Przynajmniej obietnic składanych dziwkom.

Odwrócił się gwałtownie.

- Co to ma znaczyć?

- Tylko tyle, że do moich kobiet zawsze odnosiłeś się jak prawdziwy dżentelmen. A jednak wydaje się, że tego popołudnia wyjątkowo niegrzecznie potraktowałeś damę.

Nie chciał przyznać, że mówiła prawdę.

- Od kiedy to żywisz przyjazne uczucia wobec arystokracji?

- Odkąd zobaczyłam twarz tej damy. Wyglądała, jakbyś kopnął jej psa.

Wzmianka o psie Pippy przypomniła mu ich rozmowę o prośbie

Castletona, żeby nadała imię jego psu, i o tym, jakie to dla niej trudne.

Przypomniła mu sposób, w jaki układała usta, chcąc wyjaśnić, dlaczego się waha.

Przypomniła, jak cała ta rozmowa sprawiła, iż zapragnął ją porwać i przekonać, że małżeństwo z Castletonem jest absolutnie nie dla niej. Naturalnie, nie opowiedział o tym Sally.

- Chcę w klubie jego pięćdziesięciu największych graczy - oznajmił zamiast tego. - Nikogo nie może zabraknąć.

Kobieta spojrzała mu spokojnie w oczy.

- Będziesz ich miał. Czy kiedyś cię zawiodłam?

- Nigdy. Ale kiedyś musi być ten pierwszy raz.

- Co on na ciebie ma? Cross pokręcił głową.

- Nieważne.

Uśmiechnęła się lekko, niezbyt wesoło.

- Przypuszczam, że masz coś wspólnego z tym, jak się puszy, że wydaje córkę za hrabiego.

Cross rzucił jej ponure spojrzenie.

- Nie ożenię się z jego córką.

- Tak myślisz. Ona zjawi się tu za pięć dni, a kiedy to się stanie, Knight zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby cię z nią ożenić. - Nie odpowiedział, więc

dodała: - Nie wierzysz? Taki jest Knight.

- Nie ożenię się z tą dziewczyną - powtórzył.

- Tej nocy pracuję w kasynie - powiedziała Sally po dłuższej chwili. - Jeśli jakaś gruba ryba wejdzie przez drzwi, sama wsunę mu zaproszenie na Pandemonium. -

Pochyliła głowę w stronę drzwi. - A teraz opowiedz mi o dziewczynie.

Zmusił się, żeby usiąść i udał, że źle zrozumiał pytanie.

- Nigdy nie poznałem Meghan. Zapytaj Knighta. Uśmiechnęła się kpiąco.

- Naprawdę, Cross? Taka niemądra gra?

Oparł się odruchowi przesunięcia rękami we włosach; zamiast tego usiadł wygodnie, siląc się na spokój. Pippa Marbury to było więcej niż coś, z czym przyzwoity mężczyzna mógł sobie poradzić. A on w ogóle nie był przyzwoity.

- Jest kimś, kto nie powinien był tu przychodzić. Powinien dopilnować, żeby jej tu nie wpuszczano. Roześmiała się.

- Tego nie musisz mi mówić. A jednak przyszła.

- Lubi przygody.

- Cóż, obwąchuje złe drzewo, jeśli szuka przygód. Nie odpowiedział, wołając nie rozwijać tego tematu.

- Próbujesz ją trzymać z daleka od siebie?

Na Boga, tak. Nie chciał jej tutaj. Nie chciał, żeby dotykała jego rzeczy, zostawiała swoje ślady, kusiła go. Nie chciał, żeby zagrażała jego sanktuarium.

Nie chciał, żeby roztaczała światło w tym mrocznym miejscu.

- W ogóle próbuję trzymać ją z daleka od tego miejsca. Pochyliła się w przód.

- Nie jest twoją kochanką.

- Oczywiście, że nie.

Uniosła jedną czarną brew w górę.

- W tym nie ma nic oczywistego. Może byłoby, gdybym nie zobaczyła jej twarzy.

- Może powinienem ją przeprosić, ale to z niej nie czyni nawet w przybliżeniu mojej kochanki.

To rozbawiło Sally.

- Nie rozumiesz, Cross? To dlatego, że czujesz, że jesteś jej winien przeprosiny, ona może być twoją kochanką bardziej niż którakolwiek z nas. - Po dłuższej

chwili dodała: - A nawet gdybyś tak tego nie odczuwał, twarz dziewczyny mówi wystarczająco dużo.

- Przyszła prosić mnie o pomoc w pewnej sprawie. - Niemądra prośba, ale Sally nie musiała tego wiedzieć.

- Może prosić o pomoc w jakiejś sprawie - powiedziała prostytutka, śmiejąc się cicho - ale pragnie twojej pomocy w czymś zupełnie innym.

Cross zmrużył oczy.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- O miłości cielesnej - oparła zwyczajnie, jakby zwracała się do dziecka.

Dziecka zbyt mądrego jak na swój wiek. - Ta kobieta zobaczyła, kim jestem. Wie, co robię. I jest zazdrosna.

Cross spojrział w jej ciemne oczy, widząc tylko wielkie, zdumione, niebieskie oczy Pippy za okularami, które je jeszcze powiększały.

- Nie ma powodów do zazdrości.

- Niestety, to prawda. - Sally odęła lekko usta i oparła się w fotelu. - Ale ona o tym nie wie.

- Miałem na myśli to - powiedział niechętnie - że ona nie jest zazdrosna.

Sally się uśmiechnęła.

- Oczywiście, że jest. Chce ciebie.

- Nie. Chce mojej pomocy w pewnej... - zawahał się, szukając słowa - pracy badawczej.

Sally śmiała się długo i głośno.

- Wcale w to nie wątpię.

Cross odwrócił się, sięgając na ślepo po książkę, której nie potrzebował.

- Skończyliśmy.

Sally westchnęła i podeszła do biurka.

- Powiedz mi tylko, czy ona wie? Zamknął oczy, zgnębiony.

- Wie o czym?

- Wie, że nigdy cię nie dostanie?

- Wychodzi za mąż za lorda za tydzień z kawałkiem. - A nawet, gdyby nie wychodziła, i tak jest dla mnie o wiele za dobra.

- Zaręczyny są po to, żeby je zrywać.

- Zapominam, jaka potrafisz być cyniczna.

- Przypadłość zawodowa. - Podeszła do drzwi, ale odwróciła się jeszcze, zanim je otworzyła. - Powinieneś jej powiedzieć. Zanim biedactwo rozchoruje się z nieodwzajemnionej miłości.

Nie odpowiedział.

- Przyjdę jutro z listą - dodała na koniec.

- Dziękuję.

Kiwnęła głową i otworzyła drzwi, ale zanim wyszła, odwróciła się do niego z lekkim uśmiechem na zbyt czerwonych ustach.

- Czy mam poprosić twojego następnego gościa? Wiedział, zanim zobaczył na własne oczy, kto jest za drzwiami. Philippa Marbury siedziała na wysokim krupierskim stołku, nie dalej niż pięć stóp od niego, gryząc kanapkę.

Nie zamierzał wstawać, ale wstał tak czy inaczej, obchodząc biurko, jakby go ktoś gonił.

- Ktoś pani dał jedzenie?

Oczywiście, że ktoś ją czymś poczęstował. Z pewnością Didier z jej słabością do wszelkich gołębic o zbrukanych piórkach, które trafiły przypadkiem do kuchni Anioła.

Ale Philippa Marbury nie była gołębicą o skalanych brudem białych piórkach. Jeszcze nie.

I nie będzie, jeśli on ma jeszcze coś do powiedzenia w tej sprawie.

- Pańska kucharka była tak miła, że podała mi talerz z posiłkiem, kiedy czekałam. - Wstała, wyciągając w jego stronę wspomniany talerz. - Pyszności, chciałby pan coś?

Tak. Boże, tak, chciałby czegoś.

- Nie. Dlaczego panią nakarmiła?

- Przepoczwarzam się.

Spojrzał w sufit, błagając niebiosa o cierpliwość.

- Na ile różnych sposobów muszę panią przekonywać, że nie jestem zainteresowany pomaganiem pani w wydostaniu się z tego akurat kokonu?

Otworzyła usta ze zdumienia.

- Wspomniał pan o metamorfozie.

Ta kobieta doprowadzała go do szaleństwa.

- Pani pierwsza o tym wspomniała. A zatem mówiłem, czy nie mówiłem, żeby pani poszła do domu?

Uśmiechnęła się, ślicznym, szerokim uśmiechem, który nie powinien mu się tak bardzo podobać.

- W gruncie rzeczy nie powiedział pan, żebym poszła do domu. Właściwie umył pan ręce, jeśli o mnie chodzi.

Rozważał, czyby nie wziąć za ramiona tej strasznej kobiety i nie potrząsnąć.

- Niech mi pani, w takim razie powie, co pani tutaj robi, czekając na mnie?

Przechyliła głowę, jakby przyglądała się dziwnemu okazowi w gablocie

Królewskiego Towarzystwa Entomologicznego.

- Och, źle pan zrozumiał. Nie czekam na pana. Co do diabła. Oczywiście, że czekała na niego.

Ale nie czekała. Wstała, wcisnęła mu w rękę talerz - wraz z niedojedzoną kanapką - i zwróciła całą uwagę na Sally.

- Czekam na panią.

Sally zerknęła na niego, wyraźnie niepewna, co ma robić. Pippa wydawała się nie zauważać, że ich zaskoczyła. Podeszła bliżej, wyciągając rękę na powitanie.

- Jestem lady Philippa Marbury. A niech to wszyscy diabli.

Oddałby połowę majątku, żeby cofnąć moment, kiedy Pippa podała Sally swoje imię. Nigdy nie wiadomo, kiedy dama postanowi zmienić front, a wiedza daje władzę, którą można się upoić.

Teraz jednak Sally ukryła zdumienie, ujęła dłoń Pippy i dygnęła krótko.

- Sally Tasser.

- Miło mi panią poznać, panno Tasser - powiedziała Pippa, jakby poznawała nową debiutantkę na podwieczorku, a nie jedną z najlepszych londyńskich dziwek w kasynie gry. - Ciekawa jestem, czy ma pani chwilę, żeby odpowiedzieć na kilka moich pytań?

Sally bawiła się setnie.

- Myślę, milady, że mam trochę czasu. Pippa pokręciła głową.

- Och, nie. Porzućmy te ceremonie. Proszę mówić do mnie Pippa. Po jego gnijącym trupie.

- Istnieją wszelkie powody, żeby trzymać się ceremonii - oznajmił. - Pod żadnym pozorem - zwrócił się do Sally - nie będziesz się do pani zwracać inaczej niż lady.

Pippa ściągnęła brwi.

- Proszę wybaczyć, panie Cross, ale w tej rozmowie jest pan zbędny. Spojrzał na nią groźnym wzrokiem.

- Zapewniam panią, że wprost przeciwnie.

- Czy dobrze zrozumiałam, że nie ma pan ani czasu ani ochoty, żeby ze mną rozmawiać w tej właśnie chwili?

Zapędziła go w kozi róg.

- Tak jest. Uśmiechnęła się.

- Otóż to. Ponieważ ja dysponuję jednym i drugim, sądzę, że zacznę moje dociekania teraz. Bez pana. - Odwróciła się do niego plecami. - A więc, panno Tasser, czy nie myślę się w swoich domysłach, że jest pani, w istocie, prostytutką? To słowo padło z jej ust, jakby je powtarzała dziesięć razy dziennie.

- Dobry Boże. - Spojrzał na Sally. - Nie odpowiadaj.

- A dlaczego nie? - Pippa uśmiechnęła się do Sally. - To żaden wstyd. Teraz nawet Sally uniosła brwi.

To mu się chyba śniło. Pippa nie ustępowała.

- Żaden. Sprawdziłam to, i takie słowo jest w Biblii. W Księdze Kapłańskiej. A szczerze mówiąc, jeśli coś znajduje się w świętym tekście, to jest rzeczą zupełnie naturalną, żeby je powtarzać w eleganckim towarzystwie.

- Ściśle mówiąc, nie należę do eleganckiego towarzystwa - zauważyła, zdaniem Crossa błyskotliwie, Sally.

Pippa uśmiechnęła się.

- Nic nie szkodzi... stanowi pani doskonałe towarzystwo dla moich celów.

Mogę przypuszczać, że pani kariera jest taka, jak sobie wyobrażam, ponieważ jest pani bardzo piękna i wie doskonale, jak patrzeć na mężczyznę tak, jakby bardzo go pani kochała. Pani po prostu płonie z miłości.

Cross musiał położyć temu kres. Natychmiast.

- A skąd pani wie, że ona po prostu nie jest we mnie zakochana? Nie w taki sposób zamierzał to skończyć. Wcale nie taki. A niech to. Spojrzała na niego przez ramię, potem na Sally.

- Kocha go pani?

Sally spojrzała płonącym namiętnością wzrokiem na Pippę, która zachichotała.

- No właśnie. O to chodzi. Bardzo dobrze.

Sally spojrzała na Crossa ponad ramieniem Pippy. Jej oczy się śmiały.

- Dziękuję pani.

Cóż. Przynajmniej zwróciła się do niej formalnie.

- Czy mogę mówić otwarcie? - zapytała Pippa, jakby nie mówiła otwarcie przez ostatnie cztery dni. Przez całe życie.

- Proszę - odparła Sally.

Tracił panowanie nad sytuacją. Musiał coś zrobić.

- Nie - odezwał się, rozdzielając obie kobiety. - Nikt nie mówi otwarcie. Z pewnością nie z Sally.

- Rozmawiam z damą z największą przyjemnością, Cross - oświadczyła Sally; Cross usłyszał w jej głosie kpinę.

- W to nie wątpię. Ale nie będziesz. Bo masz być akurat gdzie indziej. Teraz.

- Nonsens - powiedziała Pippa, zmuszając go, żeby się odsunął, energicznym kuksańcem w bok. - Panna Tasser zapewniła już, że ma dla mnie czas. -

Zamrugła za grubymi szklami okularów. - Jest pan wolny, panie Cross.

Sally parsknęła śmiechem.

Pippa ponownie skupiła uwagę na prostytutce, ujmując kobietę pod ramię i prowadząc dalej od Crossa, w kierunku głównego wejścia do klubu. Zamierzała wyjść z kasyna, na ulicę St. James, w środku dnia, pod ramię z prostytutką.

- Ciekawa jestem, czy zechciałaby pani mnie nauczyć, jak pani to robi.

- To? - nie chciał powiedzieć tego głośno.

Pippa zignorowała go, ale odpowiedziała na pytanie.

- Powalać wzrokiem. Widzi pani, mam wyjść za mąż za jedenaście dni. Nawet trochę mniej i potrzebuję...

- Uwieść męża? - zapytała Sally. Pippa skinęła głową.

- W pewnym sensie. Potrzebuję także pani niewątpliwej wiedzy w innych sprawach dotyczących... małżeństwa.

- W jakich sprawach?

- Tych związanych z prokreacją. Stwierdziłam, że to co, jak mi się wydawało, wiem na temat mechaniki aktu jest, cóż, nieprawdopodobne.

- Nieprawdopodobne w jaki sposób?

- Szczerze mówiąc, sądziłam, że to coś podobnego jak w hodowli zwierząt.

- Czasami, milady - powiedziała suchym tonem Sally - obawiam się, że różnica nie jest zbyt wielka.

Pippa zastanowiła się chwilę.

- Czy tak?

- Mężczyźni, generalnie, nie są skomplikowani - stwierdziła pewnym siebie tonem Sally. - Są jak zwierzęta, kiedy chcą nimi być.

- Dzikie!

- Ach, więc pani rozumie. Pippa przechyliła głowę na bok.

- Czytałam o tym Sally skinęła głową.

- W tekstach erotycznych?

- W *Modlitewniku powszechnym*. Ale może zna pani jakiś tekst erotyczny, który mogłaby mi pani polecić.

To był ten moment, kiedy nie mógł już znieść więcej.

- Czyż nie przegrała pani ze mną zakładu, który zakazywał dokładnie tego typu interakcji? - odezwał się szorstko i brutalnie. Nie dbał o to. - Odejdź już, Sally - zwrócił się do dziewczyny.

Pippa uniosła brodę, przyjmując postawę, którą zaczynała uważać za najbardziej u niej denerwującą.

- Przyrzekłam nie pytać innych mężczyzn. W zakładzie nie było mowy o kobietach.

Otworzył usta, żeby odpowiedzieć. Zamknął je.

Skinęła głową, wyraźnie zadowolona, i ponownie zwróciła się do Sally.

- Panno Tasser, z tego, co widziałam, wnoszę, że jest pani biegła... przynajmniej pan Cross wydaje się tak uważać.

Czy ona straciła rozum?

- Crossa i mnie, niestety, nigdy nie... łączył wspólny interes - powiedziała Sally.

Usta Pippy ułożyły się w doskonałe O.

- Rozumiem - odparła, chociaż było jasne, że nie rozumie. - Oczywiście, musi pani być dyskretna. Doceniam to. I z chęcią zapłacę za instrukcje - dodała. -

Miałaby pani ochotę odwiedzić mnie w domu?

Mylił się; teraz dotarł do kresu wytrzymałości. Niczego nie będzie się uczyć od

Sally. Ani od Temple'a. Ani od Ca-stletona, do diabła, - nieważne, że był jej narzeczonym. Cross nie chciał, żeby ktokolwiek jej dotykał. Skoro on nie mógł.

Chwyił Pippę za ramię, odciągając od Sally, zawracając z drogi, jakakolwiek by była, a która groziła skandalem. Nie przejął się jej oburzonym sapnięciem ani przyjemnością, jaką jego palcom sprawił kontakt z jej ciałem.

- Sally, musisz już iść. - Odwrócił się do Pippy. - A pani do mojego biura.

Zanim ktoś panią tu odkryje.

- Klub jest zamknięty. Kto mnie tu znajdzie?

- Pani szwagier, być może? Pippa pozostała niewzruszona.

- Bourne i Penelopa są dzisiaj na rybach. Dziś rano wyjechali do Falconwell.

Wracają jutro.

- Na rybach. - Choćby miał całą wieczność, nie zdołałby sobie wyobrazić

Bourne'a z wędką, na brzegu jeziora.

- Tak. Spędzili razem mnóstwo czasu, łowiąc ryby. Nie rozumiem, co w tym takiego zaskakującego.

Sally pokręciła głową.

- Tragedia, kiedy mięknie hulaka pokroju Bourne'a. Pippa spojrzała jej w oczy.

- Przypuszczam, że to odnosi się do... ale moja siostra wydaje się szczęśliwa.

- Z pewnością. Bourne zawsze potrafił uszczęśliwiać kobiety. Pippa

zastanawiała się dłuższą chwilę.

- Czy chce pani powiedzieć, że pani... z Bourne'em?

- Nie chciała nic takiego powiedzieć. - Spojrzała znacząco na Sally. - Wyjdz.

Prostytutka przechyliła głowę z kpiącym błyskiem w oczach.

- Obawiam się, że nie mogę odejść, Cross. Dopóki nie udzielę damie informacji, których się domaga.

Pippa wydawała się nie pamiętać o swoim pytaniu dotyczącym Bourne'a.

Dzięki Bogu.

- To bardzo miło, że pośpieszyła mi pani z pomocą.

Sally Tasser spędziła zbyt wiele czasu na ulicy, aby być dobrą. Nie zrobiłaby niczego, co byłoby wbrew jej interesom. Jedynym powodem, dla którego zdecydowała się wystąpić przeciwko Knightowi, było to, że Anioł obiecał jej płacić potrójną gażę w porównaniu z tą, jaką wypłacał jej obecny pracodawca.

Cross posłał Sally wymowne spojrzenie.

- Sally wychodzi, lady Philippo. - Słowa zabrzmiały bardziej szorstko, niż zamierzał. Ale ile mężczyzna może wytrzymać?

Przez chwilę myślał, że obie kobiety się na niego rzucą. A potem Sally przechyliła głowę, uśmiechając się do niego słodko.

- Cóż, ktoś powinien odpowiedzieć na pytania damy.

Pippa kiwnęła głową.

- To prawda. Bez tego nie wyjdę.

Słowa padły, zanim zdołał ugryźć się w język.

- Ja odpowiem.

Sally wyglądała na ogromnie zadowoloną. Źle.

Niczego nie pragnął w mniejszym stopniu, niż odpowiedzieć na pytania, które zebrała Philippa Marbury w oczekiwaniu na lekcję u prostytutki. Pippa zmrużyła oczy.

- Nie wiem.

- Cross jest bardzo doświadczony - powiedziała Sally, uwalniając się z uścisku

Pippy, niemal mruczając jak kot. - Z pewnością odpowie na wszystkie pani pytania.

Pippa rzuciła mu spojrzenie pełne powątpiewania, sprawiając, że miał ochotę udowodnić jej na miejscu, że prostytutka się nie myli.

Sally zauważyła tę wymianę spojrzeń i uśmiechnęła się do niego promiennie.

- Czyż nie tak, panie Cross? Jestem pewna, że poradzi pan sobie bez mojej pomocy.

- Jestem pewien. - Był równie niepewny jak, wydawało się, była Pippa.

- Doskonale. A zatem widzimy się jutro rano, zgodnie z planem. Skinął głową.

Zwróciła się do Pippy.

- Cudownie było panią poznać, lady Philippo. Mam nadzieję, że będziemy jeszcze miały okazję się spotkać.

Nie, jeśli on będzie miał na to jakiś wpływ.

Sally znikła w ciemnym przejściu do tylnego wyjścia z klubu.

- Co panią napadło - zwrócił się gniewnie Cross do Pippy - żeby zacząć się na prostytutkę w kasynie?

Nastąpiła długa cisza i Cross zaczął się zastanawiać, czy Pippa w ogóle odpowie; brak odpowiedzi by go nie zmartwił, bo miał już jej szaleństwa powyżej uszu.

Jednak odpowiedziała, otwierając szeroko oczy, silnym głosem, zbliżając się do niego.

- Pan wydaje się nie rozumieć mojej trudnej sytuacji, panie Cross. Zostało mi jedenaście dni, zanim złożę przysięgę wobec Boga i ludzi, przysięgę dotyczącą pół tuzina spraw, o których nie mam pojęcia. Pan i cała reszta chrześcijańskiego świata, włącznie, jak się wydaje, z moimi

siostrami, nie mieliby problemu z tego typu aktem, ale dla mnie jest to trudne.

Jak mam złożyć przysięgę, której nie rozumiem? Jak mam wyjść za mąż, nie wiedząc nic o małżeństwie? Jak mam przysiąc, że będę dobrą żoną dla Castletona i matką jego dzieci, skoro brak mi podstawowej wiedzy na temat jednego i drugiego? Przerwała, dodając po chwili:

- Cóż, mam doświadczenie, obserwowałam byka w Coldharbour, ale... to niezupełnie to samo, jak twierdzi pan i Penelopa. Nie rozumie pan? Mam tylko jedenaście dni. I muszę wykorzystać każdy z nich.

Cofnął się w stronę stołu do gry, ona szła z nim.

- Potrzebuję tych dni. Potrzebuję wiedzy, jaką mogę w ich trakcie zdobyć.

Zrozumienia, które dzięki temu zyskam. Potrzebuję wszelkich informacji, jakie zdołam zgromadzić, jeśli nie od pana, to od panny Tasser. Albo od innych.

Obiecałam, że będę żoną i matką. I muszę się mnóstwo dowiedzieć na ten temat.

Oddychała ciężko, jej oczy lśniły, policzki zaróżowiły się, skóra jej białych

piersi napierała na dekolt sukni barwy róż. Patrzył na nią jak urzeczony - jej namiętym oddaniem śmiesznemu zadaniu, jakie sobie postawiła - jakby zrozumienie mechanizmów aktu fizycznego miało cokolwiek zmienić. Jakby miało ułatwić następnych jedenaście dni. Następnych jedenaście lat. Oczywiście, że niczego nie ułatwi.

Wiedza to za mało.

- Nie może pani wiedzieć wszystkiego, Pippo.

- Mogę wiedzieć więcej, niż wiem.

Uśmiechnął się; cofnęła się o krok, spojrzała na niego, a potem na swoje rozpostarte dłonie. Było w niej coś kruchego. Coś, co budziło w nim obawy.

Kiedy spojrzała na niego jasnym wzrokiem, mówiąc „będę żoną”, poczuł nagłą ochotę, żeby ją zamknąć w jednym z tajemnych pomieszczeń klubu i nie wypuszczać.

Najlepiej nigdy.

Zona. Nienawidził myśli o niej jako o żonie. Żonie Castletona. Czyjejkolwiek. „I matką”.

Przed oczami wyobraźni mignął mu obrazek: Pippa w otoczeniu dzieci.

Roześmianych dzieci w okularach, z których każde interesuje się jakimś aspektem świata, słuchających uważnie wyjaśnień matki o naukach ziemskich i niebieskich.

Będzie wyjątkową matką.

Nie. Nie musi o tym myśleć. Wcale nie musi się nad tym zastanawiać.

- Większość żon nie odwiedza prostytutek, żeby rozwinąć swoje umiejętności.

A na macierzyństwo ma pani jeszcze czas.

- Wydawała się równie dobrą asystentką jak ktokolwiek inny, zwłaszcza że

uciał pan moje możliwości wyboru o połowę. Ostatecznie, pan mi nie pomagał.

Czy to pańska kochanka?

Puścił pytanie mimo uszu.

- prostytutki to kolejne, logiczne posunięcie w pani planach?

- Ciekawe, ale do zeszłego wieczora tak nie było. Ale kiedy Penelopa

napomknęła, że tutaj mogą być prostytutki...

- Lady Bourne zna pani żalosne plany i nie przywiązała pani do krzesła? - Żona

Bourne'a, czy nie, dama zasługiwała na solidne lanie za to, że pozwoliła swojej

niezamężnej, pozbawionej opieki siostrze buszować niepotrzebnie w ciemnych

zakamarkach Londynu.

- Nie. Odpowiedziała tylko na parę pytań dotyczących Anioła. Dotyczących

jego? Nie chciał pytać. Wolał nie wiedzieć.

- Jakich pytań? Westchnęła.

- Takich, które pozwoliły mi się domyślić, że tutaj mogą być jakieś prostytutki.

Czy jest bardzo zręczna?

Pytanie było tak bezpośrednie, że zakręciło mu się w głowie. Nie musiała

wiedzieć, że Sally Tasser jest być może najlepsza w swoim fachu po tej stronie

Montmartre.

- Co chce pani wiedzieć?

Zamrugnęła wielkimi, niebieskimi oczami i powiedziała, jakby to była

najzwyklejsza rzecz na świecie:

- Wszystko.

Przez jedną długą, cudowną chwilę zatracił się w wyobrazeniach tego, co mogło

oznaczać owo wszystko. To, jak jej ciało dopasowałoby się do jego ciała, jej

smak - miękki i słodki - na języku, cudowne, nieprzyzwoite rzeczy, które

pozwoliłaby mu ze sobą robić. Lekcje, o które prosiła, wcale o tym nie wiedząc.

Chciał jej wszystko pokazać.

I zacząć teraz.

- Sądzi pan, że panna Tasser byłaby chętna, żeby udzielić mi swego rodzaju lekcji?

Zaczął mieć trudności z oddychaniem.

- Nie.

Pippa przechyliła głowę.

- Jest pan pewien? Jak powiedziałam, zapłaciłabym za to.

Myśl, że Pippa Marbury uczyłaby się za pieniądze fachu Sally Tasser przyprawiała Crossa o chęć zamordowania kogoś. Najpierw Bourne'a, który pozwala biegać szwagierce bez opieki po Londynie, potem markizę Needham-Dolby, która wychowała młodą kobietę kompletnie pozbawioną rozsądku, i wreszcie Castletona, który nie zajmuje się odpowiednio narzeczoną w tygodniach poprzedzających ślub.

- Lord Castleton nigdy nie próbował mnie skompromitować - powiedziała

Pippa, nieświadoma myśli kłębiących się pod czaszką Crossa.

Ten człowiek jest albo durniem, albo świętym.

Cross na miejscu Castletona wziąłby Pippę na dziesięć sposobów od chwili, kiedy zgodziłaby się zostać jego żoną. W ciemnych korytarzach i mrocznych alkowach, w powozie na ruchliwej ulicy w środku dnia i na zewnątrz, pod mocnym, zwalistym drzewem, gdzie tylko natura słyszałaby jej okrzyki rozkoszy.

Ich wspólne okrzyki rozkoszy.

Ale Cross nie był Castletonem.

Był Crossem.

I to było głęboko, krzywdząco niewłaściwe.

Odsunął się o krok. Myśli sprawiały, że czuł się winny. Rozejrzał się nagle po mrocznym kasynie, jakby w obawie, że ktoś jego myśli zobaczy. Że ktoś mógłby je usłyszeć.

Jak to się działo, że zawsze znajdował ją tam, gdzie nie powinny docierać damy?

- Zeszłego wieczoru próbowałam dać mu do zrozumienia, że byłabym szczęśliwa, gdyby mnie dotknął. Nawet pocałował.

Nienawidził hrabiego intensywnie, namiętnie.

- Ale on chyba w ogóle tego nie zauważył - ciągnęła. - No tak, dotknęłam tylko jego ręki, ale...

Cross zapłaciłby niezłą sumę, żeby go tak po prostu dotknęła. Niebieskie oczy znowu się w niego wpatrywały.

- Czy wie pan, dlaczego nie próbował mnie uwieść?

- Nie. - Aspiracje do świętości wydawały się jedynym możliwym wyjaśnieniem.

- Nie powinien pan uważać, że musi mnie chronić przed prawdą.

- Nie robię tego. - Tylko że tak właśnie było. Nie chciał, żeby poznała prawdę o tym, co myśli. O jego mrocznej wyobraźni.

- To dlatego, że jestem dziwna. - A potem spojrzała na niego swoimi wielkimi, błękitnymi oczami. - Nic na to nie poradzę.

Boże dopomóż, chciał ją całować do utraty tchu, czy była dziwna, czy nie.

Chciał ją całować do utraty tchu, ponieważ była dziwna.

- Pippo... - powiedział, wiedząc, że nie powinien się odzywać. Przerwała mu.

- Proszę mi nie mówić, że to nieprawda. Wiem, że tak jest. Jestem dziwna.

- Jest pani. Ściągnęła brwi.

- Cóż, nie musi mi pan także mówić, że to prawda. Nie mógł się powstrzymać.

Uśmiechnął się.

- To nic złego.

Spojrzała na niego, jakby to on - nie ona - oszalał.

- Oczywiście, że jest.

- Nie. Nie jest.

- Jest pan dobrym człowiekiem.

Nic z tych rzeczy. A kilka istotnych części jego ciała bardzo chciało jej to udowodnić Szczególnie jedna.

- To nic złego, że nie chce mnie uwodzić - stwierdziła. - Ale to nie może trwać wiecznie.

- Może stara się być dżentelmenem. Nie przyjęła tego wyjaśnienia.

- To nie powstrzymało Tottenhama. Oblało go gorąco.

- Tottenham próbował panią uwieść? - Zamorduje go, bez względu na to, czy tamten ma zostać premierem, czy nie.

Popatrzyła na niego, jakby mu wyrosły czułki na głowie.

- Nie. Dlaczego Tottenham miałby mnie uwodzić?

- Powiedziała to pani.

- Nie. Powiedziałam, że próbował uwodzić Oliwię. Nic takiego nie mówiła, ale nie chciał się spierać.

- Nie próbował - ciągnęła. - Zrobił to. - Zamknęła oczy. - Jestem jedyną siostrą Marbury, która nie została uwiedziona.

Gotów był naprawić to tragiczne niedopatrzenie.

Tylko że nie mógł tego zrobić.

- Może pan w to uwierzyć? - zapytała, patrząc mu w oczy. Nie wiedział, co powiedzieć. Więc milczał.

- Widzę, że tak. - Wciągnęła głęboko powietrze. - Dlatego prosiłam pana o pomoc, panie Cross. Chciałam, żeby mi pan pokazał, jak się to robi.

Tak.

Przełknął to słowo. Z pewnością źle ją zrozumiał.

- Jak się robi co? Westchnęła w głębokiej frustracji.

- Jak go przyciągnąć do siebie.

- Kogo?

- Czy pan mnie w ogóle słucha? Castletona! - Odwróciła się, kierując do najbliższego stołu, gdzie koło ruletki spoczywało spokojnie w dębowym siedzisku. Zwróciła się do koła: - Nie wiedziałam, że powinien mnie teraz uwodzić. Przed ślubem. Nie wiedziałam, że tak się robi.

- Nie jest tak. Nie powinien robić nic takiego.

- Hm, widocznie nigdy nie był pan zaręczony, ponieważ wydaje się, że to właśnie reguła, jeśli chodzi o pary, które mają się pobrać. Myślałam, że mam dwa tygodnie. Wygląda na to, że nie mam.

Szumiało mu w uszach i z trudem ją rozumiał, ale kiedy odwróciła się znowu do niego, wyprostowana, jakby szykowała się do bitwy, wiedział, że nie ma z nią szans.

- Moje badania muszą się rozpocząć natychmiast.

To była jego kara. Tylko tak mógł to sobie wytłumaczyć.

- Potrzebuję kogoś... - przerwała i poprawiła się - potrzebuję pana, żeby mnie pan nauczył, jak być normalną.

Jakaż kusząca trawestacja.

- Normalną.

- Tak. Normalną. - Podniosła bezradnie ręce. - Zdaję sobie teraz sprawę, że moje pierwotne żądanie: deprawacji? - zapytała, jakby mógł zapomnieć, czego się od niego domagała. Jakby mógł kiedykolwiek o tym zapomnieć. Jednak skinął głową. - Zdaję sobie teraz sprawę, że wcale nie było dziwne.

- Nie było? Uśmiechnęła się.

- Nie. Naprawdę. W gruncie rzeczy wydaje się, że w Londynie jest mnóstwo kobiet, które w pełni doświadczają tego, co mnie interesuje, przed nocą poślubną, włącznie z moimi siostrami. To ostatnie zostanie, mam nadzieję, między nami?

Nareszcie pytanie, na które potrafił odpowiedzieć.

- Oczywiście.

- Widzi pan, myślałam, że potrzebuję pewnej wiedzy na temat wspomnianej nocy, ponieważ lord Castleton może czegoś nie wiedzieć. Teraz jednak rozumiem... cóż... domagam się tego, ponieważ jest to czymś zwyczajnym.

- Zwyczajnym.

Przechyliła głowę, przyglądając mu się ciekawie.

- Często powtarza pan moje słowa, panie Cross.

Bo słuchać jej to jak uczyć się obcego języka. Arabskiego. Hinduskiego. Usta jej się nie zamykały.

- To coś zwyczajnego. Ostatecznie, jeśli Olivia to ma, a lord Tottenham jest prawdziwym dżentelmenem, więc wielu też musi to mieć.

- To.

- Wiedzę o przebiegu małżeńskiego... - Zawahała się. - Procesu. Zaczerpnął

głęboko powietrza i wypuścił je.

- Nadal nie jestem pewien, dlaczego potrzebuje pani prostytutki, żeby zdobyć wiedzę o takim... procesie.

- To bez różnicy, naprawdę. Wciąż potrzebuję asystenta. Tylko że teraz staram się zbadać normalność. Chcę się dowiedzieć, jak zachowują się normalne kobiety. Potrzebuję pomocy. Pilnie. Ponieważ pan odmówił, panna Tasser wystarczy.

Zabijała go. Powoli. Boleśnie.

- Sally Tasser nie jest zwykłą kobietą.

- Cóż, rozumiem, że jest prostytutką, przyjmuję jednak, że ma wszystkie potrzebne części?

O mało się nie udławił.

- Tak.

Zawahała się, coś dziwnego pojawiło się w wyrazie jej twarzy. Rozczarowanie?

- Widział pan?

- Nie. - To była prawda.

- Hm. - Nie wydawała się przekonana. - Nie zadaje się pan z prostytutkami?

- Nie.

- Nie jestem całkiem pewna, czy popieram tę profesję.

Nie? Bogu dzięki. Nie zdziwiłby się wcale, gdyby Pippa oznajmiła nagle, że odkryła w sobie chęć zbadania wszystkich aspektów najstarszego zawodu świata.

- Nie. - Pokręciła głową. - Boję się, że owe damy są źle traktowane.

- Damy, które bywają w Aniele, nie są źle traktowane. Ściągnęła brwi.

- Skąd pan wie?

- Są pod moją opieką. Zamarła.

- Czy tak?

Nagle zrobiło mu się ciepło.

- Robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby zapewnić im dobre traktowanie i dobre pieniądze, kiedy pracują pod naszym dachem. Jeśli dzieje im się krzywda, wzywają kogoś z ochrony klubu. Składają do mnie skargę. Jeśli odkryję, że członek naszego klubu znęca się nad kobietą, przestaje być członkiem.

Zastanawiała się nad tym długą chwilę.

- Pasjonuję się ogrodnictwem - powiedziała w końcu.

Nie był pewien związku roślin z prostytutkami, ale miał dość rozumu, żeby nie przerywać.

Mówiła dalej, wyrzucając z siebie słowa szybko i pewnie, jakby to wszystko miało sens.

- Ostatnio dokonałam raczej znaczącego odkrycia. - Jego uwagę pochłaniał sposób, w jaki wstrzymywała powietrze, mówiąc to. W jaki układała usta w leciutkim uśmiechu. Była z siebie dumna, a on stwierdził, że - jeszcze zanim opisała swoje odkrycie - że on jest także z niej dumny. Dziwne. - Można wziąć fragment krzewu róży i przeszczepić go na inny. I kiedy cały proces się dokona... powiedzmy, biała róża na krzaku czerwonej... wyrasta zupełnie nowa róża... - Przerwała, a potem dokończyła szybko, jakby przestraszyła się tych słów. - Różowa.

Cross niewiele wiedział o ogrodnictwie, ale miał na tyle obycia z nauką, żeby wiedzieć, że to przełomowe odkrycie.

- W jaki sposób...

Podniosła rękę, żeby powstrzymać pytanie.

- Z radością panu pokażę. To bardzo podniecające. Ale nie o to chodzi. Czekał

na wyjaśnienie o co, w takim razie, chodzi.

Udzieliła go.

- Ich profesja... to nie jest ich wybór. Nie są już ani czerwone, ani białe. Są różowe. A pan jest powodem.

W jakiś sposób wydawało się sensowne, że porównała damy z Anioła do róż ze swojego eksperymentu. Dziwny, cudowny mózg tej kobiety niezwykłym trafem działał w sposób, który był dla niego całkowicie zrozumiały.

- Czyż nie tak? - zapytała, kiedy zastanawiał się nad tym, co powiedziała.

To nie było najprostsze pytanie. Ani najłatwiejsza z odpowiedzi.

- Nie zawsze robią to z wyboru. W wielu wypadkach dziewczęta w to wpadają.

Ale tutaj są dobrze traktowane. Dobrze karmione. Dobrze opłacane. A kiedy tylko chcą z tym skończyć, znajdujemy im inne miejsce.

Uniosła brwi.

- Gdzie? Uśmiechnął się.

- Jesteśmy niezwykle wpływowymi ludźmi, Pippo. Nasi członkowie potrzebują służących; nasi sprzedawcy potrzebują dziewcząt do pracy w sklepach. A jeśli nie to, jest wiele bezpiecznych domów z dala od Londynu, gdzie dziewczęta mogą zacząć od nowa. - Po dłuższym milczeniu dodał: - Nigdy nie zmuszałbym dziewczyny do takiego życia.

- Ale zdarzają się takie, które je wybierają? Niektórzy nie byli w stanie tego zrozumieć.

- Biała odmiana. Skinęła głową.

- Jak panna Tasser.

- Jak Sally.

- Cóż, jeden więcej powód dla mnie, żeby skorzystać z jej wiedzy. -Podsunęła

okulary na nosie. - Jeśli wybiera takie życie, musi je do jakiegoś stopnia lubić. A

ja nie mam nikogo innego. Castleton nie okazał się, ostatecznie, pomocny.

A powinien.

Oczywiście, że powinien ofiarować pomoc. Powinien zrobić coś znacznie więcej.

Ta myśl wprowadziła Crossa w jeszcze bardziej morderczy nastrój. Odęła wargi.

- Myśli pan, że powinnam go poprosić? Może należy tak postąpić?

Nie!

- Tak.

Zarumieniła się, w jego oczach - kusząco.

- Nie wiem, czybym potrafiła.

- Ale mnie pani potrafi pytać? Zamrugwała.

- Pan jest inny. Nie jest pan mężczyzną, za którego się wychodzi za mąż. Z

panem jest łatwiej... cóż... podjąć spokojną dyskusję na te tematy. - Uśmiechnęła się. - W końcu jest pan człowiekiem nauki.

Znowu. Pewność, że przy nim jest bezpieczna. Że panuje nad sobą. Zawsze.

Powinieneś jej powiedzieć.

Przypomniał sobie słowa Sally, kpiące i prawdziwe.

Powinien jej powiedzieć. Ale to nie należało, ściśle mówiąc, do tego typu rzeczy, jakie się mówiło młodej pięknej kobiecie, która prosi, aby ją zdeprawować.

W każdym razie nie mówiło się tego zwykłej młodej kobiecie w takiej sytuacji.

Ale Pippa Marbury nie była zwykłą kobietą. Ani trochę. Powiedzenie prawdy odsunęłoby ją od niego. I tak byłoby najlepiej. Dla wszystkich zainteresowanych.

Zwłaszcza dla niego. Pippa pokręciła głową.

- On odmówi. Nie rozumie pan? Nie mam nikogo. Tylko panna Tasser. Myliła się, oczywiście.

- Jestem ja - powiedział, zanim zorientował się, co chce powiedzieć. Otworzyła szeroko oczy.

Chwilę trwało, zanim to do niej dotarło.

- Pan.

Uśmiechnął się.

- Teraz to pani powtarza za mną. Odwzajemniła uśmiech, poczuł go w całym ciele.

- Tak.

Być może będzie potrafił to zrobić.

Bogu wiadomo, że jest jej to winien. Za to, że dopuścił, żeby wpadła w szpony Knighta, Sally i Temple'a i Bóg jeden wie, czyje jeszcze, od-
kąd znalazła się w kasynie. Powinien zapewnić jej bezpieczeństwo ze względu na Bourne'a. Wymówki.

Ta myśl go zastanowiła. Może i wymówki. Może po prostu chciał być blisko niej. Rozmawiać z nią - z tą dziwną, genialną kobietą, która zbijała go z tropu, kiedy tylko miała okazję.

To będą tortury, tak.

Bóg wie, że zasługuje na tortury.

Musiał się ruszyć. Odejść od niej.

Podszedł do stołu gry i podniósł dwie kostki, ważąc je w dłoni. Poszła za nim, nie czekając na zachętę, poruszając się za nim w miękkiej, pachnącej świeżością chmurze szeleszczących spódnic. Jak to możliwe, że pachniała słońcem i świeżym powietrzem nawet tutaj, w tym mrocznym pomieszczeniu? W tym

przesiąkniętym występkiem miejscu?

Musi odejść. Stanowi dla niego zbyt wielką pokusę, żeby zdołał się oprzeć.

Nieświadoma jego myśli zwróciła do niego jasną, ufną twarz.

- Mam mnóstwo pytań. Na przykład madame Hebert obiecała uszyć mi nocne koszule, które jej zdaniem nakłonią Castletona do tego, żeby mnie uwiódł. Czy nocne stroje mogą tego dokonać?

To był atak. Wizja jasnowłosej, zwinnej Pippy w jedwabiach i koronkach, które miały doprowadzać mężczyzn do szaleństwa, była ciosem. Strój z porażającą ilością wstążek, zawiązanych w doskonałe kokardki, z których każda, po rozwiązaniu, ukazywała fragment miękkiej, ciepłej skóry - luksusowy, oszałamiający prezent.

Prezent wart opakowania.

- Nie sądzę, żeby to wystarczyło - powiedziała z powątpiewaniem w głosie.

Był pewien, że to aż nazbyt wiele.

- A co ze spojrzeniem panny Tasser? Może mnie pan tego nauczyć? To by chyba mogło pomóc. W kuszeniu.

Nie patrzył na nią. Nie był w stanie. Nie mógł się jednak także powstrzymać, żeby nie powiedzieć:

- Nie potrzebuje pani patrzeć w ten sposób.

- Nie? - zdumiała się.

- Nie. Jest pani kusząca w inny sposób.

- Naprawdę? Powinien jej powiedzieć.

Żeby go już nie kusiła. Ale nie mógł. Spojrzał jej w oczy.

- Tak.

- Tak?

Uśmiechnął się.

- Znowu pani powtarza. Milczała chwilę.

- Nie zmieni pan zdania, prawda?

- Nie. - Myśl, że mogłaby znaleźć kogoś innego, była nie do przyjęcia. W

sytuacji, kiedy to może być on. Kiedy może dać jej przyjemność,

która odbierze jej niewinność i doszczętnie zdeprawuje. Chciał jej dać

wszystko, o co prosiła.

I jeszcze więcej.

Tak więc kłamka zapadła.

- Nie, nie wycofam się.

Wydała długie westchnienie, a on zaczął się zastanawiać, co jeszcze mogłoby

wywołać podobną reakcję.

- Powinnam to wiedzieć. Dżentelmeni nie łamią słowa.

- W tym wypadku nicponie też tego nie robią.

- Nie rozumiem.

- Dżentelmen uważa za niehonorowe wycofać się, nawet jeśli wiadomo, że

przegra - wyjaśnił, mając ochotę, i z trudem powstrzymując się od tego, by

wygładzić pionową bruzdkę na jej czole. - Nicpoń zakłada się tylko wtedy, jeśli

może wygrać.

- Kim.. - Zawahała się. - Kim pan jest?

Mógł dać jej wiedzę, nie ulegając własnym pragnieniom. Nie przekreślając

własnych zobowiązań. Nie tracąc kontroli. Zrobił krok w jej stronę. Górował nad

nią wzrostem.

- A jak pani sądzi? Odsunęła się.

- Dżentelmenem. Nie dotknął jej.

Ponieważ wiedział, bez cienia wątpliwości, że po sześciu latach celibatu, jeśli dotknąłby Philippy Marbury, nie przeżyłby tego. Nicpoń.

- Jutro. O dziewiątej.

8.

Astronomia nigdy nie była moją mocną stroną, ale dzisiaj zastanawiałam się nad istotą wszechświata. Jeśli nasze Słońce jest jedną z milionów gwiazd, kto może twierdzić, że Galileusz nie miał racji? Że nie ma innej Ziemi gdzieś daleko, na obrzeżach innej galaktyki? I kto może twierdzić, że nie ma innej Philippy Marbury, dziesięć dni przed ślubem, która czeka, żeby zdobyć nową wiedzę? To, rzecz jasna, bez znaczenia. Nawet gdyby była jakaś kopia Ziemi w jakimś odległym zakątku wszechświata, to i tak za dziesięć dni wychodzę za mąż. Podobnie jak druga Pippa.

Dziennik naukowy lady Philippy Marbury

26 marca 1831; dziesięć dni przed jej ślubem

Następnego wieczoru Pippa usiadła na ławeczce tuż za wiśniowym sadem w ogrodach rezydencji Dolby, opatulona peleryną, z Trotulą u stóp, i zaczęła patrzeć w gwiazdy.

Albo przynajmniej usiłowała je obserwować.

Siedziała na dworze już ponad godzinę. Przestała w końcu udawać chorobę i uciekła z domu, gdy tylko oficjalnie podano kolację; wolała siedzieć na zewnątrz niż wewnątrz, nawet w tę chłodną marcową noc.

Była zbyt podniecona.

Tej nocy miała się dowiedzieć, co to znaczy pokusa. Od Crossa.

Nabrała powietrza w płuca i wypuściła je, potem jeszcze raz, mając nadzieję, że to uspokoi jej szalejącą wyobraźnię. Tak się nie stało. Wciąż miała przed oczami

obraz Crossa - jak patrzy na nią gniewnie w kasynie, jak uśmiecha się w ciemności, jak, wysoki i szczupły, góruje nad nią w biurze.

Nie chodziło o niego. Czułaby się tak samo, gdyby ktoś inny obiecał jej udzielić podobnych nauk. Kłamczucha.

Wypuściła powietrze w długim i głośnym westchnieniu. Oddychanie nie pomagało.

Obejrzała się przez ramię na jadalnię rezydencji Dolby, skąd dobywało się blade światło. Tak, najlepiej było spędzać czas samotnie, na zimnie, przed ich spotkaniem, niż wpadać w obłęd przy kolacji z rodzicami i Olivią, która z pewnością dyskutuje w tej chwili o szczegółach „ślubu stulecia”.

Przypomniał jej się obrazek z poprzedniego popołudnia. Olivia, wspaniała w ślubnej sukni, płonąca podnieceniem na myśl o małżeńskich rozkoszach, i odbicie Pippy w lustrze z tyłu, mniejszej, bledszej obok promiennej młodszej siostry.

Ślub będzie niezwykłym wydarzeniem. Jeden taki ślub na stulecie. Albo przynajmniej da używanie plotkarzom.

Będzie taki, o jakim markiza Needham-Dolby zawsze marzyła - wspaniała ceremonia, mająca zniewalać przepychem i świetnością godną znakomitego pochodzenia sióstr Marbury. Ma zatrzeć wspomnienie dwóch poprzednich ślubów w rodzinie - Valerie i Wiktorii, które nie wyszły za znaczące osobistości, a śluby urządzono pośpiesznie po skandalu, jakim były zerwane zaręczyny Penelopy, i późniejszy ślub Penelopy, zawarty na podstawie specjalnego zezwolenia w wiejskiej kaplicy w pobliżu majątku ziemskiego Needham, w dzień po powrocie Bourne'a po dziesięcioletniej nieobecności.

Oczywiście, wszyscy wiedzieli, gdzie był w tym czasie.

W Upadłym Aniele.

Z panem Crossem.

Fascynujący, niepokojący pan Cross, który zaczynał burzyć jej równowagę, nawet jeśli znajdowała się z dala od niego. Odetchnęła głęboko i zamknęła oczy, obserwując zmianę, jaka w niej następowała, kiedy była blisko - w wyobraźni czy w rzeczywistości - wysokiego, rudowłosego mężczyzny, który niechętnie przystał na udział w jej badaniach.

Jej serce zaczynało bić jak szalone, oddech stawał się płytszy. I oddychała znacznie szybciej.

Mięśnie napinały się, ogarniała ją dziwna nerwowość.

Czuła ciepło... a może to był chłód?

Tak czy inaczej, były to oznaki szczególnego ożywienia organizmu. Symptomy podniecenia. Albo nerwowości. Albo strachu.

Nadmiernie dramatyzowała. Nie miała się czego obawiać ze strony tego człowieka - człowieka nauki. Doskonale panującego nad sobą w każdych okolicznościach.

Doskonały asystent w pracy badawczej.

Nic więcej.

Nieważne, że to akurat badanie miało charakter nieco niekonwencjonalny. Ale zawsze było to badanie naukowe.

Odetchnęła ponownie i wyjęła zegarek z torebki, podnosząc go do twarzy, żeby odczytać godzinę w słabym świetle sączącym się z salonu na parterze.

- Jest dziewiąta. - Ciche słowa rozległy się w mroku. Trotula skoczyła na równe łapki, żeby przywitać przybysza, dając Pippie czas, żeby opanowała gwałtowne bicie serca. Później zastanawiała się nad faktem, że brakowało jej tchu, ale nie

czuła strachu, tylko coś innego. Coś więcej.

W tej chwili jednak mogła myśleć wyłącznie o jednym. Przyszedł.

Uśmiechnęła się, patrząc, jak przykucnął, żeby przywitać się z psem.

- Jest pan bardzo punktualny.

Podniósł się po chwili i usiadł obok niej, na tyle blisko, żeby niepokoić, na tyle

daleko, żeby uniknąć dotyku. Kącikiem oka widziała, jak długie są jego uda -

prawie o połowę dłuższe niż jej własne; wełniany materiał naciągał się na

szczupłych mięśniach i kościach. Nie powinna zajmować się jego udami.

Femurs.

- I już pani na mnie czeka.

Odwróciła się do niego i stwierdziła, że patrzy w niebo. Jego twarz majaczyła w

ciemności, opierał się na ławce, jakby siedzieli tu całą noc, jakby mogli tak

siedzieć do rana. Spojrzała tam, gdzie on.

- Jestem tu od ponad godziny.

- Na tym zimnie?

- To najlepsza pora, żeby obserwować gwiazdy, nie sądzi pan? Chłodne noce są

zawsze dużo jaśniejsze.

- Nie bez powodu. Odwróciła się do niego twarzą.

- Tak?

Nie patrzył na nią.

- Na zimowym niebie jest więcej gwiazd. Jak pani palec?

- Całkowicie w porządku. Jest pan astronomem, tak jak matematykiem?

Zwrócił się wreszcie przodem do niej, połowa jego twarzy znalazła się w

bladym świetle padającym z okien rezydencji.

- Pani jest ogrodniczką, tak jak znawczynią anatomii?

- Jesteśmy zaskakujący, przyzna pan? - Odparła z uśmiechem.

- Owszem, jesteśmy. - Kąciki jego ust zadrżały.

Upłynęła długa chwila, zanim odwrócił się i ponownie spojrzął w niebo.

- Na co pani patrzyła? Wskazała jasną gwiazdę.

- Polaris.

Pokręcił głową, wskazując na inną część nieba.

- Tam jest Polaris. Patrzyła pani na Wege. Zachichotała.

- Ach. Nic dziwnego, że nie zrobiła na mnie wrażenia. Odchylił się do tyłu, wyciągając długie nogi przed siebie.

- To piąta co do jasności gwiazda na niebie. Roześmiała się.

- Zapomina pan, że jestem jedną z pięciu sióstr. W moim świecie piąta co do jasności jest ostatnia. - Podniosła głowę. - Bez obrazy dla gwiazdy, o której mówimy.

- A pani często jest ostatnia? Wzruszyła ramionami.

- Czasami. To nie jest przyjemne.

- Pippo, zapewniam panią. Rzadko jest pani ostatnia.

Nie poruszył się, poza tym że odwrócił głowę, patrząc na nią; jego twarz o kanciastych rysach w ciemności wzbudziła w niej dziwne uczucia.

- Proszę uważać na słowa. Będę musiała powiedzieć Penny, że pana zdaniem czegoś jej brakuje.

Spojrzął na nią zdziwiony.

- Nie powiedziałem nic takiego.

- To jedyna z moich sióstr, którą pan poznał. Jeśli ja nie jestem ostatnia, to według pana ona musi być gdzieś za mną.

Uniósł do góry kącik ust.

- W takim razie nie powtarzajmy tej rozmowy nikomu.

- Zgadza się. - Spojrzała znowu w niebo. - Proszę mi opowiedzieć o tej wspaniałej, piątej z kolei gwiazdzie.

Kiedy się odezwał, słyszała śmiech w jego głosie, ale zmusiła się, żeby na niego nie patrzeć.

- Wega należy do konstelacji Liry, ponieważ Ptolomeusz uważał, że przypomina lirę Orfeusza.

Nie mogła się powstrzymać, żeby z niego nie zakpić.

- Ach, więc jest pan także znawcą klasyki.

- A więc pani nie jest? - Roześmiała się, a on dodał: - Orfeusz to jeden z moich ulubieńców.

- Dlaczego?

Nie odrywał wzroku od nocnego nieba.

- Popełnił straszliwy błąd i drogo za to zapłacił. Te słowa sprawiły, że oboje spowaznieli.

- Eurydyka - szepnęła. Znała historię Orfeusza i jego żony, którą kochał nad życie i którą stracił na zawsze w królestwie śmierci.

Milczał długo i myślała, że Cross już się nie odezwie. Kiedy to jednak zrobił, mówił tonem pozbawionym wyrazu.

- Przekonał Hadesa, żeby pozwolił jej odejść, wrócić do świata żywych. Jedyne, co musiał zrobić, to wyprowadzić ją, nie oglądając się za siebie.

- Ale nie potrafił - powiedziała wzburzona Pippa.

- Stał się zachłanny i obejrzał. Stracił ją na zawsze. - Zamilkł, a potem powtórzył: - Straszliwy błąd.

Było w jego głosie coś, czego Pippa mogła wcześniej nie zauważyć. Poczucie

straty. Smutek. Przypomniała jej się rozmowa, którą słyszała w tym samym ogrodzie.

Nie powinnaś była za niego wychodzić.

Nie miałam wyboru. Nie dałeś mi go.

Powiniennem był temu przeszkodzić.

Kobieta w ogrodzie... jego Eurydyka.

Poczuła się nieprzyjemnie na tę myśl. Mimowolnie wyciągnęła rękę, kładąc ją na jego ramieniu. Drgnął i odsunął się, jakby go oparzyła. Siedzieli długo, nie odzywając się.

- Popęłnił pan błąd - nie wytrzymała w końcu. Zerknął na nią przelotnie i podniósł się z miejsca.

- Pora iść. Lekcja czeka.

Ale ona już nie chciała nigdzie iść. Chciała zostać.

- Stracił pan swoją miłość. - Nie patrzył na nią, ale ona nie mogłaby odwrócić wzroku, nawet gdyby stado wołów przegalopowało w tej chwili przez ogrody rezydencji Dolby. - Kobieta w ogrodzie. Lavinia -powiedziała zła na siebie, że nie potrafi po prostu zamilknąć. Nie pytaj, Pippo. Nie. - Pan... ją kocha?

Dziwnie czuła się, wymawiając to słowo.

Nie powinno jej zdumiewać, że miał kochankę. Ostatecznie niewielu mężczyzn w Londynie cieszyło się taką reputacją jako mężczyzna i kochanek, jak pan Cross. Ale uznała, że to raczej typ człowieka, który wydaje się nie mieć skłonności do poważniejszych uczuć, takich jak miłość. Był, ostatecznie, człowiekiem nauki. Tak jak ona. I nie spodziewała się, żeby jej umysł zaprzątnęła kiedykolwiek miłość.

A jednak w tej dziwnej chwili stwierdziła, że czeka rozpaczliwie na jego

odpowiedź. I w tej rozpaczynie odkryła, że ma nadzieję, iż on zaprzeczy. Że nie ukrywa gdzieś głęboko w sobie nieodwzajemnionej miłości.

Albo, ewentualnie, odwzajemnionej.

Przestraszyła się tej myśli.

Cóż.

To było niespodziewane.

Skrzywił się, odwracając twarz od światła w mrok.

- Ciekawość to niebezpieczna rzecz, lady Philippe

Podniosła się, zdając sobie wyraźnie sprawę, jak bardzo góruje nad nią wzrostem.

- Jakoś nie mogę się powstrzymać.

- Zauważyłem.

- Pytam tylko dlatego, że intryguje mnie myśl, że pan kogoś kocha. -Przestań,

Pippo. To nie jest droga, którą wybierają inteligentne, młode kobiety. - Nie, nie pan. Ktokolwiek. Kochający kogoś innego.

- Jest pani przeciwniczką miłości?

- Nie tyle przeciwniczką, co sceptyczką. Zwykle nie wierzę w coś, czego nie mogę zobaczyć.

Zaskoczyła go.

- Nie jest pani zwykłą kobietą.

- To już ustaliliśmy. Dlatego pan tu jest, o ile sobie przypominam.

- Tak jest. - Złożył długie ramiona na piersi. - A zatem chce pani uwieść męża, którego nie spodziewa się kochać?

- Właśnie. - Ponieważ nie odpowiedział natychmiast, dodała: - Jeśli to miałyby pomóc, sądzę, że on także nie spodziewa się mnie pokochać.

- Solidne, angielskie małżeństwo. Zastanowiła się.

- Sądzę, że tak. Z pewnością takie są na ogół małżeństwa, które znam. Uniósł brwi.

- Wątpi pani w miłość Bourne'a do pani siostry?

- Nie. Ale to wyjątek. - Zamyśliła się. - Może jeszcze Olivia i Tottenham. Ale moje pozostałe siostry wyszły za mąż z takiego samego powodu, dla którego ja to zrobię.

- To znaczy?

Wzruszyła lekko ramionami.

- Tego od nas oczekują. - Spojrzała mu w oczy, nie będąc w stanie nic w nich wyczytać w ciemności. - Przypuszczam, że dla pana to dziwaczne, w związku z tym, że nie jest pan arystokratą.

Uśmiechnął się leciutko.

- A co ma z tym wspólnego bycie arystokratą? Podsunęła okulary wyżej na nosie.

- Może pan tego nie wiedzieć, ale my, arystokraci, mamy wiele reguł, których musimy przestrzegać. W małżeństwie liczy się majątek, status, stosowność, pozycja. Nie możemy tak po prostu poślubić, kogo nam się podoba. Cóż, przynajmniej damy nie mogą. - Myślała chwilę. - Dżentelmen może sobie pozwolić na skandale, ale i tak wielu z nich poddaje się i wstępuje w związki bez głębszych uczuć. Jak pan myśli, dlaczego tak jest?

- Nie chciałbym zgadywać.

- Zdumiewające, jaką władzę posiadają mężczyźni i jak nie potrafią jej używać.

Nie uważa pan?

- A gdyby pani miała taką samą władzę?

- Nie mam.

- Ale gdyby?

Ponieważ wydawał się szczerze zainteresowany, powiedziała:

- Poszłabym na uniwersytet. Wstąpiłabym do Królewskiego Towarzystwa Ogrodniczego. Albo może Królewskiego Towarzystwa Astronomicznego.

Znałabym wtedy różnicę między Gwiazdą Polarną a Węgą.

Roześmiał się.

Mówiła dalej, ciesząc się swobodą, z jaką mogła z nim rozmawiać.

- Wyszłabym za mąż za kogoś, kto by mi się podobał. - Przerwała, żałując natychmiast słów, które jej się wymknęły. - Niech pan nie sądzi, że Castleton mi się nie podoba. To miły człowiek. Bardzo dobry. Tylko że... - Głos jej zamarł, miała poczucie, że wykazała się nielojalnością.

- Rozumiem.

Przez chwilę myślała, że istotnie rozumie.

- Ale to wszystko jest niemądre, wie pan? Bajdurzenie dziwnej młodej damy. Z racji urodzenia obowiązują mnie pewne reguły i muszę ich przestrzegać. Dlatego myślę, że łatwiej jest tym, którzy żyją poza socjetą.

- I znowu postrzega to pani w kategoriach: białe-czarne.

- Chce pan powiedzieć, że panu nie jest łatwiej?

- Chcę powiedzieć, że wszyscy mamy jakiś krzyż do dźwigania.

W jego głosie pojawiło się coś nowego. Niespodziewana gorycz, która sprawiła, że się zawahała.

- Przypuszczam, że przemawia przez pana doświadczenie?

- Tak.

Przychodziło jej do głowy wiele możliwości. Wcześniej powiedział, że nie

myśli o małżeństwie. Że to nie dla niego. Może tak nie było zawsze. Czy chciał się kiedyś ożenić? Czy mu odmówiono? Z powodu nazwiska, reputacji, rodzaju kariery? Utytułowany czy nie, imponował pod wieloma względami - inteligentny, zamożny, wpływowy i raczej przystojny, jeśli wziąć pod uwagę wszystkie czynniki.

Jaka dama mogłaby mu odmówić?

Tajemnicza dama w ogrodzie to zrobiła.

- Cóż, w każdym razie cieszę się, że nie jest pan parem.

- A gdybym był?

Byłby pan inny niż ci, których znam. Uśmiechnęła się.

- Nigdy nie poprosiłabym pana o pomoc w badaniach. Nawiasem mówiąc, sporządziłam listę. Pytań.

- Nie spodziewałem się niczego innego. Ale nie sądzi pani, że wszystko byłoby łatwiejsze, gdybym był parem? Nie zakradałaby się pani do żadnego kasyna.

- Lubię zakradać się do kasyn gry.

- Być może. - Podszedł bliżej, zasłaniając światło z domu. - Ale może również dlatego, że kiedy dowie się pani wszystkiego, będzie pani mogła odejść i zapomnieć, że to się w ogóle zdarzyło.

- Nigdy tego nie zapomnę - oznajmiła z przekonaniem. Zarumieniła się przy tych słowach, ucieszona, że tego nie widać w mroku.

Ale naprawdę nie zapomni. W gruncie rzeczy nie miała wątpliwości, że wróci nie raz myślami do tej nocy, kiedy zostanie lady Castleton i zamieszka w domu na wsi, gdzie za towarzystwo będzie miała tylko swoją oranżerię i psy.

I z pewnością nie zapomni o nim.

Zapadła cisza i Pippa zastanawiała się, czy nie powiedziała zbyt wiele.

- Coś pani przyniosłem - odezwał się w końcu. Wyciągnął w jej stronę opakowaną w brązowy papier paczuszkę.

Jej oddech przyśpieszył - dziwna reakcja na mały pakunek - wzięła paczuszkę, odsunęła ciekawski, wilgotny nos Trotuli i szybko odwinęła papier. Wewnątrz znajdowała się maska na oczy, spoczywająca na ozdobnej bibule. Z bijącym sercem podniosła płachtę czarnego jedwabiu. Spojrzała w górę, nie widząc jego oczu w ciemności.

- Dziękuję. Skinął głową.

- Przyda się pani. - Odwrócił się i zaczął iść przez ogród. Trotula podreptała za nim.

Pippa nie chciała zostać w tyle. Ruszyła pospiesznie za nimi.

- Czy idziemy... w jakieś miejsce publiczne?

- Coś w tym rodzaju.

- Myślałam... - zawahała się. - To jest, miałam wrażenie, że nauka odbędzie się w odosobnieniu. - Podniosła torebkę. - Nie mogę pana pytać o szczegóły w miejscu publicznym.

Odwrócił się i o mało na niego nie wpadła.

- Dzisiejszej nocy nie poświęcamy na szczegóły. Interesuje nas uwodzenie i pokusa.

Te słowa ją oszołomiły; zastanawiała się, czy brak światła nie nadaje słowom większej mocy. Niemądre pytanie, rzecz jasna. Jasne, że jeśli jeden zmysł nie działa, pozostałe ulegają wyostreniu. Nie widziała go, więc słyszała go tym wyraźniej.

To nie miało nic wspólnego z samymi słowami.

Uwodzenie. Pokusa.

Ruszył ponownie, dodając:

- Żeby zrozumieć, jak kusić mężczyznę, najpierw musi pani sama zrozumieć, co to jest pokusa.

Prawie biegła, żeby mu dotrzymać kroku.

- Rozumiem, co to jest pokusa. Zerknął z ciekawości.

- Naprawdę!

- Co panią kusi? - Dotarli do czarnego powozu, Cross otworzył drzwi i opuścił schodki. Spaniel skoczył skwapliwie do środka, wzbudzając w nich obojgu śmiech.

Pstryknęła palcami.

- Trotula, wychodź.

Pies posłuchał ze smutnym westchnieniem.

- Idź do domu - powiedziała Pippa, wskazując rezydencję. Pies usiadł.

Pippa znowu machnęła ręką.

- Do domu. Pies ani drgnął.

- Niezbyt posłuszna - zauważył rozbawiony Cross.

- Zazwyczaj słucha.

- Może to przeze mnie.

- Być może.

- To mnie nie powinno dziwić. Przy mnie pani też raczej nie wydaje się posłuszna.

Udała zaszokowanie.

- Panie, porównuje mnie pan do psa?

Uśmiechnął się, błysk oczu i białych zębów wywołały u niej lekkie drżenie, które usadowiło się w żołądku.

- Być może.

- Hm, a zatem wróćmy do naszego przedmiotu badań. Co budzi w pani pokusę,

Pippo?

- Ja... - Zawahała się. - Ogromnie lubię bezy.

Roześmiał się, tak głośno i serdecznie, że aż ją to zaskoczyło.

- To prawda.

- Nie wątpię. Ale bezę może pani mieć w każdej chwili. - Odsunął się,

wskazując, żeby weszła do powozu.

Nie przejęła się milczącym poleceniem, chcąc przekonać go co do swojego punktu widzenia.

- Wcale nie. Jeśli kucharka ich nie zrobi, nie mogę ich zjeść. Uśmiechnął się.

- Jak zawsze praktyczna Pippa. Jeśli pani chce, może pani znaleźć bezę. O to mi chodzi. Gdzieś w Londynie z pewnością znajdzie się ktoś, kto się zlituje i zaspokoi pani głód bezy.

Zmarszczyła czoło.

- A więc to nie jest pokusa?

- Nie. Pragnie pani tego. Ale to nie jest to samo. Pragnienie to coś łatwego. Chce pani bezy i beza się znajdzie. - Machnął ręką w stronę wnętrza powozu, ale nie zaofiarował pomocy przy wsiadaniu. - Do środka.

Weszła na stopień, po czym odwróciła się. Ich głowy znajdowały się teraz na równej wysokości.

- Nie rozumiem. Czym jest zatem pokusa?

- Pokusa... - Urwał, a ona pochyliła się naprzód, ciekawa tej niezwyklej, niepokojącej lekcji. - Pokusa nas zmienia. Człowiek staje się

kimś, o kim nie miał pojęcia, każe oddać wszystko, co się kiedykolwiek

kochało, przez jedną, ulotną chwilę domaga się, żeby sprzedać własną duszę.

Słowa - mroczne, prawdziwe - rozbrzmiewały przez chwilę w ciszy, jak zaproszenie. Stał blisko, chroniąc ją przed upadkiem ze schodka, otaczając własnym ciepłem.

- Sprawia ból - szepnął, a ona patrzyła na linię jego warg w mroku. - Złożyłaby pani każde przyrzeczenie, każdą przysięgę. Dla jednego... doskonałego... czystego smaku.

O mój Boże.

Pippa, podniecona i niespokojna, z mętlikiem w głowie, wypuściła powietrze z płuc w długim wydechu. Zamknęła oczy, przełknęła ślinę i z trudem pokonała w sobie... pokusę, jaką on stał się dla niej.

Dlaczego był taki spokojny, chłodny i opanowany?

Dlaczego nie czuł tego, co ona?

Co za denerwujący człowiek.

Westchnęła.

- To musi być niesamowita beza.

Po tych niemądrych słowach nastąpiła cisza... chciałyby je cofnąć. Jakie to

żałosne. A potem zachichotał, błyskając zębami w mroku.

- Istotnie.

Po czym rozkazał:

- Trotula, do domu.

Pies odwrócił się i pobiegł w stronę domu, a Cross spojrział na Pip-pę, mówiąc:

- Do środka.

Wsiadła. Nie zadając pytań.

Uliczka za Aniołem wyglądała w nocy inaczej. Bardziej złowieszczo. Nie

poprawiło jej nastroju to, że powiedział, kiedy powóz zwalniał:

- Pora włożyć maskę.

Po czym otworzył drzwi i wyskoczył, nie używając schodków i nie korzystając z pomocy służącego.

Posłuchała bez wahania, podnosząc maskę do twarzy, pełna podniecenia. Nigdy dotąd nie miała powodu, żeby ukrywać, kim jest.

Maska obiecywała ekscytujące przeżycia i wiedzę.

Jej pierwsza wyprawa incognito. Po raz pierwszy miała nie być jedynie najdziwniejszą z sióstr Marbury.

Uznała, że w masce nie jest dziwna, tylko tajemnicza. Nie tylko naukowo nastawiona, ale skandalizująca. Prawdziwa Kirke.

Teraz jednak, kiedy usiłowała nałożyć maskę, zorientowała się, że rzeczywistość to co innego niż wyobrażenia. I że maski nie są przeznaczone dla osób w okularach.

Przy pierwszej próbie zawiązała wstążki zbyt luźno i maska odstawała, potem zsunęła się po szklach okularów, zasłaniając jej widok i grożąc, że zsunie się z nosa, jeśli ona poruszy się zbyt gwałtownie.

Za drugim razem zawiązała wstążki znacznie mocniej, krzywiąc się z bólu, kiedy kilka włosów dostało się do nieporządnie motanego węzła. Rezultat nie był dużo lepszy, maska wciskała jej teraz okulary w twarz, wyginając cienkie, złote ramki tak, że wbijały jej się w skórę na nosie i za uszami, i powodując, że czuła się zupełnie nie jak Kirke.

Zdecydowana walczyć, zsunęła się po ławce do wyjścia, gdzie czekał na nią pan Cross. Nie pozwoli, żeby taki drobiazg, jak słaby wzrok, zepsuł jej wieczór. Z maską przyczepioną niezgrabnie do okularów wyszła, prawie nie widząc, z

powozu, cudem znajdując pod pantoflem górny stopień.

Z drugim stopniem nie poszło tak łatwo.

Pippa wydała głośny pisk, rozrzucając szeroko ramiona, żeby odzyskać równowagę. Nie udało jej się, przewróciła się w lewą stronę i wpadła prosto w ramiona pana Crossa.

Opierając się na jego ciepłej, twardej piersi.

Otoczona jego długimi, silnymi ramionami.

Wciągnął powietrze i przez chwilę - mgnienie - stała wtulona w niego całym ciałem, patrząc mu prosto w oczy. Cóż, może ściśle rzecz ujmując, niezupełnie prosto, bo przekłeta maska przekrzywiła się w czasie upadku, ograniczając mocno jej pole widzenia.

Gdyby jednak było inaczej, z pewnością widziałyby, jak się z niej śmieje.

Znowu poczuła straszliwe zakłopotanie.

Stanąwszy na *tetra firma*, Pippa puściła jego wełniany płaszcz, który trzymała kurczowo, i spróbowała poprawić maskę. Udało jej się tylko zrzucić z nosa i maskę, i okulary.

Złapał okulary w powietrzu.

Powiodła wzrokiem od okularów do jego twarzy, wyraźnej w świetle padającym z zewnątrz.

- Ten wieczór nie tak miał przebiegać.

Nie śmiał się, musiała mu to przyznać. Patrzył na nią uważnie, a po chwili cofnął się i wyjął chusteczkę z kieszeni.

- Zapewniam, że ja też tak myślałem. - Wyczyścił starannie okulary, zanim je jej zwrócił.

Włożyła je szybko, wzdychając lekko.

- Nie mogę nosić maski. Nie pasuje. - Nie podobał jej się własny,

naburmuszony ton. Niczym ton Olivii.

Zmarszczyła nos, napotykała jego wzrok.

Nie odezwał się, tylko wyciągnął rękę, poprawiając okulary na jej nosie, ale nie dotykając jej.

- Powinienem o tym pomyśleć - powiedział cicho. Pokręciła głową.

- Z pewnością nigdy przedtem nie miał pan takiego problemu... - Oczyma

wyobraźni zobaczyła Sally Tasser, piękną kobietę o doskonałym wzroku, która nie miałaby najmniejszych kłopotów z włożeniem maski i otoczeniem się aurą tajemniczości.

Jedynie, co potrafiła roztaczać Pippa, to aura dziwaczności. I nagle zrozumiała z dojmującą jasnością, że ten świat, ta noc, to doświadczenie, nie są dla niej. To błąd. Orfeusz oglądający się za siebie.

- Nie powinnam tu przychodzić - powiedziała, patrząc mu w oczy i spodziewając się wyczytać w nich satysfakcję. Ulgę, że wreszcie się poddała.

Ale nie zobaczyła ulgi. Było w nich coś innego. Twardego i nieustępliwego.

- Musimy podjąć inne środki ostrożności. - Ruszył w stronę klubu, w sposób oczywisty spodziewając się, że pójdzie za nim.

Kiedy zbliżyli się do wielkich stalowych drzwi, tylnego wejścia do klubu,

nadjechał z turkotem drugi powóz, który zatrzymał się kilka jardów za ich

powozem. Wszedł z niego służący; ze środka dobiegał kobiecy śmiech.

Pippa odwróciła się w tamtą stronę.

Cross zaklął paskudnie, chwycił ją za rękę, zanim zdążyła zaprotestować,

postawił pod ścianą klubu i zasłonił własnym ciałem.

Próbowała się poruszyć, ale on nie pozwalał jej spojrzeć na kobiety, które teraz,

śmiejąc się i rozmawiając, szły w ich kierunku. Wyciągała szyję, chcąc coś zobaczyć, jej ciekawość brała górę nad rozsądkiem, ale on przewidział jej ruchy i nie dopuścił do tego.

Nie widziała niczego poza nim.

Był taki wysoki. Nigdy nie poznała nikogo o takim wzroście. A kiedy był tak blisko, nie mogła myśleć o niczym innym, tylko o nim. O nim, o cieple jego ciała, o tym, jak jego niezapięty płaszcz opatula ich oboje, i o tym, że, jak nigdy w życiu, stoi tak blisko mężczyzny w samej koszuli. Jej myśli zakłócił kolejny wybuch śmiechu.

- Popatrzcie! - zawołała kobieta. - Przeszkadzamy kochankom!

- Ktoś nie mógł się doczekać, aż znajdzie się w środku! - dodał inny kobiecy głos.

- Kto to? - szepnął trzeci głos. Pippa otworzyła szeroko oczy.

- Kim one są? - zapytała, zwracając się do jego piersi.

- Nikim, kim musiałyby się pani przejmować. - Podniósł rękę i oparł ją na ścianie ponad jej głową, zasłaniając jej twarz ramieniem i połą płaszcza.

Była tuż przy jego piersi i nie mogła się powstrzymać, żeby nie wdychać czystego, świeżego zapachu drzewa sandałowego, jaki roztaczał wokół siebie. Jej ręce, zwisające luźno po bokach, bardzo chciały go dotknąć. Zacisnęła pięści i podniosła głowę, żeby spojrzeć w jego ciemne oczy.

- Jej nie widzę - stwierdziła jedna z kobiet - ale tego mężczyznę poznałabym wszędzie. To Cross. - Podniosła głos. - Czy to ty, Cross?

Pippę oblało gorąco, kiedy usłyszała poufały, rozbawiony głos, jakby tamta kobieta wiedziała dokładnie, jak to jest stać przyciśnięta do kamiennej ściany osławionego londyńskiego kasyna gry z jednej strony, a jego dumnym

właścicielem z drugiej.

- Wejdźcie, panie, do środka - odezwał się pełnym głosem. - Traciecie walkę.

- Wydaje się, że dzisiaj wieczorem jest równie ciekawie na zewnątrz

-odparowała druga, wywołując śmiech pozostałych.

Cross poruszył się i opuścił głowę, i Pippa uświadomiła sobie, jak to wygląda z boku - jakby zamierzał ją pocałować.

- Moje panie - odezwał się niskim, pełnym obietnic głosem - ja się nie gapię na wasze nocne rozrywki.

- Czuj się zaproszony, kiedy tylko masz ochotę, kochanie.

- Zapamiętam - powiedział, leniwie przeciągając słowa. - Ale dziś wieczorem jestem zajęty.

- Szczęściara!

Pippa zacisnęła zęby, kiedy rozległ się hałas otwieranych drzwi i kobiety weszły do środka.

Znowu zostali sami, w pozie, która bardzo przypominała miłosne objęcia.

Czekała, kiedy się od niej odsunie.

Nie zrobił tego.

Przeciwnie, stał, jak przedtem, z ustami przy jej uchu.

- Myślą, że ma pani szczęście.

Jej serce biło jak szalone. Była pewna, że on to słyszy.

- Sądziłam, że pan nie wierzy w szczęście.

- Nie wierzę.

- A gdyby pan wierzył - zapytała drżącym głosem - nazwałby pan to szczęściem?

- Nazwałbym to torturą.

W tej właśnie chwili, kiedy czuła jego oddech na wrażliwej skórze wokół ucha, uświadomiła sobie, że on jej nie dotyka. Był tak blisko... ale nawet teraz, przyciskając ją do kamiennej ściany masywnego budynku, uważał bardzo, żeby jej nie dotknąć.

Westchnęła.

Widocznie była jedyną kobietą na świecie, której postanowił nie dotykać.

Przelotnie zastanowiła się, co by się stało, gdyby przejęła inicjatywę. Odwróciła głowę do niego, a on się odsunął, odrobinę, ale wystarczająco, żeby dzieliła ich bezpieczna odległość. Teraz stali twarzą w twarz, z lekko rozchylonymi wargami, o milimetr i milę od siebie.

Milimetr dla niego - mógł w każdej chwili pokonać nieistniejącą przestrzeń i byłaby jego. Milę dla niej, ponieważ wiedziała, że on tego nie uczyni... a nie potrafiła się zdobyć na to, żeby go pocałować. Chociaż w tamtej chwili niczego nie pragnęła bardziej.

Ale on tego nie chciał.

To był wieczór poświęcony dociekaniom intelektualnym. Nie doświadczeniom cielesnym.

Niezależnie od tego, jak bardzo chciała, żeby było inaczej. Pozostało jej więc tylko jedno. Odetchnęła głęboko i się odezwała.

- Cross?

Nastąpiła znacząca, długa pauza, podczas której oboje uświadomili sobie, że nie użyła słowa „pan”, ale tutaj, w ciemnym londyńskim zaułku, ten tytuł wydał się jej nieodpowiedni, zbyt oficjalny, dla tego wysokiego, nieodgadnionego człowieka.

- Tak, Pippo?

- Czy możemy teraz wejść do środka?

9.

Gry hazardowe przysparzają problemów - wydają się jednym, a są czym innym.

Na przykład rzuca się dwie kostki, sądząc, że z rzutu uzyska się sumę punktów w

zakresie od jednego do dwunastu, ale uzyskanie jednego punktu jest całkowicie

niemożliwe... a prawie niemożliwe -dwóch i dwunastu. Dlaczego więc, skoro

zwodniczość tych gier jest tak oczywista, tak silnie przyciągają graczy?

W tej grze przypadków może być geometria, ale jest w niej także coś

nadprzyrodzonego.

Wydaje się, że to, co duchowe, rzadko przekłada się na naukę.

Dziennik naukowy lady Philippy Marbury

27 marca 1831; dziewięć dni przed jej ślubem

W tej chwili nie było niczego na całym świecie, czego Cross mógłby jej

odmówić.

Nie odmówiłby, bo przez ostatnią godzinę kusiła go wielkimi, niebieskimi

oczyma, byстрыm umysłem i cudownym, gibkim ciałem, którego tak bardzo

chciał dotknąć. Gdy nadeszły kobiety, myślał tylko o tym, żeby ją chronić,

zasłaniając sobą. Nienawidził siebie za to, że w ogóle przyszło mu do głowy,

żeby zabrać ją w to mroczne, złe miejsce, które na nią nie zasługiwało.

Tak jak on nie zasługiwał na nią.

Powinien wszystko powiedzieć Bourne'owi i pozwolić, żeby partner pobił go

do nieprzytomności za to, że mógł choć przez chwilę pomyśleć o deprawacji

Philippa Marbury. Za to, że choćby w marzeniach mógł się znaleźć tak blisko

niej. Że go pociągała.

Ponieważ ona dała największą lekcję uwodzenia, jaką można było sobie

wyobrazić.

Kiedy spadła z powozu prosto w jego ramiona, myślał, że tego nie zniesie, dotyk jej miękkiego ciała sprawiał mu ból. Był pewien, że to ostateczna próba... najtrudniejsze zadanie, jakie kiedykolwiek musiał wykonać - postawić ją na ziemi i cofnąć się znad przepaści.

Przypomnieć sobie, że ona nie jest dla niego.

I nigdy nie będzie.

Ale to było łatwe w porównaniu z tym, co nastąpiło parę minut później, kiedy, ściśnięta między nim a kamienną fasadą klubu, odwróciła się i przemówiła do niego. Czuł jej oddech na twarzy, zaschło mu w ustach i poczuł, że twardnieje.

Nigdy nie znalazł się w trudniejszej sytuacji.

O mało jej nie pocałował, by położyć kres mękom ich obojga. Boże dopomóż, przez chwilę myślał, że ona pozbawi go możliwości decydowania i weźmie sprawy w swoje ręce. Chciał tego wówczas.

I teraz też.

Zamiast tego postanowiła ciągnąć to szaleństwo - wejść do kasyna i dostać lekcję, którą jej obiecał. Chciała się dowiedzieć, co to jest pokusa.

Uważała, że jest z nim bezpieczna. Z nim, człowiekiem nauki. Że on jej nie zagraża.

Była szalona.

Powinien wsadzić ją do powozu i odwieźć do domu, nie zastanawiając się więcej. Powinien trzymać ją z dala od tego miejsca, którego bywalcy, arystokraci, z największą przyjemnością puszcza w obieg plotki na jej temat, jeśli tylko ją zobaczą.

Tutaj także, rzecz jasna, obowiązywały pewne reguły - damom, którym

przyznawano członkostwo, nie wolno było zdradzać sekretów, które poznawały.

A ponieważ dbały o własne tajemnice i pragnęły spędzać czas w klubie, starannie przestrzegały zakazu.

Ale to nie umniejszało niebezpieczeństwa, jakie groziło Pippie.

A on nie mógł na to pozwolić.

- Nie powinienem wprowadzać pani do środka - powiedział.

- Obiecał pan.

- Kłamałem. Pokręciła głową.

- Nie lubię kłamców.

Droczyła się z nim. W jej głosie pobrzmiwał cichy śmiech. Ale nie mógł zaprzeczyć, że mówiła prawdę, a zależało mu na tym, żeby go lubiła.

Ta myśl zjawiała się z siłą wybuchu. Wyprostował się, chcąc nagle odsunąć się od niej jak najdalej.

Nie chodziło o nią.

Nie mogło.

Chodziło o szczególne okoliczności. Była po prostu pierwszą kobietą, którą dopuścił do siebie tak blisko i spotykał tak często, po sześciu latach. I pachniała słońcem i wiosną, miała nieprawdopodobnie miękką skórę, jej śliczne różowe wargi wyginały się wdzięcznie w uśmiechu, była inteligentna i dziwna, i uosabiała wszystko, za czym tęsknił w kobietach. Nie chodziło o nią.

Chodziło o wszystko inne. Z Knightem, Lavinią i resztą świata, który dobierał mu się do skóry, Pippa Marbury w jego klubie to była ostatnia osoba, jakiej potrzebował. W swoim życiu. To oznaczało kłopoty. Utratę kontroli nad własnymi myślami.

Obłąd go opuści z chwilą, gdy się jej pozbędzie.

Musi się jej pozbyć. Dzisiaj.

Zignorował złość, jaka ogarnęła go na tę myśl, i zapukał do stalowych drzwi.

- Puka pan w innym rytmie niż tamte damy.

Oczywiście, że musiała to zauważyć. Widziała wszystko tymi wielkimi, niebieskimi oczami.

- Ja to nie tamte damy - odparł i zaraz pożałował szorstkiego tonu. Wydawało się, że tego nie zauważyła.

- Każdy puka inaczej?

Drzwi się otworzyły. Weszła za nim do holu, gdzie Asriel siedział na swoim zwykłym miejscu, czytając w słabym świetle świecznika zawieszzonego na ścianie.

Odźwierny skierował spojrzenie czarnych oczu najpierw na Crossa, potem na Pippę.

- Ona nie jest członkiem.

- Jest ze mną - oznajmił Cross.

- Członkiem czego?

Asriel wrócił do lektury, nie zwracając więcej na nich uwagi. Pippa przechyliła głowę, żeby zobaczyć tytuł książki. Podniosła gwałtownie brodę, patrząc na niego z niedowierzaniem.

- *Duma i uprzedzenie?*

Zamknął książkę i spojrzał na Crossa.

- Tak czy inaczej, nie jest członkiem. Cross popatrzył na niego z góry.

- Zatem mamy szczęście, że jestem właścicielem. Asriel wydawał się tym nieprzejęty.

Pippa jednak nie dawała za wygraną.

- Może powinniśmy zacząć od początku. Nie zostaliśmy sobie należycie przedstawieni. Jestem...

- Cross... - przerwał jej Asriel.

- Wyznaję, że jestem zachwycony, iż innych tak samo doprowadza do obłędu, jak mnie - zamilkł. - Vallombrosa?

Jeśli Asriel miał jakieś zdanie na temat tego żądania, nie okazał tego.

- Pusta. Wszyscy oglądają walkę. Jeśli nie chce pan, żeby ją widziano bez maski, trzymałbym się stamtąd z daleka.

Jakby Cross sam o tym nie pomyślał.

- Już drugi raz ktoś wspomina walkę - wtrąciła Pippa. - Co to znaczy?

Asriel milczał długą chwilę.

- To znaczy, że odbywa się walka. Uniosła brwi.

- Nie jest pan najprzystępniejszym z dżentelmenów.

- Nie.

- Psuje mi pan zabawę.

- To nic nowego.

Cross z trudem powstrzymał się od śmiechu. Pippa nie była pierwszą, która usiłowała wciągnąć Asriela w rozmowę, i mógłby się założyć, że nie będzie pierwszą, której się to uda.

Próbowała jednak, uśmiechając się przyjaźnie.

- Mam nadzieję, że znowu się spotkamy. Może założymy coś w rodzaju klubu

książki. Czytałam tę. - Pochyliła się. - Czy doszedł pan do miejsca, w którym pan

Darcy się oświadcza?

Asriel spojrzał przymrużonymi oczami na Crossa.

- Zrobiła to celowo. Pippa pokręciła głową.

- Och, nie zepsułam panu przyjemności lektury. Elizabeth odmawia -przerwała.

- Przypuszczam, że jednak zepsułam. Proszę o wybaczenie.

- Pani siostrę lubię dużo bardziej. Pippa kiwnęła poważnie głową.

- To nic nowego.

Słyszając, jak Pippa powtarza słowa Asriela, Cross parsknął śmiechem. Usiłował go powstrzymać i wyszło coś, co można było uznać za gniewny pomruk. Tak odczytał to Asriel. Cross odsunął ciężką, aksamitną kotarę i, uważając, żeby nikt Pippy nie zobaczył, poprowadził ją długim, wąskim korytarzem do Vallombrosy, jednej z sal gry po damskiej stronie klubu.

Weszła przed nim i obróciła się, chłonąc widok małego, wspaniale urządzonego pokoju do prywatnych gier.

- To niezwykły budynek - powiedziała, sięgając ręką, żeby odpiąć pelerynę. -

Naprawdę. Za każdym razem, kiedy tu przychodzę, odkrywam coś nowego.

Zdjęła pelerynę, ukazując zwykłą, zieloną sukienkę, całkiem zwyczajną, można nawet powiedzieć, że nieinteresującą w porównaniu z kreacjami z jedwabiu i organzy, w jakich regularnie występowały damy po tej stronie klubu. Suknia miała wysoki dekolt, długie rękawy i ciężkie spódnice - połączenie, które powinno podziałać chłodząco na zmysły Crossa - ale gdyby Pippa miała na sobie koronkowy negliż, nie wywarłaby na nim silniejszego wrażenia.

Zbyt dobrze ją zakrywała.

Chciał, żeby to zdjęła.

Natychmiast.

Odchrząknął i wziął od niej pelerynę, którą powiesił na oparciu krzesła.

- Właśnie o to chodzi, żeby pani tak się czuła. Goście mają się zastanawiać, co

im jeszcze umknęło.

- A więc kusi ich powrót? - To było pytanie retoryczne. Uczyła się. -Czy taki jest cel dzisiejszego wieczoru? Skusić mnie pięknymi pomieszczeniami i sekretnymi przejściami?

Nie wiedział już, jaki jest cel dzisiejszego wieczoru. Jej obecność mąciła mu w głowie, sprawiała, że zapomniał o wszelkich planach.

Odwróciła się, podchodząc do olejnego obrazu, który zajmował dużą część ściany. Przedstawiał czterech młodzieńców grających w kości na brukowanej ulicy, na zewnątrz jakiegoś pubu.

- Mówiąc o sekretnych przejściach - dodała - jestem pod wrażeniem pańskich zdolności architektonicznych.

- Tempie za dużo gada. Uśmiechnęła się.

- Czy są we wszystkich pokojach?

- W większości. Chcemy mieć drogę ucieczki. - Miejsce, gdzie szyja łączyła się ze szczęką, kryło się w intrygującym cieniu. Cross zastanawiał się, jaki był w dotyku ten fragment jej skóry. Jedwab czy satyna?

- Dlaczego? Skupił się na pytaniu.

- Wielu chciałoby nas zniszczyć. Dobrze jest móc się przemieszczać bez zagrożenia, że zostanie się odkrytym.

Odwróciła się do niego, szeroko otwierając oczy.

- Czy nie po to jest człowiek czytający *Dumę i uprzedzenie*?

- Częściowo.

- Ludzie przechodzą obok niego niezauważeni?

- Zdarza się. Kiedyś obudziłem się i znalazłem kobietę w swoim biurze.

Zapewniam panią, że jej nie zapraszałem. A wczoraj zastałem ją w kasynie, w

głównym pomieszczeniu.

Uśmiechnęła się.

- Wydaje się, że to szczególny przypadek. W istocie.

- Nie podoba mi się myśl, że jakieś typy spod ciemnej gwiazdy mogłyby pana zmusić do ucieczki.

Oparł się uczuciu przyjemności, jakie ogarnęło go na myśl, że się o niego troszczy.

- Proszę się nie martwić. Rzadko uciekam.

Minął ją, okrążając stół, żeby oddzieliła ich odległość i solidny mahoń. Nie ruszała się z miejsca.

- Czy w tym pokoju jest jakieś sekretne przejście?

- Być może.

Rozejrzała się wokół, mrużąc oczy, i uważnie przyglądała się każdemu kawałkowi ściany.

- A gdyby było, dokąd by prowadziło?

Zignorował pytanie, podniósł kostki ze stołu gry i zważył je w dłoni.

- Chce pani pytać o architekturę? Czy też chce pani otrzymać swoją lekcję?

Patrzyła mu śmiało w oczy.

- Jedno i drugie.

Odpowiedź go nie zaskoczyła. Philippę Marbury wiedza intrygowała tak bardzo, że interesowało ją wszystko, nie tylko miłość fizyczna. Na nieszczęście ta jej ciekawość stanowiła z jego punktu widzenia niebywale pociągającą cechę.

Przypomniał sobie cel wieczoru.

Musiła przegrać.

Jeśli ona przegra, on odzyska zdrowy umysł. Odzyska panowanie nad sytuacją.

A to było warte wszystkiego. Popchnął kości w jej stronę.

- A zatem jedno i drugie.

Oczy jej zapłonęły, jakby ofiarował jej klejnoty.

- Kim były kobiety na zewnątrz?

Potrząsnął głową.

- To nie takie proste, Pippo. Lekcja dotyczy pokusy. Chce pani wiedzieć więcej... musi pani wygrać.

- Dobrze.

- I musi pani postawić zakład. Skinęła głową.

- Mam pięć funtów w torebce. Uśmiechnął się kpiąco.

- Pięć funtów nie wystarczy. To nie wystarczy za lekcję, o którą pani prosi.

- Co zatem? Nie mam nic wartościowego.

Ma pani ubranie. Musiał użyć całej siły woli, żeby tego nie powiedzieć.

- Chcę kupić pani czas. Zmarszczyła brwi, zmieszana.

- Mój czas? Kiwnął głową.

- Jeśli pani wygra, powiem pani to, co chce pani wiedzieć, jeśli pani przegra, straci pani czas na prowadzenie tego obłąkańczego badania. Zostało jedenaście dni do pani ślubu?

Dziesięć. Celowo podał inną liczbę.

Poprawiła go, po czym pokręciła stanowczo głową.

- Zawarliśmy porozumienie.

Może. Ale on miał władzę. Przynajmniej ona tak myślała.

- W takim razie, jak przypuszczam, nie ma żadnej lekcji.

- Powiedział pan, że się nie wycofa. Obiecał pan.

- Jak wspominałem wcześniej, nicponie kłamią, moja pani. - Nie zawsze, jak

sobie uświadomił, z natury rzeczy. Czasami, żeby zachować zdrowie umysłu.

Skierował się do drzwi. - Przyślę kogoś z peleryną z kapturem, żeby wyprowadził panią z klubu i odwiózł do domu.

Stał przy drzwiach, z ręką na klamce, kiedy powiedziała:

- Zaraz.

Zebrał siły i odwrócił się.

- Tak?

- Jedyne sposob, żeby otrzymać lekcję, to stawiać zakłady?

- Proszę to uznać za podwójną pracę badawczą. Lekcje hazardu to przygoda, z której niewiele kobiet zdecydowałoby się zrezygnować.

- To nie przygoda. To nauka. Ile razy muszę to panu przypominać?

- Proszę to nazywać, jak się pani podoba, Pippo. Tak czy inaczej, to jest coś, czego pani pragnie.

Spojrzała na stół do gry z tęsknotą w oczach. Wiedział, że wygrał.

- Chcę grać.

- A zatem niech będzie, Pippo. Spojrzała mu w oczy.

- Moja pierwsza lekcja w uwodzeniu. Mądra dziewczyna.

- Wszystko albo nic. Skinęła głową.

- Wszystko.

Mądra, szalona dziewczyna. Wrócił do stołu i wręczył jej kości.

- W Aniele przy pierwszym rzucie wygrywa siedem albo jedenaście. Dwa albo trzy przegrywa.

Uniosła brwi.

- Tylko dwa albo trzy? To dlaczego poprzednim razem przegrałam przy dziewiątce?

Uśmiechnął się mimowolnie.

- Ofiarowała pani lepsze warunki, poszedłem na to.

- Przypuszczam, że powinnam być mądrzejsza, grając z nicponiem. Przechylił

głowę.

- Przypuszczam, że tę lekcję odebrała pani już wcześniej. Spojrzała na niego wielkimi oczami zza okularów.

- Nie jestem pewna.

Jej uczciwość poruszyła go, budząc pożądanie i jeszcze coś, coś bardziej pierwotnego. Zanim odpowiedział, rzuciła kości.

- Dziewięć. Moja szczęśliwa liczba?

- Już wytrawny gracz. - Zebrał kości i podał jej ponownie. - Gra jest prosta.

Dziewiątka wygrywa, siódemka przegrywa.

- Myślałam, że siódemka też wygrywa.

- Tylko przy pierwszym rzucie. Teraz ustaliła pani, że pani liczbą jest dziewiątka.

Pokręciła głową.

- Nie obchodzą mnie te reguły. Wie pan równie dobrze, jak ja, że szanse na siódmkę są dużo wyższe niż na jakąkolwiek inną liczbę.

- Obchodzą panią czy nie, to są reguły, na które pani przystała, wybierając hazard.

- Nie wybierałam ich - mruknęła, waząc kości w dłoni. Nie miała zamiaru się wycofać.

Oparł się o stół.

- Teraz pani rozumie, dlaczego uprawianie hazardu jest tak marnym pomysłem.

Zerknęła na niego spod oka.

- Zdaje się, że rozumiem, dlaczego jest pan tak bogatym człowiekiem.

- Nikt pani nie zmuszał do gry - odparł, uśmiechając się. Uniosła brwi.

- Właśnie, że pan to zrobił!

- Nonsens. Pozwoliłem pani ryzykować. Bez tego nie ma nagrody. Spojrzała na stół z powątpiewaniem.

- Jestem przekonana, że i tak nie będzie nagrody.

- Nigdy nie wiadomo. Niektórzy są w łaskach u damy o imieniu Szczęście.

Jedna złota brew uniosła się do góry.

- A więc to dama?

- To ma coś wspólnego z tym, że jest taka zmienna.

- Czuję się urażona. Nie jestem w żaden sposób zmienna. Jeśli coś obiecuję, dotrzymuję słowa.

Rzuciła kości, przypomniał sobie poprzednią okazję, kiedy to zrobiła.

Nie lubię nieuczciwości.

- Dwa i cztery - oznajmiła. - Sześć. I co teraz? Podniósł kości i podał jej.

- Rzuca pani ponownie.

- Nie wygrałam?

- Jeśli to panią pocieszy, nie przegrała pani również.

Rzuciła jeszcze trzy razy - dziesięć, dwanaście, osiem - po czym zmarszczyła nos i zapytała:

- Dlaczego właściwie mężczyźni z tego powodu robią głupie, bezsensowne rzeczy?

Roześmiał się.

- W Aniele widzowie mogą się zakładać o wszystko, co dotyczy gry. O wynik pojedynczego rzutu, o to, czy następny będzie wyższy czy niższy niż poprzedni, o dokładną kombinację punkcików na kostkach. Jeśli ktoś przy stole wygrywa za każdym razem, gra staje się niezwykle podniecająca.

- Skoro pan nalega - powiedziała tonem głębokiego niedowierzania i rzuciła

kości jeszcze raz. Uzyskała trzy i sześć. - Och! Wygrałam! Widzi pan? Szczęście jest po mojej stronie.

Uśmiechała się, policzki jej się zaróżowiły z podniecenia.

- Teraz pani rozumie, dlaczego mężczyźni tak lubią tę grę. Uśmiechnęła się i klasnęła w dłonie.

- Przypuszczam, że wiem! I teraz dostanę odpowiedź na swoje pytanie.

- Owszem - zgodził się, mając nadzieję, że ograniczy swoje dociekania do klubu.

- Kim były kobiety na zewnątrz? Sięgnął po kości.

- Członkiniami.

- Anioła? - prawie pisnęła, sięgając po kości. - Myślałam, że to męski klub?

- To coś więcej, niż się wydaje. Technicznie rzecz ujmując, to nie jest Anioł.

Zmarszczyła czoło.

- A co to jest?

- To kolejne pytanie. - Wskazał jej rękę. - Na górze gra jest bardziej skomplikowana, ale do naszych celów zachowamy te same reguły. Wygrywa dziewiątka.

Rzuciła ponownie. Szóstka i trójka.

- Wygrałam! - zawołała uszczęśliwiona, uśmiechając się radośnie.

Odwzajemnił uśmiech i zebrał kości. - Co to jest?

- Nie ma nazwy. Nazywamy to Drugą Stroną. To miejsce dla kobiet.

- Jakich kobiet? Wręczył jej kości.

Wyrzuciła piątkę, potem dziesiątkę, potem dziewiątkę.

- Hurrrra! - krzyknęła, napotykać jego zaskoczone spojrzenie. - Nie sądził pan, że znowu wygram.

- Wyznam, że nie. Uśmiechnęła się.

- Jakich kobiet? Pokręcił głową.

- Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. Wystarczy powiedzieć, że są to damy, które pragną pozostać anonimowe. I przeżywać swoje własne przygody.

Skinęła głową.

- Dlaczego mężczyźni mają dostęp do wszystkiego, a kobiety... nie?

- Tak już jest.

Zamilkła, a potem wyrzuciła z siebie:

- Czy z tym wiąże się ból? Niemal się udławił.

Uznała najwidoczniej, że jej nie zrozumiał.

- Wiem, że pewnie odczuję ból. Ale czy jego też to będzie bolało? Nie. Nie, on dozna przyjemności, jakiej dotąd sobie nie wyobrażał. Tak jak ty, gdyby to ode mnie zależało.

Nie powiedział tego głośno.

- Nie.

To jej sprawiło widoczną ulgę.

- Dobrze. Bałam się, że możemy to zrobić niewłaściwie. Cross pokręcił zdecydowanie głową.

- Myślę, że nie będzie pani trudno się tego nauczyć.

- Nauka anatomii pomaga - zauważyła z uśmiechem.

Nie miał ochoty myśleć o jej znajomości anatomii w tym kontekście. Nie chciał sobie wyobrazić, jakich mogłaby użyć prostych, bezpośrednich słów, udzielając wskazówek mężowi, ucząc się razem z nim. Pod wpływem tych wyobrażeń

Cross zamknął oczy.

- Castleton może być niezbyt mądry, ale nie jest kompletnym durniem. Nie

musi się pani martwić, że nie zrozumie fizycznego mechanizmu tego aktu.

- Nie powinien pan tak o nim mówić.

- Dlaczego nie? Nie jest moim narzeczonym. - Cross podniósł kości, podając je Pippie. Kiedy wyciągnęła po nie rękę, nie mógł się powstrzymać, żeby nie ująć jej palców i nie przytrzymać chwilę. - Pippo -powiedział cicho.

Spojrzała mu w oczy.

- Tak?

Jeśli sprawi ci ból, porzuć go. Jeśli sprawi ci ból, zabiję go.

- Jeśli sprawi pani ból... to znaczy, że robi to niewłaściwie. - Tyle mógł jej powiedzieć. Puścił jej dłoń. - Proszę rzucać.

Cztery i trzy.

- Och - szepnęła unieszczęśliwiona. - Przegrałam.

- Jeden dzień mniej na pani badania. Zostało dziewięć.

Otworzyła szeroko oczy.

- Cały jeden dzień? Za jeden nieudany rzut?

- Teraz pani rozumie, jak to jest, kiedy się przegrywa, a nie tylko wygrywa. Co silniej działa? Ryzyko? Czy nagroda?

Zastanawiała się długo.

- Zaczynam rozumieć.

- Co takiego?

- Dlaczego mężczyźni to robią. Dlaczego zostają. Dlaczego przegrywają.

- Dlaczego? Spojrzała mu w oczy.

- Ponieważ wygrana jest czymś cudownym.

Zamknął oczy. Te słowa kusiły go, żeby jej pokazać, o ile lepiej mogłaby się czuć dzięki niemu niż dzięki zimnej kości słoniowej.

- Chce pani to ciągnąć?

Powiedz nie, zaklinał ją w myślach. Pakuj się, Pippo, i wracaj do domu. To miejsce, ta gra, ta chwila... to wszystko nie jest dla ciebie.

Zamyślona zagryzła dolną wargę i ten gest tak go urzekł, że kiedy w końcu rozchyliła lekko spuchnięte usta i powiedziała „tak”, nie pamiętał pytania.

Ponieważ nie zaoferował jej od razu kości, wyciągnęła po nie rękę.

- Chciałabym jeszcze raz zagrać, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. Miał. Ale oddał jej kości, które rzuciła z rozmachem na stół.

- Osiem dni. - Skrzywiła się na widok czwórki i trójki w drugim końcu stołu. - Jeszcze raz - powiedziała.

Wręczył jej kości. Rzuciła je.

- Siedem dni.

Spojrzała na niego uważnie, przymrużonymi oczami.

- Coś jest nie tak z kośćmi.

Podniósł kości i podał jej na otwartej dłoni.

- Pokusa nie zawsze jest czymś dobrym.

- Jest, jeśli chce się uwieść własnego małżonka.

Prawie zapomniał o jej celu. Boże, nie chciał jej uczyć, jak uwieść innego mężczyznę. Chciał ją nauczyć, jak ma uwieść jego. Chciał ją nauczyć, jak ma mu pozwolić uwieść ją. Wzięła kości.

- Jeszcze raz. Uniósł brew.

- Gdybyśmy dostawali sześciopensówkę za każdym razem, kiedy ktoś wypowiada te słowa pod tym dachem, byłibyśmy bogatymi ludźmi.

Wyrzuciła ósemkę.

- Jesteście bogatymi ludźmi.

Uśmiechnął się, podając jej znowu sześcianiki z kości słoniowej.

- Bogatszymi.

Wyrzuciła jedenastkę, czwórkę, potem rzuciła kolejny raz.

- Aha! - zawołała z zachwytem. - Sześć i trzy! Znowu! - Odwróciła się do niego.

Znał ten wyraz oczu - oszalałymi radość zwycięstwa. Widział go niezliczoną ilość razy u niezliczonej rzeszy graczy i za każdym razem sprawiało mu to satysfakcję. Takie spojrzenie oznaczało jedną, niezachwianą prawdę: gracz zostanie na noc. Teraz jednak nie odczuł satysfakcji. Spojrzenie Pippy wzbudziło w nim pożądanie.

Pragnienie ujrzania w jej oczach tej radości w innych okolicznościach, z daleka od stołu gry. Kiedy wygrałaby jego. Sięgnęła po torebkę.

- Zapisywałam pytania w dzienniczku.

Jakżeby inaczej. Bogu wiadomo, jakie dziwaczne pytania lady Philippa

Marbury określała mianem naukowych dociekań. Otworzyła kajecik i zagryzła dolną wargę, zastanawiając się nad imponującą ilością tekstu. Cross wyczuł instynktownie, jako że od dawna miał do czynienia z ryzykownymi zakładami, że zapyta o coś niesłychanego.

Podszedł do małego kredensu i wyciągnął najlepszą whisky Chase'a, trzymaną tutaj, na szczęście, na okoliczność podobnych trudnych sytuacji. Nalał do kieliszka bursztynowego płynu na wysokość dwóch palców i obejrzał się przez ramię. Patrzyła na niego uważnie z kartką w dłoni.

- Napije się pani? Pokręciła głową.

- Nie, dziękuję. Nie mogłabym. Uśmiechnął się kpiąco.

- Damy nie piją whisky?

- Dostrzegam ironię tej sytuacji, zapewniam pana - odparła, uśmiechając się

również.

Podniósł kieliszek w toastie, a potem wychylił całą jego zawartość jednym haustem, zadowolony, że palenie w gardle odwraca jego uwagę.

- Pani pytanie?

Nie odpowiedziała od razu. Zmusiła się, żeby na nią spojrzeć. Stała ze wzrokiem utkwionym w kryształowy kieliszek, który trzymał w ręku. Odstawił go na komódkę z lekkim stuknięciem i ten cichy dźwięk wyrwał ją z zamyślenia.

Opuściła głowę, patrząc na notes.

Ponieważ na niego nie patrzyła, mógł swobodnie patrzeć na nią - na rumieniec, który pojawił się na jej policzkach, kiedy wybierała pytanie, mogące z pewnością zachwiać jego zdrowiem umysłowym.

Boże, uwielbiał patrzeć, jak się rumieni.

- Przypuszczam, że powinnam zacząć od początku. Wydaje się, że całkiem mi brakuje wiedzy o podstawowych sprawach. Rozumiem psy, konie i tym podobne, ale ludzie... cóż, są inni. Tak więc... - Przerwała, a potem wyrzuciła z siebie pośpiesznie: - Ciekawa jestem, czy mógłby mi pan wyjaśnić, jak się używa języka.

Słowa podziałały jak cios pięścią, jeden z tych porażających ciosów Temple'a, i - dokładnie tak samo jak na ringu - trwało chwilę, zanim dzwonienie w jego uszach ustąpiło.

Przez ten czas zaczęła się niecierpliwić.

- Wiem, że ma zastosowanie przy całowaniu - dodała cicho. - I przy innych rzeczach także, jeśli wierzyć OHvii. A nie zawsze można jej wierzyć. Ale ja nie wiem, jak go używać, i gdyby on chciał mnie pocałować...

Gdyby chciał ją pocałować, Cross zabiłby go z rozkoszą.

Wiele go kosztowało, żeby nie przeskoczyć przez stół, nie unieść jej w ramionach, nie przycisnąć do ściany i nie wyciąłować. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, nie wiedząc co, zdając sobie jednak jasno sprawę, że jeśli ona zada jeszcze jedno doskonale rozsądne, racjonalne, obłąkańcze pytanie, nie będzie w stanie jej się oprzeć.

Zanim któreś z nich zdążyło się odezwać, rozległo się pukanie do drzwi, które go uratowało.

A może zrujnowało.

W każdym razie uratowało Pippę.

Oboje spojrzeli w kierunku drzwi, zaskoczeni i zmieszani nagłym dźwiękiem;

Cross podszedł w końcu, żeby je otworzyć, zasłaniając sobą wnętrze pokoju.

Na progu stał Chase.

- Co jest? - warknął Cross. Chase z drwiącym uśmiechem usiłował zajrzeć w głąb pokoju. Cross przymknął lekko drzwi, zmniejszając szparę między nimi a framugą. - Chase - mruknął ostrzegawczo.

Brązowe oczy Chase'a wyraźnie kpiły sobie z niego.

- Coś ukrywasz?

- Czego chcesz?

- Masz gościa.

- Jestem zajęty.

- Intrygujące. - Chase ponownie usiłował zajrzeć do pokoju. Cross, mimo woli, mruknął groźnie. - Czyżbyś zawarczał? Jakie to pierwotne.

Cross nie dał się sprowokować.

- Każ się komuś tym zająć. Sam się tym zajmij.

- Jako że tym w obecnej sytuacji jest... Lavinia, nie jestem przekonany, czy

chciałbyś, żebym się tym zajął.

Lavinia.

Musiał źle zrozumieć.

- Lavinia?

- Jest tutaj.

To niemożliwe. Nie ryzykowałaby swoją reputacją. Nie ryzykowałaby bezpieczeństwem dzieci. Ogarnęła go wściekłość.

- Czy teraz wszystkie kobiety w Londynie mogą tu wchodzić? Chase wciąż próbował coś zobaczyć za plecami Crossa.

- Niektórzy z nas są szczególnie odpowiedzialni za napływ arystokracji do klubu w ostatnich czasach. Jest w twoim biurze.

Cross zaklął cicho.

- Co za wstyd. I to przy damie - zakpił Chase.

Cross zamknął drzwi przed nosem Chase'a, odwracając się do Pippy. Co za katastrofa.

Ona i jego siostra pod tym samym dachem, w tym skandalicznym miejscu, i to z jego winy. Niech to wszyscy diabli.

Sytuacja wymykała się spod kontroli i to mu się nie podobało.

Podeszła bliżej, ciekawość dodawała jej odwagi. Teraz dzieliło ich zaledwie parę stóp. Dwie minuty wcześniej przygarnąłby ją i pocałował.

Ale wtargnięcie Chase'a najwyraźniej okazało się zbawcze dla nich obojga.

Może silna wola go uratuje. Musiał zobaczyć się z siostrą. Teraz.

- Wróć.

Otworzyła szeroko oczy.

- Zostawia mnie pan?

- Nie na długo.

Zrobiła krok w jego stronę.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie. Dzięki Bogu.

Sięgnął do klamki.

- Wrócę - powtórzył. - Tutaj jest pani bezpieczna. - Uchylił drzwi. Niewiele mógł zrobić. Nie zostawi Lavinii samej w kasynie.

Oczywiście, Pippie nie należało ufać. Ta dama, pozostawiona samej sobie tutaj, po Drugiej Stronie, mogła narobić niezłego zamieszania.

Wahał się przez chwilę - pójść czy zostać. W końcu spojrzał w jej niebieskie oczy, mówiąc stanowczym tonem:

- Proszę zostać.

Boże, zbaw go od kobiet.

Czy uważał ją za psa?

Pippa obeszła stół, wzięła kostki i zaczęła nimi obracać w dłoni. Nie usłyszała za wiele, ale słyszała, jak Cross wymówił imię tej kobiety. Wydawało jej się - zupełnie irracjonalnie - że wypowiadał je tonem rozczarowania.

Zostawił ją dla innej kobiety. Dla Lavinii. Kobiety z ogrodów. Z jednym, władczym: Proszę zostać. I nawet nie odpowiedział na jej pytanie.

Zawahała się, odwróciła w stronę stołu i położyła dłonie na delikatnie rzeźbionym mahoniowym obramowaniu, które zatrzymywało kostki, nie pozwalając im stoczyć się na podłogę. Rzuciła gniewnie kostki, które trzymała w dłoni, nie patrząc, jak stuknęły o drewno i się zatrzymały.

Ten człowiek dowie się niezwłocznie, że nie można się z nią obchodzić jak z psem.

Pochyliła się nad stołem, przyglądając długo i uważnie obitemu zielonym

suknem blatowi. Białe i czerwone znaki rozmywały się przed jej oczami, gdy rozważała kolejny krok. Z całą pewnością nie będzie siedzieć zamknięta w tej klitce, podczas gdy na zewnątrz działo się mnóstwo podniecających rzeczy. Nie wtedy, gdy on pobiegł, żeby robić to, co robią nicponie z kobietami, za którymi tęsknią.

A on z pewnością wzdychał do tej całej Lavinii.

Tak mocno, że spotkał się z nią potajemnie na zaręczynowym balu Pippy. Tak mocno, że zapomniał o zobowiązaniu wobec Pippy i pobiegł do tamtej.

Nagle poczuła ściskanie w piersi.

Zakasłała, prostując się, i spojrzała na drzwi, którymi wyszedł, zostawiając ją samą. Podniosła rękę do piersi, przesuwając palcami wzdłuż nagiej skóry ponad wełnianym brzegiem sukni i próbując złagodzić nieprzyjemne uczucie.

Wciągnęła głęboko powietrze. Myśl o tym, że Cross biegnie przez kasyno wprost w ramiona tajemniczej damy - która najwidoczniej uznała, że jest wart wybaczenia mu grzechów - wyparła wszystkie inne.

Jest z pewnością piękna, niewysoka, o powabnie zaokrąglonych kształtach. Bez wątpienia należała do owych kobiet, które zawsze wiedzą, co należy powiedzieć w każdej sytuacji, i nigdy nie mówią głupstw ani nie stawiają kłopotliwych pytań.

Pippa mogłaby się założyć, że Lavinia nie potrafi nazwać ani jednej kości w ludzkim ciele.

Nic dziwnego, że Cross ją uwielbiał.

Ściskanie w piersi stało się bolesne; dłoń Pippy znieruchomiała. O mój Boże. To nie była fizjologia. To były emocje. Wpadła w panikę. Nie.

Oparła się o stół, zamykając oczy i oddychając głęboko. Nie, nie dopuści emocji do głosu. Była tutaj w imię odkryć. W imię nauki. To wszystko.

Otworzyła oczy, szukając czegoś, na czym mogłaby się skupić, i zobaczyła

rzucane wcześniej kości. Sześć i trzy. Spojrzała jeszcze raz. Sześć i trzy.

To wydało jej się podejrzane. Podniosła kości. Rzuciła ponownie. Sześć i trzy.

Przyjrzała im się z uwagą. Rzuciła ponownie. Sześć i trzy.

Rzuciła tylko jedną kość. Trzy.

Trzy.

Trzy.

Otworzyła szeroko oczy, doznawszy olśnienia. Kostka była wyważona. Kości były wyważone. Nie wygrała.

On jej pozwalał wygrać. Kierował grą przez cały czas. Nie ma czegoś takiego, jak szczęście. Okłamał ją.

Manewrował grą, przegrane rzuty z pewnością także zaplanował... chciał jej odebrać czas na badania, odebrać ostatnie tygodnie wolności, zanim zostanie hrabiną Castleton. Okradł ją!

Co gorsza, okradł ją i zostawił, żeby się spotkać z inną kobietą.

Wyprostowała się, patrząc gniewnie na drzwi, za którymi zniknął.

- No - oświadczyła głośno wobec pustego pokoju - tak nie może być.

Podeszła do drzwi i położyła rękę na klamce, chcąc je otworzyć, ale okazały się zamknięte.

Jęknęła, oburzona i zaszokowana, i spróbowała jeszcze raz, pewna, że się myli.

Pewna, że to niemożliwe, żeby ją zamknął w pomieszczeniu kasyna.

Po tym, jak ją oszukał.

Niemożliwe.

Po kilku próbach Pippa zyskała pewność co do dwóch rzeczy. Po pierwsze, rzeczywiście zamknął ją w pokoju w kasynie po tym, jak ją oszukał. Po drugie,

wyraźnie oszalał.

Ukucnęła i wyjrzała na korytarz przez dziurkę od klucza. Odczekała parę chwil, nie mając jasności, na co właściwie czeka, ale jednak czekając. Ponieważ nikt nie przechodził korytarzem po drugiej stronie drzwi, podniosła się i odeszła, żeby po chwili wrócić, przyglądając się przeszkodzie z solidnego dębu.

Mogła zrobić tylko jedno. Musiała otworzyć zamek bez klucza. Nigdy przedtem tego nie robiła, ale czytała o tym w artykułach i powieściach i, prawdę mówiąc, skoro małym dzieciom to się udawało, nie mogło być bardzo trudne. Wyjęła szpilkę z włosów i włożyła paseczek metalu w zamek, kręcąc nim na wszystkie strony. Nic się nie wydarzyło. Po upływie, jak jej się wydawało, wieczności zmagania się z nieosiągalnym, coraz bardziej zła na tę sytuację i na mężczyznę, który ją spowodował, Pippa usiadła, parszając z irytacji i wkładając spinę na właściwe miejsce.

Widocznie w Londynie było sporo małych dzieci dużo zdolniejszych od niej. Rzuciła okiem na ogromny obraz, który już wcześniej przyciągnął jej uwagę. Młodzi ludzie na nim z pewnością nie mieliby żadnego problemu z otwarciem drzwi. Na pewno znaleźliby pół tuzina sposobów, żeby uciec z tego pokoju. Jak, na przykład, sekretne przejście.

Zerwała się z miejsca, powiodła dłonią po jedwabnym obiciu ściany w poszukiwaniu ukrytych drzwi. Zbadanie każdego cala ściany, od jednej ramy do drugiej ramy obrazu, zajęło jej kilkanaście minut, ale nie znalazła nic niezwykłego. Nie było sekretnego przejścia. Chyba że w samym obrazie.

Zerknęła na obraz.

Chyba że.

Chwyciła brzeg masywnej ramy i pociągnęła. Obraz przekręcił się do pokoju,

odsłaniając szeroki, ciemny korytarz.

- Hurra! - zawołała triumfalnie, chwytając świecznik ze stołu i wchodząc do korytarza. Zamknęła za sobą drzwi z głośnym stuknięciem.

Uśmiechnęła się z satysfakcją. Cross nie będzie się posiadać ze zdumienia, kiedy otworzy klatkę i jej tam nie zastanie.

Zasłużył na to, drań.

A Pippa będzie tam, dokąd prowadzi ten korytarz.

10.

W ciągu kilku lat przestudiowałam wiele gatunków flory i fauny i jeśli jest jakaś prawda ogólna, to jest ona następująca: czy to u psów, czy to u ludzi rodzeństwo zwykle wykazuje więcej heterogeniczności niż homogeniczności. Na dowód wystarczy popatrzeć na mnie i na Olwię.

Rodzice to krzak czerwonej róży... potomstwo to białe róże.

Dziennik naukowy lady Philippy Marbury

28 marca 1831; osiem dni przed jej ślubem

Przyszłam ci powiedzieć, żebyś zostawił nas w spokoju.

Cross stał w swoim biurze, za którego zamkniętymi drzwiami stawiało zakłady około dwóch setek najpotężniejszych ludzi w Anglii. Po drodze tutaj zastanawiał się nad pół tuzinem rzeczy, które mógłby powiedzieć siostrze, wszystko wariacje na temat: „Co cię opętało, żeby tu przychodzić?”

Nie miał jednak okazji powiedzieć nic z tego. Siostra odezwała się w chwili, gdy szcęknał zamek, jakby nie miała w życiu innych celów, jak tylko wyrzucić z siebie to jedno proste, jasne zdanie.

- Lavinio... - zaczął, ale przerwała mu, mierząc go nieustępliwym spojrzeniem poważnych, brązowych oczu.

- Nie przyszłam z tobą dyskutować - powiedziała tonem twardym jak stal. -

Przychodzę od Knighta, a on nie chciał mnie widzieć. Z twojego powodu.

- I tak powinno być. - Czuł gniew. - Nie powinnaś do niego chodzić. A jeśli on wie, co dla niego dobre, nigdy się już z tobą nie zobaczy.

Wyglądała na zmęczoną - blada i chuda, z ciemnymi kręgami pod oczami i zapadłymi policzkami, jakby nie spała i nie jadła od wielu dni. Ale to nie tylko upływ czasu ją taką uczynił, sprawił, że zamiast szczęśliwej siedemnastolatki o roześmianych oczach stała przed nim dwudziestoczteroletnia kobieta, która wydawała się o wiele starsza i mądrzejsza, niż wskazywał jej wiek.

Zbyt mądra. Nie ustępowała.

- To nie twoja sprawa.

- Oczywiście, że to moja sprawa. Jesteś moją siostrą.

- Myślisz, że jeśli mówisz te słowa, to one stają się prawdą? Ruszył w jej stronę, cofnęła się, chwytając brzeg biurka, jakby wielka hebanowa płyta mogła dać jej siłę.

- Są prawdziwe.

Wygięła usta w gorzkim uśmiechu.

- Jakie to dla ciebie proste. Jakbyś nie zrobił nic złego. Jakbyś się spodziewał, że zapomnimy, że nas opuściłeś. Jakbyśmy mieli udawać, że wszystko jest dobrze i nic się nie zmieniło. Jakbyśmy mieli zarznąć tłuste ciele i przyjąć cię z powrotem do naszego życia. Syna marnotrawnego.

Słowa zaboląły. Cross pamiętał, jaka młoda była Lavinia, kiedy Baine umarł.

Siedemnastoletnia i ledwie po debiucie w towarzystwie, tak bardzo przeżywała własny ból i tragedię, że nie rozumiała prawdy tamtej sytuacji. Nie rozumiała, że Cross nie miał wyboru, jak tylko odejść od rodziny.

Że został odrzucony.

Że nigdy by mu nie wybaczyli. Że w ich oczach nigdy nie byłby dość dobry,
dość silny. Nie byłby w pełni Baine'em.

Nie tylko w ich oczach. W swoich własnych także.

Nie powiedział jej tego, niczego nie sprostował. Pozwolił, żeby słowa sprawiały
ból. Bo zasługiwał na to. Tak czy inaczej.

Zawsze tak będzie.

Nie odpowiadał, więc Lavinia odezwała się ponownie.

- Przyszłam ci powiedzieć, że niezależnie od tego, jaki układ zawarłeś z

Knighem, cokolwiek z nim uzgodniłeś, nie chcę tego. Chcę, żebyś to odwołał.

Sama wezmę odpowiedzialność za moją rodzinę.

To go rozgniewało.

- Nie powinnaś tego robić. Masz męża. To jego zadanie. Jego rola. To on
powinien myśleć o przyszłości swoich dzieci. Chronić reputację żony.

Jej brązowe oczy rozblęły.

- To nie twoja sprawa.

- Moja, skoro ty potrzebujesz ochrony, a on nie potrafi ci jej zapewnić.

- Teraz jesteś ekspertem w sprawach rodzinnych? Doskonałym starszym
bratem? Teraz, po siedmiu latach dezercji? Po siedmiu latach nieobecności?

Gdzie byłeś, chociażby wtedy, kiedy wydawali mnie za Dunblade'a?

Liczył karty w jakimś kasynie, udając, że nie wie, co się dzieje z jego siostrą. Co
robi. Za kogo wychodzi za męża. Dlaczego. Przez ironię losu to kasyno
najprawdopodobniej należało do Knighta.

- Lavinio - próbował wyjaśnić. - Tyle się wydarzyło, kiedy umarł Baine. Tyle, o
czym nie wiesz.

Zmrużyła oczy.

- Wciąż uważasz mnie za małą dziewczynkę. Myślisz, że nie wiem? Że nie pamiętam tamtej nocy? Muszę ci przypominać, że tam byłam? Nie ty. Ja. To ja noszę blizny. Wspomnienia. Codziennie. A w jakiś sposób to ty uczyniłeś siebie bohaterem wieczoru.

Poruszyła się i zauważył grymas bólu na jej twarzy, gdy oparła się o swoją pięknie rzeźbioną laskę. Podeszedł do najbliższego krzesła i zdjął z niego stos książek.

- Proszę. Usiądź.

Zesztywniała, a kiedy się odezwała, to głosem zimnym jak lód.

- Mogę stać. Kuleję, ale to nie znaczy, że jestem kaleką. Do diabła. Czy on nie może niczego zrobić właściwie?

- Nie miałem na myśli... oczywiście, że możesz stać. Chciałem tylko, żeby ci było wygodniej...

- Nie żądam od ciebie, żebyś dbał o moją wygodę albo ułatwiał mi życie.

Domagam się, żebyś się nie wtrącał do mojego życia. Przyszłam, żeby ci to powiedzieć. I żeby ci powiedzieć, że nie pozwolę, byś wchodził w układy z Knightem w związku ze mną.

Był zły i przygnębiony.

- Obawiam się, że decyzja nie należy do ciebie. Ja z kolei nie pozwolę, żebyś się poświęcała dla Knighta. Nie wtedy, kiedy mogę temu zapobiec.

- To nie twoja sprawa. Nie wtrącaj się.

- To właśnie moja sprawa. Czy ci się to podoba, czy nie, to mój świat, a ty jesteś moją siostrą. - Przerwał, zastanawiając się nad następnymi słowami, nie chcąc ich mówić, ale wiedząc, że jest jej to winien. - Knight chciał poprzez ciebie

dobrac się do mnie.

Ściągnęła gwałtownie brwi.

- Słucham?

Nienawidził siebie w tej chwili, prawie tak samo jak nienawidził wyrazu jej oczu - podejrzliwości i niedowierzania.

- On chce mnie, Lavinio. Nie ciebie. Ani Dunblade'a. Wiedział, że grożąc tobie, najszybciej uzyska ode mnie to, czego chce.

- Dlaczego miałby tak myśleć? - parsknęła. - Nigdy nie poświęciłeś nam chwili uwagi.

To zabolalo.

- Nieprawda.

Poruszyła się znowu. Nie mógł się powstrzymać, żeby nie spojrzeć na jej laskę, żałując, że nie może zobaczyć nogi. Wiedział, jak ją ta noga boli. Słono płacił jej doktorom, żeby go informowali o stanie siedmioletniej rany.

Spojrzał na nią.

- Lavinio - zaczął. - Proszę. Usiądź. Porozmawiamy o tym. Nie usiadła.

- Cierpimy z twojego powodu?

Nie liczyło się to, że cierpieli, ponieważ jej mąż miał słabą wolę. Gdyby Cross nie był Crossem... gdyby w przeszłości nie zadał się z Kni-gthem... byliby bezpieczni.

- Grozi ci dlatego, żeby wciągnąć mnie w pułapkę. Żeby dostać ode mnie to, czego chce. Trzymaj się od niego z daleka. Odsunę tę groźbę. I to ja mu zagrozę.

Potrzebuję czterech dni.

- Czego on chce?

Mojego tytułu. Nazwiska. Dziedzictwa twoich dzieci.

- To nie ma znaczenia.

- Oczywiście, że ma.

- Nie. Nie ma znaczenia, ponieważ tego nie dostanie. Ani ciebie. Coś błysnęło w jej brązowych oczach, coś bardzo podobnego do nienawiści. Roześmiała się gorzko.

- Przypuszczam, że nie powinnam się dziwić. Ostatecznie mój ból zawsze wynikał z twoich poczynań. Dlaczego teraz miałyby być inaczej?

Zamilkli oboje, rozpamiętując słowa, jakie padły, znajome i nieznośne, echo bezdusznego oskarżenia ojca tamtej nocy sprzed siedmiu lat. To powinieneś być ty.

I rozpaczliwego łkania matki. Gdybyś to był ty.

I krzyków bólu Lavinii, kiedy chirurdzy robili, co mogli, żeby nastawić kość i oczyścić ranę, uleczyć jej młode, kruche ciało z groźnej gorączki, zagrażającej jej młodemu życiu.

Zagrażającej zdrowiu umysłowemu Crossa.

Chciał jej powiedzieć prawdę. Ze tamtej nocy nie mógł sobie poradzić z poczuciem winy, a następnej nocy ze strachem. Że przez lata nie opuszczał go żal, iż to nie on był w tamtym powozie. Że to nie Baine został w domu - silny, kompetentny Baine, który nigdy by ich nie zostawił. Który nigdy nie pozwoliłby jej poślubić Dunblade'a.

Że to nie on umarł - wtedy nigdy by ich nie zawiódł.

Nie był jednak w stanie tych słów z siebie wydobyć.

Zamiast tego powiedział:

- Naprawię szkodę. Nigdy już nie będzie cię gnębił. Znowu śmiech, pełen bólu i wrogich uczuć.

- Proszę, nie rób tego. Jesteś zbyt dobry w wyrządzaniu szkód, żeby potrafić je naprawiać. - Po chwili dodała: - Nie chcę cię w swoim życiu. Sama się z nim zmierzę.

- Nie spotka się z tobą - powiedział. - To część naszej umowy.

- Jak śmiesz z nim negocjować w moich sprawach?

Pokręcił głową i powiedział prawdę, zmęczony nieudomówieniami.

- Przyszedł do mnie, Lavinio. I chociaż wolisz myśleć inaczej, nie pozwoliłbym mu cię skrzywdzić. Nigdy na to nie pozwolę.

Te słowa mogły wyrzeć pewne wrażenie, ale nigdy się tego nie dowiedział, bo w tym właśnie momencie, kiedy słowa rozplywały się w powietrzu, rozległo się głośne stuknięcie po drugiej stronie wielkiego obrazu na jednej ze ścian.

Ogarnęło go nieprzyjemne uczucie. Wiedział, co jest po drugiej stronie obrazu, dokąd prowadzi przejście.

Wiedział także, z niezachwianą pewnością, kto stoi o parę cali od jego biura.

Podniósł rękę, dając znak siostrze, żeby milczała, obszedł biurko, chwycił złoconą ramę obrazu i mocno go pociągnął. Ukazało się sekretne przejście i

Philippa Marbury o szeroko otwartych oczach, która wy-

padła z korytarza, zatrzymując się przed jednym ze stolików i prostując pośpiesznie, żeby stanąć twarzą w twarz z obecnymi w pokoju.

Nie tracąc ani chwili, poprawiła okulary i minęła go, wchodząc w głąb gabinetu.

- Dzień dobry, lady Dunblade - powiedziała, po czym zwróciła na niego chłodne spojrzenie niebieskich oczu, kładąc triumfalnie na brzegu wielkiego czarnego biurka parę kostek do gry z kości słoniowej. - A pan jest kłamcą i oszustem. I nie pozwolę sobą dyrygować jak psem.

Nastąpiła chwila pełnej zdumienia ciszy. Lavinia otworzyła ze zdziwienia usta, a Cross zastanawiał się, jak to się stało, że jego spokojne, uporządkowane życie tak kompletnie wymknęło się spod kontroli.

Jego Lavinia była Lavinia, baronową Dunblade. Damą. Fascynujące, jak łatwo socjeta czyni niewidzialnymi tych, których dotknęło nieszczęście. Lady Dunblade mogła potrzebować laski, żeby pomagać sobie przy chodzeniu, ale teraz, kiedy stała w zagraconym biurze Crossa, Pippa zastanawiała się, jak można było jej nie zauważyć. Pomijając utykanie, była piękna - wysoka, o wspaniałych rudych włosach i brązowych oczach, których Pippa nie mogła nie podziwiać. Najwyraźniej nie była w tym podziwie odosobniona. Pan Cross widocznie również je podziwiał. Pippa nie powinna się dziwić. Przecież, pan Cross miał opinię hulaki - chociaż w obecności Pippy nigdy nie pozwolił sobie na cokolwiek niewłaściwego - a lady Dunblade tak bardzo nie zwracała na siebie uwagi, że mogła bez trudu wchodzić i wychodzić z Upadłego Anioła, nie wywołując skandalu.

Ale to był skandal - Lavinia w biurze Crossa, wyprostowana i dumna niczym grecka królowa.

I dlaczego nie miałyby stać dumnie? Zainteresowała sobą jednego z najbardziej wpływowych ludzi w Londynie.

Pippa sama byłaby dumna, gdyby jej się to udało.

Oparła się tej myśli i nieprzyjemnym uczuciom, jakie się z nią pojawiły.

Odwróciła się, żeby zamknąć drzwi do sekretnego przejścia. Powinna się domyślić, że wybrał pokój z przejściem wiodącym do własnego biura. Nie był człowiekiem, który wierzył w przypadek.

I raczej nie był jednym z tych, którzy mogli się ucieszyć, że wypadła ze ściany

wprost do jego prywatnego biura... i jeśli wierzyć w to, co podsłuchiwała... w trakcie bardzo prywatnej rozmowy.

Nigdy nie pozwolę mu cię skrzywdzić.

Nawet przez ścianę styszaia namiętność w jego głosie. Oddanie. Nawet przez ścianę czuła słowa jak ciosy. Najwyraźniej zależało mu na tej damie. Tak bardzo, że zostawił Pippę w zamkniętym na klucz pokoju i pobiegł do niej.

Nie powinno jej to martwić. Łączyło ich przecież partnerstwo, a nie bliski związek.

To nie była pora ani miejsce na zazdrość. W nauce nie ma zazdrości. Tyle że chyba była.

Nie powinna być zazdrosna. Powinna być zła. Zakpił z ich umowy, oszukując ją wyważonymi kostkami i wstrętnymi kłamstwami. Tak. To dlatego przyszła tutaj wściekła. Jeśli czuła przygnębienie, to wyłącznie z tego powodu, z żadnego innego.

Z pewnością nie dlatego, że zostawił ją, żeby przyjść do tej damy.

Nie powinna w ogóle czuć przygnębienia.

A jednak wydawało się, że powód jej złego nastroju jest dokładnie taki.

Ciekawe.

Zamknęła sekretne przejście i odwróciła się do pana Crossa i lady Dunblade.

Zauważywszy jego wściekłość i jej zdumienie, powiedziała:

- Przepraszam, że przeszkadzam. Minęła chwila, zanim oboje się odezwali.

- Skończyliśmy - oznajmiła dama, prostując się, jakby przypomniała sobie, gdzie jest, i skierowała się do drzwi. - Wychodzę.

- Co najlepszego robi pani w tym korytarzu? Mówiłem, żeby nie ruszała się pani z tamtego pokoju - powiedział jednocześnie Cross.

- Zamknął mnie pan i spodziewał się, że nie będę próbowała uciec? -odparła

Pippa, nie potrafiąc ukryć oburzenia.

- Spodziewałem się, że zależy pani na własnym bezpieczeństwie. Otworzyła szeroko oczy.

- A co złego mogłoby mnie spotkać?

- W ciemnym sekretnym przejściu w kasynie? Ma pani rację. Nic złego.

Cofnęła się o krok.

- Z sarkazmem panu nie do twarzy, panie Cross.

Pokręcił głową, zniechęcony, i odwrócił się do lady Dunblade, która stanęła przy drzwiach.

- Nie wychodzisz. Dama zmrużyła oczy.

- Skończyliśmy. Przekazałam ci to, co miałam do powiedzenia. I z pewnością wychodzę.

Pippa przysunęła się do obrazu, zza którego wyszła.

- Lavinio... - zaczął Cross głosem pełnym emocji, robiąc krok w stronę lady Dunblade. Podniosła rękę.

- Nie. Dokonałeś wyboru. Nie możesz zmienić przeszłości.

- To nie przeszłość chcę zmienić, czy nie rozumiesz? Chodzi o przyszłość.

- Nie do ciebie należy zmieniać przyszłość. - Lavinia stała przy drzwiach prowadzących do głównego pomieszczenia kasyna.

Pippa przyglądała im się, wiodąc wzrokiem od jednego do drugiego jak na meczu badmintona. Do głowy cisnęło się jej mnóstwo pytań, rozpaczliwie chciała poznać fakty. Co się zdarzyło w ich przeszłości? Co takiego zagrażało teraz ich przyszłości? Jak jedno wiązało się z drugim?

Szukając odpowiedzi, dostrzegła udrękę w jego oczach.

Kochał ją.

Znieruchomiła, ta myśl wytrąciła ją z równowagi, budząc nieprzyjemne uczucia.

Lavinia położyła rękę na klamce i Cross zaklął.

- Do wszystkich diabłów, Lavinio. Tam jest połowa Londynu. Jeśli cię zobaczą, twoja reputacja będzie zrujnowana.

Obejrzała się przez ramię.

- Czyż już nie jestem na drodze wiodącej do tego? Co to miało znaczyć?

- Nie, jeśli mogę mieć coś do powiedzenia. Zabiorę cię do domu. Lavinia spojrzała na Pippę.

- A lady Philippa?

Odwrócił się do Pippy, zaskoczony, jakby zapomniał, że tu jest. Stłumiła rozczarowanie, które nagle ją ogarnęło.

- Zabiorę was obie do domu.

Pippa pokręciła głową. Cokolwiek by się działo z lady Dunblade, nie miało wpływu na jej wieczorne plany. Nie zwracając uwagi na ciężar w piersi, spowodowany niedawnymi odkryciami, oznajmiła stanowczo:

- Nie interesuje mnie powrót do domu.

- Nigdzie z tobą nie pojedę - jednocześnie rzekła Lavinia. Sięgnął po jeden ze sznurów od dzwonka wiszących na ścianie za jego plecami, szarpiąc go z większą siłą niż potrzeba.

- Nie zmuszę cię, żebyś została, ale nie pozwolę także, żebyś się skompromitowała. Pojedziesz do domu z eskortą.

- I znowu zostawiasz mnie w rękach kogoś innego - powiedziała baronowa z goryczą.

Cross pobladł. W pokoju zrobiło się nagle ciasno, również dla Pippy. Jakaś silna więź łączyła oboje, jakieś podobieństwo - kiedy tak stali naprzeciwko siebie i żadne nie chciało ustąpić.

Niewątpliwie mieli wspólną przeszłość. Niewątpliwie znali się od lat.

Niewątpliwie kiedyś zależało im na sobie nawzajem.

Być może nadal zależało.

Ta myśl sprawiła, że Pippa miała ochotę wczołgać się do sekretnego korytarza i znaleźć inne wyjście z klubu. Pociągnęła ciężką ramę obrazu, woląc pusty, zamknięty pokój do gry od tego biura.

Tym razem jednak, kiedy obraz się obrócił, w korytarzu ukazał się człowiek.

Wielki, brązowoskóry mężczyzna, który wydawał się równie zaskoczony widokiem Pippy, jak Pippa widokiem jego. Patrzyli na siebie przez chwilę, zanim Pippa wydusiła:

- Przepraszam. Chciałabym przejść.

Mężczyzna zmarszczył brwi i spojrzał niepewnie na Crossa, który burknął coś, rozeźlony, pod nosem.

- Ona nigdzie nie idzie - oznajmił zdecydowanie. Pippa spojrzała na niego.

- Nic mi się nie stanie.

Odpowiedział poważnym spojrzeniem szarych oczu.

- Dokąd zamierza pani pójść? Tego nie była całkiem pewna.

- Do... - Machnęła ręką w ciemność za plecami wielkiego mężczyzny, tarasującego przejście. - ...ściany - dokończyła.

Nie patrząc na nią, zwrócił się do człowieka w przejściu:

- Zabierz lady Dunblade do domu. Dopilnuj, żeby jej nikt nie widział. Pippa wyciągała szyję, żeby przyjrzeć się wielkoludowi - większego

człowieka dotąd nie spotkała. Trudno było sobie wyobrazić, żeby zajmował się na co dzień potajnym rozwożeniem kobiet po domach, ale pan Cross jako legendarny nicpoń i hulaka zapewne nie po raz pierwszy prosił go o taką przysługę.

- Nie pojedę z nim - oświadczyła z mocą lady Dunblade.

- Nie masz wyboru - powiedział Cross. - Chyba że wolisz, żebym to ja cię odwiózł.

Pippa stwierdziła, że ten pomysł jej się nie podoba, ale zachowała milczenie.

- Skąd mam wiedzieć, że mogę mu ufać?

Cross podniósł wzrok do sufitu, potem znowu spojrzął na damę.

- Nie możesz. Ale, jak sądzę, twoje decyzje, komu ufać, a komu nie ufać, dokonywane są całkowicie arbitralnie, więc dlaczego nie umieścić go w kolumnie: godni zaufania?

Patrzyli na siebie i Pippa była ciekawa, co się stanie. Nie zdziwiłaby się, gdyby lady Dunblade otworzyła na oścież drzwi gabinetu i wmaszerowała do kasyna, żeby zrobić Crossowi na złość.

Co on jej zrobił?

Co ona zrobiła jemu?

Po dłuższej chwili Pippa nie mogła się powstrzymać.

- Lady Dunblade?

Dama spojrzała jej w oczy, a Pippa zastanowiła się, czy kiedykolwiek w ogóle rozmawiały ze sobą. Nie wydawało jej się, żeby tak było. Teraz, w tej chwili, była pewna, że gdyby się wcześniej spotkały, zapamiętałyby tę dumną wojowniczkę o brązowych oczach i płomiennych włosach.

- Tak?

- O cokolwiek chodzi - powiedziała z wahaniem Pippa - nie jest to warte utraty przez panią reputacji.

Minęła chwila i Pippa zaczęła podejrzewać, że baronowa nie zareaguje. Zrobiła to jednak. Oparła się o laskę, przeszła przez pokój i pozwoliła mężczyźnie w ścianie pomóc sobie wejść w ciemny korytarz.

Kiedy już tam stanęła, odwróciła się i spojrzała Pippie w oczy.

- Mogłabym to samo powiedzieć o pani. Przyłączy się pani do mnie?

Pytanie zawisło w powietrzu. Pippa przeczuwała, że odpowiedź wpłynie nie tylko na to, co będzie robiła dzisiejszego wieczoru. Wiedziała, że „tak” odsunie ją od Crossa na zawsze. Natomiast „nie” mogłoby ją tutaj zatrzymać na zbyt długo.

Dłużej niż planowała.

Nie potrafiła odczytać wyrazu jego szarych oczu, które wciąż miały nad nią taką moc - potrafiły przyspieszyć jej oddech i wywołać ściskanie w żołądku.

Pokręciła głową, nie będąc w stanie odwrócić spojrzenia.

- Nie. Zostanę. Nie poruszył się.

- Nie wiem, dlaczego tu pani jest, lady Philippo - odezwała się lady Dunblade - ale mogę pani powiedzieć jedno. Cokolwiek ten człowiek pani obiecał, cokolwiek spodziewa się pani zyskać na tej znajomości, niech pani nie liczy, że to dostanie. - Pippa nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie musiała. - Pani reputacja jest zagrożona.

- Uważam na siebie - powiedziała Pippa.

Baronowa uniosła jedną miedzianą brew z niedowierzaniem, w jej oczach pojawiło się coś znajomego, co znikło, zanim Pippa zdążyła to nazwać.

- Niech pani o tym pamięta.

Baronowa zniknęła w mroku sekretnego korytarza, a potężny mężczyzna

podążył za nią. Pippa patrzyła za nimi, póki światło latarni nie zgasło za rogiem, potem wsunęła obraz na miejsce i odwróciła się w stronę Crossa.

Stał w drugim końcu pokoju, plecami do wielkiego regału z książkami, ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Sprawił wrażenie wyczerpanego. Stał z opuszczonymi ramionami, wyraźnie przybity, i nawet Pippa, której zwykle odczytywanie cudzych emocji sprawiało trudność, zrozumiała, że został zraniony w utarczce, która tu się odbyła.

Mimowolnie ruszyła w jego stronę. Jej spódnice zaszeleściły, muskając stojące z boku liczydła, i ten dźwięk wyrwał go z zamyślenia. Podniósł głowę i popatrzył na nią szarymi oczami, sprawiając, że stanęła w pół kroku.

- Należało z nią jechać. Pokręciła głową.

- Przyrzekł mi pan pomoc - wydobyła z siebie z pewnym trudem.

- A jeśli powiem, że chcę unieważnić naszą umowę? Zmusiła się do uśmiechu.

- To pragnienie nie jest obustronne. Jego oczy pociemniały.

- Kim ona jest? - zapytała, nie potrafiąc pokonać ciekawości. Czar prysnął,

rozejrzał się i podszedł do biurka, odgradzając się od niej hebanowym meblem. Zaczął przerzucać papiery na blacie.

- Wie pani, kim ona jest. Zaprzeczyła.

- Wiem, że to baronowa Dunblade, ale kim jest dla pana?

- To bez znaczenia.

- Przeciwnie. To wydaje się bardzo istotne.

- To nie powinno pani obchodzić. Niepokojące, jak bardzo obchodziło.

- A jednak. - Urwała, mając nadzieję, że odpowie. Wiedziała, że nie powinna, a jednak zadała kolejne pytanie: - Czy ona jest dla pana bardzo ważna?

Nie mów. Nie chcę wiedzieć.

Ale chciała. Rozpaczliwie. Ponieważ nie odpowiadał, dodała:

- Pytam, bo jestem ciekawa, dlaczego jej wizyta kazała panu mnie zamknąć w pokoju do gry na niewiadomo jak długo.

Podniósł wzrok.

- Wcale nie na niewiadomo jak długo. Stała po przeciwnej stronie biurka.

- Nie dzięki panu.

- Jak pani znalazła przejście?

- Zdziwiłby się pan, jak złość pomaga znaleźć wyjście z sytuacji. Usta mu drgnęły w uśmiechu.

- Domyślałam się, że chodzi pani o uwięzienie.

- I pańskie oszustwa - dodała.

Zerknął na kości, które położyła na brzegu biurka.

- Te kości wygrywają.

- Sądzi pan, że ma dla mnie znaczenie, w jaki sposób zostałam oszukana? To wciąż oszustwo.

Roześmiał się niewesoło.

- Oczywiście, dla pani to bez znaczenia. Chodziło o pani dobro.

- A siódemki?

- Też wyważone. Skinęła głową.

- Dziewiątka, którą wyrzuciłam pierwszego popołudnia? Zakład, z powodu którego wysłał mnie pan do domu, zabraniając szukać pomocy u innych mężczyzn?

Nalał sobie kolejny kieliszek szkockiej.

- To też.

- Mówiłam panu, że nie lubię kłamców, panie Cross.

- A ja mówiłem, że nicponie kłamią. To był moment, kiedy należało się tego nauczyć.

Ten człowiek doprowadzał ją do rozpacz.

- Jeśli wszystkie kłamstwa można tak łatwo rozpoznać, jak pańskie głupie wyważone kości, myślę, że nic mi w świecie nie grozi.

- Jestem zaskoczony, że pani to zauważyła.

- Może pańskie damy nie zauważyłyby epidemii trójek i szóstek - odparła gniewnie Pippa - ale ja jestem naukowcem. Znam rachunek prawdopodobieństwa.

- Moje damy?

- Panna Tasser... lady Dunblade... inne, jakie się gdzieś wokół pana kręcą. -

Obraz, który te słowa wywołały, niezbyt jej przypadł do gustu. - W każdym razie ja się od nich różnię.

- Nigdy nie znałem kobiety podobnej do pani. Słowa zaboląły.

- Co pan ma na myśli?

- Tylko to, że inne kobiety nie zbijają mnie do tego stopnia z tropu.

- Interesujące, jako że nigdy nie spotkałam mężczyzny, który doprowadzałby mnie aż tak do rozpacz. - Wskazała obraz. - Nie należało zamykać mnie w tamtym pokoju.

Opróżnił kieliszek i odstawił go na kredens.

- Zapewniam panią, że tam była pani bezpieczna. Nie czuła się zagrożona, ale nie w tym rzecz.

- A gdybym cierpiała na fobię?

Podniósł gwałtownie głowę, patrząc jej w oczy.

- A cierpi pani?

- Nie. Ale mogłabym. - Zawahała się. - A gdyby wybuchł pożar? Nawet nie mrugnął.

- Wyciągnąłbym panią.

Jego pewność siebie nieco ją zmieszała.

- Tym magicznym korytarzem? - zapytała, kiedy się otrząsnęła.

- Tak.

- A gdyby ogień już go pochłonął?

- Znalazłbym sposób, żeby panią uratować.

- Mam w to wierzyć?

- Tak. - Wydawał się tak pewny siebie, jakby nic nie mogło go powstrzymać.

- Dlaczego?

- Bo to prawda. - W momencie, kiedy padły te ciche słowa, Pippa uświadomiła sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, że oboje pochylili się nad wielką hebanową płytą

- symbolem władzy niczym armia Karola Wielkiego - tak że dzieliło ich teraz zaledwie parę cali.

Po drugie, że mu wierzy. Przyszędłby po nią.

Wypuściła powietrze z płuc w długim westchnieniu.

- Zamiast tego ja przyszedłam po pana. Uśmiechnął się nieznacznie.

- Nie wiedziała pani, dokąd prowadzi przejście.

Wszystko w nim - oczy, głos, zapach drzewa sandałowego - pociągało ją.

Zapra gnęła zamknąć oczy i wtulić się w niego.

- Miałam nadzieję, że czeka mnie coś podniecającego - powiedziała głosem ledwie głośniejszym od szeptu.

Że na końcu korytarza czekasz ty.

Odsunął się gwałtownie, jakby usłyszał te słowa, wyrrywając ją z rozmarzenia.

- W takim razie przykro mi, że trafiła pani tutaj. Wyprostowała się także, zwracając uwagę na obraz, przez który tu dotarła - którego niemal nie zauważyła, kiedy była tu wcześniej, a który teraz wydawał się pochłaniać przestrzeń, powodując, że jedna ściana pokoju skurczyła się do rozmiarów pięciu stóp na dziesięć - groteskowy, piękny i niezwykle frapujący.

Na środku obrazu spała, w swobodnej pozie, kobieta w bieli, z ramionami nad głową i jasnymi włosami opadającymi na podłogę. Jej biała, doskonała skóra stanowiła jedyne źródło światła w obrazie, tak że trzeba było przyjrzeć się chwilę, żeby zauważyć, co kryje się w mroku jej sypialni.

Z boku, przez czerwoną aksamitną zasłonę, zaglądał potężny czarny koń, o strasznych dzikich oczach i otwartym pysku z wielkimi, białymi zębami. Bestia wydawała się patrzeć pożądliwie na śpiącą postać, jakby wyczuwała, o czym piękność śni, i czekała na dobry moment, żeby zaatakować.

Jednak ogier musiał czekać na swoją kolej, ponieważ na ciele kobiety, w zacienionym miejscu między jej piersią a udem, siedziała mała, brzydka figurka, ni to człowiek, ni to zwierzę. Stworzenie wydawało się spoglądać z obrazu, patrząc w oczy każdemu, kto śmiał na nie spojrzeć. Na twarzy chochlika malowała się zarazem cierpliwość i zaborczość. Jakby gotów był czekać wieczność, aż kobieta się obudzi, żeby o nią walczyć na śmierć i życie.

To był najniezwyklejszy obraz, jaki widziała. Skandaliczny, grzeszny. Podeszła bliżej.

- Ten obraz jest wyjątkowy.

- Podoba się pani? - usłyszała zaskoczenie w jego głosie.

- Nie sądzę, żeby to było właściwe słowo. Przykuwa uwagę. - Miała ochotę

wyciągnąć rękę i obudzić kobietę na obrazie, żeby ostrzec ją przed czymś, co

było niewątpliwie początkiem upadku. - Skąd pan go ma?

- Dostałem go jako spłatę długu. - Obejrzała się przez ramię. Stał bliżej, z ręką na biurku, patrząc, jak Pippa przysuwa się do obrazu.

- Przypuszczam, że ogromnego. Schylił głowę.

- Podobał mi się na tyle, żeby wymazać dług z książki. Na zawsze. Nie dziwiło jej, że pociągał go ten obraz - występki oddany każdym

pociągnięciem pędzla, mroczna historia, jaką opowiadał. Odwróciła się znowu do płótna, patrząc na dziwną istotę siedzącą na śpiącej kobiecie.

- Co to jest? - Wyciągnęła rękę w stronę owej istoty, bojąc się jej dotknąć.

- To inkub. Koszmar senny. Kiedyś wierzono, że demony przychodzą w nocy i dręczą tych, którzy śpią. Ofiarami męskich demonów, jak ten, padały piękne kobiety.

W jego głosie zabrzmiało coś szczególnego - wspomnienie? Pippa spojrzała zaintrygowana.

- Dlaczego pan wziął ten obraz?

Nie patrzył już na nią, zamiast tego wpatrywał się w biurko. Podniósł kości, które tam położyła, i ścisnął je w dłoni.

- Nie dbam o sen - powiedział, jakby to była sensowna odpowiedź. Dlaczego nie dba?

Chciała o to zapytać, domyślała się jednak, że nie odpowie.

- Nie dziwię się, skoro spędza pan większość czasu w pobliżu tego obrazu.

- Można się do niego przyzwyczaić.

- Raczej wątpię. Jak często używa pan przejścia?

- Rzadko jest mi potrzebne. Uśmiechnęła się.

- A zatem mogłabym je zaanektować?

- Nie umie pani z niego korzystać. Usłyszałem panią, kiedy była pani blisko.

- Nie.

- Tak. Pewnie to panią zaskoczy, ale nie potrafi pani zręcznie się skradać, lady Philippo.

- Nie miałam okazji tego ćwiczyć, panie Cross. Po jego twarzy przemknął cień uśmiechu.

- Aż do niedawna.

- To miejsce tego wymaga, nie sądzi pan?

- Owszem.

Odłożył kości na biurko z cichym stuknięciem. Białe sześcianiki przyciągnęły jej uwagę. Obróciła się do nich.

- O ile dobrze pamiętam, jest mi pan winien odpowiedzi na trzy pytania. Cztery, doliczając to, na które pan nie odpowiedział.

Nastąpiła cisza i Pippa podniosła wzrok, odrywając go od kości. Czekał na to.

- Wszystkie kości były wyważone. Nic pani nie jestem winien. Ściągnęła brwi.

- Przeciwnie, jest mi pan sporo winien. Wierzyłam, że dowiem się od pana prawdy.

- Pani błąd, nie mój.

- Nie wstydzisz się pan oszukiwać?

- Wstydzę się, że zostałem przyłapany. Skrzywiła się.

- Nie docenił mnie pan.

- Tak się wydaje. Drugi raz nie popełnię tego błędu. Nie będę miał okazji.

- Wycofuje się pan? Skinął głową.

- Tak. Chcę, żeby pani stąd odeszła. Na zawsze. To nie miejsce dla pani.

Pokręciła głową.

- Mówił pan, że się nie wycofa.

- Kłamałem.

To ją zaskoczyło, powiedziała odruchowo:

- Nie.

- Nie? - zdziwił się.

Pokręciła znowu głową, podchodząc bliżej i zatrzymując się o stopę od niego.

- Nie.

Podniósł kości, obracając je w dłoni z cichym grzechotem.

- Na jakiej podstawie pani odmawia?

- Na tej podstawie, że jest mi pan to winien.

- Zamierza mnie pani pozwać do sądu? - zapytał drwiąco.

- Nie muszę - odparła, grając ostatnią, najmocniejszą kartą. - Wystarczy, że pozwę pana przed mojego szwagra.

Otworzył szerzej oczy, na krótką chwilę, tak że zdążyła to zauważyć, zanim podszedł do niej blisko.

- Doskonały pomysł. Powiedzmy wszystko Bourne'owi. Myśli pani, że zmusi mnie, żebym dotrzymał słowa?

Nie pozwoliła się zniechęcić.

- Nie. Myślę, że zamorduje pana za to, że pan na to przystał. Tym bardziej, jeśli się dowie, że wstawiła się za mną dama lekkich obyczajów.

W poważnym szarym spojrzeniu błysnęła irytacja i... podziw? Cokolwiek to było, zniknęło natychmiast, zgasło jak latarnia w jednym z tych tajemniczych, ciemnych korytarzy.

- Dobrze rozegrane, lady Philippo - powiedział cicho.

- Tak sędę. - Co się działo z jej głosem? Był tak blisko.

- Od czego chciałyby pani zacząć?

Chciała zacząć od tego, w czym im przerwano. Nie mógł teraz uciec ze swojego gabinetu... w kasynie gry, o parę stóp od siedliska grzechu i występku, gdzie połowa Londynu rzuciłaby się, żeby ją skompromitować, gdyby ją tu znaleziono.

Ją i pana Crossa, o parę cali jedno od drugiego.

Zdecydowała się na ryzyko. Jego wiedza miała być nagrodą.

Ogarnęło ją podniecenie - zapowiedź czegoś więcej, niż się spodziewała, kiedy wyjeżdżała z domu dziś wieczorem.

- Chciałabym zacząć od całowania.

11.

Ona chciałyby zacząć od całowania, ale on chciał skończyć z nią leżącą na jego biurku, nagą, otwartą dla jego rąk, ust i ciała, gorącą jak lato na wsi.

I na tym polegał kłopot.

Nie mógł jej dać tego, czego chciała. Musiałby wziąć wtedy wszystko, czego pragnął.

Do diabła. Była zbyt blisko. Cofnął się o krok, wdzięczny swoim długim nogom i biurku za plecami, które dawało mu niewzruszone oparcie.

- Nie sędę, żeby Bourne'owi się spodobało, że daję pani nauki w... -Przerwał, nie mogąc się zdobyć, żeby wymówić to słowo.

Dama nie miała z tym problemu.

- Całowaniu?

Przypuszczał, że powinien się cieszyć, iż nie zapytała o co innego, co także nazywała bez skrępowania.

- Tak.

Przechyliła głowę, a on mimowolnie zapatrzył się na jej długą szyję o miękkiej, białej skórze.

- Wie pan, nie sądzę, żeby miał coś przeciwko temu - oznajmiła po dłuższej chwili. - W istocie powinien być zadowolony, że poprosiłam pana.

Zaśmiał się - jeśli można określić w ten sposób głośne ha, wyraz niedowierzania.

- Myślę, że nie mogłaby się pani bardziej mylić.

Bourne zabiłby go gołymi rękami, gdyby jej dotknął. I tak byłoby warto. Nie miał co do tego cienia wątpliwości. Pokręciła głowę.

- Nie, sądzę, że mam rację - powiedziała, jak mu się wydawało, bardziej do siebie, a potem się zamyśliła, zastanawiając nad pytaniem.

Nigdy nie widział, żeby kobieta zastanawiała się tak starannie nad słowami.

Mógłby godzinami patrzeć, jak myśli. Całymi dniami. Ta śmieszna myśl go przestraszyła. Patrzeć, jak ona myśli? Co się, do diabła, z nim dzieje?

Nie miał czasu tego rozważyć, bo coś się zmieniło w jej spojrzeniu, częściowo ukrytym za szklami okularów.

- Nie sądzę, aby tu w ogóle chodziło o Bourne'a. Nie chodziło. Ale nie musiała o tym wiedzieć.

- Bourne jest jednym z wielu powodów, dla których pani tego nie powiem.

Popatrzyła na swoje zaciśnięte dłonie, a kiedy się odezwała, w jej tonie było coś, co mu się nie spodobało.

- Rozumiem.

Pokręciła głowę, a on nie mógł nie patrzeć na jej jasnoblond włosy, niczym włókna w kolbie kukurydzy, połyskujące w blasku świateł. Nie powinien pytać. To nie miało znaczenia.

- Co pani rozumie?

Mówiła do siebie, cicho, nie podnosząc głowy.

- Nigdy mi to nie przyszło do głowy. Oczywiście, powinno. Pożądanie jest częścią tego wszystkiego.

Pożądanie. O tak. Ogromną częścią.

Spojrzała na niego. Zobaczył niepewność, rezygnację i - oby gnił w piekle - smutek. Wszystko w nim krzyczało, żeby się do niej zbliżyć.

Dobry Boże. Próbował się od niej odsunąć, ale masywne biurko, które zaledwie parę sekund wcześniej dawało mu takie oparcie, więziło go na miejscu, stanowczo za blisko, podczas gdy jej oczy zaszklily się od łez.

- Proszę mi powiedzieć, panie Cross, czy sądzi pan, że mogłabym go przekonać, żeby mnie dotknął?

Zniósłby te słowa, gdyby nie intonacja - lekki nacisk na słowo „go”, oznaczające kogoś innego niż on. Oznaczające Castletona. Oznaczające, że miała nadzieję, że to Cross jej dotknie. Była pokusą. Torturą.

Wystarczyło wyciągnąć ręce i wziąć ją. Nikt by się nie dowiedział. Tylko raz.

Poczułby tylko jej smak i wysłał w swoją drogę, do męża. W małżeństwo. W jej życie. Nie.

Była nietykalna. Tak jak inne kobiety, które poznał w ciągu ostatnich sześciu lat. Bardziej.

Nieskończenie bardziej.

Usiłował znaleźć odpowiednie słowa, zły, że odebrała mu mowę. Gdyby partnerzy go teraz zobaczyli, sprytnego, mądrego Crossa, czującego się jak pyłek przy tej dziwnej, pięknej kobiecie w okularach.

Słowa nie przychodziły, więc poprzestał na:

- Pippo...

Rumieniec zalał jej policzki. Zaróżowiły się cudnie; młodszy, śmiały Cross uznałby to za zaproszenie. Takie, które by przyjął.

Spojrzała znowu na swoje dłonie, rozkładając je szeroko, nieświadoma, jak bardzo kuszą go jej palce.

- Przepraszam. To było zupełnie... było... To jest... - Westchnęła, jej ramiona ugięły się, jakby pod ciężarem, który ciężko znosić. W końcu podniosła głowę i powiedziała po prostu: - Nie powinnam tego mówić.

Nie pytaj. Nie chcesz wiedzieć. Ale chciał. I to bardzo.

- Co miała pani na myśli?

- Wolałabym panu nie mówić.

Uśmiechnął się mimo woli. Nawet teraz, kiedy z pewnością tego chciała, nie potrafiła skłamać.

- A jednak chciałbym wiedzieć. Mówiła do swoich dłoni.

- Tyle że... odkąd się poznaliśmy, byłam raczej... cóż, zafascynowana... Tobą.

Powiedz to, prosił w duchu, nie całkiem pewien, co by wtedy zrobił, ale chcąc poddać się próbie. Wciągnęła powietrze.

- Pańskimi kośćmi.

Czy ona nigdy nie powie czegoś, czego można się spodziewać?

- Moimi kośćmi? Skinęła głową.

- Tak. Cóż, mięśniami i ścięgnami także. Przedramionami. Udami. A wcześniej, kiedy patrzyłam, jak pije pan whisky, pańskimi dłońmi.

Crossowi składano propozycje wiele razy. Spędził kawał życia, odmawiając kobiecym żądaniom. Ale nigdy nie prawiono mu komplementów z powodu jego kości.

To było najdziwniejsze, najbardziej zmysłowe wyznanie, jakie słyszał.

I nie miał pojęcia, jak na to odpowiedzieć.

Nie musiał jednak, jako że ona ciągnęła dalej.

- Wydaje się, że nie mogę przestać o nich myśleć - powiedziała niskim, zgnębionym głosem. - Nie mogę przestać myśleć o tym, żeby ich dotknąć. O tym, że one mogłyby mnie dotknąć.

Boże, miej w opiece ich oboje, on także nie mógł. Nie powinien pytać. Nie powinien.

Ale nawet wejście króla nie zdołałoby mu w tym przeszkodzić.

- Dotknąć gdzie?

Podniosła głowę na tyle szybko, żeby spowodować katastrofę, gdyby stała bliżej. Gdyby stała tak blisko, jakby chciał. Zaszokował ją.

- Słucham?

- To proste pytanie, Pippo. - Oparł się o biurko, zdumiony własną zdolnością do okazywania spokoju, podczas gdy serce mu biło pośpiesznie, a palce paliły, żeby jej dotknąć. - Jakie miejsce wyobraża sobie pani do kontaktu z moimi kośćmi?

Otworzyła usta ze zdumienia. Skrzyżował ramiona na piersi. Śledziła wzrokiem ten ruch, to, jak zacisnął palce na bicepsach. Tylko to go powstrzymało przed wzięciem jej w ramiona i wycałowaniem, aż oboje nie mieliby czym oddychać.

- Pańskie ręce - szepnęła.

- Co z nimi?

- Ciekawa jestem, jaki byłby ich dotyk na... - Przełknęła ślinę, przykuwając jego wzrok do swojej szyi. Nie patrzył na jej usta, kiedy wymówiła kolejne słowa. Tak było zapewne lepiej dla ich obojga. - Na mojej skórze.

Skóra. To słowo wywołało obraz jasnego, pięknego ciała o zachwycających

krzywiznach i miękkich wypukłościach, ciała, które można by

dotykać do woli. Jedwabista i prowokująca do grzechu, odpowiadałaby na jego dotyk. Wyobrażał sobie dźwięki, jakie by wydawała, sposób, w jaki wciągałaby powietrze, kiedy gładziłby jej nogi, jak by wzdychała, kiedy przesuwałby płaską dłonią po jej brzuchu, w jaki sposób by się śmiała, kiedy natrafiłby na miejsce, gdzie czułaby łaskotanie.

Jej uwagę przykuwała jego lewa dłoń, spoczywająca na prawym ramieniu, i nie miał cienia wątpliwości, że gdyby nią poruszył, gdyby wyciągnął ją do Pippy, dostałby wszystko, czegokolwiek by pragnął.

Wszystko.

Nie poruszył się.

- Gdzie dokładnie, Pippo?

Nie powinna mu mówić, oczywiście... Powinna uciekać z tego pokoju najszybciej, jak potrafiła... z pewnością w kasynie była bezpieczniejsza niż tutaj, z nim. Ale nie zamierzał jej tego mówić.

- Moje ręce - zaczęła, rozkładając szeroko rzeczonych dłonie. - M-mój policzek...
szyja...

Mówiąc to, przesuwała dłońmi wzdłuż wymienianych części ciała, zapewne nieświadomie, a jego pożądanie rosło z każdym słowem, z każdym delikatnym muśnięciem. Przesunęła palcami wzdłuż długiej szyi, przez jasną, miękką skórę piersi do krawędzi dekoltu, gdzie jej dłoń znieruchomiła, unosząc się nad zielonym materiałem.

Chciał rozerwać jej suknię, ułatwić ruch jej cudownych palców. Chciał patrzeć, jak dotyka każdego cala skóry, udając, że jej ręce są jego rękami.

Do diabła. Chciał, żeby użyła jego dłoni.

Chciał jej dotykać.

Nie.

- Co jeszcze? - zapytał, poruszając ręką i wyzwalaając Pippę z transu. Spojrzała mu w oczy, zaróżowiona.

- Ja... - przerwała. Wciągnęła powietrze. - Ja także chciałabym pana dotykać.

W tym prostym, szczerym wyznaniu odnalazł ostatnią, nikłą szansę na zachowanie kontroli. Stał za blisko. Powinien się poruszyć. Powinien oddalić się od niej.

- Gdzie? - zapytał zamiast tego.

Wiedział, że za dużo od niej żąda. Od tej niewinnej dziewczyny, która znała ludzkie ciało, ale nie rozumiała jego mechanizmów. Ale nie mógł się powstrzymać. Nie mógł jej mieć. Ale mógł mieć chociaż tyle.

Nawet gdyby miał spłonąć za to w piekle.

Piekło przyniesie mu upragnioną ulgę po torturach, jakie znosił teraz. Tutaj.

- Gdzie chciałaby mnie pani dotknąć, Pippo? - zapytał po długim milczeniu.

Pokręciła głową. Przez chwilę sądził, że się podda. Że pójdzie do domu.

Rozczarowanie okazało się palące, bolesne. Powiedziała po prostu:

- Wszędzie.

To jedno słowo odebrało mu siłę, oddech i panowanie nad sobą, czyniąc go bezbronnym. Pełnym pożądania.

Pragnął dać jej rozkosz. W jakiś sposób. W jakikolwiek sposób.

- Chodź tutaj.

Usłyszała szorstkość w jego głosie, ponaglenie, i zdumiała się, jak szybko słucha jego poleceń. Stanęła parę cali od niego. Jej suknia składała się z wielu warstw, ostatnią spinał szeroki, zielony pas. Wskazał na niego.

- Rozepnij go.

Boże dopomóż, zrobiła to, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie.

Suknia rozchyliła się, ukazując delikatniejszy, zielony materiał.

- Zdejmij ją.

Zrzuciła zewnętrzną warstwę, pozwalając jej opaść wokół stóp. Oddychała szybciej. On także.

- Resztę też.

Odwróciła się do niego tyłem. Odmawiała. Okazała siłę wobec jego słabości.

Przybity, wyciągnął rękę, powstrzymując się z trudem, żeby nie zerwać z niej sukni i nie okryć jej własnym ciałem.

Oczywiście, że odmawiała. Była damą. A on nie powinien być z nią. On, najgorszy rodzaj drania, powinien zostać wychłostany za to, co zrobił. Za to, czego żądał.

Ciężka, wełniana suknia leżała na podłodze u jego stóp. Przykucnął, żeby ją podnieść, muskając materiał w desperacji, jakby to była jej skóra. Jakby to mogło wystarczyć.

Musiało wystarczyć.

Przeklinał siebie, obiecując niebiosom i sobie, że zapakuje ją z powrotem w tę suknię i wyśle do domu, ale okazało się, że jest już za późno.

Warstwa lnu dołączyła do ciężkiej wełny; miękki materiał musnął kostki jego dłoni, jeszcze nasycony ciepłem jej ciała. Palił go. Wstrzymał oddech i zamarł, wiedząc, jak ktoś, kto już wcześniej upadł, że ta chwila będzie dla niego katastrofą.

Wiedząc, że nie powinien patrzeć. Wiedząc, że nie zdoła się opanować.

Miała na sobie gorset, reformy i pończochy. Ręce skrzyżowała na piersi, jej

policzki płonęły. Upadł na kolana.

Nie mogła uwierzyć, że to zrobiła.

Nawet teraz, kiedy stała w tym cudownym, podniecającym pokoju, gdzie powietrze chłodziło jej rozgrzaną skórę, nie mogła uwierzyć, że się rozebrała tylko dlatego, że on kazał jej to zrobić tym zmysłowym, cichym głosem, który wywoływał dziwne, motyle drżenie w jej żołądku.

Powinna zbadać te motylki. Później.

Teraz interesował ją bardziej klęczący przed nią mężczyzna, który trzymał zaciśnięte w pięści dłonie na własnych pięknych, długich udach, błędząc wzrokiem po jej ciele.

- Zdjęłaś ubranie.

- Prosiłeś mnie o to - odparła, podsuwając okulary na nosie. Uniósł kącik ust w półuśmiechu, przesuwając wierzchem dłoni po wargach, powoli, tęsknie, jakby pragnął ją połknąć.

- Tak. Prosiłem.

Motylki dały znowu znać o sobie.

Wpatrywał się w jej kolana i nagle uświadomiła sobie, jakie ma pończochy. Ze zwykłej, kremowej wełny, wybrane po to, żeby dawały ciepło, a nie... po to. Z pewnością budziły wstręt w porównaniu z jedwabnymi pończochami, które nosiły kobiety w jego obecności. Panna Tasser miała zapewne kolekcję pończoch w różnych kolorach, wszystkie śliczne, z koronkami.

Pippa zawsze była praktyczna, jeśli chodzi o bieliznę.

Ścisnęła kolana i mocniej skrzyżowała ręce na piersi, pragnąc, żeby ją objął.

Nie zrobił tego, więc przyszło jej do głowy, że go rozczarowała w jakiś sposób.

Nie była taka piękna, jak kobiety, do których bez wątpienia przywykł, ale nigdy

nie uważała, że jest przykro na nią patrzeć.

Dlaczego miałby jej nie dotknąć?

Przełknęła to pytanie, zła na uczucia, jakie w niej wywołało, gorąca i zimna jednocześnie.

- Co dalej? - zapytała.

Powiedziała to ostrzejszym tonem, niż zamierzała, ale osiągnęła cel, bo natychmiast spojrział na jej twarz. Patrzył na nią długą chwilę. Jej uwagę przyciągnęły jego oczy, bardziej ołowiane niż szare, z drobnymi czarnymi kropeczkami, obramowane długimi, kasztanowymi rzęsami.

Zerknął, zamyślony, na duży fotel, stojący o parę stóp po jej prawej stronie, potem znowu na nią.

- Usiądź.

Nie tego się spodziewała.

- Dziękuję, wolę stać.

- Czy chcesz tej lekcji, Pippo, czy nie? Serce jej zadrżało.

- Tak.

Znowu z półuśmiechem na ustach, skinął głową w stronę fotela.

- Usiądź zatem.

Podeszła do fotela. Usiadła najprzyzwoiciej, jak potrafiła, wyprostowana, z rękami zaciśniętymi na kolanach, z nogami jedna przy drugiej, jakby nie była sama w kasynie w towarzystwie sławnego londyńskiego hulaki, odziana tylko w gorset i reformy. I okulary.

Zamknęła oczy na tę myśl. Okulary. W okularach nie ma nic kuszącego.

Wyciągnęła rękę, żeby je zdjąć.

- Nie.

Zamarła, z ręką w połowie drogi.

- Ale...

- Zostaw je.

- Nie są... - Nie dodają uroku. Nie są uwodzicielskie.

- Są doskonałe. - Nie wykonał ruchu w jej stronę. Oparł się o ciężkie hebanowe biurko, wyciągając jedną długą nogę przed siebie i podnosząc drugie kolano, na którym oparł rękę. Przyglądał jej się spod wpół przymkniętych powiek. - Oprzyj się.

- Jest mi wygodnie - odparła szybko. Uniósł do góry jedną, rudawą brew.

- Oprzyj się jednak.

Cofnęła się w fotelu, póki nie poczuła miękkiej skóry oparcia. Patrzył na nią zmrużonymi oczami, nie tracąc żadnego jej ruchu, w żadnej chwili.

- Odpręż się.

Wciągnęła głęboko powietrze i wypuściła je, próbując słuchać polecenia.

- To nie jest łatwe. Znowu uśmiech.

- Wiem. - Po długiej chwili milczenia: - Jesteś bardzo piękna. Zaczerwieniła się.

- Nie jestem. - Nie odpowiedział, więc dodała: - Ta bielizna jest dosyć stara. Nie była przeznaczona do... - urwała, kiedy przesunął wzrok na krawędź gorsetu, który nagle stał się ciaśniejszy - ...pokazywania.

- Nie mówię o ubraniu - powiedział niskim, chrapliwym głosem. - Mówię o tobie. O całym ciele. Chciałabyś, abym je dotykał.

Zamknęła oczy, czując udrękę i jeszcze coś, co wydawało się znacznie bardziej niebezpieczne. Nie przestawał mówić.

- Mówię o twoich pięknych, długich ramionach i doskonale ukształtowanych nogach... Czuję, że jestem zazdrosny o te pończochy za to, że znają twój dotyk,

doznają twojego ciepła. - Poruszyła się niespokojnie. -Mówię o gorsecie, który obejmuje cię tam, gdzie jesteś śliczna i miękka... czy to niewygodne?

Zawahała się.

- Zwykle nie.

- A teraz? - Słyszała w jego głosie, że zna odpowiedź. Skinęła głową.

- Jest raczej... za ciasny.

Cmoknął i otworzyła oczy, natychmiast spotykając jego gorący, skupiony na niej wzrok.

- Biedna Pippa. Powiedz mi, przy twojej znajomości ludzkiego ciała, czy wiesz, dlaczego tak jest?

Przełknęła ślinę, usiłując odetchnąć głębiej. Bezskutecznie.

- To dlatego, że serce grozi, iż wyskoczy mi z piersi. Uśmiech.

- Czy się zmęczyłaś? Pokręciła głową.

- A zatem?

Nie była głupia. Naciskał na nią. Sprawdzał, jak daleko się posunie.

Powiedziała prawdę.

- Myślę, że to z twojego powodu.

Zamknął oczy, zaciskając dłonie w pięści i odchylając głowę do tyłu. Odsłonił długą szyję i zaciśnięte szczęki. Zaszło jej w ustach na ten widok, kiedy obserwowała ruch poruszających się ścięgien. Marzyła, żeby go dotknąć.

Kiedy znowu na nią spojrział, w ołowianej głębi jego oczu było coś dzikiego... coś, co ją zafascynowało i przeraziło.

- Nie powinnaś tak łatwo wyznawać prawdy.

- Dlaczego?

- To mi daje zbyt dużą kontrolę.

- Ufam ci.

- Nie powinnaś. - Pochylił się, opierając ramię na uniesionym kolanie. - Nie jesteś ze mną bezpieczna.

Nigdy, ani razu, nie czuła się przy nim zagrożona.

- Nie sądzę, żeby tak było.

Roześmiał się i ten dźwięk wywołał w niej falę przyjemności i tęsknoty.

- Nie masz pojęcia, co mógłbym z tobą zrobić, Philippo Marbury. O sposobach, w jakie mógłbym cię dotykać. Cudach, jakie mógłbym ci pokazać. Mógłbym cię skompromitować, zanurzyć się z tobą w otchłani grzechu i ani razu tego nie żałować. Mógłbym cię poprowadzić w krainę pokusy i pożądania, i ani razu nie obejrzeć się za siebie.

Te słowa pozbawiły ją tchu. Chciała tego. Wszystkiego, o czym mówił.

Otworzyła usta, żeby mu to powiedzieć, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

- Widzisz? Zaszokowałem cię. Pokręciła głową.

- Samą siebie zaszokowałam. - Spojrzał, zaciekawiony, więc dodała: -

Ponieważ wiem, że chciałabym tego doświadczyć.

Zamilkli. Chciała, żeby się poruszył, podszedł do niej. Żeby jej dotknął. Żeby jej pokazał.

- Pokaż mi - powiedział, jakby czytał jej myśli.

- S-słucham? - szepnęła zaskoczona.

- Przedtem mówiłaś, że chciałabyś, żebym cię dotknął. Pokaż mi, gdzie.

Nie mogła. Ale jej dłoń już się poruszała, sunąc po gorsecie do miejsca, gdzie jedwab stykał się ze skórą. Jego krawędź znajdowała się nieco niżej niż w sukni.

- Twoich piersi? Policzki jej zapłonęły.

- Tak.

- Powiedz, jak je czujesz.

Zamknęła oczy, skupiając się na pytaniu. Na odpowiedzi.

- Pełne. Ciężkie.

- Bola? Bardzo.

- Tak.

- Dotknij ich. - Otworzyła szeroko oczy, natychmiast napotykaając jego

spojrzenie. - Pokaż mi, jak byś chciała, żebym ich dotykał.

Pokręciła głową.

- Nie mogę.

- Możesz.

- Ale dlaczego nie ty? Twoje ręce są tutaj... jesteś tutaj. Wzrok mu pociemniał,

zadrżał mięsień szczęki.

- Nic innego nie będzie, Pippo. Nie dotknę cię. Nie zdeprawuję. Uparty

człowiek. Była obolała i zgnębiona, czy tego nie widział?

- Jestem skompromitowana, bez względu na to, czy mnie dotkniesz, czy nie.

- Nie. Jeśli cię nie dotknę, jesteś bezpieczna.

- A jeśli nie chcę być bezpieczna?

- Obawiam się, że nie masz wyboru. - Zgiął rękę, jakby go bolała. - Czy mam ci

powiedzieć, co bym zrobił, gdybym mógł cię dotknąć?

Słowa brzmiały miękko i kusząco.

- Tak, proszę.

- Uwolniłbym twoje piersi z więzienia, w którym je trzymasz, i czciłbym w

sposób, na jaki zasługują.

Och, Boże. Jej dłonie znieruchomiały. Jego piękny głos sprawił, że stały się

bezużyteczne.

- A potem, kiedy by zapomniały, jak to jest tkwić w klatce z fiszbinu i jedwabiu, nauczyłbym cię całowania, tak jak prosiłaś. - Rozchyliła wargi, patrząc w jego pełne obietnic oczy. - Ale nie całowałbym ust. Całowałbym twoje piękne piersi. Ich miękką, jasną skórę, miejsca, które nigdy nie widziały światła, których nie dotknął żaden mężczyzna. Dowiedziałabyś się o języku, mój mały naukowcu... na tych ślicznych, bolesnych czubkach.

Obraz, jaki odmalował, był wyrazisty i, jak dla niej, porażający. Natychmiast urzekła ją myśl, że jego język mógłby dotykać jej ciała. Tak urzekła, że nie czuła zakłopotania. Jej dłonie słuchały jego słów, drażniły, dotykały i przez chwilę mogła niemal uwierzyć, że to on jej dotyka. Że wywołuje ból i tęsknotę.

Westchnęła, Cross poruszył się, ale nie podszedł do niej, niech go diabli.

- Czy chciałabyś, żebym ci powiedział, gdzie jeszcze chciałbym cię dotykać?

- Tak, proszę - szepnęła.

- Taka uprzejma. - Pochylił się w przód. - Tu nie ma miejsca na uprzejmość, moja piękności w okularach. Tutaj ty prosisz, a ja daję. Ty oferujesz, a ja biorę. Bez „proszę”. Bez „dziękuję”.

Czekała na dalsze słowa, nie posiadając się z podniecenia.

- Przełóż nogę przez poręcz fotela. - Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

Nigdy w życiu nie siedziała w taki sposób. Zawahała się. - Prosiłaś.

Tak było. Poruszyła się, rozsunęła uda, chłodne powietrze z pokoju wpadło przez rozcięcie w reformach. Jej policzki zapłonęły, zakryła widok dłońmi.

Obserwował jej dłonie. Wydał cichy pomruk aprobaty.

- Tam także znalazłyby się moje dłonie. Czy czujesz dlaczego? Czujesz gorąco?

Pokusę?

Zamknęła oczy. Nie była w stanie na niego patrzeć. Ale skinęła głową.

- Oczywiście, że tak... niemal sam to czuję. - Słowa hipnotyzowały, uwodziły, ciche, poetyckie, cudowne. - Powiedz mi, moja mała znawczyni anatomii, czy już przedtem badałaś to szczególne miejsce?

Miała policzki barwy krwistej czerwieni.

- Nie zacznij teraz kłamać, Pippo. Tak daleko zaszliśmy.

- Tak.

- Co, tak?

- Tak, badałam je wcześniej - wyznała głosem cichszym od szeptu, ale je usłyszał. Jęknął. Kiedy otworzyła oczy, opierał się plecami o biurko jeszcze silniej. - Czy powiedziałam coś niewłaściwego?

Pokręcił głową i podniósł rękę, przesuwając wierzchem dłoni po wargach.

- Nie, tylko że teraz płonę z zazdrości.

- O co?

- O ciebie, śliczna. - Spojrzenie szarych oczu pobiegło do miejsca, które przed nim ukrywała. - O twoje doskonałe ręce. Powiedz mi, co odkryłaś.

Nie mogła. Chociaż znała medyczne nazwy wszystkich części ciała, których dotykała i które zbadała, nie była w stanie ich wymówić. Pokręciła głową.

- Nie mogę.

- Czy zaznałaś przyjemności? Zamknęła oczy, zaciskając usta.

- Tak czy nie? - szepnął, ale w ciemnym pokoju słowa zabrzmiały jak wystrzał.

Pokręciła przecząco głową. Jeden raz, ledwie zauważalnie. Wypuścił powietrze z płuc... długo, głośno, jakby je przedtem wstrzymywał... i poruszył się.

- Co za tragedia.

Uniosła gwałtownie powieki, kiedy usłyszała szuranie materiału o dywan.

Czołgał się w jej stronę z szelmowskim, a zarazem cudownym wyrazem oczu.

Zbliżał się do niej. Drapieżnik polujący na ofiarę.

Nie mogła się doczekać, kiedy zostanie schwytana.

Wydała z siebie drżące westchnienie, które przeszłoby w jęk, gdyby nie uważała, i, Boże dopomóż, przesunęła dłonie, otwierając się przed jego oczami, na jego dotyk, gotowa dziękować Bogu i Lucyferowi, i każdemu, kto mógł maczać w tym palce, że go w końcu do niej doprowadził.

Tyle że on jej nie dotknął.

- Czy mam ci pokazać, jak to znaleźć, śliczna? - zapytał i mogłaby przysiąc, że czuła jego oddech na dłoniach, gorący i kuszący. - Gdzie to znaleźć?

Nie miała pojęcia, skąd wzięła się ta odwaga. W jaki sposób udało jej się odsunąć od siebie zakłopotanie i wstyd, które powinny się pojawić.

- Proszę - powiedziała niemal błagalnie i spełnił jej prośbę w cichych, zapierających dech w piersi słowach.

Posłuchała jego poleceń, rozsuwając fałdy materiału, potem fałdki bardziej tajemnego rodzaju, wykonując jego szeptane instrukcje, odpowiadając na szelmowskie pytania.

- Taka piękna i różowa... czy to przyjemne, moja śliczna? Jęknęła w odpowiedzi.

- Oczywiście, że tak. Czuję tę przyjemność w tobie... słodką, miękką i bardzo, bardzo mokrą. - Słowa wywołały gwałtowne odczucia, niezwykłą przyjemność, której nigdy przedtem nie doznała, nawet kiedy w nocy prowadziła własne poszukiwania.

- Och, Pippo... - Odwrócił głowę, wdychając powietrze przy jej kolanie, ale nie dotykając, nigdy jej nie dotykając. - Gdybym tam był... gdyby twoje palce były moimi, rozsunąłbym cię szeroko i pokazał, o ile większa może być przyjemność,

jeśli się ją dzieli. Użyłbym języka, żeby

dać ci drugą lekcję w całowaniu... nauczyłbym cię wszystkiego, co sam wiem o miłości cielesnej.

Otworzyła szeroko oczy. Wręcz go już widziała, jak, na kolanach, odsuwa delikatnie jej ręce i zastępuje je swoimi pięknymi ustami, jak dotyka jej, pieści... daje jej miłość. Nie wiedziała, jak to wygląda, nawet sobie tego nie wyobrażała, ale wiedziała, bez cienia wątpliwości, że to byłoby coś cudownego.

- Karmiłbym się tobą... tak, właśnie tutaj... moja śliczna - zachęcał ją, nagradzał pomrukami aprobaty jej drobne, śmiałe ruchy, wiedząc zawczasu, że zbliża się do czegoś niezwykłego. - Czy chciałabyś, aby znalazły się tam moje usta, moja słodka?

Czy to się zdarzyło? Dobry Boże. Tak. Chciała tego.

- Trwałbym tak godzinami... Mój język dałby ci przyjemność, jakiej nie zaznałaś. Wciąż i wciąż. Do omdlenia. Aż nie mogłabyś tego znieść i błagałabyś, żebym przestał. Chciałabyś tego, kochana?

Jej ciało udzieliło odpowiedzi, kołysząc się na krześle... jej dłoń dała jej wszystko, co obiecywał, ale w jakiś sposób zarazem niczego nie dała. Krzyknęła, wyciągając do niego ręce, rozpaczliwie spragniona jego dotyku, jego siły.

W tej chwili należała do niego, wciąż nie posiadając się z pożądania. Pożądania, które tylko on mógł zaspokoić.

Wyszeptała jego imię z zachwytem, przeczesując palcami jego czerwone, jedwabiste włosy.

Poruszył się z szybkością błyskawicy i podniósł na nogi z gracją zdumiewającą u tak wysokiego mężczyzny. Przeszedł przez gabinet i oparł się ręką o stos książek w kącie pokoju.

Jego odejście było jak cios, który odebrał jej przelotną przyjemność. Zostawił pustą. Niespełnioną.

Schylił głowę, światło świec wydobywało z jego włosów czerwone błyski.

Nie poruszyła się. Uniósł ramiona do góry raz, drugi i trzeci, oddychając równie ciężko, jak ona.

- Na dziś wieczór dość badań - zwrócił się do stosu książek, głosem bardziej stanowczym, głośniejszym niż dotąd. - Obiecałem nauczyć cię, co to jest pokusa, i sądzę, że się z tego wywiązałem. Ubierz się. Każę komuś odwieźć cię do domu.
12.

Dokonał się postęp. Wydaje się, że istnieje wiele sposobów, w jaki kobieca anatomia może zostać... potraktowana. Asystent zeszłego wieczoru wskazał na więcej niż jeden z tych sposobów, z wyjątkowym efektem fizycznym. Na nieszczęście Interesujące, że pojawił się również efekt emocjonalny. Osobisty. Ale nie dotknął mnie ani razu. To także miało efekt osobisty.

W badaniu naukowym nie ma miejsca na efekty osobiste.

Dziennik naukowy lady Philippy Marbury

29 marca 1831; siedem dni przed jej ślubem

Trzy dni później Pippa, zwinięta na niskiej sofie w bibliotece rezydencji Dolby, usiłowała bezskutecznie zagłębić się w lekturze fascynującego tekstu o uprawie dalii. Książkę dostarczono bezpośrednio od wydawcy i miesiąc wcześniej Pippa czekała na nią niecierpliwie.

Na nieszczęście pan Cross odebrał jej radość z powodu nowej książki. Co za irytujący człowiek.

Jak to jest, że jeden człowiek, jedna chwila, może dać jej tyle przyjemności i jednocześnie tyle niedosytu? Jak jeden mężczyzna mógł ją jednocześnie

zawładnąć całkowicie i nie dopuszczać do siebie blisko?

To się wydawało niemożliwe, a jednak on tego dokonał.

Cichymi słowami i brakiem dotyku.

Dotyk bolał najbardziej. Jego brak. Znała plotki na jego temat, wiedziała, czym ryzykuje, prosząc go o pomoc w badaniach. Przygotowała się, żeby go odepchnąć i przeciwstawić się jego urokowi.

Nie wzięła pod uwagę możliwości, że on nie będzie miał najmniejszej ochoty, żeby ją swoim urokiem omotać.

Choć sądziła, że nie powinno jej to zaskoczyć. Ostatecznie, skoro Castleton nie palił się do tego, żeby jej dotknąć, jak można by marzyć, żeby zrobił to taki mężczyzna, jak Cross? Logiczne, że okazał się trudniejszy do... oczarowania.

Nie to, żeby to w ogóle leżało w jej planach.

Oczywiście, że nie. Jedynym człowiekiem, którego powinna brać pod uwagę w tej kwestii, był lord Castleton. Jej przyszły mąż.

A nie ten drugi, doprowadzający ją do furii, dziwaczny mężczyzna.

Och, wyglądał dosyć zwyczajnie. Z pewnością wyższy i inteligentniejszy niż większość, ale na pierwszy rzut oka posiadał te same cechy, co reszta gatunku: dwie ręce, dwie nogi, dwoje uszu, dwie wargi.

Wargi.

To tutaj wszystko poszło nie tak.

Jęknęła, opuszczając rękę na udo na tyle ciężko, żeby zwrócić uwagę psa zwiniętego w kłębek u jej boku. Trotula podniosła głowę, jej wrażliwe brązowe oczy wydawały się rozumieć, że jej pani traci zbyt wiele czasu na myślenie o tych wargach.

To było nienormalne. W najwyższym stopniu.

Trotula westchnęła i z powrotem oddała się drzemce.

- Lady Philippo?

Pippa drgnęła na dźwięk cichych słów. W drzwiach biblioteki, z wielką paczką, stał Carter, kamerdyner w rezydencji Dolby. Uśmiechnęła się.

- Zaskoczyłeś mnie. Wszedł do środka.

- Proszę wybaczyć, milady.

- Czy goście zaczęli się pojawiać? - Markiza Dolby-Needham wydawała tego popołudnia herbatkę dla dam związanych ze ślubem, wydarzeniem stulecia.

Pokojówka przez godzinę starała się doprowadzić Pippę do stanu, w którym mogłaby się pokazać w towarzystwie, po czym Pippa ukryła się w bibliotece.

Teraz wstała. - Przypuszczam, że muszę ruszyć do boju.

Carter pokręcił głową.

- Jeszcze nie, milady. Jednak tę paczkę przysłano dla pani. A ponieważ jest oznaczona jako pilna, pomyślałem, że chciałaby pani dostać ją natychmiast.

Wyciągnął paczkę w jej stronę; Pippa wzięła ją zaintrygowana.

- Dziękuję.

Wykonawszy zadanie, Carter wycofał się z pokoju, zostawiając Pippę, która położyła paczkę na sofie obok siebie i otworzyła ją, pociągając za sznurek i odsuwając brązowy papier. Pod nim ukazało się ciężkie białe pudło ozdobione złotą literą H.

Poczuła się rozczarowana. Przesyłka nie była pilna. Stanowiła część jej wyprawki ślubnej. Większość kobiet w Londynie rozpoznałaby paczkę od madame Hebert, słynnej krawcowej.

Otworzyła pudło z westchnieniem. Wewnątrz znalazła delikatną, jasnoniebieską gazę przewiazaną piękną szafirową wstęgą. Pod wstęgą leżał

kremowy kwadracik ze stemplem przedstawiającym kobietę - anioła. Z

kwadratowej koperty wyjęła kartkę, na której zdecydowanym charakterem

pisma, czarnym atramentem, zamieszczono następującą wiadomość:

Pandemonium W Upadłym Aniele O północy

A na odwrocie: Zabierze panią powóz Chase

Chase. Czwarty, najbardziej tajemniczy współwłaściciel Upadłego Anioła. Z

tego, co wiedziała, bardzo niewiele miało okazję poznać założyciela Anioła i

człowieka, który klub rozwinął. Pippa z pewnością do nich nie należała.

Absolutnie nie powinna przyjmować zaproszenia od obcego mężczyzny. I to na

coś o nazwie Pandemonium.

Wiedziała jednak, zanim jeszcze zbadała zawartość pudła, że nie zdobędzie się

na odmowę. Ani nie oprze okazji, żeby znowu zobaczyć Crossa.

Wydarzenie o nazwie Pandemonium wydawało się wymarzoną okazją, żeby

zaspokoić jej głód wiedzy.

Z bijącym sercem Pippa sięgnęła do wstążki i rozwiązała ją ostrożnie, jakby

spodziewała się znaleźć coś żywego. Odsunąwszy gazę, sapnęła na widok

pięknie wykonanej srebrnej maski spoczywającej na jedwabnej, szafirowej

wyściółce. Nie, nie wyściółce.

Sukni.

Podniosła maskę, zdumiona jej ciężarem, i przesunęła dłonią po misternym

wzorze, jaki w niej wytłoczono. Na końcach przywiązano grube wstążki, tego

samego koloru, co suknia.

Odwróciła maskę i natychmiast zrozumiała, dlaczego jest taka ciężka.

Wewnątrz maskę wyposażono w specjalne ramki, wyściełane szafirowym

aksamitem, w których miały się mieścić okulary.

Maskę wykonano specjalnie dla niej.

Uśmiechnęła się, przesuając palcami po metalu, podziwiając kunszt rzemieślnika.

I praktyczna Pippa Marbury, której nigdy nie pociągały fatałaszk i ozdóbki, uświadomiła sobie, że nie może się doczekać nadejścia nocy. Żeby mogła odziać się w jedwab.

Przyszło jej do głowy, że jej stosunek do materiału zmienił się drastycznie w ciągu paru chwil. Tysiące *Bombyx mori* trudziło się dla tej sukni. Usnuły kokony, żeby wyzwolić Pippę.

- Pippa! - Głos matki dobiegał zza drzwi biblioteki, wyrywając Pippę z rozmarzenia. Ratując opakowanie przed długim, różowym językiem Trotuli, odłożyła maskę do pudełka, zawiązując je byle jak, i poruszając się z szybkością błyskawicy, wręczyła je lokajowi za drzwiami z poleceniem niezwłocznego dostarczenia jej osobistej pokojówce.

- Pippa! - zawołała znowu matka, wieszcząc z pewnością rozpoczęcie podwieczorku. Miała w nim uczestniczyć hrabina Castleton, lady Tottenham, Penny i tuzin innych dam. Markiza Needham-Dolby musiała recytować listę gości nie jeden raz, ale w ciągu ostatnich paru dni Pippa nie bardzo mogła się skupić na słuchaniu.

Zanadto pochłaniały ją wydarzenia wieczoru spędzonego z panem Crossem, przeżywała wciąż na nowo każde słowo, każdy ruch. I uświadamiała sobie, że wciąż ma braki w podstawowych dziedzinach. Nie powinno być trudno skłonić mężczyznę, żeby ją dotknął. Z pewnością nie mężczyznę cieszącego się opinią wielbiciela kobiet. A jednak to było trudne.

Pippa widocznie nie potrafiła nikogo zwabić. Czy to, że była niemal naga w

gabinecie Crossa, nie powinno go jakoś zachęcić? Skusić? Oczywiście, że tak.

Stąd całkowita pewność, że nie odznacza się żadnym z kobiecych powabów.

Może Pandemonium to zmieni. Jej serce znowu zabiło szybciej.

- Pippa - odezwała się matka, tym razem bliżej.

A bez tych powabów - albo przynajmniej bez ich zrozumienia - nigdy nie

będzie w stanie sprostać wymaganiom, jako jej stawiano. Jako żonie. Jako matce.

Jako kobiecie.

Potrzebowała dodatkowych badań.

Ale dzisiaj była skazana na podwieczorek. Odłożyła książkę, zwracając się do śpiącej towarzyszki.

- Pójdziemy, Trotula?

Spanielka podniosła natychmiast swój jasnobrązowy łeppek, uderzając z

zadowoleniem ogonem w pluszową kanapę. Pippa podniosła się z uśmiechem.

- Przynajmniej ciebie potrafię skusić.

Trotula zsunęła się na podłogę, przeciągając się z szerokim psim uśmiechem na pyszczku.

Pippa wyszła z biblioteki z psem u nogi i otworzyła drzwi salonu, gdzie goście matki piali już z zachwytem nad OHwią.

Wciągnęła powietrze, zbierając siły, żeby tam wejść.

- Lady Philipppo!

Wśród gości był lord Castleton.

Pippa odwróciła się. Trotula podbiegła do hrabiego, który schylił się, żeby ją podrapać. Trotula odebrała pieszczotę z zachwytem, tupiąc tylnymi łapkami w podłogę. Pippa parsknęła śmiechem na ten widok.

- Lordzie Castleton - zwróciła się do narzeczonego. - Przyszedłeś na

podwieczorek?

Nie zauważyła wcześniej panicznej nutki w głosie matki, która pojawiała się zwykle, gdy w pobliżu miał się znaleźć jakiś dżentelmen, kandydat na męża.

- Nie! - odparł radośnie, przechylając głowę na bok i patrząc na nią z przyjaznym uśmiechem. - Miałem spotkanie z twoim ojcem. Dopracowaliśmy umowy związane z małżeństwem.

Większości przyszłych panien młodych szczerą uwagą dotyczącą spraw finansowych przed ślubem nie przypadłaby do gustu. Ale Pippę takie konkretne szczegóły uspokajały. Skinęła głową.

- Mam jakieś ziemie w Derbyshire. Skinął głową i podniósł się.

- Needham to mówił. Mnóstwo owiec.

I cztery tysiące akrów ziemi, ale Pippa wątpiła, żeby Castleton poświęcił słowom ojca zbyt wiele uwagi.

Zapadła cisza. Castleton zakołysał się na piętach, zaglądając do salonu.

Odezwał się po dłuższej chwili.

- Co się dzieje podczas damskiego podwieczorku? Pippa poszła za jego spojrzeniem

- Damy piją herbatę. Kiwnął głową.

- Kapitalne. Znowu cisza.

- Zwykle są herbatniki - dodała Pippa.

- Dobrze. Dobrze. Herbatniki są dobre. - Przerwał. - Ciastka? Przytaknęła.

- Czasami. Skinął głową.

- Niesamowite. To było okropne.

Ale był jej narzeczonym. Za tydzień miał zostać mężem. I ojcem jej dzieci. A zatem słowo „okropne” było nie do przyjęcia.

Może nie był najciekawszym kompanem ani nie należał do mężczyzn, którzy podzielałaby jej zainteresowania. Ale niewielu mężczyzn interesowało się anatomią. Czy ogrodnictwem. Czy biologią. Czy fizyką.

Był tylko jeden taki mężczyzna.

Słumiła tę myśl. Cross mógł być człowiekiem nauki, ale nie należał do tego rodzaju mężczyzn, których...

Nie pozwoliła się tej myśli sformułować i siłą woli skupiła się na tym, co znajdowało się blisko. Na Castletonie. Musi pracować nad Castletonem. Żeby go zaangażować. Przyciągnąć do siebie. Nawet jeśli poprzednio jej się nie udało.

Z innym.

Nie. Nie będzie myśleć o Crossie. O swoim niepowodzeniu. W końcu była naukowcem... a naukowcy uczą się na podstawie doświadczeń. Nawet tych nieudanych.

Uśmiechnęła się promiennie. Może zbyt promiennie.

- Hrabio, miałbyś ochotę zobaczyć, czy w kuchni są jakieś ciastka? Na wzmiankę o kuchni ogon Trotuli zaczął się poruszać ze znaczną szybkością, ale Castleton zrozumiał pytanie dopiero po chwili.

- Kuchnia! Po ciastka! Z tobą! Uśmiechnęła się.

- W istocie.

- Pippa! - rozległo się wołanie matki od drzwi salonu, które zaraz potem przeszło w ciche: - Och! Lord Castleton! Nie wiedziałam, że pan tu jest.

Zawahała się, z ręką na klamce, zastanawiając się nad kolejnym krokiem.

Większość matek nie pomyślałaby nawet, żeby pozwolić córkom pozostać w pustym holu w towarzystwie narzeczonych, ale większość córek nie należała do potomstwa markizy Needham-Dolby. Poza dziwactwem

Pippy i - o czym reszta rodziny wydawała się wiedzieć - jej braku to-

warzyskiego obycia, jakiego można by się spodziewać po młodej damie mającej wkrótce wyjść za mąż, córki domu Needham-Dolby nie odnosiły olśniewających sukcesów na polu poślubiania swoich narzeczonych. Markiza nie miałyby z pewnością nic przeciwko drobnemu skandalowi, żeby doprowadzić jedną z dwóch najmłodszych córek do ołtarza.

- Przymknę drzwi - oznajmiła markiza, uśmiechając się przesadnie w ich stronę.

- Pippo, kochanie, przyłączysz się do nas, kiedy będziesz wolna.

Na ironię zakrawało, w oczach Pippy, że wolność skojarzono z pokojem pełnym rozgadanych, plotkujących kobiet.

Kiedy ponownie zostali sami, Pippa skupiła się na narzeczonym.

- Do kuchni, hrabio?

Skinął głową twierdząco i ruszyli, z Trotulą na przedzie.

W kuchni były ciastka, które z łatwością dało się wydostać od kucharki, która zawinęła je w serwetkę na spacer po ogrodach rezydencji Dolby. Pippa starała się nie myśleć za wiele o tym, dokąd mieli pójść, nie mogła jednak zaprzeczyć, że celowo unikała wiśniowego sadu, gdzie przed paroma wieczorami czekała na pana Crossa, kierując się zamiast tego nad rzekę, pół mili po łagodnie opadających w dół wzgórzach łąkach.

Trotula biegła na przedzie, poszczekując radośnie, ciesząc się swobodą w ten niezwykle ciepły marcowy dzień, zataczając kółka od czasu do czasu, żeby się upewnić, że Pippa i Castleton podążają za nią. Szli w milczeniu przez kilka minut. Dostatecznie długo, żeby Pippa przemyślała kolejne posunięcie. Kiedy znaleźli się na tyle daleko od domu, że nikt nie mógł ich stamtąd zobaczyć, zatrzymała się, odwracając twarzą w stronę przyszłego męża.

- Hrabio... - zaczęła.
- Czy... - odezwał się jednocześnie. Uśmiechnęli się oboje.
- Proszę - powiedział. - Najpierw ty. Skinęła głową. Spróbowała ponownie.
- Hrabio, minął już więcej niż rok, odkąd starasz się o moją rękę. Przechylił głowę, zastanawiając się.
- Przypuszczam, że tak.
- I mamy się pobrać. Za siedem dni. Uśmiechnął się.
- Wiem! Moja matka nie może przestać o tym mówić.
- Kobiety zwykle lubią śluby.
- Zauważyłem. Ale ty nie wydajesz się mocno podekscytowana, a chodzi o twój ślub.

Była podekscytowana. Tylko nie w taki sposób, jakiego się spodziewał. Nie w taki, jaki otoczenie mogłoby zauważyć.

Nikt, z wyjątkiem Crossa. Który okazał się zupełnie niepomocny.

- Lordzie Castleton, myślę, że już pora, żebyś mnie pocałował. Gdyby jeź wylazł z trawy i ugryzł go w palce, chyba, zdaniem Pippy, hrabia nie zdziwiłby się bardziej. W ciszy, jaka nastąpiła, Pippa zastanawiała się, czy nie popełniła poważnego błędu. Ostatecznie, gdyby uznał, że ona zbyt szafuje swoimi łaskami, mógłby wrócić do domu, oddać ziemię w Derbyshire i pożegnać się z rodem Needham-Dolby.

Czy to byłoby takie złe?

Tak. Oczywiście, że by było.

Odpowiedź nie miała jednak znaczenia, ponieważ nie zrobił niczego takiego.

Zamiast tego pokiwał głową z zadowoleniem i mówiąc: „a zatem niech tak będzie”, schylił się, żeby ją pocałować.

Miał miękkie, ciepłe i suche wargi, które dotknęły jej ust bez cienia

namiętności, ostrożnie, jakby nie chciał jej przestraszyć czy narzucać się.

Podniosła rękę do jego płaszcza, zaciskając je na jego ramionach, niepewna, czy zachowuje się właściwie.

Stali tak długo, z wargami na wargach, z nosami przekrzywionymi pod dziwnym kątem - ale to, jak sądziła, można było złożyć na karb okularów - z nieruchomymi dłońmi.

Nie oddychając. Nie czując niczego, poza głębokim zakłopotaniem.

Kiedy się odsunęli, wciągając powietrze w płuca, i spojrzeli sobie w oczy, odsunęła od siebie tę myśl. Poprawiła okulary, prostując je na nosie. Trotula stała obok z wywieszonym językiem, machając ogonem.

Pies wydawał się nic nie rozumieć.

- Cóż - powiedziała Pippa.

- Cóż - zgodził się. Po chwili: - Spróbujemy znowu?

Zastanowiła się nad propozycją. Ostatecznie, jedyny sposób na zapewnienie właściwego wyniku w eksperymencie, to jego powtarzanie. Może za pierwszym razem zrobili to nie tak, jak należy. Skinęła głową.

- Dobry pomysł.

Pocałował ją znowu. Z niepokojąco podobnym wynikiem.

Tym razem, kiedy skończyli, Pippa miała całkowitą pewność. Nie istniało niebezpieczeństwo, że przyjmą sakrament małżeństwa z powodów związanych z pożądaniem cielesnym.

Przypuszczała, że powinna w związku z tym czuć się lepiej.

Wrócili do domu w milczeniu, przeszli przez kuchnię do holu przed salonem, gdzie zza mahoniowych drzwi dobiegał kobiecy śmiech. Castle-ton chciał ją

zostawić na podwieczorku, ale Pippa stwierdziła, że ma na to jeszcze mniejszą ochotę niż wcześniej tego popołudnia, więc zamiast tego odprowadziła narzeczonego do głównych drzwi domu. Zatrzymał się w progu, patrząc na nią poważnie.

- Wiesz, czekam niecierpliwie na nasz ślub. Mówił prawdę.

- Wiem.

Uniósł kącik ust w lekkim uśmiechu.

- Nie martwię się o resztę. Samo przyjdzie.

Czy naprawdę powinni czekać, aż to samo przyjdzie? Skinęła głową.

- Dziękuję, hrabio.

Skłonił się, sztywny i poważny.

- Milady.

Patrzyła ze szczytu schodów, jak jego powóz toczy się po podjeździe, i zastanawiała się nad ich pocałunkiem. Castleton nic nie poczuł. Widziała to w jego oczach - wyrażały cierpliwość i łagodność, nie tak jak oczy Crossa parę wieczorów wcześniej. Nie, w oczach Crossa widziała burzę, emocje, których nie umiała odczytać, ale chętnie spędziłaby życie, żeby je przestudiować.

Emocje, którym nigdy nie będzie miała okazji się przyjrzeć.

Znowu poczuła ból w piersi i roztargnionym gestem podniosła rękę, żeby go złagodzić, myśląc o wysokim, szarookim mężczyźnie, który pokazał jej rozkosz, nie dając nic z siebie.

Nie podobał jej się ten ból. Nie podobało jej się to, co mógł oznaczać.

Pippa z westchnieniem zdjęła okulary, żeby je przetrzeć, i zamknęła drzwi, zostawiając Castletona i resztę świata na zewnątrz.

- Lady Philipppo?

Wzrok Pippy powędrował do rozmazanego obrazu damy stojącej w połowie wielkich schodów rezydencji Dolby - gościa na podwieczorku. Dama widocznie zabłądziła.

Podniosła rękę, żeby ją zatrzymać, i skierowała się ku schodom, zakładając okulary. Z uśmiechem, którego nie czuła, podniosła głowę i... spotkała spojrzenie Lavinii, baronowej Dunblade.

Omal się nie potknęła na schodach.

- Lady Dunblade?

- Mówiłam sobie, że nie przyjdę - odparła baronowa. - Mówiłam sobie, że będę się trzymać z daleka od tego, co łączy panią z Jasperem.

Jasper?

- Ale potem dostałam zaproszenie od pani matki - ciągnęła baronowa - pani siostra jest dla mnie bardzo miła, odkąd została markizą Bourne. Przypuszczam, że nie powinnam się dziwić.

Coś było w jej głosie, sugestia, że Pippa powinna zrozumieć jakiś podtekst. Nie zrozumiała.

- Lady Dunblade...

Piękna kobieta przestąpiła z nogi na nogę, opierając się na lasce, i Pippa wyciągnęła do niej rękę.

- Chciałaby pani usiąść?

- Nie. - Odmowa była natychmiastowa i stanowcza. - Nic mi nie jest. Pippa kiwnęła głową.

- Doskonale. Obawiam się, że odniosła pani wrażenie, że jestem bliżej z panem Crossem, niż jestem w rzeczywistości.

- Pan Cross. - Baronowa roześmiała się niewesoło. - Wciąż nie mogę uwierzyć

w to imię.

Pippa przechylił głowę.

- Uwierzyć?

Lavinia zdziwiła się wyraźnie.

- Nie powiedział pani.

Te słowa ją zaniepokoiły. Może taki był cel. Tak czy inaczej Pippa nie mogła się powstrzymać.

- Nie nazywa się pan Cross? - Pippa stała teraz twarzą w twarz z baronową w połowie szerokiej, krętej klatki schodowej.

- Myślę, że jest pani jedyną, która używa słowa „pan”. Cross. „Pan” nie jest potrzebne.

- A zatem Cross. Nie nazywa się tak? Baronowa uśmiechnęła się lekko.

- Nie. Jakie to słodkie, że pani uwierzyła.

Oczywiście, że uwierzyła. Nie miała powodu, żeby nie wierzyć. On nie dał jej powodu. Ale to, że mógłby skłamać - brzmiało znajomo. W końcu okłamywał ją od początku. Kości, zakłady, to, jak ją uwiódł i nie dotknął, wszystko było kłamstwem. Nazwisko byłoby tylko jednym więcej. Nic zaskakującego.

Ale w jakiś sposób bardziej bolesnego niż wszystko inne.

Zaburczało jej w brzuchu. Zignorowała to.

- Co takiego chciała mi pani powiedzieć?

Lavinia milczała chwilę, wyraźnie zaskoczona stanowczością w głosie Pippy

- Powinna pani być z nim ostrożna. Tej lekcji Pippa już się nauczyła.

- Jasper... kocha kobiety - mówiła dalej baronowa. - Bardziej niż powinien. Ale kiedy nadchodzi pora, żeby dotrzymać słowa... zawodzi. -Zawahała się, po czym dodała: - Nie chciałabym, żeby panią skompromitował, ponieważ mu pani

uwierzyła.

Pippie nie podobało się uczucie, jakie wzbudziły w niej te smutne słowa -
dławienie i dyskomfort, jakie przyniosły... jakie wywołało ich zrozumienie.

Świadomość, że ta kobieta go znała. Dostała jakieś obietnice. Została zdradzona.

To, czego Pippa nie doświadczyła.

Zesztywniała na tę myśl. Nie powinna chcieć, żeby ją zdradził. Nie powinna
pragnąć jego obietnic. W ogóle nie powinna go chcieć. Chodziło o naukę,
prawda? Badania. Nic więcej. Z pewnością nic związanego z uczuciami.
Przypomniała sobie coś. Suche, ciepłe wargi Castletona na swoich. Nic
uczuciowego. Pokręciła głową.

- Nic nas nie łączy.

Jedna kasztanowa brew baronowej uniosła się do góry w znajomym geście.

- Weszła pani do jego biura sekretnym przejściem.

- Nie wiedział, że je znajdę. Nie spodziewał się mnie. Nie chciał, żebym tam
przyszła. - Zawahała się. - Jest jasne, że bardzo mu na pani zależy, lady
Dunblade. Sądzę, że bardzo panią kocha.

Pippa niewiele wiedziała o miłości, ale pamiętała ton jego głosu w ciemności...
stłumionego w tym cudownym tajemnym korytarzu, i wyraz jego szarych oczu,
kiedy Lavinia przeciwstawiła mu się, silna i stanowcza.

To musiała być miłość, taka, jaką Pippa sobie wyobrażała.

I w dodatku on jej nie dotknął.

Poczuła ściskanie w gardle, przełknęła z trudem ślinę.

Baronowa roześmiała się i gorycz w jej głosie nie spodobała się Pippie.

- On nie wie, co to miłość. Gdyby wiedział, co dla nas najlepsze, trzymałby się
od nas z daleka.

- Być może - powiedziała Pippa przez ściśnięte gardło - ale bez względu na to, co stało się w przeszłości, jest jasne, że była pani niezwykle ważną jej częścią... bardzo ważną... - Zawahała się. Jak nazywano kochankę w towarzystwie? Matka z pewnością wolałaby, żeby w ogóle nie wymieniać takiego słowa w towarzystwie. Ale była tutaj sama z lady Dunblade, nikogo w pobliżu, więc Pippa nie zważała na słowa - ...kochanką.

Lady Dunblade otworzyła szeroko niebieskie oczy.

- On nie jest moim kochankiem.

- W każdym razie to bez znaczenia - ciągnęła Pippa. - Nic mnie z tym dżentelmenem nie łączy. Miał mi pomóc w pewnych badaniach. Zostały zakończone.

- Jasper nie jest moim kochankiem - wtrąciła baronowa. Pippa machnęła ręką.

- Może nie teraz, ale kiedyś. To bez zna...

- Lady Philippo. - Głos Lavinii brzmiał nieustępliwie, nagląco. - Dobry Boże.

On nie jest moim kochankiem. - Przerwała, na jej twarzy malowała się panika, rozpacz i wręcz przerażenie. - Jest moim bratem.

13.

Cross stał w prywatnych apartamentach Upadłego Anioła, patrząc, jak połowa Londynu uprawia hazard na dole. Bardzo bogata połowa Londynu.

W kasynie tłoczyło się mnóstwo ludzi: kobiety w barwnych jedwabiach i satynach, ukrywające swoją tożsamość za misternie wykonanymi, specjalnie na tę okazję, maskami; mężczyźni z tysiącami funtów, które paliły im kieszenie, chętni, żeby grać, wygrać i smakować tę chwilę, kiedy zdołają przechytrzyć Anioła.

Przez pięć lat, od czasów pierwszego Pandemonium, mężczyźni dali się uwieść

Aniołowi i stawiali na stołach gry wszystko, co mieli, licząc na szczęście. I co roku iluś spośród nich przegrywało. A właściciele Anioła wygrywali.

Każdej nocy Cross wierzył, że tak będzie zawsze. Wygrywali, bo nie mogło być inaczej. Sprzedali swoje dusze, a w nagrodę mogli skubać londyńskich dżentelmenów.

Tej nocy jednak Crossa ogarnęły wątpliwości. Wątpił w ich niezawodną zdolność wygrywania. Wątpił w siebie.

Tej nocy działo się zbyt wiele. Zbyt wiele, nad czym nie panował. Zbyt wiele, co sprawiało, że rozpaczliwie chciał wygrać.

A desperacja nie wróżyła wygranej, nawet jeśli plan się sprawdzał.

Oparł dłoń na witrażu, kładąc ją na udzie Szatana; patrzył na ludzi w dole. *Vingt et un* i ruletka, hazard i pikiet; klub zlewał się w zamazany obraz tasowanych kart, rzucanych kości, obracających się kół i soczystej zieleni sukna.

W zwykłą noc Cross obliczałby zyski - tysiąc funtów z hazardu, dwa tysiące dwieście z ruletki, połowa tego z *vingt et un*. Tej nocy jednak skupił się na pięćdziesięciu graczach, od których zależał jego los.

Pięćdziesięciu najlepszych graczy Knighta przebywało na parkiecie poniżej.

Pięćdziesięciu ludzi, którym nigdy nie pozwolono by stawiać tutaj zakładów, gdyby nie specjalne zaproszenia. Pięćdziesięciu ludzi, którzy nie zasługiwali na to, żeby tu grać, a jednak grali.

Z woli Crossa.

Sally dotrzymała słowa, dostarczając dżentelmenów do kasyna, i teraz do

Anioła należało, żeby ich zatrzymać. Załoga Anioła dostała rozkazy. Jeśli ktoś

stawia zakład, musi mieć w drugiej ręce pełną szklanicę. Jeśli gracz wydawał się samotny czy znudzony, zaraz przyłączała się do niego jakaś zamaskowana

uczestniczka zabawy, ktoś, komu sownie zapłacono za dopilnowanie, żeby

wszyscy goście wychodzili w dobrych humorach i z lekkimi kieszeniami.

Anioł słynął ze spełniania fantazji grających, a dzisiaj... miało być lepiej niż zwykle.

Knight dowie się, że nie może pokonać Anioła.

Że nie może pokonać Crossa.

Drzwi apartamentu otworzyły się i zamknęły za jego plecami, ale Cross nie odwrócił się do nieoczekiwanego towarzysza. Tylko garstka ludzi miała wstęp do prywatnych apartamentów. Każdemu z nich Cross mógłby powierzyć własne życie.

Nie odrywał wzroku od ruletki na dole, od wirującego koła, kuli z kości słoniowej toczącej się wzdłuż mahoniowego brzegu, pod okiem podnieconych graczy. Po jednej stronie stołu młody, najwyżej dwudziestopięcioletni mężczyzna uniósł maskę, wpatrując się w kulę dzikim wzrokiem. Cross widział takie spojrzenie wiele razy w ciągu ostatnich lat. Zwykle w zachowaniu młodego człowieka widziałby tylko zapowiedź zysku, ale dzisiaj, przez chwilę, zobaczył coś więcej.

- Lowe - odezwał się cicho Tempie tuż przy nim, patrząc w tym samym kierunku.

- Wiedziałeś, że jest jednym z nich? - zapytał Cross, odwracając się do przyjaciela.

Tempie pokręcił zdecydowanie głową.

- Nie. Nie pozwoliłbym mu wejść do klubu.

- Nie chodzi mu o ciebie. To widać.

Kula wpadła w koło ruletki i młody człowiek skrzywił się, odwracając od stołu,

jakby z bólem. W ciągu paru sekund opanował się i ponownie skupił uwagę na ruletce, sięgając po pieniądze, żeby jeszcze raz postawić.

Tempie potrząsnął głową.

- Nie może przestać.

- Możemy go powstrzymać.

- Wróciłby do Knighta. Równie dobrze dzisiejszego wieczoru może przegrywać u nas. Póki nie sprawia kłopotów.

Cross zerknął na Temple'a spod oka.

- Jakie kłopoty masz na myśli? Będziemy cię bronić, nie licząc się z niczym.

Tempie wzruszył potężnymi ramionami.

- Będziecie mnie bronić czy nie, chłopcu stała się krzywda, więc niebezpieczeństwo istnieje.

Cross spojrział znowu na Christophera Lowe, który ponownie zajął się obserwowaniem toczącej się kuli.

- To dlatego tu jesteś? Ukrywasz się? Tempie poruszył się, napinając czarny żakiet.

- Nie, przyszedłem do ciebie.

- Co ze mną?

- Wygląda na to, że twój plan działa.

Cross przycisnął rękę do gładkiego, zimnego szkła.

- Nie będziemy mieli dowodu, póki nie dowiemy się, że do Knighta nie przyszli dzisiaj prawdziwi gracze.

- Dowiemy się. - Tempie zamilkł na dłuższą chwilę. - Słyszałem, że córka zjawiła się o czasie, dzisiaj rano - dodał.

Cross też słyszał, że Meghan Margaret Knight umieszczono w pysznej

rezydencji na skraju Mayfair.

- Nie zostanie długo. Nie wtedy, kiedy trzymamy Knighta w garści.

Temple nie odpowiedział. Nie musiał. Przyglądał się grze na dole.

- Bourne i Penelopa są tutaj.

Cross spojrział w odległy koniec pokoju, gdzie jego partner, bez maski, siedział

uszcześliwiony u boku żony, patrząc, jak ta stuka palcami zdecydowanie w

sukno, żądając kolejnej karty do *vingt et un*. Penelopa uśmiechnęła się i

odwróciła do męża, podając twarz do pocałunku.

- Wygrywa, jak zwykle.

Temple mówił rozbawionym tonem.

- Jestem pewien, że gra jest ustawiona. Cross uniósł brew.

- Jeśli kiedyś się okaże, że to prawda, będę musiał z nim porozmawiać. Temple roześmiał się.

- Nie sądź za łatwo, przyjacielu. Któregoś dnia pojawi się dama, na której ty będziesz chciał zrobić wrażenie.

Cross nie uznał tego za zabawne.

- Z pewnością wiele może się wydarzyć - powiedział, rozglądając się po kasynie. - Ale nie to, żeby jakaś dama wodziła mnie za nos.

To niemożliwe.

Nawet gdyby ich dotykał - gdyby były w jego zasięgu - przyszłość z kobietą nie wchodziła w grę. Był zbyt wiele winien Lavinii. I Baine'owi.

Nie mógł żadnemu z nich oddać tego, co stracili... przywrócić im życia, na jakie zasługiwali. Mógł jednak zapewnić, żeby dzieci Lavinii dostały wszystko, co powinien mieć Baine. Mógł sprawić, żeby nigdy im niczego nie brakowało.

Zostawi im królestwo. Zbudowane na grzechu, ale jednak królestwo.

Przy stole gry wybuchły okrzyki, zwracając uwagę ludzi dookoła. W jednym końcu stołu, nadęty jak zwykle, stał Duncan West, właściciel trzech poważnych gazet i pół tuzina brukowców. West był bogaty jak Krezus i miał szczęście jak wszyscy diabli. Co ważniejsze, kiedy grał, pociągał wszystkich za sobą.

Cross żywo sobie przypominał tę przyjemność - pewność, że się wygra.

Dużo czasu upłynęło, odkąd jej nie doznawał.

- Zwróciłbym się z tym do Bourne'a - powiedział Tempie swobodnym tonem, jakby byli wszędzie, tylko nie w prywatnych apartamentach osławionego kasyna - ale ponieważ jest zajęty swoją panią, pomyślałem, że może ty możesz się tym zająć.

Cross słyszał rozbawienie w głosie Temple'a.

- Jestem zbyt zajęty na twoje gierki, Tempie.

- Nie moje gierki. Chase'a. Jestem jedynie posłańcem.

Cross poczuł się nieswojo. Z cichym przekleństwem rozejrzał się po kasynie, szukając założyciela Anioła, którego, rzecz jasna, nigdzie nie było widać.

- Gierki Chase'a także nie są mi potrzebne. Tempie zachichotał.

- Na to może być za późno.

Ledwie przebrzmiały te słowa, Cross zauważył samotną postać na środku kasyna, jedyną w całym pomieszczeniu, która trwała nieruchomo. Oczywiście.

Zawsze przyjmowała inny kurs niż reszta wszechświata. Planeta, która poruszała się w odwrotnym kierunku, słońce, które wstawało na zachodzie. A teraz stała na środku jego kasyna, otoczona występkami. Urzeczona nim. Nie musiał widzieć jej twarzy, żeby to wiedzieć.

Tak jak nie musiał jej widzieć bez maski, żeby wiedzieć, że jest zachwycająca.

Nie tak zachwycająca, jak w fotelu, w jego biurze tydzień wcześniej, obnażona,

szukająca rozkoszy, o kuszących kształtach, wabiąca dźwiękami, jakie wydawała, zapachem. Ale i tak zachwycająca.

Kiedy odeszła tamtej nocy, siedział na podłodze, wpatrując się w ten fotel godzinami, przeżywając na nowo to, jak się na nim poruszała, łowiąc echo tych dźwięków, aż w końcu oparł czoło o chłodną skórę siedziska, klnąc cicho i przysięgając sobie, że będzie się od niej trzymał z daleka.

Nie byłby w stanie jej się oprzeć.

Wróciła spowita w szafir, z włosami jak pasma jedwabiu, porcelanową skórą. Stała na środku jego klubu, w otoczeniu grzechu i występku. Z tej wysokości miał niezrównany widok na wypukłość jej pięknych piersi, słodkie zaokrąglenia i pełne obietnic cienie. Dość, żeby rzucić dorosłego mężczyznę na kolana.

Dłoń na szkle zacisnęła się w pięść.

- Co ona tu, do diabła, robi?

- Ach - powiedział Tempie. - Zauważyłeś naszego gościa. Oczywiście, że zauważył. Każdy mężczyzna, który ma oczy, by ją zauważył. Była najbardziej fascynującą postacią w kasynie.

- Nie każ mi znowu pytać.

- Asriel twierdzi, że miała zaproszenie.

Bez wątplenia. Chase z pewnością uznał tę sytuację za zabawną. Chase zasłużył na porządne lanie.

- Pasuje do tego miejsca jak kwiatek do kożucha.

- Nie wiem. - Tempie zastanowił się. - Raczej podoba mi się jej widok w tym pokoju.

Cross skupił na nim całą uwagę.

- To niech ci się przestanie podobać.

Tempie uśmiechnął się kpiąco, kołysząc się na piętach.

- Mógłby mi się bardzo podobać.

Cross oparł się pokusie dzielenia większego od siebie mężczyzny pięścią w twarz. Walka z ogromnym, zaprawionym w bijatykach Temple'em była beznadziejna, ale mógłby się dobrze poczuć, próbując. Byłoby dobrze zająć się czymś czysto cielesnym, podczas gdy w zeszłym tygodniu poświęcił tyle czasu, żeby się oprzeć cielesnym instyktom. Cross był pewien, że przelałby krew. Albo podbił oko.

- Trzymaj się z daleka od Philippy Marbury, Tempie. Ona nie jest dla ciebie.

- Tylko dla ciebie?

Tak, do diabła. Przełknął te słowa.

- Ona nie jest dla żadnego z nas.

- Chase się z tym nie zgadza.

- Ona zdecydowanie nie jest dla Chase'a.

- Mam powiedzieć Bourne'owi, że ona tutaj jest? - W głosie Tempie^ brzmiała kpina. Wiedział, że zmusi Crossa do działania. - Penelopa mogłaby ją zabrać do domu.

Powinien na to pozwolić. Powinien pozwolić Bourne'owi i Penelopie zająć się zbłąkaną siostrą. Pozwolić, że ktoś inny zaopiekuje się Pippą Marbury, zanim zniszczy życie sobie i połowie Londynu przy okazji.

Miesiąc temu by to zrobił. Tydzień temu.

Ale nie teraz.

- Nie.

- Tak myślałem. - Tempie wyraźnie się bawił. Cross łypnął na niego z ukosa.

- Zaslugujesz, żeby cię porządnie obić. Tempie uśmiechnął się drwiąco.

- Ty miałbyś to zrobić?

- Nie, ale to cię wkrótce czeka, a my wszyscy ubawimy się wtedy setnie.

W czarnych oczach Temple'a pojawił się błysk.

- Takie obietnice bolą, przyjacielu. - Położył dramatycznym gestem rękę na piersi. - Bardzo bolą.

Cross nie marnował więcej czasu na komedianta. Wyszedł z pokoju, długimi krokami przemierzając korytarz, po czym zbiegł po tylnych schodach, żeby znaleźć się jak najszybciej przy zdobyczy, z bijącym sercem, nie mogąc się doczekać spotkania. Tego, żeby ją schwytać, zanim zrobi to ktoś inny.

Jeśli ktoś inny jej dotknie, zabije go.

Pchnął prywatne drzwi prowadzące do jednego z niedostępnych dla szerokiej publiczności pomieszczeń po jednej stronie kasyna, skąd przechodziło się do głównego pomieszczenia, wypełnionego teraz rozbawionymi gośćmi w maskach.

Nie musiał się obawiać, że trudno mu będzie ją znaleźć... Znalazłby ją pośród tysięcy.

Ale nie musiał się bardzo starać, żeby ją znaleźć.

Pisnęła cicho, kiedy się zderzyli. Wyciągnął ręce, żeby ją chwycić, i położył dłonie na jej nagich ramionach, chcąc przywrócić jej równowagę. Błąd. Nie nosiła rękawiczek, a jej suknia była zdumiewająco skąpa w materiał. Pippa miała miękką, ciepłą skórę, która niemal parzyła.

I sprawiała, że nie miał ochoty jej puścić.

Trzymał ją, nawet wtedy, kiedy wsparła się dłońmi o jego pierś, a jej szafirowa spódnica zaplątała się w jego nogi, tak jak jej zapach wbił się w jego mózg, wyraźny, świeży i zupełnie niepasujący do tego mrocznego, występnego świata.

A jednak wciągnął ją do alkowy, z której właśnie wyszedł, mówiąc surowym

głosem:

- Dlaczego nie nosisz rękawiczek?

Pytanie zaskoczyło ich oboje, ale ona pierwsza doszła do siebie.

- Nie lubię ich. Pozbawiają mnie zmysłu dotyku.

Trudno było sobie wyobrazić tego rodzaju stratę, podczas kiedy... angażowała jego zmysły całkowicie. Zignorował odpowiedź i podjął znowu:

- Co tu robisz? - Jego głos brzmiał cicho w ciemności, zbyt cicho. Chciał ją zbesztać. Przestraszyć.

- Zostałam zaproszona.

Nic nie było w stanie odstraszyć Pippy Marbury.

- Nie powinnaś była przychodzić.

- Nikt mnie nie widzi. Jestem zamaskowana.

Wyciągnął rękę do wspomnianej maski i przesunął palcami po delikatnie wygiętej krawędzi rzemieślniczego arcydzieła. Chase, rzecz jasna, wziął pod uwagę okulary. Chase brał pod uwagę wszystko. Narastająca irytacja sprawiła, że jego następne słowa zabrzmiały bardziej szorstko, niż zamierzał.

- Co cię opętało, żeby przyjąć zaproszenie? Wszystko może się tu dzisiaj zdarzyć.

- Przyszłam, żeby zobaczyć ciebie.

Nie spodziewał się tak prostej odpowiedzi i chwilę trwało, zanim do niego dotarła.

- Żeby mnie zobaczyć - powtórzył jak głupiec, którym stawał się zawsze w jej obecności.

Skinęła głową.

- Jestem zła na ciebie.

W jej głosie nie było złości. Stąd wiedział, że tak jest w istocie. Pippa Marbury nie złościła się jak inne kobiety. Pozwalała raczej temu uczuciu dojrzeć, przyglądała mu się ze wszystkich stron, a dopiero potem podejmowała działanie. Tak więc z bezprzykładną precyzją zaskakiwała przeciwnika, jakby przypuszczała atak w środku nocy.

- Przepraszam - powiedział kierowany instynktem samozachowawczym.

- Za co? - zapytała. Zastanowił się. Żadna kobieta, jak dotąd, nie pytała go o to.

Ponieważ nie odpowiedział, dodała: - Nie wiesz.

Nie oskarżała. Stwierdzała fakt.

- Nie wiem.

- Okłamałeś mnie. Tak było.

- W czym?

- Uznaję, że twoje pytanie oznacza, że zrobiłeś to niejedną raz.

Z powodu maski nie widział jej oczu i miał ochotę ją zerwać z jej twarzy, kiedy rozmawiali.

Nie, nie tak. W ogóle nie chciał prowadzić tej rozmowy.

Chciał, żeby wróciła do domu, poszła spać i zachowywała się jak każda inna dama z arystokracji. Chciał, żeby zamknięto ją w pokoju, póki nie zostanie lady Castleton i nie opuści Londynu oraz jego myśli.

Wydaje się, że okłamywał także sam siebie.

Puścił jej ramiona, zrozpaczony utratą dotyku jej miękkiej skóry.

- Jesteś hrabią.

Ciche słowa zawierały niewątpliwe oskarżenie.

- Nie lubię o tym za dużo myśleć.

- Hrabia Harlow.

Z trudem się powstrzymał, żeby się nie skrzywić.

- Słyszeć to lubię jeszcze mniej.

- Czy bawiłeś się dobrze, robiąc ze mnie głupią gęś? Wprawiając mnie w zakłopotanie? To całe „pan”? A kiedy ci powiedziałam, że gdybyś był arystokratą, nie poprosiłabym cię o pomoc? Czy śmiałeś się do rozpuku, kiedy wyszłam tamtego wieczoru?

Kiedy go tamtego wieczoru zostawiła, był w rozpacz i marzył, żeby się znowu koło niej znaleźć. Śmiech był ostatnią rzeczą, jaka by mu przysła do głowy.

- Nie - powiedział, wiedząc, że powinien coś dodać. Nie wiedział jednak co, więc tylko powtórzył: - Nie.

- Mam w to uwierzyć?

- To prawda.

- Tak samo jak to, że jesteś hrabią?

Nie miał pojęcia, dlaczego tak ją to dręczyło.

- Tak, jestem hrabią. Roześmiała się z goryczą.

- Hrabia Harlow.

Udawał, że to mu nie przeszkadza - to nazwisko w jej ustach.

- To nie była przecież żadna tajemnica...

- Dla mnie była.

- Zna ją połowa Londynu.

- Nie moja połowa! - Zaczynała ją ogarniać irytacja. Podobnie jak jego.

- Twoja połowa nie miała wiedzieć. Nie potrzebowała tego wiedzieć.

- Ja powinnam wiedzieć. Należało mi powiedzieć.

Nie powinien czuć się winny. Nie powinien czuć się wobec niej zobowiązany.

Ani taki bezradny.

- Po co? Już masz hrabiego. Na co ci dwóch? Skąd mu się to wzięło?

Zesztywniała w mroku, a on poczuł się podle. Nie mógł tego znieść, że wywoływała w nim takie uczucia. Chciał zobaczyć jej oczy.

- Zdejmij maskę.

- Nie. - I wtedy to usłyszał. Gniew. Smutek w jej głosie. - Twoja siostra miała rację.

Zaszokowała go.

- Moja siostra?

- Ostrzegła mnie przed tobą. Powiedziała, że nigdy nie dotrzymujesz słowa...

żeby ci nie wierzyła. - Mówiła niskim, cichym głosem, jakby zwracała się nie do niego, ale do siebie. - Nie powinnam w ciebie wierzyć.

Powiedziała „w ciebie”, nie „tobie”. To go ubodło.

- A więc dlaczego to zrobiłaś? - zapytał szorstko. - Dlaczego uwierzyłaś?

Spojrzała na niego, jakby zdziwiona.

- Myślałam... - zaczęła i przerwała. - Poznałeś mnie. Co to, do diabła, miało znaczyć?

Nie zapytał. Już wyjaśniała.

- Słuchałeś mnie. Słyszałeś, co mówię. Nie przeszkadzało ci, że jestem dziwna.

W gruncie rzeczy wydawało się, że to cię bawi.

Bawiło. Na Boga, chciał się w tym pławić. Pokręciła głową.

- Chciałam uwierzyć, że tak jest. Być może, gdybyś... wtedy... Urwała, ale usłyszał słowa, jakby je wykrzyczała. To Castleton też mógłby.

Gdyby już się nie czuł, jak skończony osioł, stałoby się to teraz.

- Pippa. - Wyciągnął do niej rękę, wiedząc, że nie powinien. Wiedząc, że tym razem się nie oprze, żeby jej dotknąć. Żeby nie zażądać jej dla siebie.

Odsunęła się od niego, wracając do rzeczywistości. Do niego.

- Nie. - Zanim zdążył coś zrobić, poruszyć się, coś naprawić, wciągnęła głęboko powietrze i powiedziała: - Nie. Oczywiście, nie mylisz się. Mam hrabiego, który jest miły, i dobry, i wkrótce zostanie moim mężem, a w twojej przeszłości, czy też sytuacji obecnej, nie ma niczego, co powinno mnie dotyczyć.

Cofnęła się, a on poszedł za nią jak pies na smyczy. Nienawidził jej słów - ich logiki i zdrowego rozsądku. Była inna niż wszystkie kobiety, jakie znał, i nigdy w życiu tak bardzo nie pragnął zrozumieć kobiety.

Mówiła dalej, patrząc na swoje ręce, na te splecione razem, niedoskonałe palce.

- Rozumiem, że nie ma we mnie niczego, co by cię interesowało... że jestem tylko kłopotem... że nigdy nie powinnam cię wciągać w moje eksperymenty.

Przerwał jej.

- To nie są eksperymenty.

Spojrzała na niego oczami ciemnymi w tej przeklętej masce. Chciał ją z niej zerwać, zmiażdżyć pod butem i wychłostać Chase'a batem za to, że ją kazał zrobić.

- Oczywiście, że są.

- Nie, Pippo. To nie tak. To pragnienie wiedzy, z pewnością, a nawet jej potrzeba. Ale zwłaszcza potrzeba zrozumienia tego, co cię czeka, co cię przeraża.

Rozpacзлиwa próba pokonania wątpliwości, frustracji i strachu, które z pewnością odczuwasz. Powiadasz, że chcesz zrozumieć, co się dzieje między kobietą a mężczyzną. Między mężem a żoną. Ale zamiast pójść do tych, którzy to wiedzą najlepiej, którzy to wiedzą z pierwszej ręki... przychodzisz do mnie. W ciemno.

Cofnęła się.

- Przyszłam do ciebie w środku dnia.

- W Aniele zawsze jest noc. Mrok. - Przerwał, zachwycając się tym, jak jej wargi rozchyliły się, ledwie zauważalnie, tak jakby brakowało jej powietrza.

Podobnie jak jemu. - Przyszłaś do mnie, bo tego nie chcesz. Tego, co zwyczajne.

Pospolite. Nie chcesz jego.

Pokręciła głową.

- Nieprawda. Przyszłam do ciebie, bo nie rozumiem, o co chodzi w tym całym zamieszaniu.

- Przyszłaś do mnie, bojąc się, że on nie jest tego wart.

- Przyszłam, ponieważ sądziłam, że cię więcej nie zobaczę.

- Kłamczucha. - To zabrzmiało szorstko; jednocześnie oskarżenie i pochwała.

Podniosła głowę; nic nie widział w jej ciemnych w masce oczach.

- Ty to wiesz najlepiej. Okłamywałeś mnie od początku wyważonymi kośćmi, fałszywymi obietnicami i tym swoim panem Crossem.

- Nigdy cię nie oszukałem, kochana.

- Nawet to jest kłamstwem!

- Powiedziałem ci, że jestem nicponiem. To była moja prawda. Spojrzała na niego, zaskoczona.

- I to cię rozgrzesza?

- Nigdy nie prosiłem o rozgrzeszenie. - Sięgnął po okropną maskę, ściągając ją z jej twarzy i żałując tego w chwili, kiedy zobaczył jej pełne uczucia, ogromne, niebieskie oczy.

Nie żałując ani odrobinę. Pełen uwielbienia. Dla niej.

- Mówiłem ci, żebyś mnie zostawiła. Żebyś nigdy się do mnie nie zbliżała. -

Pochylił się, dręcząc ich oboje. Byli tak blisko, a wciąż tak niezdolnie daleko. - Ale nie mogłaś się oprzeć. Chcesz, żebym nauczył cię rzeczy, których powinnaś się nauczyć od niego. Chcesz mojego doświadczenia. Mojego grzechu. Mojego pocałunku. Nie jego.

Patrzyła na jego usta, stłumił jęk na widok głodu w jej niebieskich oczach.

Boże, nigdy nie chciał niczego tak bardzo jak jej.

- Nigdy mnie nie pocałowałeś - szepnęła.

- Chciałem. - Słowa były takie proste, a brzmiały jak kłamstwo. „Chcieć” nie wyrażało nawet w przybliżeniu tego, jak się czuł. Jak pragnął jej dotknąć. Poznać jej smak. Jak jej pożądał.

„Chcieć” było pyłkiem w kosmosie jego pożądania. Pokręciła głową.

- Kolejne kłamstwo. Nie możesz mnie nawet dotknąć, żeby się nie odsunąć, jakbyś się sparzył. Wyraźnie nie jesteś zainteresowany tym, żeby mnie dotykać.

Jak na kogoś, kto szczylił się oddaniem naukowym obserwacjom, Pippa

Marbury była wyjątkowo niespostrzegawcza. Pora, żeby wyprowadził ją z błędu.

Zanim jednak zdołał to zrobić, Pippa dodała:

- Castleton przynajmniej pocałował mnie, kiedy poprosiłam. Zamarł. Castleton ją pocałował.

Castleton wziął to, czemu Cross się oparł. Co zostawił. Co powinno należeć do Crossa.

Ogarnęła go zazdrość i sześć lat panowania nad sobą diabli wzięli. Chwycił ją bez wahania, uniósł w ramionach, przycisnął do obitej materią ściany i zrobił to, co powinien zrobić pierwszego dnia, kiedy ją zobaczył.

Pocałował ją, napawając się dotykiem jej warg, tym, jak natychmiast zmiękła w jego ramionach, jakby tam i tylko tam było jej miejsce. I tak było.

Sapnęła, zachwycona, kiedy przywarł ustami do jej ust, przesuając językiem po jej pełnej dolnej wardze, aż zaskoczenie przeszło w przyjemność, i stała się jego.

Wtedy, w tamtej chwili, zrozumiał, że nie zatrzyma się, póki nie dostanie jej całej. Póki nie usłyszy jej każdego jęku i westchnienia, nie posmakuje każdego cała jej skóry, nie spędzi życia, studiując wypukłości i doliny jej ciała i umysłu. To te lata celibatu. Po sześciu latach celibatu każdy pocałunek miałby taką moc. Tak by nim wstrząsnął. Kłamstwo. To ona. Zawsze ona.

Uwolniwszy jej usta, szepnął:

- Spalasz mnie, Pippo. Parzysz żywym ogniem. - Przycisnął ją własnym ciałem do ściany, żeby uwolnić ręce, żeby ująć jej twarz i przysunąć jej usta pod wygodniejszym kątem. Pocałował ją znowu, rzucając się w ogień, chcąc wymazać z jej pamięci wspomnienie innego mężczyzny.

Musnął zębami jej dolną wargę. Westchnęła, obejmując go ramionami za szyję.

A potem, dobry Boże, oddała pocałunek - jego genialna emancypanka - najpierw powtarzając jego ruchy, potem udoskonalając je, aż uczennica prześcignęła mistrza, osiągając efekt niemal nie do zniesienia.

Wiła się przy nim, pożądając go tak samo mocno jak on jej, poruszając biodrami w rytmie, który obiecywał więcej, niż zdawała sobie sprawę. Przerwał pocałunek z jękiem.

Pokrył pocałunkami linię jej szczęki aż do ucha i szepnął:

- Mógł cię pocałować, kochana, ale jego pocałunek ma się nijak do mojego, prawda?

Pokręciła głową.

- Tak.

Nagrodził jej uczciwość, pieszcząc językiem jej ucho, aż westchnęła:

- Cross.

Podniósł rękę do dekoltu sukni i pociągnął materiał w dół, odsłaniając jedną doskonałą, białą pierś. Obdarzał ją pieszczotą, patrząc w jej piękne, niebieskie oczy. Odchyliła głowę do tyłu, szepcząc ponownie jego imię.

- Jego pocałunek nie sprawia, że wymawiasz jego imię.

- Nie. - Wtuliła się w niego, prosząc o więcej. Jakby musiała prosić. Ciężkie kotary skrywały ich przed oczami ludzi, którzy hałasowali za nimi, nie mając pojęcia, co się dzieje w odległości zaledwie paru stóp.

Przesunął palcami po jedwabnych pończochach, a potem po jedwabistej skórze.

Wplatała palce w jego włosy, przyciągając go do siebie.

- Powiedz mi, moja cudowna, uczciwa dziewczyno - szepnął jej do ucha - czy jego pocałunek sprawia, że masz ochotę unieść spódnicę i zażyć rozkoszy tutaj?

Teraz?

- Nie - wyznała cicho.

- Ale mój tak, prawda? Powoduje, że masz ochotę unieść spódnicę wysoko, żebym mógł ci dać wszystko, na co zasługujesz, żebym cię uczył o grzechu i miłości cielesnej z połową Londynu tuż obok?

- Tak - szepnęła.

Trzymała go za ramię, nie wiedząc, co robić.

Ale on wiedział. Minęło sześć lat, czekał na tę chwilę.

Na nią.

- Podnieś spódnicę, kochana.

Ukląkł przed nią, kładąc sobie jedną z jej nóg na ramieniu.

- Cross - szepnęła. - Proszę...

- Tak, kochana - powiedział, wciągając jej cudowny, oszałamiający zapach. -

Dam ci wszystko, czego chcesz. Czego potrzebujesz.

- Chcę... - zaczęła i urwała.

Odwrócił głowę, całując miękką skórę wewnętrznej strony uda, zachwycając się jedwabistym dotykiem tego dziewiczego, niezbadanego obszaru jej ciała.

- Powiedz czego. - Dałby jej to. Wszystko, co w jego mocy. I jeszcze więcej.

Spojrzała na niego; jej niebieskie oczy płonęły.

- Chcę, żebyś mnie pragnął.

Zamknął oczy. Cała Pippa, prostolinijna nawet teraz, kiedy odsłoniła się dla jego oczu, dłoni i ust. Kiedy odarła tę chwilę ze wszelkich niedomówień.

Boże dopomóż, powiedział prawdę. Nie mógł inaczej.

- Pragnę, kochana. Bardziej niż możesz sobie wyobrazić. Więcej niż mógłbym wymarzyć. Dostatecznie mocno dla dwóch mężczyzn. Dla dziesięciu.

Roześmiała się.

- Nie chcę dziesięciu. Tylko ciebie. Pochylił się.

- I będziesz mnie miała.

Był tam, gdzie pragnął być od tygodnia. Dłużej. Całował ją tak, jak obiecał tamtej nocy w gabinecie, jak marzył, leżąc w ciemności.

Stała nad nim, jedną ręką trzymając szafirowe spódnice, drugą wplątując w jego włosy. Była dla niego rozkoszą, gorącem, namiętnością, pierwszym łykiem świeżej wody po latach spędzonych na pustyni.

Tam, w ciemności, słuchając jej cichych okrzyków na tle zgiełku dobiegającego z kasyna, przesuwał dłońmi po jej udach, zastanowił się nad zdumiewającą możliwością, że Pippa Marbury w istocie może okazać się jego zbawieniem.

Pochylił głowę, patrząc na jej małe, szafirowe pantofelki, głęboko

zaszokowany, kiedy tak klęczał u jej stóp, ciesząc się dotykiem jej dłoni we włosach.

Tak zastał ich Tempie.

Przystanął na progu apartamentu, sześć stóp nagle znieruchomiałych mięśni poniżej zaszokowanej, pociętej bliznami twarzy.

- Do diabła - zaklął, cofając się. - Ja nie...

Dłonie Pippy poruszały się z szybkością błyskawicy i Cross poczuł się nagi, straciwszy jej dotyk.

- Wasza Wysokość - powiedziała Pippa. Tytuł Temple'a wstrząsnął nim, przywrócił do rzeczywistości, uświadomił, że jej tutaj nie powinno być. - Ja... my...

Potrzebował czasu, żeby pomyśleć.

Potrzebował czasu, żeby zrozumieć, co się właśnie stało.

Jak wszystko się zmieniło.

Podniósł się.

- Wyjdź.

Pippa zwróciła na niego zaszokowane spojrzenie.

- Ja?

Nie. Nigdy. Nie mógł się jednak zdobyć na to, żeby się do niej w tej chwili odezwać. Nie wiedział, co mógłby powiedzieć. Jak by to powiedział. Nie był na nią jeszcze przygotowany.

Na to, jakie budziła w nim uczucia.

Na to, co pod jej wpływem robił.

Na przyszłość, jaką go kusiła.

- Myślę, że mówił do mnie, milady - wtrącił Tempie. Więc dlaczego wciąż tu

był?

Tempie odpowiedział, jakby usłyszał te słowa.

- Przyszedł Knight.

14.

Och, mój

Wydaje się, że całe to mówienie o bestiach i cielesnej żądzy w przysiędze małżeńskiej nie dotyczy tylko pana młodego. Nigdy w życiu nie czułam czegoś tak...

Wyjątkowego.

Wspaniałego.

Emocjonalnego.

Nienaukowego.

Dziennik naukowy lady Philippy Marbury

30 marca 1831; sześć dni przed jej ślubem

Zostawił Pippę natychmiast, pod opieką Temple'a, choć nie mógł znieść myśli, że jest w jego klubie z innym mężczyzną, niechroniona przez niego samego. Poza zasięgiem jego wzroku. Z dala od jego objęć.

Chciał jej w domu. Bezpieczną. Z daleka od tego miejsca i nicponiów. Chciał być z nią. Przerwał zapinanie świeżej pary spodni, poruszony tą myślą.

Chciał być z nią w swoim domu.

Nie w zagraconym gabinecie na byle jakim, prowizorycznym legowisku. W miejskiej rezydencji. Dokąd nigdy nie przyprowadził żadnej kobiety. Gdzie rzadko bywał. Gdzie demony nigdy nie przestawały straszyć.

Pippa nie pogodziłaby się z demonami.

Usta ułożyły mu się mimowolnie w uśmiech na tę myśl. Pippa przegnałaby

wszystkie demony dzięki swojemu logicznemu umysłowi, nieustannym pytaniom i pewnemu dotykowi. Dotykowi, którego rozpaczliwie pragnął znowu doświadczyć. Chciał go czuć wszędzie. Sam pragnął jej dotykać. Chciał zbadać jej ciało, trzymać ją, całować i uczynić swoją w każdy możliwy sposób, jaki był w stanie sobie wyobrazić.

Chciała zrozumieć pożądanie? Mógł jej to pokazać. Miał czas. Sześć dni, zanim poślubi Castletona.

Nie dość czasu.

Poczuł ściskanie w piersi.

Miała poślubić Castletona.

Usiadł, żeby włożyć buty z gniewną siłą.

Zrobię to, ponieważ się zgodziłam, a nie znoszę nieuczciwości.

Do diabła. Zareczyła się z pospolitym, nieciekawym głupcem.

Teraz już nie z takim głupcem. Ostatecznie, oświadczył się Pippie. Porwał ją dla siebie, podczas gdy reszta Anglii patrzyła w drugą stronę.

Ale trafiła w ramiona Crossa. Do jego ust. Czy to nie miało znaczenia?

Nie mógł nic zrobić. Żeby to powstrzymać. Zasługiwała na swój doskonały ślub z przystojnym - choć niezbyt mądrym - hrabią. Zasługiwała na mężczyznę wolnego od demonów. Mężczyznę, który dałby jej dom. Konie. Psy. Rodzinę.

Znowu błysnął mu przed oczami obraz dzieci, rząddek jasnowłosych maluchów, wszystkie w okularach, wszystkie uśmiechające się do matki. Do niego.

Odsunął ten obraz i wstał, poprawiając zakiet.

Niemożliwe.

Philippa Marbury nie jest dla niego. Nie na dłuższą metę. Mógł dać jej

wszystko, o co prosiła teraz... mógł nauczyć ją jej własnego ciała, uświadomić

własne pragnienia i potrzeby... przygotować do tego, żeby prosiła o to, czego chce.

Żeby prosiła męża.

Przełknął przekleństwo.

Sześć dni powinno wystarczyć.

Szarpnął drzwi gabinetu, niemal wrywając je z zawiasów, i skierował się do biblioteki Upadłego Anioła, gdzie czekał na niego Knight. Zwalniając strażnika przy drzwiach, wciągnął powietrze i wszedł do środka, odzyskując panowanie nad sobą. Skupiając się na tym, co miał teraz zrobić.

Knight był wściekły. Mięsień drgał mu w szczęce, kiedy odwrócił się do drzwi, w zimnych niebieskich oczach błyszczała nienawiść.

Crossowi sprawiło przyjemność, że tego wieczoru to przynajmniej poszło dobrze - przynajmniej nad tym panował. Jednak w tym zwycięstwie pojawiła się nutka niepewności. Knight nie przyszedł sam.

Na środku pokoju, w fotelu z wysokim oparciem, siedziała sztywno wyprostowana, z rękami złożonymi na wełnianej zielonej sukni, młoda kobieta. Oczy miała spuszczone, jakby chciała uczynić się niewidzialną. Dosyć ładna, o jasnej cerze, z czarnymi lokami i małymi czerwonymi ustami, wygiętymi w łuk. Wcale nie wyglądała na szczęśliwą.

Była nieszczęśliwa. Po tym można ją było rozpoznać.

Zamknąwszy drzwi za sobą, Cross spojrzał na Knighta, napotykając lodowate spojrzenie niebieskich oczu. Knight był jego nemezis.

- Niezbyt to podobne do dobrego ojca... żeby obwozić córkę po londyńskich kasynach w środku nocy.

Knight nie zareagował na zaczepkę. Odwrócił się od kredensu, przy którym

stał, nie zwracając uwagi na dziewczynę.

- Myślisz, że wygrałeś? Jedną nocą?

Cross usadowił się na innym wysokim fotelu, wyciągnął przed siebie długie nogi, starając się usilnie, żeby wyglądać na znudzonego. Chciał mieć tę konfrontację za sobą. Zwrócił wzrok na Knighta.

- Wiem, że wygrałem. Pięćdziesięciu twoich największych graczy traci teraz pieniądze przy moich stołach. Jedno moje słowo, a zostaną tutaj na zawsze.

Knight zazgrzytał zębami.

- Nie chcesz ich. Nie pasują do twojego ukochanego klubu. Inni nigdy nie dopuszczają, żeby tacy nędznicy dostali członkostwo Anioła.

- Inni zrobią to, co ja zechcę. Ta twoja żalosna gromadka to poświęcenie, na jakie się zdobędziemy, żeby ci uświadomić twoje miejsce. Istniejesz dzięki naszej dobrej woli, Digger. Dlatego, że nie uznaliśmy za konieczne, żeby cię zniszczyć. Jak na razie. Pora, żebyś zrozumiał, że nasz klub jest czymś więcej, niż twój będzie kiedykolwiek. Że nasza władza sięga dalej, niż ty mógłbyś marzyć. Klub Knighta istnieje wyłącznie dzięki mojej dobrej woli. Jeśli będę chciał cię zniszczyć, zrobię to. I nic mi w tym nie przeszkodzi.

Knight zmrużył oczy.

- Zawsze wolałeś uważać mnie za wroga. Cross ani drgnął.

- Nie ma sensu o tym myśleć.

- Były czasy, kiedy byłem dla ciebie niemal przyjacielem.

- Nie zapamiętałem tego w ten sposób.

Knight wzruszył ramionami, nie był zainteresowany grzebaniem się w przeszłości.

- Zapomniałeś o długu Lavinii? Wciąż jest mi winna. W ten czy inny sposób.

Imię siostry w ustach Knighta sprawiło, że Cross miał ochotę w coś uderzyć, ale się nie poruszył.

- Spłacę dług. Zabronisz Dunblade'owi wstępu. Na zawsze. I zostawisz moją siostrę w spokoju. Także na zawsze.

Knight uniósł czarne brwi. Podniósł z podłogi laskę, żeby przyjrzeć się pięknie rzeźbionej rączce.

- Albo co?

Cross pochylił się ku niemu, nie ukrywając gniewu.

- Albo zabiorę ci graczy. Do ostatniego. Knight wzruszył ramionami.

- Jest ich więcej tam, skąd przyszli.

- Ich także zabiorę. - Zamilkł, a potem dodał: - Krok po kroku sprawię, że nie starczy ci na wosk, żeby oświetlać stoły do gry.

W oczach Diggera błysnął podziw.

- Będziesz świetnym zięciem.

- Prędzej spotkamy się w piekle.

Maggie Knight gwałtownie podniosła głowę i otworzyła szeroko oczy. Łania wobec myśliwego.

- Chcesz, żebym wyszła za niego? - Nie zdawała sobie sprawy z knowań

Knighta. Cross powstrzymał się od tego, żeby coś powiedzieć dziewczynie. Żeby ją pocieszyć.

- Nie daj się ogłupić pozorami. - Knight ledwie na nią spojrział. - Zrobi z ciebie hrabinę.

- Ale ja nie chcę być hrabiną.

- Chcesz tego, co ja ci każę chcieć.

- Obawiam się, że chęci tego nie załatwią - oznajmił Cross, kończąc rozmowę.

Wstał i skierował się do drzwi. - Proszę wybaczyć, panno Knight. Nie poślubię pani.

Odetchnęła.

- Wielka ulga. Cross uniósł brwi.

- Doprawdy?

- Nikt nie powinien odczuwać ulgi. Znamy się długo, prawda, Cross? Dłużej niż znasz któregokolwiek z tych głupców, nazywanych przez ciebie partnerami.

- Mam dzisiaj u siebie imponującą liczbę graczy, Digger. Więcej niż pierwotnie planowałem. Obawiam się, że nie mam czasu na nostalgię. Jutro dostaniesz zwrot długu Dunblade'a. Albo przejmę twoje kasyno. Gracza po graczu. Cegłę po cegle.

Sięgnął do klamki, myśląc już o tym, dokąd pójdzie. O Pippie.

O tym, jak pachnie i smakuje, o jej cudownych ustach i lśniących oczach, o jej ciekawości. Była gdzieś w tym budynku, grając albo rozmawiając z prostytutką, albo robiąc coś innego, równie skandalicznego, i chciał być przy niej.

Rozpaczliwie. Była jak opium. Wystarczyło spróbować i nie mógł się już powstrzymać.

Coś się zmieniło w ciemności wcześniej tego wieczoru.

Nieprawda.

Coś się zmieniło dużo wcześniej. Stwierdził, że rozpaczliwie chce to zbadać.

Sześć dni. Nie straci ani sekundy więcej w tym pokoju. Otworzył drzwi. Mniej niż tydzień, potem ją zostawi. Będzie jego rozkoszą. Jedynym łykiem. Jedynym błędem.

A potem wróci do swojego życia.

- Widzę, że muszę posłodzić danie. Czy mam dodać Philippe Marbury? Cross poczuł lodowaty dreszcz. Zapomniał o drzwiach.

- Co powiedziałaś?

Knight uśmiechnął się drwiąco, z zimnym wyrazem oczu.

- Ach, teraz zwróciłem twoją uwagę. Nie należało zostawiać Sally w klubie.

Nierządnicę tak łatwo zdradzają.

Crossa ogarnęło przerażenie.

- Może nie jestem geniuszem, za jakiego ty uchodzisz - ciągnął Knight - ale wiem, jak postępować z panienkami lekkich obyczajów. Parę pensów więcej i Sally powiedziała mi wszystko, co potrzebowałem wiedzieć. Plan, żeby zwabić moich największych graczy na Pandemonium. Imiona wszystkich dziewcząt, które ci pomogły, nawiasem mówiąc, wszystkie znalazły się teraz na ulicy, i co najważniejsze, imię damy z arystokracji, która zjawiała się w twoim biurze, kiedy spiskowałeś przeciwko mnie. Jasnowłosa. W okularach. Dziwaczka. - Knight zakołysał się na piętach. Jego niepoprawny akcent wrócił. - To brzmiało znajomo, jak dla mnie.

Cross wiedział, co nastąpi. Rozpędzony powóz, którego nie sposób zatrzymać.

- Philippa Marbury. Córka markiza Needham-Dolby. Przyszła hrabina

Castleton. A siostry...! Jedna ma poślubić Tottenham, druga to lady Bourne! -

Knight gwizdnął przeciągle, wprawiając Crossa we wściekłość. - Imponujące.

Nie chciałbym oglądać ich kompromitacji. Założę się, że Bourne też nie.

Okropna rzecz dla niezamężnej lady Philippy, gdyby odkryto, że płacze się po

kasynie gry. I to z takim nicponiem,

jak ty ni mniej, ni więcej... z twoją reputacją? Cóż, nigdy by jej już nie

przyjmowano w dobrym towarzystwie. A stara Castleton z pewnością nie

zechciałaby jej wydać za swojego chłopczyka.

Cross zamarł. Rozumiał, co się kryje za tymi słowami.

Powinien się tego spodziewać.

Wróciło wspomnienie. Knight pochyła się nad nim sześć lat wcześniej, Cross pobity niemal na śmierć przez jego zbirów. Ubezpieczenie.

Powinien wiedzieć, że Knight będzie miał drugi plan. Polisę ubezpieczeniową.

Powinien się domyślić, że będzie chodziło o Pippe.

Czego nie przewidział, to tego, jaki to w nim wzbudzi gniew.

Znalazł się przy Knighcie trzema długimi krokami, jedną ręką chwycił go za gardło, rzucając na kredens. Zagrzechotało szkło, karafka ze szkocką wylądowała na podłodze. Dziewczyna po drugiej stronie pokoju sapnęła przestraszona, ale Cross nie przejął się tym.

- Zostawisz w spokoju Philippę Marbury albo cię zabiję. To taka gra. Knight odzyskał równowagę i uśmiechnął się, jakby rozmawiali o pogodzie, a nie o jego ewentualnej śmierci.

- Nie martwiłbym się tym. Nie będę miał czasu, żeby się do niej zbliżyć... przy ślubie mojej dziewczynki tyle się będzie działo.

- Powiniennem cię zabić, tak czy inaczej. Knight uśmiechnął się krzywo.

- Ale nie zrobisz tego. Uratowałem ci życie, chłopcze. Gdyby nie ja, byłbyś zapijaczony i na wpół oszalały od ospy, gdyby któryś z pół tuzina właścicieli kasyn nie wrzucił cię przedtem do Tamizy. Gdyby nie ja, byłbyś martwy albo byłbyś żywym trupem. Jesteś mi coś winien, nawet gdybym nie miał w garści twojej zabaweczki. Byłeś bezużyteczny. Słaby. Nic niewart. Ja dałem ci wyjście.

Crossowi zrobiło się zimno. Knight mówił niewątpliwą prawdę. Knight wyciągnął chusteczkę i dotknął ust, sprawdzając, czy nie ma na nich krwi.

- Mnie zawdzięczasz to wszystko. Swoje królestwo. A tragedia polega na tym, że jesteś zbyt honorowy, żeby przejść nad tym do porządku. Więc masz u mnie

dług.

Pokręcił głową, chociaż zdawał sobie sprawę, że nadaremnie.

- Nie to.

- Oczywiście, że to - parsknął Knight. - Pora, żebyś zrozumiał, że arystokraci

czy nie, pieniądze czy nie, francuska szefowa kuchni czy nie,

ja byłem na tej drodze przed tobą i zawsze znałem teren lepiej od ciebie. Nie

możesz mnie pobić. Słyszałem, że Duncan West jest tutaj. Ciekaw jestem, czy

panna trafi do środowego wydania „Scandal Sheet”? - Na gniewne spojrzenie

Crossa, Knight wskazał na Maggie, która patrzyła na nich obu zszokowana i

zmieszana. - Poślubisz moją dziewczynę albo ja zrujnuję twoją. Na tym polega

gra.

Twoją dziewczynę. Po części kpina, po części pragnienie. Cała prawda.

Długi czas Cross słyszał z tego, że potrafił przewidzieć wszelkie możliwe

wyjścia z sytuacji. Potrafił spojrzeć na karty i przewidzieć następne rozdanie.

Widział kolejne uderzenie w meczu bokserskim. Potrafił zaplanować szereg

kolejnych posunięć na szachownicy.

Ciekawe, czy Pippa gra w szachy.

Odsunął tę myśl. Nie będzie już myślał o Philippie Marbury. Ani jej dotykał.

Palce bolały go, tęskniąc za dotykiem, którego tak długo sobie odmawiał. Było

mu dane jej dotknąć tylko przez ułamek chwili.

Tęsknił za nią, odkąd ją opuścił tego wieczoru. I wcześniej.

I wiedział, z przenikliwością kogoś, kto tak długo panował nad swoimi

pragnieniami, że będzie za nią boleśnie tęsknić przez całą wieczność.

Ale przyjmie ból, żeby ją uratować.

Choć raz w swoim żalonym, bezwartościowym życiu uratuje kogoś, na kim

mu zależy.

Nie powinnam w ciebie wierzyć. Przypomnił sobie wcześniejsze słowa Pippy.

Uratuje ją.

- Maggie nie jest złą partią, Cross. Będziesz miał ładnych dziedziców.

Cross podniósł głowę, napotykając wzrok Maggie, i zobaczył w jej oczach szok i rozczarowanie. Nie chciała wyjść za niego, tak samo jak on nie chciał się z nią ożenić. Zmierzył ją poważnym spojrzeniem.

- Twój ojciec jest szalony.

- Sama zaczynam to widzieć - odparła, a Cross pomyślał, że w innych okolicznościach uśmiechnąłby się na to.

Ale okoliczności nie były inne. Mógł zrobić tylko jedno.

Podszedł do córki Knighta - dziewiętnaście lat i słaby francuski - i ukląkł na jednym kolanie, mówiąc:

- Obawiam się, że nie mam wyboru. Stracił tytuł. Tym razem kogoś uratuje.

Najważniejszą osobę. Maggie skinęła głową.

- Wydaje się, milordzie, że chociaż pod tym względem mamy wiele wspólnego.

Łzy zalśniły w jej brązowych oczach i Cross pożałował, że nie może powiedzieć czegoś innego. Czegoś, co poprawiłoby jej samopoczucie. Ale prawda była taka, że Meghan Knight uważała go za zimnego drania, który zarabia na jaskini występku i grzechu. Sądziła, że sprzymierza się z łajdakami, prostytutkami i nicponiami, jak jej ojciec, i że małżeństwo z nim będzie wynikiem szantażu i wymuszenia, niczego innego.

Meghan Margaret Knight, która znała go niecałą godzinę, wiedziała już o nim dużo więcej niż Philippa Marbury.

Zamiast więc ją pocieszać, ujął jedną z jej dłoni w rękawiczce, zaciśniętą na

zielonej sukni, i uścisknąwszy ją mocno, zapytał:

- Panno Knight, czy uczyni mi pani zaszczyt i zostanie moją żoną?

Pippa bawiła się doskonale.

W poprzednich tygodniach słabo oświetlone, ciche jak biblioteka główne pomieszczenie Upadłego Anioła mogło nie zrobić na niej wrażenia, ale dzisiaj zrozumiała, na czym polega jego urok. Nocą klub wypełniał się światłem i dźwiękami, przesiąkając urokliwą atmosferą grzechu; Pippa nie byłaby w stanie sobie tego wyobrazić, gdyby jej tutaj nie było.

Noc dawała życie wielkiemu, kamiennemu budynkowi. W jego wnętrzu kolory wirowały w jaskrawym świetle; w powietrzu czuło się podniecenie, którym upajała się Pippa.

Poddając się tłumowi, Pippa pozwoliła się przenieść z drugiego końca pomieszczenia, gdzie udało jej się umknąć spod opieki Temple'a, w sam środek zabawy, tam, gdzie była ruletka i hazard, i piękności w maskach z przystojnymi kawalerami u boku. Wiedziała, oczywiście, że każde z tych ciał miało skazy, niektóre poważne, ale w maskach, w tłumie, w jakiś sposób wydawały się doskonalsze niż suma ich części.

Tak jak ona teraz wydawała się czymś więcej niż ich sumą.

Ale nie uważała wcale, że to maska dawała jej poczucie mocy, inności. Ani to pomieszczenie.

Nie, to był mężczyzna.

Rytm jej serca przyspieszył, kiedy przypomniła sobie o ich tajemnym spotkaniu parę chwil wcześniej, o cudownych, oszałamiających doznaniach fizycznych, których się nie spodziewała, ale których pragnęła.

I ten pocałunek.

Uniosła bezwolnie jedną rękę, żałując tego ruchu, kiedy jej palce musnęły wargi, zacierając jego dotyk. Pragnęła go przywrócić.

Odnaleźć Crossa i skłonić, żeby przywrócił pamięć tamtego pocałunku. Poczwała pod palcami miękkość jego włosów, dotyk jego skóry... jego warg.

Jego języka.

W pokoju zrobiło się cieplej, kiedy uświadomiła sobie, że nawet myśl o jego dotyku, o pocałunku, o nim, wywoływała w niej bolesną tęsknotę. Ale umiejscowienie tego bólu przyprawiało ją o niepokój. Głęboko, w tajemnym miejscu, z którego istnienia nie zdawała sobie sprawy.

Pokazał jej rzeczy, o których nie wiedziała, choć, jak mylnie sądziła, wiedziała doskonale. Uwielbiała to... mimo strachu.

Nawet jeśli kazało jej wątpić we wszystko, co uznawała za prawdę.

Oparła się tej myśli, podnosząc wzrok na ścianę, gdzie anioł, na pięknym witrażu, spadał z nieba do piekła, od dobra do zła, ze świętości w grzech. To był najpiękniejszy witraż tego rodzaju, jaki Pippa w życiu widziała, dzieło artystów, w czerwieniach, złocie i fioletach, zarazem odrażające i święte.

To anioł ją fascynował, piękny, wielki mężczyzna, który spadał na ziemię, pozbawiony darów, którymi cieszył się tak długo. Mniej biegły artysta nie oddałby szczegółów z taką dbałością i kunsztem, ręce, stopy i twarz wykonałby ze szkła jednego koloru, ale ten artysta podszedł do tematu z największym oddaniem, sprawiając, że gra światła i cieni odzwierciedlała ruch, kształt, a nawet uczucia.

Nie mogła się oderwać od jego twarzy - odwróconej w trakcie upadku - od wypukłości czoła, cieni na szczęce, wygięcia warg. Pomyślała o innych ustach, innym upadku.

Innym aniele.

Cross.

Uczuć, jakie ją ogarnęły, nie potrafiła od razu rozpoznać. Odetchnęła głęboko.

Pragnęła go. W taki sposób, w jaki nie powinna. W taki sposób, w jaki,

wiedziała, powinna pragnąć innego. Mężczyzny przeznaczonego na jej męża.

Ojca jej dzieci.

A jednak pragnęła Crossa.

Tego anioła.

Czy to było tylko pożądanie?

Jej serce zaczęło bić gwałtownie - fizyczny objaw myśli, na którą nie była

przygotowana. Która ją przerażała i pociągała.

- Wspaniały, nieprawdaż?

Słowa wypowiedziano blisko, cichym głosem, i Pippa odwróciła się, żeby

spojrzeć na wysoką, szczupłą damę, siedzącą przy stoliku do gry w karty. Miała

na sobie najpiękniejszą suknię, jaka Pippa widziała, w kolorze głębokiej,

królewskiej purpury, która aż lśniła przy jej ciepłej, złotej skórze. Na złotym

łańcuszku wisiał wielki topaz, zwracający uwagę wszystkich, którzy patrzyli na

dekadencki, niski dekolt sukni. Nosiła ozdobioną piórami czarną maskę, która nie

pozwaliała zobaczyć jej twarzy. Widoczne były tylko brązowe oczy i wygięte w

uśmiechu usta barwy czerwonego wina.

Uśmiechu wyrażającym niewypowiedzianą obietnicę.

Taką obietnicę Pippa widziała na ustach Sally Tasser tydzień wcześniej.

Ponieważ Pippa nie odpowiedziała od razu, dama wskazała długim, zadbanym,

prostym palcem na szklaną ścianę.

- Anioł.

Pippa odzyskała głos, mówiąc szybciej, niż zamierzała:

- Jest piękny. I taki bogaty. Tyle czerwonego szkła. I fioletu. Dama uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Czy kolory coś znaczą? Pippa skinęła głową.

- Żeby uzyskać czerwony kolor, dodają złoty proszek. Fiolet uzyskują tak samo.

Brązowe oczy spojrzały ze zdumieniem.

- Jakże jest pani mądra, że wie takie rzeczy.

Pippa odwróciła wzrok. „Mądra” rzadko bywało komplementem wśród kobiet.

- Kiedyś o tym czytałam.

- Nic dziwnego, że Cross lubi pani towarzystwo, lady P. Pippa znowu zwróciła uwagę na kobietę.

- Skąd pani...? Dama machnęła ręką.

- Kobiety mówią, milady.

Sally. Pippa zastanawiała się, czy powinna się niepokoić. Prawdopodobnie.

- Jest cudowną obietnicą, nie sądzi pani? - ciągnęła dama.

- Obietnicą?

Dama rozpromieniła się jeszcze bardziej.

- Czegoś niestosownego, skoro już pani pyta.

Pippa miała zamęt w głowie. Skąd ta kobieta wiedziała, co się stało? Co zrobili?

Szpiegowano ich?

- Cross?

Kobieta roześmiała się wesoło i przyjaźnie.

- Mówiłam o aniele, naprawdę. - Wskazała na krzesło obok. - Gra pani?

Wdzięczna za zmianę tematu, Pippa przyjrzała się polu zielonego sukna,

kartom, które leżały przed kobietą, i czterem mężczyznom siedzącym po jej

prawej stronie.

Pokręciła głową.

- Nie gram.

- Powinna pani. - Kobieta ściszyła głos do konspiracyjnego szeptu. - To ulubiona gra Crossa.

Mogła się nie zgodzić na grę, ale w momencie, kiedy piękna kobieta wspomniała jego imię, Pippy nie powstrzymałoby nic na świecie. Usiadła.

- Może popatrzę na jedną partię czy dwie. Dama uśmiechnęła się.

- Przypuszczam, że zrozumienie gry to istotna sprawa.

- Nie mam dużo pieniędzy, żeby stawiać - odparła ze śmiechem Pippa.

- Sądzę, że ma pani więcej, niż sądzi.

Pippa nie miała okazji odpowiedzieć, ponieważ rozdający starannie rozłożył dwie karty przed grupą, jedną odwróconą, drugą obrazkiem do góry.

- Celem jest dwadzieścia jeden - powiedziała kobieta, odwracając karty, dziewiątkę kier i ósemkę trefl, w stronę Pippy. - Walety, królowe i królowie warci są dziesięć - dodała, lekko podnosząc głos, tak żeby reszta ją usłyszała.

Pippa zrozumiała blef natychmiast.

- A asy? - zapytała, pomagając nowej znajomej.

- Asy są najlepsze. Jedyńki albo jedenastki. Karta drugiej szansy.

- Ach. A zatem dobry początek - stwierdziła Pippa, kiwając głową.

- Poddaję się. - Jeden z dżentelmenów przy stole wstał, zabrał połowę zakładów i odszedł od stołu. Tajemnicza kobieta pochyliła się do Pippy, mówiąc:

- Dobra robota. Mężczyźni bliżej nas brakuje umiejętności, a temu dalej szczęścia.

- A ten w środku?

Dama udała, że lustruje uważnie wzrokiem przystojnego dżentelmena.

- To Duncan West. Właściciel większości gazet w Londynie. Serce Pippy zabiło gwałtownie. Gdyby prasowy potentat ją odkrył,

byłaby zrujnowana. Olivia także.

Może to nie byłoby takie złe. Zignorowała tę myśl.

- Jest taki młody - szepnęła, starając się ze wszystkich sił nie patrzeć na owego mężczyznę.

- Młody i bogaty jak Krezus. Niewiele mu brakuje. Chyba że nocy z odpowiednią kobietą.

Pippa usłyszała pożądanie w głosie damy.

- Z panią, jak sądzę?

Dama zwróciła na nią lśniące oczy.

- Kobieta zawsze może mieć nadzieję.

Pippa patrzyła, jak dżentelmeni dodają karty do stosików przed sobą, ucząc się szybko prostych reguł gry.

Kiedy nadszedł czas, żeby jej towarzyszka postawiła, kobieta zwróciła się do

Pippy:

- Co powiesz, moja pani? Mam wziąć kartę, czy poczekać?

- Powinna pani dobrać kartę - odparła Pippa po zastanowieniu. Kobieta skinęła głową w stronę rozdającego.

- Pani sugeruje, żebym wzięła kartę. Pięc.

Usta barwy *bordeaux* ułożyły się w kapryśny wyraz.

- Cóż, ładnie. Zostaję.

Odkryto karty. Sąsiadka Pippy wygrała. Zbierając wygraną, uśmiechnęła się do towarzyszy przy stole:

- Szczęście nowicjuszek, nie sędzicie, panowie?

Dwaj panowie wyrazili niechętnie swój podziw, kiedy West kiwnął głową w ich stronę. Jego wzrok płonął, kiedy spoczął na damie, która wygrała. Pippa patrzyła przez chwilę, jak jedno długie, porcelanowe ramię sięga po pieniądze, delikatnie muskając rękę pana Westa, zostając tam przez sekundę, może krócej. Na tyle długo, żeby spojrzenie pana Westa stało się gorące. Miało się wrażenie, że mógłby ją połknąć, gdyby byli sami.

Znajomy wyraz twarzy.

Tak wyglądał Cross, kiedy zostali sami.

Poczerwieniała i odwróciła głowę, mając nadzieję, że nowa znajoma tego nie zauważy. Jej uwaga skierowała się ponownie na Pippę.

- Skąd pani wiedziała, że powinnam wziąć kartę? Pippa wzruszyła ramionami.

- Zwykły domysł.

- Po prostu szczęście? Pippa pokręciła głową.

- Niezupełnie, w gruncie rzeczy. Wszystkie karty na stole były wysokie. Więc było bardzo możliwe, że wyciągnie pani niską.

Nie ma czegoś takiego, jak szczęście. Kobieta uśmiechnęła się.

- Jakbym słyszała Crossa.

To, że kobieta wypowiedziała głośno to, co pomyślała Pippa, nie zaniepokoiło jej. To, że w jej ustach nazwisko Crossa zabrzmiało tak, jakby znała go blisko, owszem.

- Grała pani z Crossem? - Usiłowała mówić obojętnym tonem. Bezskutecznie.

Dama zwróciła się ponownie do rozdającego, wskazując, że chce zagrać kolejną partię.

- Zagra pani tym razem?

Pippa kiwnęła głową, sięgając do torebki i wyciągając kilka monet.

- Proszę.

Czy jest pani przyjaciółką Crossa? - miała ochotę zapytać. Czy dotykał pani?

Całował? Spała z nim pani? Nienawidziła swojej ciekawości. Swojej wstrzemięźliwości jeszcze bardziej.

Rozdano karty. Pippa przyjrzała się swoim. As i trójka. Obie patrzyły, jak rozdający kładzie karty przed dżentelmenem w końcu stołu.

- Grałam z nim - odezwała się towarzyszka Pippy. Poprosiła o drugą kartę. -

Niech pani nie wychodzi. Ale proszę się nie martwić.

- Ja nie... - powiedziała Pippa. - Biorę. Z sześciu zrobiło się dwadzieścia.

- Nie dobieram. Martwić się o co? Odkryto karty.

- Dwudziestka wygrywa.

Kobieta klasnęła w dłonie, a dwaj dżentelmeni jęknęli. Pan West uniósł kieliszek w pozdrowieniu.

- Uczeń prześcignął mistrza. - Kobieta pochyliła się ku Pippie. - Cross nie chodzi z kobietami do łóżka.

Pippa zakasłała, oszołomiona emocjami, jakie te słowa wywołały. Usiłowała je zrozumieć. Ulga? Nie. Nie wierzyła w to. Reputacja go wyprzedzała... Ale nadzieja... To mogła być nadzieja. Jak się wydaje, od tego zwodniczego uczucia trudno się uwolnić.

Ale nawet ona wiedziała, że nie powinna mieć nadziei. Nie w tym wypadku.

W istocie powinno być odwrotnie. Powinna... nie mieć nadziei. Pieniądze z wygranej przesunęły się ku niej po stole.

- To mu nie przeszkadza zapraszać ich do swojego - stwierdziła sucho. Kobieta roześmiała się.

- Nie, ale tego także nigdy nie zauważyłam. Pippa pomyślała o Sally Tasser.

- Nie patrzyła pani dość uważnie.

- Och, zdziwiłaby się pani. Cross to świetna partia. I nie tylko ja tak myślę.

Tuzin takich, które znam, chętnie by się do niego tam przyłączyło. Większość z nich za nic. Wszyscy w Londynie chcą dla siebie kawałek Crossa. Od lat.

Pippa patrzyła na wygraną, liczyła monety, udając, że nie słyszy. Że nie czuje bólu w piersi na myśl o innych kobietach przy Crossie. O tym, że go dotykały.

Całowały.

Nie znosiła ich wszystkich.

Irracjonalnie.

Nie lubiła myśleć irracjonalnie. Kobieta nie przestawała mówić.

- Te długie nogi i ręce, i gęste rude włosy. Ale jest zbyt dobry, żeby nas traktować jak cała reszta. Żadna z nas tam nie była. Proszę nie wierzyć nikomu, kto twierdzi inaczej. - Policzki Pippy stały się gorące, cieszyła się, że ma maskę.

Nowa znajoma i tak zauważyła rumieniec. -Ale pani tam była?

Boże, tak. I to było cudowne.

Pokręciła głową. Jej ciało buntowało się przeciwko znaczeniu tego gestu.

Sprzeciwiało się kłamstwu.

- Jestem zaręczona.

Godzinę temu to nie miało znaczenia.

Wzdrygnęła się, myśląc o tym. Zaskoczyło ją uczucie, jakie tej myśli towarzyszyło. Wina.

- To nie jest odpowiedź. - Czerwone wargi wygięły się ku górze, nieświadome jej myśli. - Poza tym zaręczona to nie zamężna.

Ale blisko zamężna. Zaręczona to prawie zamężna. Poczuta ściskanie w gardle.

- Nie musi pani przyznawać mi racji, ale myślę, że Cross bardzo panią lubi.

Ostatecznie, nie co dzień się zdarza spotykać kobietę równie mądrą, jak on sam.

Ona też go lubi.

Pokręciła głową, mocno poruszona.

- Nie jestem taka mądra, jak on.

Gdyby była, nie znalazłaby się w takiej sytuacji. W takim bałaganie.

Rozpaczliwie pragnąc mężczyzny, którego nie powinna pragnąć. Którego nie mogła mieć. Nie na dłużej. Chyba żeby...

Stłumiła tę myśl, zanim się sformułowała do końca. Przyrzekła. Poślubi Castletona. Musiała.

Postanowiła nie zwracać uwagi na ból w piersi, jaki poczuła, myśląc o tym.

Przyrzekła.

- Gdybym miała się zakładać, postawiłabym na to, że pani jest mądrzejsza.

Kobieta spojrzała na rozdającego.

- Zagra pani jeszcze raz?

- Nie zagra.

Jakby go wywołały czarami. Pippa odwróciła się do niego. Nie mogła się powstrzymać, jego niski głos i zapach drzewa sandałowego, jaki roztaczał, działały jak magnes.

Odczuwała bardzo nieracjonalne pragnienie, żeby rzucić się w jego ramiona, przycisnąć wargi do jego ust, błagać, żeby zabrał ją do swojego gabinetu, czy w jakiś ciemny kąt, i dokończył to, co zaczął wcześniej tego wieczoru. Żeby sprawił, że zapomni o wszystkim innym - o swoich planach, badaniach, o tym, że już za sześć dni poślubi innego mężczyznę.

Mężczyznę, który nie dorastał Crossowi do pięt.

A potem zobaczyła jego szare oczy wbite w jej towarzyszkę, napięte mięśnie szyi i szczęki, usta zaciśnięte w wąską linię.

Był rozgniewany.

- Cross. - Kobieta wymówiła jego imię ze śmiechem, wyraźnie nieprzestraszona. - Powinieneś się do nas przyłączyć. Ona liczy karty równie dobrze jak ty.

Zmrużył gniewnie oczy.

- Nie.

- Taki jest Cross i jego dobroć. - Kobieta odwróciła się do stołu, podnosząc kieliszek szampana. - Dotrzymywałam tylko damie towarzystwa.

Zacisnął pięści.

- Znajdź sobie inne towarzystwo.

Dama uśmiechnęła się do pana Westa, porzucając Crossa i Pippę.

- Z przyjemnością.

Cross zwrócił spojrzenie szarych oczu na Pippę i zacisnął zęby.

- Milady, stoły do gry to nie miejsce dla ciebie. Na nią też był zły.

Dziwne, ale to rozgniewało Pippę, ponieważ ona z pewnością miała powód do gniewu. Więcej powodów od niego. Ostatecznie, to nie on miał zostać zmuszony do małżeństwa z doskonale zwyczajnym, doskonale nieodpowiednim dla niego człowiekiem. To nie jego życie miało zamienić się w chaos. Za sześć dni on nadal będzie wiódł dotychczasowe życie w otoczeniu grzechu i występku, pieniędzy i pięknych kobiet, i dań przygotowanych przez kucharkę o większym talencie, niż na to zasługiwał jakikolwiek mężczyzna.

A ona będzie żoną innego.

Nie, jeśli ktoś miał się gniewać, to ona.

- Nonsens - powiedziała, prostując się. - Kobiety są przy każdym stole. A gdybym nie miała tu dzisiaj grać, to, jak sędzę, nie dostałabym zaproszenia.

Pochylił się ku niej blisko.

- Nie powinnaś była dostać zaproszenia.

Te słowa wywołały w niej nieprzyjemne uczucie - jakby była małym dzieckiem, które zbesztano.

- Dlaczego nie?

- To nie miejsce dla ciebie.

- Ale ja sędzę - powiedziała, pozwalając dojść do głosu irytacji - sędzę, że zagram kolejną partię.

Kobieta, do której mówiła, odwróciła się na to, wyraźnie zdziwiona, ale opanowała się szybko i uśmiechnęła szeroko.

- Doskonale.

Pochylił się nisko, szepcząc tak, żeby tylko ona go słyszała:

- Nie pozwolę, żebyś tu była. Nie teraz.

- Po prostu gram w karty - powiedziała dotknięta, ze łzami w oczach. Nie chciała na niego patrzeć. Nie chciała, żeby zauważył, jaki ma na nią wpływ.

Westchnął cicho, z irytacją. Poczwała jego oddech na ramieniu.

- Pippa - powiedział ledwie słyszalnie. - Proszę.

W jego głosie było coś zastanawiającego. Odwróciła się do niego raz jeszcze, patrząc w jego szare oczy i znajdując w nich - ból. Który zniknął tak szybko, że prawie nie wierzyła, że go w ogóle widziała. Prawie.

Położyła dłoń na jego przedramieniu, czując, jak napinają się mięśnie pod rękawem.

- Jasper.

Nie miała pojęcia, skąd jej to imię przyszło do głowy; nie myślała o nim w ten sposób. Ale do końca życia miała pamiętać, jak jego piękne szare oczy otworzyły się szeroko i jaki pojawił się w nich ból, jakby wymierzyła mu potężny cios.

Odsunął się tam, gdzie nie mogła go dosięgnąć. Poszła za nim bezwiednie, wstając z krzesła, chcąc cofnąć to, co zrobiła.

Bo coś zrobiła.

Coś, co miało wszystko zmienić.

- Poczekaj - powiedziała, nie dbając o to, że może ją usłyszeć połowa Londynu.

Stanął i chwycił ją rękami za ramiona, nie pozwalając się zbliżyć.

- Wracaj do domu. Twoje badanie skończone.

Zabolało, choć wiedziała, że tak będzie najlepiej. Miał, oczywiście, rację. To nie było badanie naukowe. Nigdy nie było. Strach, panika, niepewność, obawy, ale nigdy projekt naukowy.

A potem pojawiło się pożądanie. Pokusa. Pragnienie.

Coś więcej.

I jeśli to się wkrótce nie skończy, nie będzie w stanie położyć temu kresu już nigdy.

Tylko że ona nie chciała tego przerywać. Chciała, żeby to trwało. Chciała z nim rozmawiać, śmiać się, dzielić wszystkim. Chciała się od niego uczyć. Uczyć jego.

Być z nim.

Chciała niemożliwego.

Pokręciła głową w odmowie.

- Nie.

- Tak - powiedział. Słowo jak bryłka lodu. Po czym odwrócił się i zanurzył w tłumie. Zostawił ją. Znowu.

Co za denerwujący człowiek. Bogu wiadomo, że miała tego dość.

Poszła za nim, śledząc jego ruchy w tłumie, nie tracąc z oczu rudych włosów, które wyróżniały go na tle reszty Londynu. On się wyróżniał na tle Londynu.

Przepychała się, używając łokci i dłoni, aż w końcu znalazła się przy nim i chwyciła go za rękę, szczęśliwa, że żadne z nich nie nosi rękawiczek, ciesząc się dotykiem jego skóry, falą ciepła, jaką ten dotyk wywołał.

On to odczuł tak samo.

Wiedziała, bo odwrócił się natychmiast, patrząc na nią oczami, w których kryło się coś pierwotnie dzikiego. Wiedziała, bo wyszeptał jej imię, cicho, tak że tylko ona je usłyszała.

Wiedziała, ponieważ wolną ręką ujął jej twarz, pochylił się, biorąc w posiadanie jej usta, oddech i myśli w pocałunku, który miała zapamiętać na zawsze.

Ten pocałunek był jak jedzenie i picie, jak sen, jak oddech. Potrzebowała go w taki sam podstawowy sposób i nie dbała nic a nic, że robią to na oczach Londynu.

Tak, nosiła maskę, ale to nie miało znaczenia. Rozebrałaby się do koszuli dla tego pocałunku. Do naga.

Spletli palce. Objął ją rękami i przyciągnął do siebie, obdarzając pocałunkiem, który trwał i trwał, aż myślała, że umrze z rozkoszy. Wsunęła dłoń w jego jedwabiste kędziory.

Zagubiła się bez reszty w tym pocałunku i po raz pierwszy w życiu poddała całkowicie uczuciom, wkładając w pieszczotę pożądanie, namiętność, strach i pragnienie. Przelewając je na tego mężczyznę.

Mężczyznę, który był wszystkim, o czym nawet nie śmiała marzyć.

Mężczyznę, dzięki któremu uwierzyła w przyjaźń. W partnerstwo.

W miłość.

Zaszokowana tą myślą odsunęła się, przerywając pocałunek, ciesząc się
odczuciem jego oddechu na policzku, podczas gdy wokół klaskano i gwizdano.
Nie obchodzili jej widzowie. Obchodził ją tylko on. Jego dotyk. Ta chwila.
Nie chciała go powstrzymywać, przerywać tego, ale nie miała wyboru. Musiała
mu powiedzieć. Natychmiast. A nie mogła mu powiedzieć, kiedy ją całował,
choć miała nadzieję powrócić do całowania tak szybko, jak się da.
Sięgnęła ręką, żeby zdjąć maskę, nie myśląc o niczym poza nim.

- Cross...

Chwyił jej rękę, trzymając mocno.

- Skompromitujesz się. - Pokręcił głową. - Musisz odejść. Teraz. Zanim...

Nie rozumiała go. Odpychał ją, jednocześnie trzymając blisko. Chciała mu
powiedzieć, co czuje, wyjaśnić te dziwne, śmiałe uczucia. Miała to na końcu
języka.

Kocham cię.

Chciała to powiedzieć.

Będzie go kochać.

Po tym wyznaniu reszta się sama rozstrzygnie. Przeszkodził jej jednak drwiący
głos:

- Wydaje się, że w tym roku wszyscy dostali zaproszenie na Pandemonium.

Lady Wkrótce-Hrabino, jakże miło mi znowu panią zobaczyć. I w jakże
skandalicznych okolicznościach.

Gdyby głos nie zabrzmiał znajomo, okropny przydomek wskazałby na Diggera
Knighta, stojącego teraz tuż obok. Pippa zamknęła usta, odwracając się do
Knighta, któremu towarzyszyła ładna, niezamaskowana dziewczyna, zbyt młoda
i skromna, żeby być jedną z jego kobiet.

- Panie Knight - powiedziała Pippa, nieświadomie odsuwając się od jaskrawo wystrojonego mężczyzny w stronę Crossa, który stał za nią ciepły, silny, na właściwym miejscu.

Knight uśmiechnął się, ukazując imponujące proste, białe zęby.

- Pamięta mnie pani. Czuję się zaszczycony.

- Nie sądzę, żeby łatwo było pana zapomnieć - stwierdziła chłodno Pippa.

Nie przejął się tą uwagą.

- Spotyka panią szczególna przyjemność tego wieczoru, Lady Wkrótce... -

Przerwał, pozwalając, żeby jej myśli pobiegły do pocałunku, wywołując rumieniec na jej policzkach - ...będzie pani pierwszą, która złoży Crossowi gratulacje.

- Digger - zaczął Cross i Pippa uświadomiła sobie, że nie odzywał się, odkąd

Knight się pojawił. Spojrzała na niego, ale on celowo unikał jej wzroku. - To nie należy do umowy.

- Biorąc pod uwagę to, czego była właśnie świadkiem połowa Londynu, Cross, uważam, że jest. - Knight mówił suchym, niewzruszonym tonem.

Cross wbił w nią spojrzenie szarych oczu.

- Idź do domu - powiedział nagle. - Pośpiesz się. Teraz.

W oczach miał troskę, tak wielką, że Pippa niemal chciała się zgodzić.

Poruszyła się, szykując do odejścia.

- Nonsens - wtrącił się Knight. - Nie może odejść, póki nie usłyszy nowiny.

Pippa, zaciekawiona, spojrzała na Crossa.

- Nowiny?

Pokręcił głową, poważnie, a ona poczuła kamień w piersi. Coś było nie tak.

Stało się coś bardzo złego.

Popatrzyła na Knighta i milczącą, smutną dziewczynę obok niego.

- Jaką nowinę?

Knight roześmiał się, głośno, zgrzytliwie, jakby usłyszał dowcip, który tylko on był w stanie zrozumieć.

- Boję się, że nie wytrzymam do chwili, aż on sam pani powie. Jestem zbyt podniecony. Nie mogę się oprzeć, żeby samemu tego nie obwieścić.

Zmrużyła oczy za maską i okularami, ciesząc się, że dzięki nim nie można odczytać myśli z jej twarzy.

- Nie wyobrażam sobie, żebym mogła pana powstrzymać. Otworzył szeroko oczy.

- Och, lubię damy z ostrym językiem. - Wsunął ręce w kieszenie kamizelki i zakołysał się na piętach. - Widzi pani, moja droga, nie jest pani jedyną wkrótce-hrabinią... obecny tu hrabia poprosił moją córkę o rękę. Zgodziła się, oczywiście. Pomyślałem, że będzie pani miała ochotę pogratulować młodej parze. - Wskazał na nich, żadne nie wydawało się oczekiwać gratulacji. - Ma pani zaszczyt być pierwsza.

Otworzyła usta. To nie była prawda. Nie mogła. Spojrzała na Crossa. Jego oczy skupiały się na wszystkim, tylko nie na niej.

Źle usłyszała. Na pewno. Nie ożeniłby się z inną. Mówił jej... małżeństwo nie leżało w jego planach.

Jednak jego nieobecne spojrzenie, to, że się do niej nie odwrócił, że milczał, że nie zaprzeczył natychmiast - choć słowa bolały jak najgorsze oskarżenie - zdradzało prawdę.

Pippa, ogarnięta paniką, spojrzała na młodą kobietę. Miała czarne loki, niebieskie oczy, porcelanową skórę i piękne czerwone usta o doskonałe

łukowatym kształcie. Wyglądała, jakby zrobiło jej się niedobrze. Nie

przypominała panny młodej.

Wygląda tak jak ty, kiedy myślisz o małżeństwie z Castletonem.

Nie musiała pytać, ale nie mogła się powstrzymać.

- Wychodzi pani za niego? Czarne loki zakołysały się.

- Och. - Pippa spojrzała na Crossa, niezdolna wydobyć z siebie nic innego. -

Och.

Nie patrzył na nią, kiedy się odezwał głosem tak cichym, że nie usłyszałyby go, gdyby nie patrzyła na jego usta... usta, które zmieniły wszystko. Na mężczyznę, który zmienił wszystko.

- Pippa...

Małżeństwo nie jest dla mnie. Kolejne kłamstwo. Spośród ilu?

Poczuła ból, ostry, prawie nie do zniesienia. Zrobiło jej się duszno. Żenił się z inną. I to bolało.

Podniosła rękę, pocierając miejsce najbliższe bólowi, jakby mogła pozbyć się go masażem. Ale kiedy popatrzyła na mężczyznę, którego kochała, i na jego przyszlą żonę, zrozumiała, że tego bólu nie łatwo będzie się pozbyć.

Słyszała o tym całe życie i śmiała się z tego. Uważała, że to niemądra metafora.

Ludzkie serce, ostatecznie, nie było z porcelany. Składało się z ciała i krwi, z silnego mięśnia.

Ale tam, w tym szczególnym miejscu, w otoczeniu roześmianej, obojętnej kolekcji największych londyńskich mądrali i hulaków, wiedza Pippy o anatomii rozszerzyła się.

Wydawało się, że istnieje jednak coś takiego, jak złamane serce.

Ludzkie serce waży (przeciętnie) jedenaście uncji i bije (w przybliżeniu) sto tysięcy razy na dzień.

W starożytnej Grecji uważano powszechnie, że serce, jako najsilniejsza i najbardziej witalna część ciała, działa jako swego rodzaju mózg, zbierając informacje płynące z innych organów. Arystoteles uwzględniał w swoich hipotezach dotyczących powyższego emocje i myśli - coś, co współcześni naukowcy uznają za dziwactwo wynikające z braku podstawowej wiedzy o anatomii.

Podobno zdarza się, że długo po tym, jak uzna się kogoś za zmarłego, kiedy już opuściły go umysł i dusza, w pewnych warunkach serce może jeszcze bić godzinami. Ciekawa jestem, czy w takim wypadku serce również czuie nadal. A jeśli tak, to czy odczuwa mniejszy czy większy ból niż ja teraz.

Dziennik naukowy lady Philippy Marbury

31 marca 1831; pięć dni przed jej ślubem

Tamtej nocy Pippa nie spała.

Leżała tylko na łóżku, z ciepłym ciałkiem Trotuli obok. Wpatrywała się w migotliwy odblask świec na różowym, satynowym baldachimie nad głową, zastanawiając się na przemian, jak to możliwe, że tak niewłaściwie oceniła Crossa, siebie i ich sytuację, oraz nad tym, jak to się stało, że dotąd nie zauważyła, że nienawidzi różowej satyny. To było okropne, kobiece - te wszystkie uczucia. Pojedyncza łza spłynęła jej po skroni i wpadła do ucha, dając odczucie nieprzyjemnej wilgoci. Pociągnęła nosem. Uczucia nie prowadziły do niczego sensownego.

Wciągnęła głęboko powietrze. Żenił się z inną.

Kochała go, a on żeni się z inną. Podobnie jak ona.

Ale z jakiegoś tajemniczego powodu właśnie jego małżeństwo wydawało się zmieniać wszystko. Znaczyć więcej. Bardziej boleć.

Głupia różowa satyna. Głupie baldachimy. Żadnego z nich pożytku.

Trotula podniosła miękki brązowy łeppek, kiedy spłynęła kolejna łza. Szeroki, różowy psi język podążył jej śladem i to ciche psie zrozumienie wywołało słoną powódź - potoki słonej wody i paskudną czkawkę, których Pippa nie była w stanie powstrzymać. Przewróciła się na bok. We łzach rozmywał się widok leżącej na stoliku obok łóżka i pobłyskującej w świetle świec srebrnej maski z Pandemonium. Nie powinna była przyjmować zaproszenia. Wierzyć, że to wszystko nie będzie jej nic kosztować, że w ogóle nie poniesie żadnych kosztów. Świeca płonęła; biel i pomarańcze drżały leciutko nad doskonałym błękitnym okręgiem. Zamknęła oczy, zachowując pod powiekami jasny obraz świecy, i znowu wciągnęła głęboko powietrze, pragnąc, żeby ustał ból w piersi. Żeby mogła przestać o nim myśleć. Żeby zdołała zasnąć.

Żeby mogła wrócić do tego ranka, osiem dni wcześniej, kiedy postanowiła pójść do niego, i nie zrobić tego.

Jak przez ten tydzień wszystko się zmieniło. Jak ona się zmieniła. Jakiego narobiła bałaganu.

Ogarnął ją dojmujący smutek, zimny, duszący, gorzki. Płakała nie wiadomo jak długo. Dwie minuty. Może dziesięć. Może godzinę.

Na tyle długo, żeby się nad sobą uzalić. Nie dość długo, żeby poczuć się lepiej. Otworzyła oczy i znowu spojrzała na świecę. Jej płomień nie poruszał się, choć płonęła jasno. A potem nagle zadrżał w niespodziewanym podmuchu powietrza.

Podmuchu, któremu towarzyszyło radosne szczekanie i łomot, kiedy Trotula zeskoczyła z łóżka, machając szaleńczo ogonem, i rzuciła się do drzwi

prowadzących na wąski balkon obok pokoju Pippy. Drzwi, dotąd zamknięte, otworzyły się i stanął w nich mężczyzna, którego Pippa kochała, wysoki, poważny i cudownie rozczochrany. Odetchnął głęboko i przesunął rękami w gęstych, rudych włosach, odsuwając je od twarzy. Światło świecy wydobywało z mroku jego wysokie kości policzkowe i prosty nos.

Był nieznośnie przystojny. Nigdy w życiu nie tęskniła za niczym, tak jak za nim. Obiecał nauczyć ją, co to jest pokusa i pożądanie, i wywiązał się z tego zadania znakomicie. Jej serce zabiło gwałtownie na jego widok, na dźwięk jego ciężkiego oddechu. A jednak... nie wiedziała, co dalej.

- Jesteś piękna - powiedział.

Dalej miało nastąpić to, czego on chciał, cokolwiek to było.

Trotula podniosła się na tylne łapy, kładąc przednie na jego ciele, popiskując i wzdychając, trzęsąc się z podniecenia. Chwycił psa mocnymi dłońmi, trzymając go prosto i okazując mu uczucie, jakiego się domagał, natychmiast znajdując wrażliwe miejsce na jego skroni - pies nie posiadał się ze szczęścia. Suka jęknęła i wtuliła się w jego nogę.

Po raz pierwszy w życiu Pippa żałowała, że ma psa.

- Nie daje żadnej ochrony.

Znieruchomiał i cała trójka zastygła w bezruchu na dłuższą chwilę.

- Domagasz się ode mnie ochrony? Tak.

Nie odpowiedziała, zwracając się zamiast tego do psa:

- Trotula, dość. - Pies opadł na cztery łapy, ale nie przestawał patrzeć na swoją nową miłość wielkimi, smutnymi oczami. Pippa nie mogła winić zdradzieckiej natury Trotuli. - Wydaje się, że cię lubi.

- Mam szczególny dar do kobiet - powiedział ciepłym, miłym głosem, który uwielbiała i którego nienawidziła jednocześnie. Oczami wyobraźni zobaczyła Sally Tasser. I prostytutkę przy stole karcianym tego wieczoru. I piękną córkę Knighta.

Przerzuciła nogi nad krawędzią łóżka.

- Widziałam.

Spojrzał na nią, ale mówiła już o czymś innym.

- Ten pokój jest na trzecim piętrze.

Inny mężczyzna by się zawahał. Nie zrozumiałby od razu.

- Wspiąłbym się wyżej, żeby cię zobaczyć - przerwał. - Musiałem cię zobaczyć.

Ból wrócił.

- Mogłeś spaść. Zrobić sobie coś złego.

- Raczej to, niż zranić ciebie.

Spojrzała na swoje kolana, na dłonie zaplątane w białe płótno nocnej koszuli i szepnęła:

- Powiedziałeś mi kiedyś, że jeśli Castleton sprawi mi ból, to znaczy, że nie robi tego dobrze.

- Tak.

Popatrzyła mu w oczy.

- Nie robisz tego dobrze.

W jednej chwili znalazł się w drugim końcu pokoju, klęcząc obok łóżka, dotykając jej dłońmi, budząc podniecenie, gorąco, radość, mimo że zdawała sobie sprawę, iż powinna go odepchnąć, wysłać z powrotem przez okno tam, skąd przyszedł, nie przejmując się trzema piętrami.

- Nie powinienem tutaj być - szepnął. - Wszędzie, tylko nie tutaj. - Schylił

głowę, opierając czoło na jej dłoniach. - Ale musiałem cię zobaczyć. Musiałem wyjaśnić.

Pokręciła głową.

- Nie ma nic do wyjaśnienia. Żenisz się z inną. - Usłyszała, jak jej głos zaciął się lekko między pierwszą a drugą sylabą słowa „inną”. Nienawidziła siebie za to.

Zamknęła oczy. Chciała zmusić go myślami do odejścia. Nadaremnie.

- Powiedziałeś, że się nie ożenisz. Kolejne kłamstwo. Tak, jakby się nie odezwała. Nie zaprzeczył.

- Płakałaś. Pokręciła głową.

- Bez powodu.

Uniósł kącik ust w krzywym uśmiechu.

- Wyobrażam sobie.

Coś w jego głosie, cichym, z nutką rozbawienia i czegoś jeszcze, wprawiło ją w dziwną irytację.

- Przez ciebie płakałam - rzuciła oskarżycielsko. Spoważniał natychmiast.

- Wiem.

- Żenisz się z inną. - Powtórzyła te słowa, jak jej się wydawało, po raz setny. Po raz milionowy. Tak jakby powtórzenie dostateczną ilość razy mogło osłabić ich znaczenie. Osłabić ból, jaki sprawiały.

Kiwnął głową.

- A ty poślubiasz innego.

Była zaręczona, kiedy się poznali. Ale w jakiś sposób jego zbliżające się małżeństwo wydawało się większą zdradą. Wiedziała, że to nielogiczne, ale w tej sytuacji nie było miejsca na logikę.

Kolejny powód, dla którego jej się to nie podobało.

- Nienawidzę tego, że płakałaś przeze mnie - powiedział, zaciskając palce na jej dłoniach.

Spojrzała w dół, tam gdzie ich palce się splatały, zachwycając się grą piegów na jego skórze, miękkością jego włosów. Przesunęła kciukiem po jego palcu wskazującym, patrząc, jak pasemka jego włosów poruszają się, zginając, a potem prostując, zapomniawszy o jej dotyku.

Przemówiła do tych włosów.

- Kiedy byłam dzieckiem, miałam przyjaciela o imieniu Beavin. -Przerwała, ale nie spojrzała na niego. Nie odzywał się, więc mówiła dalej, nie bardzo wiedząc, dokąd zmierza. - Był miły i grzeczny i tak uważnie mnie słuchał. Wyjawiałam mu sekrety, rzeczy, o których nie wiedział nikt inny. Których nikt inny by nie zrozumiał.

Mocniej ścisnął jej rękę, a ona spojrzała mu w oczy.

- Ale Beavin rozumiał. Razem odkrywaliśmy najtajniejsze zakątki rezydencji Needham. Pomógł mi odkryć w sobie miłość do wiedzy. Był ze mną, kiedy ukradłam gęś z kuchni i poddałam ją sekcji. Obwiniłam go o to. A on nie miał mi za złe.

Jego wzrok pociemniał.

- Nie dbam o tego twojego doskonałego towarzysza, Pippo. Gdzie on teraz jest?

Pokręciła głową.

- Odszedł. Ściągnął brwi.

- Dokąd? Uśmiechnęła się.

- Tam, dokąd odchodzą przyjaciele z wyobraźni.

Wypuścił chrapliwie powietrze z płuc i podniósł rękę do skroni Pip-py, odsuwając masę włosów z jej twarzy.

- Był wyobrażeniem.

- Nigdy nie rozumiałam, dlaczego inni go nie widzą - szepnęła. - Penny chciała mi sprawić przyjemność... udawała, że z nim rozmawia, ale nigdy w niego nie wierzyła. Matka próbowała mnie zawstydzić. - Wzruszyła ramionami, a potem powiedziała po prostu: - Ale był moim przyjacielem.

Uśmiechnął się.

- Podoba mi się myśl o tym, jak kroiliśmy gęś razem ze swoim wyobrażonym przyjacielem.

- Było mnóstwo piór. Roześmiał się.

- No myślę.

- I nie aż tyle krwi, jak można się było spodziewać - dodała. - Chociaż przestraszyłam służącą prawie na śmierć.

- W imię nauki.

- W imię nauki - potwierdziła z uśmiechem.

Pochylił się i wiedziała, że ją pocałuje. Wiedziała także, że nie może na to pozwolić. Odsunęła się, zanim ich wargi się zetknęły, a on natychmiast puścił ją i usiadł na piętach.

- Przepraszam.

Wstała i stanęła dalej od niego, z Trotulą w charakterze strażniczki u boku.

Przez długą chwilę pieściła miękkie uszy spanielki, nie patrząc na Crossa. I nie mogąc się powstrzymać od patrzenia na niego.

- Nie wiem, dlaczego ci to powiedziałam. Podniósł się, ale nie podszedł bliżej.

- O Beavinie? Spojrzała w podłogę.

- To głupie, naprawdę. Nie wiem nawet, dlaczego o nim pomyślałam. Tylko że...

- urwała.

Czekał dłuższą chwilę, zanim powtórzył ponagląco:

- Tylko że...?

- Zawsze byłam inna. Nigdy nie miałam przyjaciół. Ale... Beavinowi to nie przeszkadzało. Nigdy nie uważał, że jestem dziwna. A potem zniknął. I nigdy nie spotkałam nikogo, kto by się wydawał mnie rozumieć. Nie sądziłam, żebym miała kogoś takiego spotkać. - Wzruszyła lekko ramionami. - Póki nie spotkałam ciebie.

A teraz i ty odejdziesz.

A to będzie bolało bardziej niż utrata przyjaciela z wyobraźni. Nie była pewna, czy sobie z tym poradzi.

- Nie mogę przestać myśleć - zaczęła i przerwała. Wiedziała, że nie powinna tego mówić. Wiedziała, że z tym będzie jeszcze ciężiej. - Nie mogę przestać myśleć... gdybym najpierw...

On także wiedział.

- Nie mów tego.

Nie mogła się jednak powstrzymać. Spojrzała mu w oczy.

- Gdybym najpierw spotkała ciebie...

Była zła na siebie za te ciche, smutne słowa, mimo że skłoniły go, żeby do niej podszedł. Położył dłonie na jej twarzy, obejmując jej policzki i przechylając lekko głowę. Mimo że położył usta na jej ustach w pocałunku, który pozbawił ją siły, woli, a w końcu zdolności myślenia.

Wsunął długie palce w jej włosy, trzymając ją mocno. Podniósł głowę i spojrzał jej w oczy, szepcząc jej imię, a potem znowu ją pocałował. Powtarzał to wciąż od nowa, szepcząc jej imię przy jej ustach, policzku, szyi.

Gdyby wcześniej wiedziała, że spotka kogoś takiego jak on. Małżeństwo z

miłości.

Istniało coś takiego. Miała dowód, tutaj, w swojej sypialni. W swoich ramionach. W myślach. Na zawsze.

Zacisnęła powieki, popłynęły łzy. Zlizywał je, szepcząc jej imię.

- Pippo... nie płacz, kochana... nie jestem tego wart... jestem niczym... Mylił się, rzecz jasna. Był wszystkim.

Wszystkim, czego nie mogła mieć.

Odsunęła się, przyciskając dłonie do jego piersi, ciesząc się jego ciepłem, jego siłą. Pełna miłości. Patrząc w jego szare oczy, szepnęła:

- Całe życie... dwa i dwa było cztery.

Kiwnął głową, poświęcając jej całą uwagę. Kochała go tym bardziej za to, że tak pilnie jej słuchał... że rozumiał.

- Ale teraz wszystko jest inaczej. - Pokręciła głową. - To już nie jest cztery. To jesteś ty. - Chciał ją znowu objąć, ale odsunęła się. - I żenisz się z inną - szepnęła

- a ja nie rozumiem. - Duża łza spłynęła jej po policzku. - Nie rozumiem... i nienawidzę tego.

Starł łzę kciukiem.

- Teraz moja kolej, żeby ci coś opowiedzieć - powiedział cicho. - Coś, czego nie opowiadałem nikomu.

Spojrzała mu w oczy, wiedząc, że powie coś, co wiele zmieni. Ale nie mogła spodziewać się tego, co usłyszała.

- Zabiłem brata.

Nigdy nie powiedział tego głośno, ale przy Pippie to się okazało łatwiejsze, niż sobie wyobrażał.

To, że powiedział, mogło uratować Pippę.

Musiała zrozumieć, dlaczego nie mogą być razem. Musiała się dowiedzieć, dlaczego tak bardzo do niej nie pasuje. Nawet jeśli tak bardzo jej pragnął dla siebie.

A żeby to osiągnąć, musiał jej pokazać to, co w nim najgorsze.

Znieruchomiła, wstrzymując oddech, czekając, żeby mówił dalej. Niemal się roześmiała, że nie przyszło mu do głowy, iż może nie wyrzucić go od razu z pokoju. Że nie przyszło mu do głowy, że może chcieć wyjaśnień.

Że może w niego wierzyć.

Tak niewielu wierzyło.

Ale oto była tutaj, czekała, żeby mówił, spokojna, poważna, uczona Pippa.

Chciała dowodów, żeby móc wyciągnąć wnioski. Doskonała Pippa.

Odwrócił się, jakby mógł się odwrócić od prawdy. Podszedł do drzwi, które zostawił otwarte i zamknął je cicho, zastanawiając się nad następnymi słowami.

- Zabiłem brata - powtórzył.

Inna kobieta zarzuciłaby go litanią pytań. Pippa po prostu patrzyła na niego swoimi niezwykłymi oczami, bez ochrony okularów. I to jej spojrzenie, spokojne, nieosądzające, skłoniło go do mówienia.

Odchylił się do tyłu, chłodna rama okienna przynosiła ulgę.

- Baine był doskonały - powiedział. - Był doskonałym synem, doskonałym dziedzicem, doskonałym bratem. Był honorowy i pełen godności, jak przystało na przyszłego hrabiego Harlow, bez cienia napuszości, jak u innych, utytułowanych. Był dobrym bratem i jeszcze lepszym dziedzicem.

Słowa przychodziły mu teraz łatwiej. Rozsunął dłonie, przyglądając się im.

- Ja, z drugiej strony, byłem doskonałym drugim synem. Kochałem występki i nienawidziłem odpowiedzialności. Świetnie sobie radziłem z wydawaniem

pieniędzy ojca i swojej pensji, i miałem dar do kart. Potrafiłem zamienić dziesięć funtów na tysiąc i korzystałem z każdej okazji, żeby to zrobić. Miałem mało czasu dla przyjaciół, jeszcze mniej dla rodziny - przerwał. - Nie przyszło mi do głowy, że mogę kiedyś żałować tego braku czasu.

Stała na tyle blisko, że mógł jej dotknąć, gdyby chciał, ale nie zrobił tego. Nie chciał, żeby była blisko chłopca, jakim kiedyś był. Nie powinien chcieć jej przy mężczyźnie, jakim się stał.

Patrzyła na niego uważnie i przez jedną, ulotną chwilę pozwolił sobie na nią spojrzeć, na jej rozpuszczone włosy i niebieskie oczy, mądre i pełne zrozumienia, na które nie zasługiwał.

Nie mógł sobie teraz wyobrazić, dlaczego kiedyś uważał ją za pospolitą, zwyczajną. Była niezwykła. Nie tylko urodą, ale także umysłem. Mądra i bystra, i tak cudownie inna niż wszyscy ludzie, jakich znał. Dwa i dwa to ty. W czyichś innych ustach to byłaby paplanina, ale u Pippy słowa te brzmiały uwodzicielsko.

Była wszystkim, czego pragnął.

Pragnął jej tak bardzo, że żałował, że nie jest kimś innym. Że nie jest kimś więcej. Kimś lepszym.

Żeby nie musiał opowiadać tej historii.

- To był początek pierwszego sezonu Lavinii. Dostała zaproszenie do Almacka i była uszczęśliwiona, pewna, że uznają ją za klejnot w towarzystwie.

- Jest piękna - powiedziała Pippa.

- W wieku osiemnastu lat była niezrównana. - Poczł drapanie w gardle na wspomnienie siostry o płomiennych włosach, flirtującej, roześmianej. - To był jej pierwszy wieczór w Almacku. Na królewskim dworze przedstawiono ją tydzień wcześniej.

Przerwał, zastanawiając się, co powiedzieć, ale Pippa włączyła się:

- Byłeś jej przyzwoitką. Zaśmiał się gorzko.

- Miałem być. Ale noc w Almacku to było to, na co najmniej miałem ochotę.

Nie znosiłem tego miejsca, nie chciałem mieć z nim nic wspólnego.

- Byłeś młody. Oczywiście, że tego nie znosiłeś. Podniósł głowę, napotykając jej wzrok.

- Jestem jej bratem. To był mój obowiązek. - Nie odpowiedziała. Mądrze z jej strony. Bystra dziewczyna. - Odmówiłem. Powiedziałem Baine'owi, że nie pójdę.

- Zamilkł, wspominając popołudnie, kiedy śmiejąc się, dokuczał starszemu bratu.

- To nie było, ostatecznie, moje zmartwienie. Nigdy nie miało być. Byłem kolejnym dzieckiem... drugim synem. Bez praw do dziedziczenia i dzięki Bogu za to.

Baine był wściekły... rzadko mu się to zdarzało, ale miał pewne plany... - urwał.

- Kobieta. Pewna grecka gwiazda operowa, która szukała nowego protektora...

Pippa skinęła głową.

- Rozumiem.

Nie rozumiała. Wcale.

„Będziesz musiał się z nią zobaczyć innej nocy”, powiedział Cross ze śmiechem. „Zapewniam cię, że parę godzin nie pomniejszy twoich atutów... jako przyszłego hrabiego także nie”.

„Nie dbam o twoje zapewnienia”, parsknął Baine. „Czy nie zapewniałeś siostry, że będziesz jej dzisiaj towarzyszyć?”

„Nikt się po mnie nie spodziewa, że dotrzymam słowa”, odparł.

Cross dotąd pamiętał wściekłość i rozczarowanie w oczach Baine'a.

„Co do tego masz rację”, powiedział.

- Klóćiliśmy się, ale ja wygrałem, nie miało dla mnie najmniejszego znaczenia, czy Lavinia ma przyzwoitkę, a ponieważ dla Baine'a to było istotne, zdecydował się pójść. Poszli na przyjęcie. Ja poszedłem do Knighta.

Otworzyła usta ze zdumienia.

- Do Knighta?

- Do Knighta, a potem... - Zawahał się, wiedząc, że to wszystko zmieni...

Wiedząc, że nie zdoła tego cofnąć. Wiedząc, że ona musi się dowiedzieć, że to ją uratuje. - A potem do śpiewaczki Baine'a.

Zamknęła oczy, a on znienawidził siebie znowu, teraz, po siedmiu latach. Teraz o jego zdradzie wiedziała także Pippa. Ale o to chodziło, czyż nie? Żeby ją odsunąć od Knighta - od siebie - i popchnąć w ramiona jej hrabiego?

Każde włókno jego ciała protestowało przeciwko temu, ale przez lata nauczył się nad nim panować i nie zamierzał się zatrzymać.

- Byłem w ramionach jego przyszłej kochanki, kiedy od powozu odpadło koło na zakręcie. - Mówił pewnym głosem, bez śladu emocji. - Baine, woźnica i jeden z lokajów zginęli na miejscu. Drugi lokaj umarł następnego dnia.

- Lavinia - powiedziała cicho Pippa.

- Lavinia została okaleczona, straciła nadzieję na wspaniałą przyszłość. -

Zacisnął pięści. - To moja wina. Gdybym tam był...

Ścisnęła mocno jego dłonie.

- Nie.

Pokręcił głową.

- Zabiłem go tak samo, jakbym przyłożył lufę do jego głowy i pociągnął za spust. Gdybym był w tym powozie, on by żył.

- A ty byłbyś martwy! - szepnęła chrypliwie, niebieskie oczy były pełne łez. - A

ty byłbyś martwy.

- Nie rozumiesz, Pippo... zasługiwałem na to. To ja byłem tym złym. Tym, który grzeszył. Tym, który uprawiał hazard, kłamał, oszukiwał i kradł. On był dobry, ona czysta, a ja byłem niczym. Piekło upomniało się o mnie tamtej nocy, sądząc, że będę w tym powozie. Znalazłszy tamtych, zamiast mnie, zabrało ich.

Zaprzeczyła.

- Nie, to nie była twoja wina. Boże, jak bardzo chciał jej uwierzyć.

- Nie przestałem nawet po wypadku. Chodziłem po kasynach... wygrywałem.

Chciałem utopić grzech, popełniając go wciąż na nowo. -Nigdy nikomu tego nie mówił. Nie wiedział, dlaczego jej to opowiada. Może po to, żeby wyjaśnić, kim jest. Dlaczego nie mógł z nią być. - Nie rozumiesz, Pippo... To powinienem być ja.

Łza ześlizgnęła się po jej policzku.

- Nie - szepnęła, rzucając się ku niemu, pozwalając, żeby ją objął ramionami, uniósł nad podłogę i przytulił mocno do siebie. - Nie - powtórzyła i smutek w jej głosie sprawił mu ból.

- Tak powiedział mój ojciec. Nienawidził mnie. - Chciała coś wtrącić, ale powstrzymał ją. - Nie. Tak było. A po wypadku nie mógł na mnie patrzeć. Tak jak matka. Nie wiedzieliśmy, czy Lavinia będzie żyć, czy umrze. Nogę miała złamaną w trzech miejscach, majaczyła w gorączce. Nie pozwalali mi się do niej zbliżyć. Przez tydzień matka się do mnie nie odzywała, a ojciec... - Zawahał się.

Wrócił ból tego wspomnienia. - Ojciec powtarzał wciąż te same cztery słowa.

Wciąż na nowo. To powinieneś być ty.

- Jasper - wyszeptała jego imię w mroku. - Był w żałobie. Nie myślał tak naprawdę. Nie mógł.

Zignorował te słowa i ból, jakim były przepojone.

- Nie mogli na mnie patrzeć, więc odszedłem. Spojrzał jej w oczy. Wyczytał w nich zrozumienie.

- Dokąd odszedłeś?

- W jedyne miejsce, o którym byłem w stanie pomyśleć. - Przerwał, wiedząc, że to najważniejsza część tej historii. Dobierał słowa.

Nie musiał przed nią kłamać. Już tam była.

- Do Knighta. Grałem cztery dni. Bez przerwy. Bez snu. Od stołów na dole szedłem do łóżka na górze. Szukałem zapomnienia w grze i kobietach. -

Nienawidził tej historii. Chłopca, jakim był. - Przysiągłem, że nie będę się oglądać za siebie.

- Orfeusz - powiedziała.

Uniósł lekko w uśmiechu kącik ust.

- Jesteś za mądra. Dla własnego dobra. Uśmiechnęła się.

- To pomaga, kiedy jestem z tobą.

To mu przypomniało, jak bardzo lubi tę kobietę. Jak nie powinien jej lubić.

- Orfeusz to odwrotna strona medalu. Z ziemi do piekła. Pełen bólu, grzechu, występku. Nie powinienem żyć, żeby teraz opowiadać tę historię.

- Ale jesteś. Kiwnął głową.

- Ja żyję, a Baine nie. Ja mam się dobrze, a Lavinia cierpi.

- To nie twoja wina. - Wsunęła się znowu w jego ramiona, powtarzając przy jego piersi: - To nie twoja wina.

Tak bardzo chciał jej wierzyć. Ale to nie była prawda.

- Ależ moja. - Trzymał ją mocno, wyznając swojej grzechy w jej jasne włosy. -

Zabiłem mojego brata. To jest krzyż, który noszę.

Znieruchomiła. Podniosła głowę. Jego wspaniała Pippa zrozumiała.

- Krzyż, który nosisz. - Wykrzywił usta w smutnym uśmiechu. - Dlatego przybrałeś to imię. Cross.

- Żeby pamiętać, skąd przyszedłem. Pamiętać o swoich grzechach.

- To nie do zniesienia. Puścił ją.

- Nie będziesz już z tym miała długo do czynienia, kochana.

Piękne niebieskie oczy zrobiły się wielkie i smutne, i teraz to on odczuł nienawiść... do tej nocy, całej tej sytuacji, do siebie. Zaklął.

- Nie mogłem ich uratować - wyznał. - Ale, do wszystkich diabłów... mogę uratować ciebie.

Odsunęła się gwałtownie.

- Uratować mnie?

- Knight wie, kim jesteś. Zrujnuje cię, jeśli go nie powstrzymam.

- W jaki sposób? - Spojrzał jej w oczy. Wiedziała. Słyszał to w jej głosie. - W jaki sposób?

- Żenię się z jego córką, on zachowuje twoje sekrety dla siebie. Zesztywniała w jego ramionach, ściągając brwi.

- Nie dbam o to, czy on wyjawia moje sekrety, czy nie.

Myliła się, rzecz jasna. Obchodziłoby ją, gdyby Knight opowiedział arystokratom, że byli razem. Gdyby to dotarło do Castletona. Zrujnowało jej małżeństwo, przyszłość i szczęście jej sióstr. Gdyby rodzice nie mogli patrzeć jej w oczy.

- Powinno cię to obchodzić. Masz życie przed sobą. Rodzinę. Hrabiego, który jest ci pisany. Nie wezmę twojej kompromitacji na swoje barki. Wraz z całą resztą.

Wyprostowała się na całą wysokość, nie przejmując się tym, że jest niekompletnie ubrana i nie widzi wyraźnie. To nie miało znaczenia. Była królową.

- Nie potrzebuję ratunku. Mam się doskonale bez tego. Jak na takiego skandalistę, uosobienie występku, coś za bardzo palisz się do tego, żeby brać na siebie odpowiedzialność.

- Jestem za ciebie odpowiedzialny. - Czyż tego nie rozumiała? - Stałem się za ciebie odpowiedzialny w chwili, kiedy weszłaś do mojego gabinetu.

Była jego od początku. Zmrużyła oczy.

- Nie szukałam opiekuna.

Ogarnęła go irytacja. Chwycił ją za ramiona.

- Cóż, nie masz wyboru. Spędziłem lata, żałując za grzechy, robiąc wszystko, żeby nie sprowadzić na ludzi więcej nieszczęścia. Nie pozwolę, żebyś miała z tym coś wspólnego. Nie chcę, żeby cię to zbrukało. - Mówił z rozpaczą... paniką, której nie mógł zaprzeczyć. - A niech to, Pippo. Muszę to zrobić. Nie rozumiesz?

- Nie. - Panika brzmiała także w jej głosie. Zdradzało ją to, jak zaciskała palce na jego ramionach. - A co ze mną? Co z moją odpowiedzialnością? Myślisz, że nie będzie mi ciężko, iż poślubiasz nieznaną sobie kobietę z powodu fałszywego poczucia honoru?

- Nie ma w tym nic fałszywego. To jest to, co ci mogę dać. - Przyciągnął ją blisko. Żałował, że nie na zawsze. - Nie rozumiesz, kochana? Uratować cię... to mój cel. Tak bardzo się starałem... - urwał.

- Staraleś się o co? - Nie odpowiadał. - Jasper?

Może to jego imię w jej ustach kazało mu powiedzieć prawdę... może to ciche pytanie - i jeszcze coś, co bał się nazwać - w jej niebieskich oczach, a może po

prostu jej obecność.

Ale jej powiedział.

- Zadośćuczynić. Gdyby nie ja... Baine by żył, a Lavinia byłaby zdrowa.

- Lavinia wybrała swoje życie - sprzeciwiła się Pippa. - Ma męża i dzieci...

- Męża, który ma długi u Knighta. Dzieci, które muszą dorastać w cieniu

bezużytecznego ojca. To małżeństwo, które zrodziło się ze strachu mojego ojca,

że nigdy się nie pozbędzie kalekiej córki.

Pokręciła głową.

- To nie twój grzech.

- Oczywiście, że mój! - wybuchnął, odsuwając się od niej. - To wszystko moje.

Spędziłem sześć lat, próbując to napisać na nowo, ale to moja przeszłość. Moje

diedzictwo. Dziewczęta w Aniele przychodzą do mnie... tak chciałem. Staram

się zapewnić im bezpieczeństwo. W momencie, kiedy chcą odejść... kiedy

wybierają dla siebie inne życie, pomagam im. Przychodzą do mnie, wyciągam je

z tego. Pomogłem dziesiątkom z nich... znalazłem dla nich miejsce, pracę, którą

mogą wykonywać, stojąc na nogach, zamiast leżąc na plecach. Majątki wiejskie,

gdzie są bezpieczne.

Dla siostry, której nie mogłem uratować, której życie zniszczył. Dla brata, któremu

odebrał życie, tak jakby sam rozwalił ten przeklęty powóz.

- To nie twoja wina - powtórzyła kolejny raz. - Nie mogłeś wiedzieć. Setki razy

mówił to sobie w myślach. Milion razy. Ale to mu nigdy

nie przynosiło ulgi.

- Gdyby Baine został hrabią... miałby dziedziców. Miałby synów. Prowadziłby

życie, na jakie zasługiwał.

- Życie, na które ty także zasługujesz.

Znowu zobaczył to życie w wyobraźni. Małe, jasnowłose dziewczynki w okularach i roześmiani chłopcy, polujący na żaby w skwarze lata w Devonshire.

Ich matka. Jego żona.

- Tu się mylisz. Nie zasługuję. Ukradłem je. Odebrałem mu je, kiedy byłem w ramionach jego kochanki.

Znieruchomiła.

- Jego kochanka. To dlatego mnie nie dotknąłeś. Nie pocałowałeś. Dlatego nie...

z innymi kobietami. - Skąd, do wszystkich diabłów, mogła to wiedzieć?

Odpowiedziała, zanim zdążył zadać to pytanie. - Dama przy stole karcianym... i panna Tasser... obie sugerowały, że...

A niech to.

- Więc to one. - To nie było pytanie.

Wbiła w niego to wszechwiedzące, błękitne spojrzenie.

- Czy to prawda?

Mógł skłamać. Połowę dekady spędził, przekonując Londyn, że nie zmienił hulaszczego trybu życia. Ze zajmują go tylko kobiety. Mógł skłamać, a ona nigdy nie odkryłaby prawdy.

Ale nie chciał jej okłamywać. Nie w tym.

- To już sześć lat.

- Od sześciu lat nie spałeś z kobietą? Milczał. To była prawda. Naciskała, szeroko otwierając oczy.

- Z żadną kobietą? Była zaszokowana.

- Z żadną.

- Ale... twoja reputacja. Jesteś legendarnym kochankiem! Schylił głowę.

- Mówiłem ci, żebyś nie wierzyła we wszystko, co mówią damy w salonach.

- Wybacz, ale jeśli dobrze pamiętam, zdjęłeś ze mnie ubranie bez pomocy rąk.

Zobaczył znowu jej obraz, jak siedzi na fotelu u niego w gabinecie. Obraz

bardziej upragniony niż chciałby przyznać.

- Szczęście.

- Nie wierzysz w szczęście.

Była niewiarygodna. Doskonała para dla niego.

- Przez sześć lat nie tknąłeś kobiety - powiedziała ze zdumieniem.

- Aż do dzisiaj.

- Dopiero mnie - szepnęła. Chciał jej znowu dotknąć.

- Przy tobie nie mogę się powstrzymać.

Jej uśmiech wyrażał głęboką kobiecą satysfakcję. Cross ponowił w duchu przysięgę, że jej nie tknie. Nawet teraz, kiedy należał do niej każdym ciałem swojego niegodnego ciała.

- A więc to twoja kara? Twoja pokuta? Celibat?

- Tak. - W jej ustach to brzmiało głupio. Przy Pippie Marbury celibat nie istniał.

Nie wtedy, kiedy było tak bardzo oczywiste, że istniała dla niego.

Kwadrans w alkowie w Aniele nie wystarczył. Całe życie by nie wystarczyło.

- Nie mogę. Nie z tobą, Pippo. Masz wyjść za mąż. Zawahała się, a potem szepnęła:

- Za innego. Zabolało.

- Tak. Za innego.

- A ty masz poślubić inną.

- Tak. - Najwyższa kara.

Podniosła rękę, kładąc miękką dłoń na jego policzku, nie mógł się oprzeć, żeby nie przykryć jej własną dłonią, zatrzymać jej dotyk.

- Jasper. - Jego imię w jej ustach poruszyło go, uwielbiał, jak je wymawiała.

Chciał je słyszeć raz po raz, do końca życia. Miałby szansę, gdyby był kimś innym.

Ale musiał ją zostawić.

Nie wolno mu było jej dotykać.

- Jasper - szepnęła znowu, wspinając się na bosc palce, obejmując go ramieniem za szyję i przytulając do niego swoje piękne ciało. Tylko kawałek płótna oddziela! jego rękę od jej miękkiej cudownej skóry.

Nie powinien.

Pragnął! jej każdym calem swojego ciała - wynik tego, że zbyt długo jej nie widział, po czym był z nią zbyt krótko. Chciał ją podnieść, rzucić na łóżko i wziąć... tylko raz.

Nigdy nie będzie dość.

- Jeśli naprawdę chcesz mnie uratować... - szepnęła z ustami niebezpiecznie blisko.

- Chcę. Boże dopomóż, nie mogę znieść myśli o tym... że coś złego ci się stanie.

- Ale zraniłeś mnie. Ranisz mnie nawet teraz. - Mówiła niskim, cichym głosem z kuszącą, przewrotną nutką, jakiej się nie spodziewał.

Objął ją w talii, ciesząc się ciepłem, jakie czuł przez cienką nocną koszulę.

- Powiedz mi, co mam zrobić, żeby to minęło - powiedział... znając odpowiedź.

- Pragnij mnie - odparła.

- Pragnę. - Pragnął jej, odkąd ją zobaczył. Jeszcze wcześniej. - Pragnę ciebie całej... twego umysłu, ciała i duszy. - Zawahał się. - Nigdy nie pragnąłem niczego bardziej.

Wsunęła palce w jego włosy.

- Dotknij mnie.

Nie mógł jej odmówić. Nie był w stanie nie obejrzeć się przez ramię. Jedno spojrzenie. Jedna noc.

To wszystko, co mógł mieć. Więcej niż kiedykolwiek zasłużył. Jedna noc i zostawi ją w jej doskonałym, idealnym świecie. Jedna noc i wróci do swojego piekła.

- Nie zrujnuję ci życia, Pippo. Nie dopuszczę, żebyś się skompromitowała.

Przycisnęła wargi do jego ust, jej miękka skóra doprowadzała go do szaleństwa.

Szepnęła cicho, tak że ledwie usłyszał:

- Kocham cię.

Teraz nie był już w stanie tego przerwać. Podniósł ją w ramionach, żeby dać im obojgu to, czego pragnęli. Co miało zmienić wszystko i zarazem nic. Wtuliła się w niego, całując jego twarz, rozpalając w nim ogień.

Nie powinna go kochać.

Nie był tego wart.

Nie był wart jej.

- Jesteś niezwykłym człowiekiem - szepnęła przy jego uchu. - Nic na to nie poradzę.

Jedna noc go zgubi.

Ale nie mógł jej się oprzeć. Jej wspaniałemu umysłowi. Jej pięknej twarzy.

Nie miał szans.

16.

Nie dotknął kobiety od sześciu lat. Opierał się im... póki jej nie spotkał. Aż do teraz.

Aż do tej chwili, kiedy podniósł ją z podłogi i zaniósł na łóżko, gdzie spała całe życie. Położył ją tam i przygniótł własnym ciężarem, obiecując rozkosz, jakiej

nie znała.

Przed ośmioma dniami zjawiła się w jego gabinecie, prosząc, żeby ją nauczył, co to znaczy deprawacja. Teraz, w końcu, miała otrzymać lekcję, o którą nieświadomie prosiła. Której rozpaczliwie pragnęła.

Pocałował ją, inaczej niż wcześniej tego wieczoru, ale równie oszałamiająco.

Leniwie, zmysłowo, sprawiając, że przywarła do niego, w jednej chwili uzależniona od przyjemności, którą tylko on mógł jej dać.

Westchnęła z zadowoleniem.

Podniósł głowę i spojrzał jej w oczy w świetle świec.

- Jesteś najniezwyklejszą kobietą, jaką znam - szepnął. - Sprawiasz, że chcę cię nauczyć wszelkich grzesznych nieprawości, jakie kiedykolwiek robiłem... o jakich śniłem.

Zamknęła oczy.

Musnął ustami jej policzek, szepcząc jej do ucha:

- Chciałabyś tego? Westchnęła na znak zgody, mówiąc:

- Pokój wiruje.

- Myślałem, że tylko ja to zauważyłem.

- Co jest tego powodem?

- Mój mały naukowcu... jeśli masz czas się nad tym zastanawiać, to znaczy, że nie staram się, jak należy.

A potem już ją przestało obchodzić, czy pokój wiruje, czy nie, bo ziemia wypadła z orbity, bo czuła na sobie jego wargi, bo dłońmi gładził jej nogi, unosząc jednocześnie lnianą koszulę. Nie pragnęła niczego bardziej, jak dotykać go wszędzie, gdzie się dało.

Jedna długa ręka wsunęła się pod nocną koszulę, obejmując jej pośladki. Uniósł

się i pogładził zgiętymi palcami jej udo, skłaniając ją, żeby rozsunęła nogi.

Usadowił się między nimi, a ona myślała tylko o tym, żeby znaleźć się jak najbliżej niego, dotykać go.

Oderwał od niej usta, szepcząc jej imię. Poruszył się raz i drugi, wywołując w niej fale rozkoszy. Znieruchomiał nad nią, uniosła powieki, patrząc w jego piękne, szare oczy. Oparł czoło na jej czole.

- Cii, kochana. Dam ci wszystko, czego chcesz... ale musisz być cicho... jeśli twój ojciec usłyszy... będziesz skompromitowana.

- Nie dbam o to - szepnęła. I tak było rzeczywiście. Kompromitacja była tego warta. Uwolniłaby się od Castletona i resztę życia spędziłaby z Crossem. W jego jaskini grzechu. W jego ramionach. Gdziekolwiek by zechciał.

On nigdy na to nie pozwoli.

Odsunęła od siebie tę praktyczną myśl. Dzisiaj, z nim, wszystko było możliwe. Jutro zmierzy się z resztą swojego życia. Ale dziś wieczór... dzisiejszy wieczór należał do niej. Do nich obojga.

Dziś wieczorem nie było miejsca na nic praktycznego.

- Pokaż mi wszystko. Wszystko, co wiesz. Co lubisz. Czego pragniesz.

Zamknął oczy, po jego twarzy przemknął wyraz, który mógł odzwierciedlać przyjemność albo ból. Uniosła się na łokciach, wtulając w niego.

Poruszyła się, pocierając o niego, sprawdzając, jak do siebie pasują. Syknął, otwierając oczy, wąskie szparki z płynnym ołowiem, lśniącym w blasku świec.

- Zapłacisz za to. Uśmiechnęła się.

- Nie możesz mnie winić za eksperymenty. Roześmiał się cicho.

- Nie mogę. Ostatecznie, bez tej szczególnej skłonności, nie bylibyśmy teraz tutaj. - Pocałował ją znowu, mocno, intensywnie. Kiedy obojgu zabrakło

powietrza, podniósł głowę. - Jakże inaczej mógłbym ci pomóc w badaniach, milady?

Długą chwilę przyglądała się jego pięknej twarzy. Zostań ze mną, chciała powiedzieć.

Pozwól mi zostać przy sobie.

Była jednak mądrzejsza. Zamiast tego podniosła ręce i rozsunęła klapy jego marynarki, kładąc dłonie na kamizelce.

- Sądzę, że z korzyścią dla moich badań byłoby, gdybyś się rozebrał. Uniósł rudą brew, nie ruszając się.

- Czy tak?

Uniosła brew w odpowiedzi. Uśmiechnął się, zsunął z niej i zrzucił marynarkę, kamizelkę i koszulę, po czym wrócił do łóżka.

- Czy to pomoże?

- W istocie, dobry panie - powiedziała, pozwalając, aby jej dłoń opadła na jego nagi tors, zadowolona, że znieruchomiał pod wpływem dotyku. - Pomaga. Ale nie jesteś nagi.

Pocałował ją w szyję, przesuając zębami po delikatnej skórze, aż zadrżała i westchnęła.

- Ani ty.

- Nigdy nie dałeś mi do zrozumienia, że chciałbyś tego. Podniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

- Nie łudź się, milady. Chciałbym cię widzieć nagą codziennie, w każdej chwili.

Otworzyła szeroko oczy.

- Czułabym się niezręcznie podczas podwieczorków i na balach. Błysnął białymi zębami. Podobał jej się jeszcze bardziej z tym szelmowskim uśmiechem.

- Żadnych podwieczorków. Balów. Tylko to.

Podniósł rękę dla podkreślenia tych słów, unosząc jednocześnie jej nocną koszulę i ciskając ją przez pokój, aż wylądowała na Trotuli, która parsknęła przestraszona. Oboje spojrzeli na psa i Pippa się roześmiała.

- Może powinnam ją odesłać?

Szare oczy spojrzały na nią z rozbawieniem. Jego uśmiech sprawiał jej przyjemność, jak żaden inny nigdy wcześniej.

- Może tak będzie najlepiej.

Zaprowadziła psa do drzwi, uchylając je lekko, tak tylko, żeby zwierzę mogło wyjść. Zamknąwszy drzwi, odwróciła się, chłonąc widok jego długiego, umięśnionego ciała na łóżku.

Czekał na nią.

Doskonałość.

Był doskonały, a ona stała przed nim naga, spowita blaskiem świec. Zmieszała się, nawet bardziej niż wtedy w jego gabinecie, kiedy dotykała swojego ciała według jego wskazówek. Przynajmniej miała wtedy na sobie gorset. I pończochy.

Tego wieczoru nie miała na sobie niczego. Składała się z samych wad, podkreślonych jeszcze jego doskonałością. Przyglądał jej się długą chwilę, po czym wyciągnął jedno długie ramię, dłonią do góry, w zaproszeniu, któremu nie mogła się oprzeć.

Podeszła do niego bez wahania. Przewrócił się na plecy, przyciągając ją do swojego pięknego, szczupłego torsu, patrząc na nią uważnie.

Zakryła piersi, ogarnięta nagłym niepokojem.

- Kiedy patrzysz na mnie w ten sposób... to za wiele. Nie odwrócił spojrzenia.

- Jak na ciebie patrzę?

- Nie wiem, co to jest... ale mam wrażenie, że możesz zajrzeć w głąb mojej duszy. Jakbyś, gdyby to było możliwe, mógł mnie pożreć.

- To pożądanie, kochana. Pożądanie, jakiego dotąd nie odczuwałem. Drzę od tego. Chodź tutaj. - Tego polecenia nie mogła nie posłuchać.

Kiedy podeszła na tyle blisko, żeby jej dotknąć, podniósł rękę i pogładził jej palce, tam, gdzie ukrywała piersi.

- Drzę z pożądania, Pippo. Proszę, kochana, pozwól mi się zobaczyć.

Nie mogła odmówić. Powoli zsunęła dłonie, kładąc je na jego piersi i rozkładając palce na ciemnych włosach na jego skórze. Te włosy skupiły jej uwagę - to, jak poruszały się wraz z mięśniami, jak zwęzły się w wąską linię na jego płaskim brzuchu.

Leżał nieruchomo, kiedy go dotykała, silny i doskonały.

- Jesteś taki piękny - szepnęła, gładząc jego rękę do nadgarstków. Zmrużył oczy.

- Jestem szczęśliwy, że wyrażasz aprobatę, pani. Uśmiechnęła się.

- Wyrażam, panie. Jesteś wyjątkowym okazem. - Białe zęby błysnęły znowu, a ona odzyskała odwagę, przesuwając znowu palcami po jego przedramionach, recytując z pamięci: *flexor digitorum superficialis, flexor capri radialis...*, wzdłuż ramion: *biceps brachii, tricipitis brachii...*, wzdłuż obojczyków, zachwycając się grą mięśni pod skórą: *deltoideus...* i po piersi: *subscapularis... pectoralis major...*

Znieruchomiła, przesuwając dłonie po krzywiźnie mięśnia. Jęknął, kiedy dotknęła jego sutków; była zachwycona swoją władzą. Lubił jej dotyk. Chciał go. Powtórzyła pieśczętę, tym razem kciukami.

Syknął z rozkoszy, jedną dłoń kładąc wewnątrz jej kolana, wywołując w niej

falę gorąca.

- Nie przestawaj, kochana. To najskuteczniejsza podnieta, jakiej doznałem. -

Pogładził wierzch jej kolana. - Powiedz mi... co to jest?

Wciągnęła głęboko powietrze.

- *Vastus medialis*.

- Mmm. - Palce przesunęły się wyżej. - A tutaj? Zadrżała.

- *Rectus femoris*.

Palce przeszły na wewnętrzną stronę uda.

- Mądra dziewczyna... a tutaj?

- *Adductor longus*... Jeszcze wyżej.

- A tutaj?

- *Gracilis*...

Poruszała się, ledwie oddychając, rozsuwając nogi, a on nagradzał ją, przesuwając dłonią wyżej, delikatnie gładząc.

- A tutaj, kochana? Co to jest?

Pokręciła głową, rozpaczliwie pragnąc więcej. Walczyła ze słowami.

- To nie jest mięsień.

Lekko zwiększył intensywność dotyku. Dość, żeby doprowadzić ją do szaleństwa.

- Nie?

- Nie. - Westchnęła.

Odsunął dłoń, pozostawiając ból.

- Rozumiem. Chwyliła go za rękę.

- Nie przestawaj.

Roześmiał się i pocałował ją z pasją, aż się całkiem w tym pocałunku zagubiła.

Dopiero wtedy, kiedy znowu przycisnęła się do niego, dysząc ciężko, niemal oszalała z pożądania, dał jej to, czego chciała.

To nadchodziło znowu, ta tajemnicza, grzeszna rozkosz, którą jej przedtem pokazał... chciała jej w jego ramionach. Z nim.

- Nie. - Chwyciła jego dłoń, powstrzymując ruchy. - Nie... nie bez ciebie.

Jego wzrok złagodniał.

- Kochana Pippo... Pragnę cię bardziej, niż możesz sobie wyobrazić... ale nie mogę cię posiadać. Nie mogę cię zrujnować. Nie zrobię tego.

- Nie dbam o to - rzuciła niecierpliwie. - Chcę tego. Pokręcił głową.

- Nie będziesz tego chciała. Nie jutro. Nie, kiedy uświadomisz sobie, co zrobiłaś.

Uniosła się nad nim i pocałowała go miękko w pierś, zachwycona cichym pomrukiem, jaki ta pieszczota wywołała.

- Nie będę żałować. Chcę tego - szepnęła we włosy na jego piersi. - Jeśli nie możemy mieć... - siebie nawzajem. Nie powiedziała tego. - Chcę tego wieczoru. -

Podniosła głowę, pełna pożądania i miłości. - Proszę... -Przesunęła dłońmi wzdłuż pasma włosów do paska jego spodni. - Proszę, Jasper.

Zamknął oczy, mięśnie na jego szyi napięły się.

- Pippo. Próbuję postępować, jak należy. Z honorem.

Te słowa ją oświeciły. Kiedyś ją oskarżył, że żyje w czarno-białym świecie, że wszystko dla niej jest albo prawdą, albo kłamstwem. W tej chwili jednak zrozumiała, co to jest szarość. Zrozumiała, że jego prawość jest czymś bardzo niewłaściwym. Ze honor nie przyniesie pociechy żadnemu z nich.

Jutro będzie mógł działać zgodnie z honorem.

Jutro znowu wszystko będzie dobre i złe. Góra i dół. Prawda i kłamstwo.

Ale tej nocy wszystko było inaczej.

Pochyliła się, wtulając nagą pierś w jego ciało. Pocałowała go namiętnie, tak jak ją nauczył, nie pozwalając mu się odsunąć. Nie pozwalając myśleć o honorze.

- To jest właściwe, Jasper. Jedna noc z tobą. Moja pierwsza noc... moja jedyna noc. Proszę.

Czuła, że on walczy ze sobą, i kochała go za to jeszcze bardziej.

- Będiesz tego żałować. Z twoim wstrętem do nieuczciwości. Nie będzie. Tego była absolutnie pewna.

- Nigdy nie będę tego żałować. Żałować, że byłam z tobą. Wtedy uświadomiła sobie, że to prawda. Że do końca jej dni, czy będzie żoną Castletona, czy skompromitowaną starą panną, ta noc pozostanie w jej wspomnieniach najcudowniejszą nocą jej życia. Będzie się nią cieszyć zawsze.

Nie pozwoli sobie tego odebrać.

- To także twoja pierwsza noc... pierwsza od sześciu lat. - Jego oczy pociemniały. Widziała w nich pokusę i pożądanie. - Niech to będę ja, Jasper.

Niech będzie moja. Proszę.

- Próbowałem ci się opierać od początku. Przegrywałem za każdym razem.

- Niech ci się teraz nie uda - szepnęła błagalnie. - Nie zniosę tego.

- Nie miałem żadnych szans - odparł, pociągając ją na siebie, aż objęła go udami w pasie. - Skompromituję cię, Pippo. Pokażę ci rozkosz, jakiej nie znasz, o jakiej nie śniłaś. Wciąż od nowa, aż będziesz błagać, żebym przestał.

Ludzkie ciało to zaiste coś wspaniałego.

Chciała go widzieć całego. Czuć go. Być z nim w każdy możliwy sposób. Nie wiedziała jednak, jaki protokół obowiązuje w tej szczególnej sytuacji. Dotarłszy

do guzika przy jego spodniach, spojrzała w jego półprzysłone oczy.

- Czy mogę...?

Wypuścił z płuc powietrze, śmiejąc się.

- Chciałbym.

Odpięła spodnie najszybciej, jak potrafiła. Zbyt wolno.

- Pierwszy raz, kiedy cię zobaczyłem... w moim biurze... chciałem, żeby twoje palce mnie dotykały. Nie mogłem przestać na nie patrzeć. Miałem obsesję na ich punkcie.

Czytała pożądanie w jego oczach.

- Są krzywe. Pocałował ją gwałtownie.

- Są doskonałe. Dzięki nim czuję się jak w niebie. Patrząc na niego z góry, powiedziała;

- Proszę... Zmrużył oczy.

- Prosisz o co, kochana?

Powinna czuć zakłopotanie, ale tak bardzo go pragnęła.

- Proszę... weź mnie. Zaklął cicho.

- Nie mogę czekać ani chwili dłużej.

Sądziła, że wsunie ją pod siebie, i poruszyła się, żeby ułatwić zmianę pozycji, ale powstrzymał ją, unosząc do góry. Zmieszana, spojrzała mu w oczy.

- Czy nie powinniśmy...

- Nie.

Nie miała doświadczenia, ale znała mechanizm aktu. Położyła dłonie na jego piersi, czując, jak bije mu serce.

- Jesteś pewien? Nigdy o tym nie czytałam. To jest, o ile dobrze rozumiem, powinnam być pod spodem...

- Które z nas robiło to wcześniej?

- Cóż, minęło trochę czasu - zauważyła. Zaśmiał się cicho.

- Zaufaj mi, moja mądra pani. Pamiętam podstawy. Wsunął się w nią powoli, ostrożnie. Spojrzał na nią z troską.

- Pippo, czy to boli, kochana? Czy mamy przerwać?

Zabiłaby go, gdyby przestał. To była najbardziej niezwykła rzecz, jakiej doznała. Strach, pytania, obawy, które dotyczyły tego aktu, tej chwili... były nieuzasadnione. Zrozumiała teraz westchnienia i rumieńce, i znaczące uśmiechy, jakie widziała u sióstr, u kobiet w Londynie. Chciała tego... do końca.

- Nie śmieję przerywać - szepnęła. - To jest niezwykle.

Uniosła się lekko, a z jego ust wydarło się chrapliwe przekleństwo.

- Jest, nieprawdaż? Ty jesteś niezwykła - dodał. Jego ręce kierowały nią, unosząc i pozwalając opaść. - Pippo... to jest... ty jesteś... - Uniósł ją znowu, oboje jęknęli, kiedy rozkosz zastąpiła ból. - Czy wszystko w porządku, kochana?

Kochała go za to, że dbał o jej wygodę, o jej przyjemność. Uniosła się, eksperymentując, powtarzając ruch samodzielnie, z rękami na jego piersi.

- Tak, to jest doskonałe... cudowne. Kierował nią, szepcząc wskazówki.

- Tak, kochana... nie rób niczego, co ci się nie wydaje właściwe. Co nie budzi pożądania, potrzeby. Znajdź swoją rozkosz, cudowna dziewczyno...

Był nieodparcie uwodzicielski w tym, jak się do niej zwracał, jak się poruszał, jak na nią patrzył.

Nie mogła powstrzymać słów, choć wiedziała, że nie powinna tego mówić.

- Kocham cię - szepnęła, patrząc na niego z góry, pełna zachwytu, czując się jak królowa, jak nigdy przedtem.

Czując, że nareszcie, nareszcie, wszystko jest tak, jak powinno. Nawet jeśli

robiła najbardziej niewłaściwą rzecz w życiu.

- Kocham cię - szepnęła znowu.

To wyznanie wydawało się pozbawić go resztek panowania nad sobą.

- Pippa! - krzyknął. Jej imię w jego ustach posłało ją w ocean rozkoszy. Tym razem był tam razem z nią, silny i pewny.

Doskonałość.

Opadła na jego pierś, objął ją ramionami, przyciągając mocno.

- Pippa - szepnął przy jej skroni; jego serce biło gwałtownie pod jej uchem. - Philippa.

Zachwyt w jego głosie sprawił jej ból, czuła, jak się odsuwa, choć pozostał jej bliski, jak nikt inny. Ważniejszy niż ktokolwiek inny. Kochała go. A on żenił się z inną. Z jej powodu.

Nie mogła na to pozwolić. Musiał być jakiś sposób. Rozwiązanie, które uszczęśliwi ich oboje. Zamknęła oczy, ciesząc się ciepłem jego piersi na policzku, i przez jedną, krótką chwilę wyobraziła sobie, jakby to było doświadczać szczęścia u jego boku. Być jego żoną. Jego kobietą. Partnerką. Jego miłością.

To tajemnicze uczucie nie było już mitem, nie budziło więcej wątpliwości. Było prawdziwe i kryło w sobie moc, o jakiej Pippie się nie śniło. Której nie mogła zaprzeczyć.

Szeptał przy jej włosach słowa będące bardziej oddechem niż dźwiękiem.

- Jesteś taka niezwykła. Mógłbym tak leżeć do końca świata, z tobą w ramionach, nie przejmując się niczym. Tęsknię za tobą, kochana... nawet teraz.

Wyobrażam sobie, że będę tęsknić za tobą zawsze.

Podniosła głowę, napotykając jego ołowiane spojrzenie.

- Nie musisz. Odwrócił wzrok.

- Muszę. Jesteś dla mnie taka ważna. Mogę cię uratować. Mogę zapewnić, że będziesz szczęśliwa. I zrobię to. I to wystarczy.

Nienawidziła tego, co powiedział.

- Wystarczy dla kogo?

Coś błysnęło w jego oczach. Ból? Żal?

- Wystarczy dla nas obojga.

Nie wystarczy jednak. Nie dla niej. Wiedziała o tym bez cienia wątpliwości.

- Nie - szepnęła. - Nie wystarczy.

Pogładził jej nagie plecy, wywołując w niej dreszcz.

- Musi.

- Nie musisz się z nią żenić - powiedziała cicho, słysząc błaganie w swoim głosie. To było nie do zniesienia.

- Ależ muszę, kochana - odparł cicho, stanowczo. - Będziesz zrujnowana, jeśli tego nie zrobię. A ja do tego nie dopuszczę.

- Nie dbam o to. Mógłbyś poślubić mnie. Jeśli mogę wybrać hrabiego, za którego chcę wyjść za mąż, to...

- Nie. - Próbował jej przerwać. Nie pozwoliła na to.

- ...wybieram ciebie - dokończyła łamiącym się głosem. Trzymał ją mocno, całując w skroń, szepcząc jej imię.

- Nie. Nie wybierasz mnie.

- Dlaczego nie?

- Bo wybrałaś Castletona. To była i prawda, i kłamstwo.

- Tak jak ty wybierasz córkę Knighta? Nawet teraz, kiedy tu ze mną leżysz? Jego dłonie znieruchomiały.

- Tak.

- Ale jej nie znasz.

- Nie.

- Nie kochasz jej.

- Nie.

Czy kochasz mnie?

Nie mogła go o to zapytać. Nie mogłaby znieść odpowiedzi. Wydawało się jednak, że usłyszał pytanie. Dłonią objął jej twarz i uniósł, żeby spojrzała mu w oczy, żeby mógł ją pocałować. Wyobraziła sobie, że to oznacza: tak.

Odwrócił ją na plecy i kochał jej umysł, duszę i ciało, poruszając się ze spokojną pewnością, patrząc jej w oczy. Całował jej piersi i szyję, szepcząc jej imię w długiej, miłosnej litanii.

Nie było w tym nic brutalnego. Nic zwierzęcego.

Trwało to, jak się wydawało, godziny, dni, wieczność. Uczył się jej, dotykał i badał, całował i pieścił. A kiedy krzyczała z rozkoszy, zakrył jej usta swoimi, samemu doznając ekstazy, a potem znowu szeptał jej imię, raz za razem, aż przestała słyszeć słowo, słyszała tylko to, co oznaczało.

Pożegnanie.

Leżeli razem długie minuty, aż wyrównały się ich oddechy i wróciła rzeczywistość, której nie dało się zaprzeczyć, wraz ze świtem, który zaznaczył się za oknem czerwonymi pasmami na czarnym niebie.

Ucałował jej włosy.

- Powinnaś spać.

- Nie chcę spać. Nie chcę, żeby to się skończyło. Nie chcę, żebyś odszedł.

Nigdy.

Nie odpowiedział, tylko objął ją mocno ramionami, aż zatraciły się granice między ich ciałami i złączyli się w jednym oddechu.

- Nie chcę spać - powtórzyła sennym głosem. - Nie pozwól mi zasnąć. Jedna noc to za mało.

- Cicho, kochana - powiedział, głaszcząc jej plecy szeroką dłonią. - Jestem tutaj. Jesteś bezpieczna.

Powiedz, że mnie kochasz, prosiła w duchu, wiedząc, że tego nie zrobi, ale pragnąc tego desperacko.

Chcąc mieć - jeśli nie jego, to przynajmniej jego serce.

Mieć jego serce. Jakby mógł wyrwać organ z piersi i dać jej na przechowanie.

Oczywiście, nie mógł.

Nawet jeśli miała wrażenie, że ona sama właśnie to zrobiła. Nawet jeśli wiedziała, że nie było z nim bezpieczne. Nie mogło być.

Czekał długo, aż zasnęła, zanim się znowu odezwał. - Jedna noc to wszystko, co mamy. Kiedy się obudziła, już go nie było.

17.

Jest pora na eksperymenty, które dają niespodziewane, nieprzewidywalne wyniki, i jest pora na takie, które prowadzi świadomie ręka naukowca.

Cross Jasper Wielki człowiek powiedział mi kiedyś, że nie ma czegoś takiego, jak przypadek. Zrozumiawszy jego sposób myślenia, stwierdzam, że nie mam ochoty pozostawić moich planów przypadkowi.

Ani życia.

Dziennik naukowy lady Philippy Marbury

2 kwietnia 1831; trzy dni przed jej ślubem

Dwa dni później Pippa wraz z Trotulą przemaszerowały milę do ładnej

rezydencji Castletona przy Berkeley Square, jakby to była rzecz najzupełniej zwyczajna dla kobiety zjawiać się na progu domu narzeczonego jedynie z psem w charakterze przyzwoitki.

Nie zwracała uwagi na ciekawskie spojrzenia na ulicy i na zaskoczoną minę lokaja, kiedy otworzył drzwi, a Trotula wpadła do holu, zanim jeszcze Pippa zdążyła się zaanonsować. W ciągu kilku chwil obie z psem znalazły się w przytulnym, żółtym salonie.

Pippa podeszła do okien i wyjrzała na plac, przyglądając się fasadom świetnych rezydencji w otoczeniu starannie wypielęgnowanych trawników i wyobrażając sobie swoje życie tutaj jako hrabiny Castleton. Każdą z rezydencji zajmował któryś z najważniejszych przedstawicieli arystokracji. Obok, na Boga, mieszkała lady Jersey.

Pippa nie mogła sobie wyobrazić, żeby patronka klubu Almacka znalazła czas czy miała ochotę odwiedzić nową sąsiadkę albo wspomagać ją w jej dziwnych zajęciach. W tym ogromnym, zadbanym domu nie byto miejsca na zainteresowanie anatomią czy ogrodnictwem.

Wicehrabina Tottenham przejechała obok, dumna jak zwykle, z głową wysoko uniesioną, jak przystało na matkę jednego z najpotężniejszych ludzi w Brytanii, przyszłego premiera, który za trzy dni miał poślubić OHwię, faworytkę wśród sióstr Marbury.

Pippie przyszło do głowy, że ten pokój, jasny i pięknie umeblowany, na jednym z najdroższych placów w Londynie, to idealne miejsce dla Olivii i że to się dobrze składa, bo Olivia wkrótce miała podjąć takie życie. Na szczęście dla siebie.

Ale Pippa nie znalazła tutaj niczego, co czyniłoby z tego miejsca idealny dom

dla niej.

A w jego panu niczego, co czyniłoby go dla niej idealnym mężem.

Niczego, co by ją pociągało.

Nie było tutaj Crossa.

Nie, Cross, jak się wydawało, spędzał życie w zagraconym gabinecie w kasynie, w otoczeniu papierów, dziwnego zamętu, globusów, liczydeł, niepokojących obrazów olejnych i takiej liczby książek, jakiej nigdy nie widziała w jednym pokoju. Ledwie można było się tam poruszać, a jednak czuła się tam wygodniej niż tutaj...

Z rozkoszą zamieszkałaby z nim w jego gabinecie.

Pies usiadł, wzdychając i zwracając na siebie uwagę Pippy. Podrapała spanielkę za uchem, a pies w podzięcie pomachał lekko ogonem.

Wyobraziła sobie, że Trotula też miałaby tam z nim mieszkać.

Tyle że nie zostały zaproszone.

Znikł z jej łóżka w noc Pandemonium, po tym, jak wziął jej ciało i duszę, i sprawił, że pokochała go jeszcze mocniej, rozpaczliwiej. Przez dwa dni czekała, żeby wrócił. Przez dwie noce, leżąc w łóżku, drżała przy każdym hałasie, pewna, że znowu wespnie się po murze i przyjdzie do niej. Nie zostawiłby jej przecież.

Z pewnością zmieni zdanie.

Nie zmienił.

Zostawi! ją, żeby myślała o przyszłości. O własnych wyborach. Własnym sercu.

Pozwolił jej uświadomić sobie z całą jasnością, że to nie ona potrzebuje ratunku.

- Dwie piękne damy! - radosny okrzyk Castletona wyrwał ją z zamyślenia.

Odwróciła się do swojego uśmiechniętego, przystojnego na rzezonego, podczas gdy Trotula pobiegła do niego, nisko przy ziemi, domagając się pieszczot.

Trudno było przebywać z Castletonem i nie uśmiechać się. Był człowiekiem miłym i dobrym. Dość przystojnym, bardzo bogatym, utytułowanym. Marzenie arystokratycznej matki. W istocie, młoda kobieta niewiele więcej mogła żądać. Poza miłością.

I nagle to dziwne, wymykające się opisom słowo nabrało ogromnego znaczenia. Większego niż cokolwiek innego.

Jak stała się taka sentymentalna? Ona, która nigdy nie wierzyła w uczucia... ona, która zawsze myślała, że ulotne jest mniej wartościowe, mniej prawdziwe niż to, co realne... która zawsze ignorowała sentymenty. Jak to się stało, że była tu teraz, w salonie domu, który miał być jej przyszłym domem, z mężczyzną, który miał zostać jej mężem, i myślała o miłości?

Cross ją zmienił.

Nawet nie próbując.

- Milordzie - powiedziała, idąc przez pokój, żeby się z nim przywitać. -

Przepraszam, że przyszłam bez zapowiedzi.

Spojrzał na nią stamtąd, gdzie kucnął przy Trotuli.

- Nie potrzeba zapowiedzi - powiedział. - Ostatecznie, za niecały tydzień to będzie twój dom i w ogóle nie będzie żadnych zapowiedzi! -przerwał. - Chociaż, jak sądzę, jest zapowiedź: zaręczyny!

Na to czekała.

Zastanawiała się nad różnymi sposobami podjęcia tej rozmowy. Uprzejmy, dyplomatyczny, wymijający. Ale jako Philippa Marbury zdecydowała się na

uczciwy.

- Milordzie, nie mogę cię poślubić.

Jego dłonie nie przestały głaskać sierści Trotuli i przez chwilę myślała, że może jej nie usłyszał. Po kilku długich chwilach wstał i zakołysał się na piętach, wsuwając dłonie w kieszenie kamizelki.

Wydawało się, że stali tak przez stulecie. Pippa nie chciała niczego ukrywać przed tym miłym człowiekiem, który starał się o nią nawet wtedy, kiedy mógł mieć lepszą partię. Normalniejszą. Dobrym człowiekiem, który zalecał się do najdziwniejszej kobiety w Londynie.

- Przykro mi - dodała.

- Myślisz, że nie tworzymy dobrej pary - powiedział.

- Myślę, że stworzylibyśmy bardzo dobrą parę - odparła - ale wszystko stanęło na głowie.

Uniósł brwi.

- Na głowie?

Wciągnęła głęboko powietrze.

- Myślałam, że mogłabym... - urwała. - Myślałam, że będę... Myślałam, że po prostu mogę naukowo zgłębić małżeństwo. Rozłożyć przyjemność na czynniki pierwsze. Myślałam, że nie poniosę konsekwencji.

- Czy potrzebujesz więcej czasu? Żeby się nad tym zastanowić? Nie musimy brać ślubu tak szybko.

Miała ponad rok. Przyglądała się Castletonowi z każdej możliwej strony.

Planowała z nim życie. Była przygotowana. I w ciągu jednego tygodnia...

jednego dnia... minuty, jak się wydawało... wszystko się zmieniło.

Pokręciła głową.

- Nie potrzebuję więcej czasu. Skinął głową.

- Rozumiem.

Mogłaby się założyć, że nic nie rozumiał.

- Myślę, że moglibyśmy nauczyć się kochać nawzajem - mówił dalej. - Myślę, że mógłbym się nauczyć cię kochać.

To były dobre słowa. Dobry człowiek.

Przedtem to wystarczało. On wystarczał. Nawet więcej. Chciał być jej

partnerem, pozwolić jej żyć życiem, jakiego pragnęła. Dać jej małżeństwo.

Dzieci. Bezpieczeństwo. To wszystko, czego mogła się domagać młoda kobieta w roku 1831.

Przedtem.

Zanim uznała, że domaga się czegoś więcej. Spojrzała w jego ciepłe, brązowe oczy.

- Na nieszczęście, ja nie mogę się nauczyć kochać ciebie. - Otworzył szeroko oczy i uświadomiła sobie, że zraniła go nieprzemyślanymi słowami. Próbowwała to naprawić. - Nie. Nie zrozum mnie źle. Tylko że...

Nie wiedziała, co powiedzieć. Jak to naprawić. Urwała, niezadowolona z siebie, z tego, jakie uczucia budził w niej ostatnio cały męski gatunek.

I powiedziała prawdę. Znowu.

- Przykro mi. - I tak było. - Ale przysięga... Nie mogę jej złożyć. Nie tobie.

Uniósł brwi.

- Przysięga?

Głupia ceremonia. Od której się wszystko zaczęło.

- Posłuszeństwo i oddanie, honor, w zdrowiu i w chorobie... to wszystko, jak sądzę, mogłabym zrobić.

W jego brązowych oczach błysnęło zrozumienie.

- To by się dało zrobić. - Uśmiechnął się leciutko. - Rozumiem, że fragment o miłości stanowi problem?

- Opuścić wszystkich innych - powiedziała. Nie mogła wszystkich opuścić. Nie była pewna, czy mogłaby kiedyś opuścić tego jedyne, który był dla niej ważny.

Odetchnęła głęboko, pokonując ściskanie w piersi. - Milordzie, obawiam się, że się zakochałam, przypadkowo i nie całkiem szczęśliwie. W innym.

Jego twarz zmiękła.

- Rozumiem. To wszystko zmienia.

- Tak - zgodziła się, zanim zmieniła zdanie. Tylko że niezupełnie. On... - przerwała. Żeni się z inną. - ...To uczucie nie jest odwzajemnione.

Castleton zmarszczył brwi.

- Jak to możliwe?

- Nie powinieneś tak mnie bronić. Ostatecznie, właśnie przed chwilą zerwałam nasze zaręczyny. Powinieneś mocno mnie teraz nie lubić.

- Ależ ja nie czuję do ciebie niechęci. I nie będę. Takie jest ryzyko we współczesnym świecie. - Pogłaskał Trotulę, która oparła się o jego nogę. - Gdyby tak małżeństwa były wciąż aranżowane przy urodzeniu.

Uśmiechnęła się.

- Opłakujemy przeszłość.

- Podobałoby mi się w średniowieczu - oznajmił radośnie. - A ty byłabyś doskonałą panią zamku. Otoczona psami. Na koniu z mieczem u pasa.

Roześmiała się.

- Dziękuję, ale ciekawa jestem, czy pani na zamku byłaby równie ślepa jak ja.

Wskazał na sofę.

- Chciałabyś usiąść? Czy mam kazać coś podać? - Przerwał, zastanawiając się

najwidoczniej, co się podaje w takiej sytuacji byłej narzeczonej. - Herbatę?

Lemoniadę?

Usiadła.

- Nie, dziękuję.

Spojrzał przez pokój na kryształową karafkę.

- Szkocką?

Powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem.

- Nie sądzę, żebyśmy pili szkocką przed jedenastą rano.

- Nikomu nie powiem. - Zawahał się. - Mógłbym ci towarzyszyć.

- W żadnym razie, milordzie, nie chciałabym ci przeszkadzać w tym, żebyś się napił.

Nalał sobie bursztynowego napoju do kieliszka i siadł obok niej.

- Nasze matki będą poruszone, kiedy się dowiedzą.

Skinęła głową, uświadamiając sobie, że pierwszy raz rozmawiają o czymś poważnym. O czymś innym niż psy, pogoda i majątki na wsi.

- Przypuszczam, że moja bardziej niż twoja.

- Będziesz skompromitowana. Kiwnęła głową.

- Brałam to pod uwagę.

Reputacja nigdy nie była dla niej czymś istotnym. Dla dziewczyny, która uchodziła za dziwaczkę, niewiele mającą wspólnego z rówieśnikami i ze swoją płcią, reputacja nie przedstawiała wielkiej wartości. Nie zjednywała jej przyjaciół, zaproszeń czy szacunku.

Więc teraz nie stała na pierwszym miejscu.

- Lady Philippo - odezwał się po długiej chwili milczenia - ...jeśli jesteś... to

jest... jeśli potrzebujesz... eee...

Przyglądała mu się uważnie; widziała, jak się czerwieni, mocując ze słowami.

- Milordzie? - zapytała, kiedy wydawało się, że zamilkł na dobre. Odchrząknął.

Spróbował znowu.

- Jeśli jesteś w trudnej sytuacji - wydusił z siebie, machając ręką gdzieś w kierunku jej brzucha.

O mój Boże.

- Nie jestem.

Przypuszczała, że może być, ale ten most miała zamiar przejść później, jeśli zajdzie potrzeba. Bez Castletona. Wydawało się, że odetchnął z głęboką ulgą.

- Cieszę się, że tak jest.

Potem, kiedy oboje doszli do siebie po tej wymianie zdań, dodał:

- Wiesz, i tak bym się z tobą ożenił. Spojrzała mu w oczy, zdziwiona.

- Doprawdy? Skinął głową.

- Tak.

Nie mogła powstrzymać ciekawości.

- Dlaczego?

- Większość ludzi uważa mnie za głupca. Nie udawała, że nie rozumie.

- Większość ludzi to głupcy - zauważyła, czując nagle potrzebę, żeby bronić tego człowieka, który powinien wyrzucić ją z domu z pogardą, a zamiast tego ofiarował poczęstunek i rozmowę.

Przechylił głowę.

- Większość ludzi uważa, że jesteś dziwna. Uśmiechnęła się.

- Co do tego większość ludzi ma rację.

- Wiesz, kiedyś też tak myślałem. Jesteś mądra, interesujesz się zwierzętami i

dziwnymi kwiatami, i zawsze ciekawiły cię bardziej plony w mojej posiadłości niż wygody mojej miejskiej rezydencji. Nigdy nie spotkałem takiej kobiety jak ty. Ale nawet jeśli wiedziałem, że jesteś ode mnie inteligentniejsza, nawet jeśli ty wiedziałaś, że przewyższasz mnie inteligencją... nigdy tego nie okazywałaś.

Nigdy nie okazałaś, że uważasz mnie za prostaka. Zawsze robiłaś wszystko, żeby mi uświadomić, co mamy wspólnego. Oboje wolimy wieś. Oboje lubimy zwierzęta. - Wzruszył lekko ramieniem. - Byłem szczęśliwy, myśląc, że pewnego dnia zostaniesz moją żoną.

- Nie uważam cię za prostaka. - Chciała, żeby o tym wiedział. Żeby zrozumiał, że chaos, jaki wywołała, nie ma z nim nic wspólnego. Niczego mu nie brakowało.

- Myślę, że kogoś naprawdę uszczęśliwisz.

- Ale nie ciebie - stwierdził po prostu. Pokręciła głową.

- Nie mnie.

Był czas, kiedy mogłeś. Tak było. Mogła być szczęśliwa, żyjąc w wiejskiej idylli, rozmawiając o wielkości plonów i hodowli zwierząt, wymieniając doświadczenia z kobietami i mężczyznami zamieszkującymi ziemie Castletona.

Był czas, kiedy mogłam się tobą zadowolić.

- Jeśli zmienisz zdanie... - powiedział. - Jeśli obudzisz się w niedzielę rano i zapragniesz wyjść za mąż... będę gotowy - oświadczył wspaniałomyślnie.

Zasługiwał na miłość.

Skinęła poważnie głową.

- Dziękuję, hrabio. Odchrząknął.

- Co dalej?

To pytanie zadawała sobie codziennie, w każdej chwili, od momentu, kiedy

Cross ją zostawił śpiącą, w łóżku, po tym, jak sprawił, że jej małżeństwo z

Castletonem stało się niemożliwe. Po tym, jak już nie mogła kochać nikogo

innego, tylko jego... bardziej niż potrafiła sobie kiedyś wyobrazić.

Co dalej?

Co się teraz zdarzy?

Podeszła do tego problemu tak samo, jak do każdego innego w swoim dotychczasowym życiu. Rozważyła go ze wszystkich stron, postawiła pytania, zastanowiła się nad możliwymi rozwiązaniami. I w końcu doszła do wniosku - jedyne, który mógł prowadzić do takiego rozwiązania, jakiego pragnęła. Całą sobą.

Tak więc tego ranka wstała wcześniej, ubrała się i udała na Berkeley Square.

Zapukała, odbyła spotkanie z narzeczoną - który wykazywał, jak się wydawało, więcej inteligencji niż mu przypisywał ktokolwiek w Brytanii - i zerwała zaręczyny.

To, co miało nastąpić później, było najpoważniejszym eksperymentem w jej życiu.

- Przyznaję, że jestem szczęśliwa, że zapytałeś. - Odetchnęła głęboko, spojrzała

Castletonowi w oczy i odpowiedziała na jego pytanie. -Widzisz, potrzebuję twojej pomocy.

Dwie godziny później Pippa i Trotula czekały pod tylnym wejściem do

Upadłego Anioła, żeby ktoś je wpuścił do środka.

Kiedy nikt nie odpowiadał na jej uporczywe pukanie w stalową płytę, Pippa straciła cierpliwość i przeszła do wejścia do klubowej kuchni. Pukanie tutaj nie okazało się bezowocne. Chłopiec o rumianej twarzy otworzył drzwi; był zarazem zachwycony widokiem psa i zmieszany obecnością właścicielki.

- Didier! - zawołał. - Przy drzwiach jest dama! Prawdziwa! I pies!

- Jestem zmęczona twoimi wygłupami, Henri - odezwał się z głębi donośny, znajomo brzmiący głos. - Wracaj natychmiast, zanim bezzamel się zepsuje przez twoje lenistwo.

- Ale Didier! - zawołał chłopiec, nie odrywając oczu od Pippy - To dama! Ta, co przychodzi do Crossa.

Pippie szczęka opadła ze zdumienia. Skąd chłopiec wiedział o jej spotkaniach z Jasperem? Zanim zdążyła zapytać, francuska kucharka odsunęła chłopca i stanęła przed Pippą z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Jeszcze raz po jedną z moich kanapek?

Pippa uśmiechnęła się.

- Nikt nie otworzył, kiedy pukałam do tylnych drzwi. Didier cofnęła się, wpuszczając Pippę do nagrzanej kuchni.

- To dlatego, że odźwierni zawracają mi głowę. - Zerknęła podejrzliwie na Trotulę. - Pies może wejść, ale niech się nie zbliża do jedzenia.

Pippa weszła, kierując psa do kąta; skupiła na sobie spojrzenia służby kuchennej przy wielkim stole na środku kuchni. Poczwała się niezręcznie, nie bardzo wiedziała, jak się zachować. Dygnęła lekko, powodując, że wszyscy unieśli brwi ze zdumienia.

- Jestem lady Philippa Marbury.

Odezwał się zwalisty odźwierny, którego poznała, kiedy zjawiała się w kasynie z Crossem.

- Wiemy, kim pani jest. Skinęła głową.

- Doskonale. Zatem nie będziecie mieli nic przeciwko temu, żeby zawiadomić Jego Wysokość, że tu jestem. - Nastąpiło milczenie. Na twarzach pojawiła się niepewność, póki nie wyjaśniła: - Nazywacie go, o ile wiem, Tempie.

Pierwszy odezwał się chłopiec, który otworzył drzwi.

- Ale pani jest damą Crossa - powiedział, jakby to była jedyna rzecz do powiedzenia w tej sytuacji.

Dama Crossa. Zrobiło jej się ciepło na sercu. Nawet jeśli te słowa nie były prawdziwe.

- Dzisiaj potrzebuję Temple'a. Tempie pomoże jej dostać resztę.

Kiedy wieczorem wróciły do domu, Pippa i Trotula miały za sobą spacer przez kawał Londynu i obie, pani i pies, były bardzo zmęczone.

Nie zwracając uwagi na utyskiwanie matki, że hrabiny nie wychodzą z domu, mając jedynie psa za towarzystwo, i że Pippa będzie zrozpaczona, jeśli w dniu ślubu obudzi się przeziębiona, i że po prostu musi coś zjeść, darowała sobie rodzinną kolację i poszła do łóżka, wsuwając się w płócienną pościel, która, jak sobie wyobrażała, pachniała mężczyzną, o którym myślała cały dzień. Przez tydzień. Przez, jak się wydawało, całą wieczność. Powinna spać, ale zamiast tego wciąż i wciąż powtarzała w głowie swój plan. Wszelkie warianty, możliwe zmiany, przebieg, uczestników.

Gładząc łeb Trotuli, Pippa leżała w łóżku, myśląc o Jasperze Arleseyu, hrabim Harlow. O wszystkim, co słyszała o tym dziwnym, tajemniczym arystokracie. Wiedziała, że nie zajął miejsca w parlamencie. Że nie chodzi na bale, kolacje, nawet do teatru. Wydawało się, że robi wszystko, żeby nie wchodzić w kontakt z londyńską socjetą... poza tym że prowadzi najbardziej ekskluzywne kasyno gry.

Ponadto wiedziała, że był wyjątkowym uparciuchem, który zamierzał zrujnować sobie życie w fałszywym przekonaniu, że ją ratuje.

Ale, co najważniejsze, wiedziała, że Jasper się myli. To nie ona potrzebowała

ratunku.

To on.

A ona była właściwą kobietą, żeby mu pomóc.

18.

Skończył się czas obserwacji.

Nadeszła pora na działanie.

Dziennik naukowy lady Philippy Marbury

3 kwietnia 1831; dzień przed jej ślubem

Jutro miała wyjść za mąż. Za innego mężczyznę.

I zamiast być w rezydencji Dolby, w jej sypialni, w jej ramionach, dając sobie nawzajem z Pippą ostatnie chwile rozkoszy, tkwił w jednym z najmroczniejszych zakamarków Londynu, obecnie rzeświście oświetlonych i udekorowanych w związku z jego własnym zbliżającym się ślubem.

Knight nie mógł przepuścić okazji do triumfowania w glorii chwały. Cross miał się ożenić z Meghan Margaret Knight, zapoczątkowując dynastię właścicieli kasyna. Jeśli to nie był dostateczny pretekst do nocy grzechu i występku, to co nim było?

Grupa mężczyzn przy stole krzyczała z podniecenia, kiedy szczęście wydawało się im sprzyjać. Cross odwrócił się, patrząc, jak małe sześcianiki z kości słoniowej zostają zagrabione i wracają na początek pola, gdzie wicehrabia Densmore ucałował je i rzucił z powrotem na stół. Trzy. Cztery.

Cały stół jęknął z rozczarowania stratą, co Crossowi sprawiło perwersyjną przyjemność. Nikt nie powinien być dzisiaj szczęśliwy, jeśli jemu nie jest to dane.

Cztery dni minęły, odkąd zaznał ulotnego szczęścia. Cztery dni, odkąd doznał

rozkoszy. Od doskonałej, cudownej nocy z Pippą. Cztery dni, które ciągnęły się jak wieczność, kusząc każdą chwilą, żeby do niej wrócił. Żeby ją wykradł i trzymał z dala od raniących słów i osądających oczu.

Miał dwadzieścia pięć tysięcy akrów w Devonshire, gdzie nikt nie musiał ich widzieć, które ona i Trotula mogły przemierzać w tę i z powrotem. Zbudowałyby jej pracownię do badań naukowych. Dałby jej wszystko, czego potrzebowała. Wszystko, czego pragnęła. Chodziłby z nimi wszędzie, on i tabun ich dzieci, ponieważ, jak wynikało z jego doświadczenia, życie na wsi sprzyjało rozmnażaniu.

Zrobiłby wszystko, co w jego mocy, żeby była szczęśliwa.

To by nie wystarczyło.

Nigdy. Nigdy by jej nie wystarczył, tak jak okazał się nie dość dobry dla Baine'a i Lavinii. Zasługiwała na coś lepszego. Poczul ból w piersi.

Castleton nie był lepszy. Nie będzie dla niej wyzwaniem. Ani pokusą. Nie będzie jej kochać.

W pobliżu Christopher Lowe pochylił się nad kołem ruletki i krzyknął triumfalnie, kiedy mała biała kulka usadowiła się na czerwonym kwadraciku na wirującej powierzchni.

Cross syknął niechętnie. Ruletkę uważał za najgorszy rodzaj gry -zależała wyłącznie od przypadku, nie była warta zakładów, nawet jeśli się wygrywało.

Gra dla durniów. Patrzył, jak mężczyźni klepią Christophera po plecach i kładą pieniądze na stole.

- Koło jest gorące! - ktoś zawołał. Cross odwrócił się z irytacją.

Cały świat - każda gra przeznaczona do tego, żeby kusić - był dla głupców.

- Cross.

Odwrócił się do Sally Tasser, która stała parę stóp dalej.

- Powiniennem cię zabić za to, co zrobiłaś - warknął. - Gdybyś była mężczyzną, zrobiłbym to.

Sprzedła go Knightowi, zmuszając do małżeństwa, którego nie chciał. Do życia, na które nigdy by się nie zdecydował. W świecie, w którym się obracali, gdzie władza sąsiadowała z występkiem, przyjemność z karą, zdrada zawsze była możliwa. Zdarzały się straty.

Ale to, co zrobiła Sally, obróciło się nie tylko przeciwko niemu. Naraziło na niebezpieczeństwo Pippę.

A tego nie mógł wybaczyć.

Wściekły ruszył na prostytutkę, zmuszając ją, żeby cofała się przez gromadę gości między stołami do gry, aż znaleźli się w bocznym pokoju, gorzej umeblowanym i nie tak przyjemnym jak główne pomieszczenie kasyna.

- Powiedz mi, ile moja przyszłość była dla ciebie warta? Kilka funtów? Nową suknię? Talerz makaronu? Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem? Dla twoich dziewcząt? A ty mi tak odpłacasz. Narazając na niebezpieczeństwo to jedyne, co jest mi drogie?

Pokręciła głową, jej brązowe oczy płonęły gniewnie.

- Łatwo ci mnie sądzić - rzuciła z pogardą.

- Zagroziłaś moim bliskim - wrzasnął, mając ochotę walnąć pięścią w ścianę. W ciągu ostatnich sześciu lat nigdy nie czuł takiej nieobliczalnej złości. Nie czuł się taki wytrącony z równowagi. Na myśl o tym, że Pippie coś grozi, trząśł się ze strachu i gniewu, nie potrafiąc nawet nazwać innych, potężnych emocji.

Co robi, kiedy ona wyjdzie za mąż?

Sally uratowała go od odpowiedzi na to pytanie.

- Ty, z twoim doskonałym życiem, kupą pieniędzy, ty, który nigdy nie musisz padać na kolana, żeby zarobić na następny posiłek, i zostawać na nich, żeby podziękować jakiemuś obcemu człowiekowi za garść monet... Gdyby ci się nie udało...

- Gdyby mi się nie udało, zapewniłbym ci bezpieczeństwo.

- Bezpieczeństwo - parsknęła. - Wysłałbyś mnie na wieś, żebym dożywała swoich dni jak stara kłacz na pastwisku? To może bezpieczne, ale nie daje satysfakcji.

- Wielu myśli inaczej.

- Cóż, nie ja. Gdybyś przegrał, a Knight odkrył moją rolę w twoich planach, wyrzuciłby mnie i pracowałabym na ulicy - przerwała. - Mam dobre życie, Cross, broniłam go. Zrobiłbyś to samo.

Tyle, że nie zrobił. Broniąc swojego życia, musiałby rzucić Pippę na pożarcie Knightowi, odmawiając spełnienia jego żądania. Odmawiając małżeństwa z Maggie.

Ale Pippa była najważniejsza.

Zawsze tak będzie.

- Jeśli się dobrze zastanowisz, to oddałam ci przysługę. Będziesz miał żonę. I dziedzica. Nie pożalujesz tego.

Niewłaściwą żonę. Niewłaściwego dziedzica.

- Będę żałować każdej chwili.

- Cross... - zaczęła Sally. - Wiesz, jest mi przykro. Ze względu na tę damę.

Znieruchomiał.

- Lady Philippa była dla mnie dobra. Lepsza niż wszystkie inne damy z arystokracji. I kiedy powiedziałam o niej Knightowi, wiedziałam od razu, że będę

tego żałować.

- Nie jesteś godna, żeby wymawiać jej imię. - Pippa była lepsza niż to miejsce, niż oni wszyscy razem wzięci.

- Pewnie nie. Ale nie masz wyboru.

- Nie powinno tak być. Sally uśmiechnęła się lekko.

- Nie wyobrażaj sobie ani przez chwilę, że to, co się stało, nie zostało zrobione dla niej. Nie dla ciebie.

To znaczy, że Pippa miała być szczęśliwsza bez niego, że zasługiwała na więcej, niż on mógł jej dać. Prawda.

- Uwaga! - tubalny głos Knighta odwrócił ich uwagę. Mężczyzna w przekrzywionym kapeluszu ze szkarłatną wstęgą stał na stole do gry na środku kasyna. - Uwaga! - wrzasnął znowu, uderzając w wytarte sukno srebrną końcówką laski, przerywając muzykę i pijacki gwar. - Mam wam coś do powiedzenia, wy, bando hulaków!

Knight uśmiechnął się od ucha do ucha, kiedy na sali rozległy się tłumione chichoty, a Cross zacisnął zęby, wiedząc, co teraz nastąpi.

- Nadal jestem zły na większość z was za to, że sterczycie przy stołach w Aniele, na tym tam niby-świątce, które nazywają Pandemonium. Pijecie tam herbatę i objadacie się ciastkami z bandą półgłówków, którzy nie odróżniają asa od waleta. Ale jestem dzisiaj w łaskawym nastroju, moje aniołeczki, po części dlatego, że, cóż - łypnął błyszczącymi oczami na Crossa - przynajmniej jeden z tej bandy wejdzie do mojej rodziny!

Na ten anons odpowiedziano ogłuszającymi wiwatami. Wszystkie głowy zwróciły się w stronę Crossa, który nie wiwatował. Nie uśmiechał się. Trwał bez ruchu.

Knight uniósł brew i wyciągnął rękę do przyszłego zięcia.

- Cross! Podejdz do mnie na słówko!

Radosny hałas działał Crossowi na nerwy, miał ochotę rzucić się na wszystkich obecnych z pięściami. Skrzyżował ręce na piersi i pokręcił głową. Wzrok Knighta pociemniał.

- Aaaa... nie chce mnie zepchnąć w cień! Nie martw się, chłopcze. Nie jestem pi... - zawiesił głos na chwilę - ...jany, chyba że ze szczęścia.

Ta jedna sylaba, przypominająca o kobiecie, która zajmowała jego myśli, sprawiła, że Cross nie mógł odmówić. Przeszedł przez pokój z rozmyślnym spokojem, mimo że gorąco pragnął ściągnąć Knighta ze stołu i rozedrzeć go na strzępy, i wspiął się na górę, stając obok człowieka, który go przechytrzył. W końcu.

Knight klepnął Crossa po plecach, a Cross szepnął cicho:

- Jutro wychodzi za mąż, a ty stracisz tę odrobinę mocy. Knight odpowiedział, nie przestając się uśmiechać promiennie.

- Bzdura. Jednym celnym słowem mogę zrujnować jej małżeństwo i reputację jej dzieci. - Odwrócił się do sali, król przemawiający do poddanych. - A oto piękna dama, która zdobyła jego serce! Jutro będą zapowiedzi, a za trzy tygodnie moja dziewczynka będzie jego!

Maggie postawiono na stole i Cross nie mógł nie spojrzeć na młodą kobietę z podziwem. Żaden przyzwoity ojciec nie dopuściłby swojej córki w pobliże tego miejsca. Żaden mężczyzna nie pozwoliłby tutaj przebywać kobiecie, na której mu zależało. Ale ta dziewczyna, odziana we fiolety, zrezygnowana, stała wyprostowana, nieruchoma, bez rumieńców na twarzy.

Spojrzała na niego

- Milordzie. - Dygnęła, zachowując tyle wdzięku i godności, ile można było, stojąc na szczycie stołu do gry.

Skłonił głowę, przypominając sobie, że dziewczyna jest tylko pionkiem w tej grze. Że to Maggie straci najwięcej. Zyska tytuł i ogromne bogactwo, ale nigdy nie będzie miała kochającego męża.

Jej mąż zawsze będzie kochać inną.

- Świetna dziewczyna! - krzyknął ktoś z tłumu.

- Chciałbym położyć ręce na tych nogach! - Jakiś mężczyzna dotknął jej pantofla. Dziewczyna wciągnęła gwałtownie powietrze, cofając się ku Crossowi. Mógł nie chcieć jej za żonę, ale nie zasługiwała na to. Nadepnął mężczyźnię na nadgarstek, na tyle silnie, żeby nie mógł zabrać dłoni.

- Dotknij jej, a stracisz rękę. Knight parsknął śmiechem.

- Widzicie, jak już jej broni? Przy niej nie może utrzymać rąk przy sobie, ten Cross! Zrobią mi piękne wnuki! Założę się, że wicehrabia Baine zjawi się na świecie, zanim rok się skończy!

Imię Baine'a w ustach Knighta wywołało u Crossa falę gorąca.

- Stawiam dwadzieścia funtów, że już jest w drodze! - ryknął ktoś w tłumie.

W salonie rozbrzmiały śmiechy i podniecone okrzyki.

- Pocałuj ją! - domagano się.

- Tak, pocałuj dziewczynę, Cross! Knight roześmiał się.

- Nie mam nic przeciwko temu!

- Oczywiście, że nie masz, draniu - syknął Cross wśród pijackich okrzyków. -

To przyszła hrabina i twoja córka, a ty chcesz, żeby się skompromitowała w kasynie?

- Jest moją córką i twoją przyszłą hrabiną - odparł Knight. - A pocałunku w

kasynie można się spodziewać. A ja jestem dobrym gospodarzem. Nie zejdzcie ze stołu, póki nie dostaną, czego chcą.

Policzki Maggie poczerwieniały, spojrzała na Crossa spod smolistych rzęs.

- Milordzie - szepnęła. - Proszę, skończmy z tym, dobrze? Poczuję litość.

- Przykro mi, że to musi być tutaj. Maggie też się nad nim litowała.

- Przykro mi, że to ze mną - powiedziała współczująco. Jej także nie był godzien.

Zaśmiał się gorzko.

- Chyba moim przeznaczeniem jest rozczarowywać kobiety.

Nie odpowiedziała. Pochylił się i pocałował ją przelotnie, ale tłumowi gości to wystarczyło. Nikt nie zauważył, że pocałunek nie wyrażał żadnych uczuć.

Nieprawda. Wyrażał. Poczucie winy. Wstręt do samego siebie. Świadomość zdrady. Poczucie, że to głęboko niewłaściwe. To nie była Pippa. Nie należała do niego. Nigdy nie będzie.

Maggie będzie żyła w cieniu jego mądrej, zdobnej w okulary miłości, uwięziona przez jego pragnienie postąpienia z honorem wobec jednej kobiety, chociaż w ten sposób niszczył przyszłość drugiej.

Do diabła.

- A teraz - Knight znowu zastukał laską w stół, a hałas przywrócił Crossa do rzeczywistości - traćcie dalej pieniądze!

Nawet to przyjęto okrzykami radości w tę niezwykłą noc, kiedy whisky lała się strumieniami, hazard przyzywał, a wszyscy gracze Knighta świętowali jego triumf.

Cross stał na stole długą chwilę, czekając, aż Maggie i Knight zejda, a potem patrzył, jak ospowaty pomocnik Knighta prosi szefa do biura w jakiejś sprawie.

Cross był szczęśliwy, że pozbył się przysłego teścia, i z przyjemnością patrzył, jak obraca się koło ruletki, karty fruwały nad suknem, a kości toczą się po stołach. Knight zarządzał kasynem jak Wellington batalionem. Należało robić pieniądze, szybko i skutecznie.

Jego wzrok przyciągnął najpierw stół do gry w *vingt et un*, pięć osób siedziało naprzeciwko rozdającego, każda z asem i odwróconą kartą. Gra toczyła się szybko, nikt nie dobierał. Każdy z graczy miał dwadzieścia punktów albo więcej. Niemal matematyczna niemożliwość.

Te myśli zagłuszyły wiwaty po lewej stronie, gdzie świętowano szczęśliwy rzut. Cross obserwował następny. Sześć. Trzy.

- Znowu dziewięć! - zawołał krupier. Serce Crossa zaczęło bić gwałtownie.

Zszedł ze stołu. Nie mógł oderwać oczu od gry. Sześć. Trzy.

- Hurrra! - krzyknęli goście, przyglądający się grze.

- Co za szczęście! - zawołał gracz, który rzucał kośćmi, odwracając się do rosnącej gromadki gapiów. Cross nie widział jego twarzy. - Nigdy nie miałem takiego szczęścia!

- Kto to jest? - zapytał ktoś obok Crossa.

- Nie uwierzysz - padła odpowiedź. - To Castleton.

- Szczęśliwy drań - stwierdził pierwszy z niedowierzaniem.

- Cóż, jutro się żeni... więc zasługuje na noc kawalerską, nie sądzisz? Castleton.

Jutro się żeni.

Przez chwilę Cross zapomniał o poczuciu niepewności, które zwróciło jego uwagę na grę. Przypomniał sobie, że Pippa następnego dnia wychodzi za mąż. Za mężczyznę, który stoi przy stole do gry.

Sześć. Trzy.

Wygrana.

Coś się nie zgadzało.

Podniósł głowę, rozglądając się w tłumie. Przy drzwiach do tylnych pomieszczeń stał mężczyzna ogromnego wzrostu, który natychmiast zwrócił jego uwagę.

Ściągnął brwi.

Co Tempie, do diabła, tutaj robił?

- Dwieście pięćdziesiąt funtów na numer dwadzieścia trzy! - Christopher Lowe postawił ogromną sumę w ruletce i Cross musiał się odwrócić i patrzeć, jak piłeczka wiruje i wiruje, aż zatrzymuje się na czerwonym polu.

Dwadzieścia trzy.

Przy stole rozległy się radosne okrzyki; Lowe ryzykował fortunę i wygrał prawie dziewięć tysięcy funtów.

Lowe, który nigdy w życiu nic nie wygrał.

- Co mam powiedzieć? - zawołał młody człowiek. - Szczęście mi dzisiaj sprzyja!

Nie ma czegoś takiego, jak szczęście. Coś się nie zgadzało.

Zaczął przepychać się przez tłum. Wszyscy, których mijał, nie posiadali się z radości z wygranej, z asa, z szóstki, z obrotów koła, które wydawało się zatrzymywać tylko na czerwonym polu... nikt nie zwracał na niego uwagi, aż w końcu nic nie zasłaniało mu widoku Temple'a.

Jego partner - olbrzym z Upadłego Anioła - nie był sam. U jego boku stał szczupły młodzieniec w wieczorowym stroju, lekko za szerokim w ramionach.

Nakrycie głowy, nisko nasunięte na czoło, nie pozwalało zobaczyć jego twarzy...

w jego postawie i ruchach było coś znajomego. Coś niepokojącego.

Dopiero kiedy obcy odwrócił się, mówiąc coś do ucha jednej z dziewcząt

Knigha i podając jej małą sakiewkę, Cross zauważył złoty błysk na jego skroni.

Okulary.

Na jej skroni.

Philippa.

Odwróciła się do niego, jakby wymówił jej imię głośno, i uśmiechnęła promiennie, tak że krew zaczęła żywiej krążyć mu w żyłach i zabolalo serce. Jak mógł sobie wyobrazić, że to mężczyzna? Wyglądała skandalicznie, pięknie i absolutnie oszałamiająco i nagle rozpaczliwie zapragnął być przy niej. Dotknąć jej. Pocałować. Zapewnić bezpieczeństwo.

Choć miał ochotę ją zamordować.

Instynktownie wyciągnął do niej rękę, ale Tempie stanął mu na drodze, kładąc ogromne dłonie na jego piersi.

- Nie teraz. Jeśli jej dotkniesz, wszyscy się domyślą.

Cross nie dbał o to. Chciał, żeby była bezpieczna. Ale Tempie był równie silny, jak rozsądny. Po długiej chwili Cross powiedział:

- Za to chcę się z tobą spotkać na ringu. Tempie uśmiechnął się drwiąco.

- Z przyjemnością. Ale jeśli jej się uda, podejrzewam, że mi za to podziękujesz.

Cross ściągnął brwi.

- Uda się? - Zwrócił się do Pippy. - Co ty zrobiłaś? Uśmiechnęła się, jakby byli na podwieczorku. Albo na wyścigach w Ascot. Albo na spacerze w parku. Całkowicie spokojna, pewna siebie i swoich poczynań.

- Nie rozumiesz, niemądry człowieku? Ratuję cię.

Nie dało się w tej chwili nie zauważyć radosnych wrzasków dobiegających

zewsząd. Nie musiał się przyglądać, żeby wiedzieć, co zrobiła.

- Ustawiłaś stoły?

- Nonsens - odparła Pippa z uśmiechem. - Wiedząc to, co wiem o Diggerze

Knighcie, mogłabym postawić wszystko, co masz, że stoły były już ustawione. Ja je od-ustawiłam.

Był wściekły. I wniebowzięty. Uniósł brwi.

- Wszystko, co mam? Wzruszyła ramionami.

- Ja sama nie mam za dużo.

Myliła się, rzecz jasna. Miała więcej, niż zdawała sobie sprawę. Więcej niż potrzeba, żeby spełnić jego marzenia.

A gdyby chciała, postawiłby dla niej wszystko, co miał. Boże, pragnął jej.

Rozejrzał się dookoła, po zaczerwienionych, podnieconych twarzach graczy.

Nikt się nie interesował stojącą z boku trójką. Nikt, kto nie brał udziału w grze, nie był godzien uwagi. Nie wtedy, kiedy tak wielu wygrywało tak wiele.

Ustawiła grę w jednym z najprężniej działających kasyn w Londynie.

- W jaki sposób...?

- Pokazałeś mi wyważone kości, Jasper - odparła z uśmiechem. Na dźwięk imienia zrobiło mu się cieplej na sercu.

- Nie uczyłem cię innych rzeczy. Udała obrażoną.

- Panie, twój brak zaufania do mojej inteligencji obraża mnie. Myślisz, że sama nie mogłam się nauczyć kilku sztuczek karcianych?

Nie zwrócił uwagi na żart. Knight ich zabije, kiedy to się wyda.

- A ruletka? Uśmiechnęła się.

- Magnesy można wykorzystać na wiele sposobów. Była za sprytna dla własnego dobra.

- Pozwoliłeś na to? - zwrócił się do Temple'a. Temple uniósł lekko jedno ramię.

- Dama potrafi być bardzo... zdeterminowana. Bóg wie, że to prawda.

- Tempie był bardzo łaskaw. Podobnie jak panna Tasser - dodała Pippa.

Cross miał zamęt w głowie. Panna Tasser. Sally pomogła. ...to, co zrobiono,

zostało zrobione dla niej. Nie dla ciebie. Właśnie to Sally miała na myśli.

Pokrzyżować plany Knighta, nie zaszkodzić Crossowi. Szalony plan Pippy.

Ale nie wzięli wszystkiego pod uwagę. Nie wzięli pod uwagę, co się zdarzy,

kiedy ją odkryją. Kiedy Knight wróci do głównego pomieszczenia i zrozumie, co

się stało.

- Musisz odejść. Zanim Knight odkryje, co się dzieje, i wszystko wymknie się

spod kontroli. Zanim odkryje ciebie. Będziesz zrujnowana i wszystko, na czym

mi zależało... - Wpadł w panikę, że coś może jej się stać. Że Knight może działać

w złości i ją skrzywdzić.

- Nie odejdę. - Pokręciła głową. - Muszę to zobaczyć do końca!

- Nie ma końca, Pippo. - Znowu wyciągnął do niej rękę i znowu Tempie mu

przeszkodził. Cross opanował się. - Do diabła. Knight jest najlepszy w tym

biznesie.

- Nie lepszy od ciebie.

- Owszem, lepszy. Nie ma niczego, na czym zależy mu bardziej niż na tym

kasynie. Na jego sukcesie. A ja nie dbam o nic bardziej... - Przerwał, wiedząc, że

nie powinien tego mówić. Że nie zdoła się powstrzymać. - Nie dbam o nic

bardziej niż o ciebie, szalona kobieto.

Uśmiechnęła się, piękne niebieskie oczy złagodniały za okularami.

- Nie rozumiesz, Jasper? Ja nie dbam o nic więcej niż o ciebie. Nie powinien

cieszyć się tymi słowami. Nie powinien pragnąć ich

boleśnie. Ale, oczywiście, tak właśnie było.

Ruszyła ku niemu, a on otworzyłby ramiona, żeby ją objąć, gdyby nie Tempie.

- Czy wy dwoje nie możecie swoich intymnych chwil przeżywać w intymnym otoczeniu? Beze mnie?

Przypomniał im, gdzie są. Niebezpieczeństwo, jakie nad nią wisi. Cross odwrócił się, szukając Knighta. Był tam, z wściekłością w oczach rozglądał się po kasynie. Doświadczenie wielu lat podpowiadało mu, że coś jest nie w porządku. Zbyt wiele radości. Za wiele wygranych.

Jego wzrok, ponad głowami tłumu, spoczął na Crossie. W jego oczach błysnęło zrozumienie. Odwrócił się, wydając instrukcje pomocnikowi, który ruszył biegiem, zapewne po świeże kości do gry i talie kart. Knight skierował się zdecydowanie w ich stronę.

- Musisz odejść - zwrócił się Cross do Pippy. - Nie możesz zostać złapana. Jutro wychodzisz za mąż. Dopilnuję tego.

Pokręciła głową.

- W żadnym razie. To mój plan. Dla ciebie. Dla Lavinii. Dla zapewnienia, że Knight nie będzie już mógł szkodzić. Będę do samego końca.

Ogarnął go gniew.

- Pippa, to jest poważniejsza sprawa, niż możesz sobie wyobrazić. Nie planowałam odwrotu. Knight się nie martwi. Wie, że jeszcze dzisiaj wszystko naprawi, a ci wszyscy ludzie zostaną i przegrają to, co dotąd wygrali. Gracze nie przestają w momencie największego powodzenia.

Uśmiechnęła się.

- Myślisz, że tego nie wiem? Czy muszę ci przypominać, że wiem o pokusie wszystko od najlepszego nauczyciela?

To nie była pora, żeby myśleć o ich lekcjach. Westchnął.

- Sądzę, że nie mogłaś się na to przygotować. Sądzę, że o ile kasyno nie spłonie ze szczętem, nie da się zaplanować niczego, co by skłoniło pięciuset graczy do porzucenia stołów gry w momencie, kiedy mają dobrą passę. - Spojrzał w stronę Knighta. Był coraz bliżej. - Myślę, że dość tej rozmowy. Wrócisz do domu z Temple'em, jutro wyjdiesz za mąż i będziesz prowadzić życie, na jakie zasługujesz.

- Nie chcę go.

- Nie masz wyboru. To ostatnia rzecz, jaką ci daję. I ostatnia, o jaką cię proszę.

Pokręciła głową.

- Nie wiesz, o co prosisz.

- Dokładnie wiem, o co proszę.

Proszę, żebyś odeszła, zanim stwierdzę, że nie jestem w stanie żyć bez ciebie.

Bat się, że i tak jest za późno.

- Odejdź, Pippo. - To było błaganie; z trudem panował nad paniką. Ta kobieta pozbawiła go kontroli nad sobą i nie mógł się z tym pogodzić. Kłamstwo. -

Naprawię to.

Pokręciła głową.

- Kiedyś obiecałeś, że jeśli będziemy grać przy moim stole, przyjmujemy moje reguły za obowiązujące.

Chciał nią wstrząsnąć.

- To nie są twoje stoły! Uśmiechnęła się.

- Ale moje reguły, tak czy inaczej. - Zwróciła się do Temple'a. - Wasza

Wysokość? Będzie pan czynił honory?

Tempie podniósł palec do swojego trzykrotnie złamanego nosa i potarł jego

koniuszek. Od stołu obok dobiegł głośny, niewinnie brzmiący głos:

- O mój Boże! Jakie wielkie wygrane! - Castleton. Głupi prostak Castleton brał udział w tym planie... Czy oni wszyscy poszaleli?

Cross spojrział na Temple'a, który skrzywił się drwiąco, wzruszając ramieniem.

- Dama wszystko zorganizowała.

- Dama zasługuje na porządne lanie. Pippa nie patrzyła na niego.

- Nie mówisz poważnie.

Nie mówił, ale to nie było istotne w tym momencie. Castleton odezwał się znowu.

- Słyszałem jednak, że Knight nie trzyma zwykle dużej gotówki w klubie. Mam nadzieję, że ma dosyć, żeby mi zapłacić!

Przy stołach zapadła cisza, a potem wszyscy zaczęli gwałtownie zbierać swoje czeki i wygrane, żeby rzucić się do dwóch kas. W ciągu paru sekund w całym kasynie zaczęły rozbrzmiewać okrzyki:

- Knight nie jest w stanie wypłacić wygranych!

- Wypłacajcie teraz, zanim będzie za późno!

- Żebyśmy nie zostali z samymi czekami!

- Stracisz wszystko, jeśli się nie pośpieszysz!

Przy stołach opustoszało... wszyscy pobiegli do kas, gdzie dwóch przestraszonych kasjerów wahało się, nie wiedząc, co mają robić.

Pomyślała o odwrocie. Oczywiście, powinien się tego spodziewać. Powinien wiedzieć, że Philippa Marbury będzie prowadzić wojnę tak samo, jak robiła wszystko inne - w sposób przemyślany i błyskotliwy.

Szeroko otwartymi oczami spojrział na Pippę, potem na Temple'a, który wykrzywił usta drwiąco i złożył ramiona na piersi, nic nie mówiąc.

To było niezwykle.

Dokonała tego.

Ona była niezwykle.

Cross przechwyił zaszokowane spojrzenie Knighta, które przesunęło się potem na Pippę. W jego oczach błysnęło zrozumienie, a potem wściekłość.

Ale właściciel klubu nie mógł działać pod wpływem gniewu... był zbyt bliski utraty wszystkiego, co zbudował. Jeszcze raz wszedł na stół, wołając zachęcająco:

- Panowie! Panowie! Jesteście u Knighta! A nie w jakiejś spelunie! My płacimy nasze długi! Wracajcie do stołów! Grajcie dalej!

Uśmiechał się kusząco.

Nastąpiła chwila ciszy, kiedy owce zwróciły się do swojego pasterza i Cross myślał, że chęć wygranej każe im wrócić do stołów.

Castleton ich uratował. Jego jasny, łagodny głos przebił się ponownie przez zgiełk.

- Wolałbym dostać swoje pieniądze teraz, Knight... żeby się przekonać, że nie ma się czego obawiać.

Pęd do kas znowu się zaczął; mężczyźni krzyczeli i przepychali się, powstał zamęt.

Knight nie byłby w stanie pokryć wygranych. Zrujnowali go.

Pippa go zrujnowała.

Ponieważ kochała Crossa.

Ponieważ obchodziła ją jego przyszłość.

Przyszłość, która bez niej malowała się zaiste ponuro.

Nie mógł się dłużej zastanawiać, ponieważ uderzyła w nich fala graczy,

pędzących do kas po swoje pieniądze. Odrzucili Pippę o kilkanaście stóp w bok.

Wyciągnął rękę, żeby ją chwycić, ale jej palce wyslizgnęły mu się i przewróciła się na podłogę, gdzie pochłonął ją rozwścieczony tłum.

- Pippa! - wrzasnął, rzucając się na ratunek, odsuwając ludzi z miejsca, gdzie ją ostatnio widział, aż ją znalazł, zwiniętą w kłębek, z rękami obejmującymi głowę.

Ciężki but kierował się w stronę jej żołądka.

Ryknął z gniewu, chwytając nieświadomego niczego napastnika za kołnierz i tłukąc go pięścią w twarz raz i drugi, zanim nie powstrzymał go Tempie.

- Zostaw go mnie - powiedział - a ty zajmij się swoją damą. Swoją damą.

Była jego.

Pchnął mężczyznę do Temple'a, nie zastanawiając się, i przykucnął, żeby zobaczyć twarz Pippy. Jedno szkło okularów stłukło się, a na jej policzku wzbierała krew. Tłumiąc wściekłość, przesunął delikatnie palcami tam, gdzie najwyraźniej otrzymała cios.

- Możesz się ruszać?

Skinęła głową; drżała. Podniósł ją w ramionach, nie dbając, że zdradza w ten sposób, że jest kimś innym niż dziwnym, chudym chłopakiem w źle dopasowanym ubraniu. Chroniąc ją.

Przycisnęła twarz do jego szyi.

- Mój kapelusz...

Zaginął gdzieś w zamieszaniu i jej jasne włosy rozsypały się wokół ramion.

- Za późno na to - powiedział, chcąc jak najszybciej się stamtąd wydostać.

Ale nie było jak. Wszędzie dookoła kłębił się tłum gniewnych graczy, sfrustrowanych i przejętych chciwością. Ataki jego i Temple'a przekształciły ich w dziką horde.

Poruszając się tak szybko, jak się dało, schylił się i wepchnął Pippę pod stół, gdzie Castleton to wszystko zaczął. Skrzywił się tylko, kiedy czyjś but trafił go w zębra. Wsunął się obok Pippy, zasłaniając ją własnym ciałem i obejmując jej głowę ramionami, żeby ją chronić przed przypadkowymi ciosami.

- Tempie - powiedziała, usiłując się wydostać.

- Nic mu się nie stanie - zapewnił, zachwycony, że tak się troszczy o jego przyjaciela. - To zapaśnik profesjonalista, uwielbia się bić. Przeżywa teraz chwile szczęścia, do momentu, kiedy rozedrę go na strzępy za to, że pozwolił ci wcielić w życie ten wariacki plan. - Odsunął jej włosy do tyłu. - Pozwól mi spojrzeć.

- To nie było wariackie! - Odwróciła się do niego, żeby mógł obejrzeć ranę, jedną dłoń podniosła do oka, badając opuchliznę. - Au.

Przesunął palcami po zaczerwienieniu, cierpiąc razem z nią, kiedy się krzywiła.

- Wspaniała dziewczyna... - szepnął, zdejmując jej okulary i przyciskając usta do jej skroni, kącika ust i miękkiej skóry szyi. Była bezpieczna. Odetchnął głęboko. - Powinienem cię stłuc.

- Dlaczego mnie? - Otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia. Zerknął na buty tupiące z hałasem obok stołu.

- Zaczęłaś to zamieszanie.

- Nie celowo - odparła, broniąc się. - Według mojej hipotezy mieli wyjść, a nie pędzić w panice.

Gdyby nie wchodziło w grę jej bezpieczeństwo, może by się uśmiechnął. Ale nie teraz.

- Cóż, twoja hipoteza nie była poprawna.

- Teraz to widzę - przerwała. - A ściśle mówiąc, to ty zaczęłaś zamęt.

- Myślałem, że jesteś... - urwał, przejęty nagłym chłodem. - Pippa, gdyby coś ci

się stało... Mogłaś zginąć - krzyknął; mięśnie drżały mu z napięcia. Rwał się, żeby coś zrobić. Wrócić w tłum i bić się, póki strach o nią ustąpi, a ona będzie bezpieczna.

- Byłam z Temple'em - szepnęła.

- Tempie to za mało. Tempie nie zapewni ci bezpieczeństwa - powiedział w jej włosy, pozwalając sobie na uczucie wdzięczności, że znalazł ją, zanim to wszystko się wydarzyło, zanim znalazł ją Knight czy pół tuzina innych ciemnych typów. - Tempie cię nie kocha.

Znieruchomiła pod nim i podniosła dłoń do jego policzka.

- A ty kochasz?

Nie chciał tego powiedzieć. Nie powinien nawet o tym myśleć. To by tylko pogorszyło sytuację. To byłoby gorsze niż uwięzienie pośród zamieszek pod stołem do gry w kasynie, nie wiadomo na jak długo, z najwspanialszą kobietą w Brytanii. W Europie. Na ziemi.

Tak. Tak, kocham cię. Tak, chcę ciebie.

- Jesteś kłopotliwą kobietą.

Kiedy otworzył oczy, patrzyła na niego z promiennym uśmiechem.

- Zawsze taka byłam.

Zanim zdążył odpowiedzieć, Maggie, parę jardów dalej, upadła na kolana, popchnięta, jak się wydawało, przez kolejny batalion graczy. Oparła się na rękach. Pippa wciągnęła nerwowo powietrze, a Cross się zawahał. Wiedział, że powinien ratować tamtą kobietę, ale nie chciał zostawić Pippy samej.

- Stratuj ją! - krzyknęła Pippa. Cross ruszył się, żeby śpieszyć z pomocą, ale obok Maggie zjawił się ktoś inny. Silne ramiona otoczyły ją, wciągając pod stół, zapewniając ochronę.

To był Castleton. Cross uniósł brew.

- Wydaje się, że twój narzeczony jest więcej wart, niż ktokolwiek z nas sobie wyobrażał.

Pippa uśmiechnęła się do tamtego, a Cross poczuł nieprzyjemny skurcz w żołądku.

- To dobry człowiek. Ja jestem lepszy.

Chciał to powiedzieć, ale to nie była prawda. Nie był lepszy, a teraz Castleton udowadniał to swoim heroicznym czynem.

Będzie z nim bezpieczna.

Pippa zwróciła na niego niebieskie oczy.

- Pocałowałaś ją.

- Tak.

- To nieważne.

- Musiałem. Skinęła głową.

- Wiem. Ale i tak nie uznałam, że to ważne.

Mówiąc to, przysunęła się do niego i pocałowała go, przyciskając miękkie różowe usta do jego ust, pieszcząc językiem jego dolną wargę, aż jęknął i przechylił głowę, przejmując kontrolę nad pieszczotą. Ostatnia chwila. Ostatni pocałunek. Ostatni raz poczuje jej smak, żeby potem przeżyć resztę dni bez niej.

Odsunęła się, kiedy obojgu zabrakło tchu.

- Kocham cię, Jasper - szepnęła przy jego ustach i te słowa były jak sztylet wbity w jego silną wolę, w którą się uzbroił.

- Nie - szepnął. - Nie jestem dla ciebie. Moje życie, moja historia, mój świat... to wszystko nie jest dla ciebie. Miłość do mnie tylko sprowadzi na ciebie nieszczęście.

Powinien wiedzieć, że jego namiętne błaganie nie odniesie żadnego skutku.

Jego cudowna Pippa przewróciła oczami, mówiąc:

- Ty niemądry człowieku. Już jestem zrujnowana. Zdeprawowałeś mnie ze szczętem tamtego ranka w twoim gabinecie. Nie wyjdę za Ca-stletona. Poślubię ciebie.

Tak. Każdym włókmem ciała chciał wykrzyczeć zgodę. Gdzieś w głębi duszy znalazł jednak resztkę przyzwoitości.

- Jak na kobietę słynącą ze zdrowego rozsądku, wydajesz się odnajdować go z najwyższym trudem. Nie rozumiesz, że byłbym dla ciebie okropnym mężem? Gorszym niż Castleton.

- Nie dbam o to - powiedziała z pełnym przekonaniem i pewnością siebie, za którą ją tak podziwiał. - Kocham ciebie.

Zamknął oczy na te słowa, uczciwe i pełne obietnic. Doskonałe.

- Nie, nieprawda - odparł, mimo że pragnął wziąć ją w ramiona i okazać jej swoją miłość. Mógłby żyć tutaj, pod tym stołem, mając pewność, że ona z nim będzie.

Ale oto, co jej zrobił.

Była tutaj. W kasynie - w piekle przeznaczonym dla grzeszników najgorszego rodzaju. Nienawidził tej sytuacji, tego, że tu była i że to on ją tutaj sprowadził.

Ustawiała grę w jednym z najstarszych kasyn w Londynie, jakby urodziła się oszustką i szulerką.

I za to jeszcze bardziej ją kochał.

Ale sprawił, że odkryła w sobie te cechy i z czasem je znienawidzi. Znienawidzi jego. Któregoś dnia to sobie uświadomi, a on zbyt mocno ją będzie kochał, żeby to znieść.

- To najbardziej nieuczciwa rzecz, jaką zrobiłaś - powiedział. - Ustawiłaś grę w kasynie, okradłaś człowieka, wywołałaś zamieszki, na Boga. Kiedyś mi powiedziałaś, że nie znosisz nieuczciwości... Spójrz, do czego cię doprowadziłem. Spójrz, jak cię zniszczyłem.

- Nic takiego nie zrobiłaś. Udowodniłaś mi tylko, że czarne i białe to nie są jedyne możliwości. Że jest coś więcej, niż uczciwość i nieuczciwość, prawda i kłamstwo. To, co on zrobił... kradnąc ci twoje życie, szantażując cię, narzucając przyszłość, której nie chcesz... to wszystko jest nieuczciwe. Uczciwe jest to, że cię kocham. I że zrobię wszystko, żebyś nie został zmuszony do życia, które nienawidzisz. Zrobiłabym to jeszcze raz, i jeszcze, bez cienia żalu. Nie żałując ani przez chwilę.

- Nie rozumiesz, co mówisz.

- Przestań mi mówić, że czegoś nie rozumiem! - powiedziała, twarda jak stal, z rękami na jego piersi. - Przestań mi mówić, co jest dla mnie najlepsze. Co mnie uszczęśliwi... Wiem, co mnie uszczęśliwi. Ty. Ty i to życie, wspaniałe, fascynujące. To mnie uszczęśliwi, Jasper. Ponieważ jest twoje.

- Dwa tygodnie temu nie powiedziałaśbyś tego. Nie przyśniłoby ci się, że mogłabyś ustawiać grę w kasynie. Fałszować wygrane. Rujnować człowieka.

- Dwa tygodnie temu byłam inną kobietą. Zbyt prostą! Ani przez chwilę nie pomyślał, że jest prostą kobietą.

- A ty byłeś innym mężczyzną - dodała.

To prawda. Dzięki niej stał się nieskończenie lepszy. Ale nadal był na tyle zły, żeby na nią nie zasługiwać. Zasługiwała na coś lepszego niż on. O wiele lepszego.

- Nie - skłamał, żałując, że nie może być w tej chwili gdzieś daleko od niej. Że

jest do niej przytulony, że tak bardzo jej pragnie. - Jestem taki sam, Pippo. Nie zmieniłem się.

Otworzyła szeroko oczy, jakby ją uderzył, i zanim zdążył przeprosić, dostrzegł w nich zmianę. Uwierzyła mu. W kłamstwo. Największe w jego życiu.

Po długiej chwili odezwała się, mówiąc urywanym głosem.

- Chciałam ukraść ci życie. Narzucić przyszłość, której nie chcesz? To chciałam zrobić? To zrobiłabym, gdybym cię zmusiła do małżeństwa ze mną? Nie jestem lepsza od Knighta.

Chciał powiedzieć prawdę - że nie chciała ukraść mu życia, że uczyniła je nieskończenie lepszym. Że nie zmusiła go do niczego poza miłością do pięknej, mądrej damy. Ale miał dość rozsądku. Wiedział, że zasługiwała na kogoś, kto miał coś więcej do zaoferowania niż kasyno gry i zbrukany tytuł. Zasługiwała na kogoś, kto jest prawy i honorowy, i da jej wszystko, czego mogłaby chcieć.

Wszystko, czego mogłaby potrzebować.

Wszystko poza miłością.

Nikt nigdy nie pokocha jej tak jak on. Nikt jej nie będzie tak czcił. Ani tak szanował. Szanował ją.

I dlatego zrobił to, co uważał za słuszne, a nie to, czego rozpaczliwie pragnął.

Zamiast chwycić ją, zarzucić sobie na ramię i odejść gdzieś daleko, na zawsze... oddał jej życie, na które zasługiwała.

- Uczyniłaś to - powiedział, czując gorzyc tych słów na języku. - Mówiłem ci, że małżeństwo nie jest dla mnie. Że miłość nie jest dla mnie. Nie chcę ich.

Jej twarz spochmurniała i znenawidził siebie za to, nawet jeśli pamiętał, że to jego misja. Że ma ją uratować. Skierować na właściwą drogę. To jedyne, z czego będzie dumny. Nawet jeśli tak strasznie boli.

- Castleton jutro się z tobą ożeni - powiedział może do niej... może do siebie. -

Będzie cię chronił. - Spojrzał w stronę hrabiego pod pobliskim stołem, który siedział tam z Maggie, obejmując jej głowę rękoma. -Chronił cię dzisiaj, prawda?

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, zawahała się i pokręciła głową. W jej niebieskich oczach był smutek.

- Nie chcę go - szepnęła. - Chcę ciebie.

Przez chwilę myślał, że to proste, szczerze wyznanie sprawi, że nie zapanuje nad tęsknotą, pożądaniem i miłością. Ale spędził sześć lat, ucząc się panować nad swoimi pragnieniami, sześć lat, które przyniosły pożytek, bo teraz kręcił głową, wbijając nóż. Niepewny, w czyje serce.

Tak cię kocham, Pippo.

Tak bardzo.

Ale nie jestem ciebie wart.

Zasługujesz na tyle więcej. Na coś lepszego.

- To nie wchodzi w grę.

Milczała długo, w jej pięknych błękitnych oczach wezbrały łzy, które nie spłynęły. Którym nie pozwoliła spłynąć.

A potem powiedziała to, co miał nadzieję, że powie. Czego, miał nadzieję, nie powie.

- Niech tak będzie.

19.

Odkrycie:

logika nie zawsze kieruje ludzkimi działaniami.

Dziennik naukowy lady Philippy Marbury

4 kwietnia 1831; rano w dniu jej ślubu

Cross następnego dnia rano stał przy oknie w apartamentach właścicieli w Aniele, patrząc, jak służba gasi świece w kasynie, pogrążając je w mroku. Często się temu przyglądał, czerpiąc przyjemność z tego, jak praca była zorganizowana, z tego, jak wielkie żyrandole opuszczano na podłogę, gaszono świece i uzupełniano wosk, przygotowując się do wieczornej zabawy.

Był w tym stały porządek. Światło ustępowało ciemności w kasynie, choć na zewnątrz działało się odwrotnie. Podstawowe prawdy.

Położył szeroką dłoń na witrażu, wprawiając drugą dłonią w wirowanie szkocką w kieliszku. Zaczął pić godzinę wcześniej, po tym, jak zabrał Pippę z kasyna Knighta, powierzając opiece Temple'a, ufając, że przyjaciel odwiezie ją do domu. Wiedząc, że on sam nie byłby w stanie tego zrobić.

Przycisnął czoło do chłodnego szkła. Patrzył, jak Justin ustawia kości w równych rzędkach wzdłuż krawędzi jednego ze stołów.

Uratowała go tamtego wieczoru. Swoim byстрыm umysłem i ważonymi kośćmi - jego własnymi wyważonymi kośćmi, jak sądził - znaczącymi kartami i namagnesowanym kołem ruletki. Jakby to było proste naukowe zadanie, kontrolowała kasyno Knighta z łatwością kogoś, kto spędził życie na grze.

Zrobiła to dla niego.

Kochała go.

Ale nie tak mocno, jak on ją.

Zamknął oczy, w tym momencie rozległo się pukanie. Odwrócił się w stronę drzwi, które już się otwierały. Chase stał w cieniu i chociaż Cross nie widział jego oczu, wyczuwał w nich naganę.

- Jesteś durniem. Oparł się o szybę.

- Tak się wydaje. Która godzina?

- Wpół do ósmej.

Miała wziąć ślub za niecałe dwie godziny. Coś ścisnęło go w piersi.

- Tempie wrócił.

Cross ruszył w stronę Chase'a, nie mogąc się powstrzymać.

- Czy ona...

- Przygotowuje się do ślubu z niewłaściwą osobą, jak przypuszczam. Cross odwrócił się.

- Będzie jej najlepiej z Castletonem.

- To bzdura i wiesz o tym. - Cross nie odpowiadał, więc Chase mówił dalej: -

Ale to bez znaczenia. Liczy się to, że lady Philippa zdobyła dla nas nowe kasyno.

Jeśli chodzi o kasyno, nie liczyło się wcale. Crossa zupełnie nie obchodziło. Nie obchodziła go też ogromna suma, jaką za nie zapłacił.

- Musiałem ją stamtąd wydobyć. Mogła zostać ranna. Albo gorzej.

- I dlatego kupiłeś długi Knighta. - Chase uniósł brew. - Trzysta tysięcy funtów to wydaje się dużo, jak na pomniejsze kasyno i... kobietę.

Zapłaciliby pięć razy więcej. Dziesięć razy.

- Nie będzie długo pomniejszym kasynem. Nie w naszych rękach.

- Zawsze możemy je dać lady Philippie w prezencie ślubnym - zauważył Chase obojętnym tonem. - Wydaje się, że ma do tego smykałkę.

Słowa przywiodły wspomnienie, które zabolalo, i Cross zwrócił się znowu w stronę kasyna w dole.

- Dlatego właśnie najlepiej jej będzie z Castletonem. Wydobyłem z niej coś mrocznego. Coś, czego będzie żałować.

- Dama nie robi na mnie wrażenia takiej, która podejmuje decyzje, nie zastanawiając się nad konsekwencjami.

Cross chciał, żeby Chase zostawił go w spokoju. Dopił w końcu szkocką.

- To dokładnie taka dama.

- I nie sądzisz, że uczyniłbyś ją szczęśliwą?

Przypomniał sobie jej wczorajsze słowa, wypowiedziane w zgiełku powstałego w kasynie zamieszania.

Wiem, co uczyni mnie szczęśliwą - ty. To nie mogło być prawdą. Nigdy w życiu nie dał nikomu szczęścia. Zawsze przynosił rozczarowanie.

- Nie.

Nastąpiła długa cisza i Cross zastanawiał się, czy Chase nie wyszedł. Odwrócił się. Założyciel Anioła siedział obok, w niskim fotelu.

- Dlatego jesteś durniem.

- Kto jest durniem? - Tempie wrócił. Doskonale.

- Cross - odparł radośnie Chase.

- Zgadza się. Po ostatniej nocy prawie sam się zakochałem w Pippie. Cross odwrócił się gwałtownie.

- Dla ciebie to lady Philippa i połamię ci wszystkie kości, jeśli jej dotkniesz.

Tempie zakołysał się na piętach.

- Jeśli tak mocno to przeżywasz, Cross, to faktycznie jesteś durniem.

- Czy z nią wszystko w porządku?

- Będzie paradowała z podbitym okiem... niekoniecznie najlepsze akcesorium dla panny młodej.

I tak będzie piękna.

- Nie miałem na myśli oka. Miałem na myśli... Co miał na myśli?

- Chciałeś zapytać, czy szlochała i jęczała całą drogę do domu? Mój Boże. Czy tak było? Poczul się chory.

Tempie zlitował się nad nim.

- Nie. W gruncie rzeczy była poważna. W ogóle nic nie mówiła. Nie zdawał sobie sprawy, ale to było najgorsze, co Tempie mógł powiedzieć. Myśl o dociekliwej, rozmownej Pippie milczącej jak grób sprawiła Crossowi ból.

- Nic zupełnie?

Tempie spojrzał mu w oczy.

- Ani słowa. Zranił ją.

Błagała go, żeby został. Żeby ją kochał. Żeby był z nią. A on odmówił, wiedząc, że nie jest dla niej. Wiedząc, że ktoś inny uczyni ją szczęśliwą. Że się wyleczy.

Musi.

- Wyleczy się - powiedział, jakby powiedzenie tego głośno mogło sprawić, że to będzie prawda.

Wyleczy się i będzie szczęśliwa. I to mu wystarczy. Wystarczy?

Chase przerwał milczenie.

- Ona może się wyleczy... ale ty?

Cross podniósł głowę, spojrzał Chase'owi, a potem Temple'owi w oczy. I po raz pierwszy od wieków powiedział prawdę.

- Nie.

Myślał, że się jej oprze. Wspomnił ten pierwszy poranek w jego biurze, kiedy rozmawiali o wahadle, o stalowych kulach, które odsuwały się od siebie, a potem wracały, na wieczność związane ze sobą.

Chciał jej. Na zawsze.

Biegł już do drzwi.

Chase i Tempie patrzyli, jak Cross wybiega z pokoju, pchany rozpaczą do

kobiety, którą kochał, zanim będzie za późno.

Chase nalał szkockiej do dwóch kryształowych kieliszków i jeden podał

Temple'owi.

- Za miłość?

Temple wpatrywał się w drzwi przez długą chwilę, a potem wypił, nie mówiąc ani słowa.

- Bez toastu?

- Nie za miłość - odparł Temple cierpko. - Kobiety potrafią być ciepłe i serdeczne... ale nie należy im ufać.

- Skoro tak mówisz, wiesz, co to znaczy.

Temple uniósł czarną brew, kiedy Chase podniósł kieliszek w toaście.

- Będziesz następny.

Cross przemierzył połowę Londynu - wyszedł z Anioła i udał się prosto do rezydencji Dolby, mając nadzieję, że zastanie Pippę, zanim ta wyjedzie do kościoła.

Zanim Pippa popełni największy błąd w jego życiu.

Na miejscu bardzo wyniosły szef służby oznajmił, że rodziny nie ma w domu.

Nie powiedział, że wszyscy są na ślubie młodych dam z rodziny. Ani nawet, że w kościele. Po prostu, nie ma ich w domu.

Gdyby Cross nie był tak przerażony, że nie zdążył, roześmiałyby się w tym momencie. Jakież to było niezwykle arystokratyczne. Zamiast się śmiać, wrócił do powoziku, mając jeden cel na uwadze. Dotrzeć do kościoła. Natychmiast.

Natychmiast. W londyński poranek łatwiej było powiedzieć niż zrobić i do

czasu, kiedy skręcił w Piccadilly, posuwając się w, jak się wydawało,

niekończącym się tłumie powozów, miał dość. Czy nikt w całym mieście nie

rozumiał, że jego ukochana wychodzi za innego?

Tak więc zrobił to, co zrobiłby każdy szanujący się dżentelmen na jego miejscu:

zostawił powóz na środku ulicy i puścił się biegiem.

Dzięki Bogu za lokomocję dwunożną.

Wkrótce minął róg ulicy przy akompaniamencie kościelnych dzwonów,

oznaczających wezwanie na mszę w St. George.

Rzucił się w stronę kościoła, zatrzymując ruch swoim zdecydowaniem i

zapewne faktem, że mało kto kiedykolwiek biegał w Mayfair.

Niewielu musiało być w tak ważnym miejscu.

Niewielu miało kogoś tak ważnego do kochania.

Wbiegł po kamiennych schodach, przeskakując po dwa stopnie. Chciał tam

dotrzeć jak najszybciej, żeby zdążyć na wypowiedzenie przez kapłana słów:

niech teraz przemówi albo na zawsze zachowa milczenie.

Nie miał zamiaru zachować milczenia, nawet jeśli się spóźni.

W istocie nie zamierzał opuścić kościoła, póki nie będzie mógł na zawsze

zachować dla siebie Philippy Marbury, wkrótce Philippy Arlesey. Hrabiny

Harlow.

Położył dłoń na stalowej klamce i, wciągając głęboko powietrze, pociągnął

drzwi. Z wewnątrz dobiegło ciche zawodzenie ministranta. Ślub się zaczął.

- Niech to diabli - warknął; mięśnie miał napięte, był gotów pobiec wzdłuż

nawy w ramiona Pippy i niech diabli wezmą Castletona, całą kongregację i

ministrantów, jeśli komuś wpadłoby do głowy go zatrzymać.

- Nie powinienes kłąć w kościele.

Zamarł na te słowa. Dobiegły zza jego pleców. Stała kilkanaście stóp dalej,

oparta o jedną z kamiennych kolumn zewnętrznej galerii kościoła. Nie w środku.

Nie przy ołtarzu.

Nie składając przysięgi małżeńskiej Castletonowi.

Drzwi kościoła zatrzęsnęły się, zostawiając ich w chłodzie szarego poranka.

Nie mógł się powstrzymać. Przyciągnął ją do siebie, porywając z ziemi, trzymając tak blisko, że czuł jej ciepło przez pół tuzina warstw ubrania, tak blisko, żeby napawać się jej zapachem i kształtami, i tym, jak poddawała się jego dotykowi. I tam, na stopniach kościoła St. George, na oczach Boga i Londynu, pocałował ją, zachwycając się tym, jak leciutko wzdycha i przesuwając palcami w jego włosach, i nie bacząc, że całe miasto może ich zobaczyć.

Przerwał pocałunek, zanim się całkiem w nim zatracili, odsunął się i objął jej twarz dłońmi.

- Kocham cię. - Wciągnęła gwałtownie powietrze, a on przesunął delikatnie kciukiem po brzydkim siniaku pod jej okiem. - Mój Boże -szepnął, przejęty uczuciem. - Tak bardzo cię kocham.

Pokręciła głową ze łzami w oczach.

- Nigdy tego nie mówiłeś.

- Jestem głupcem.

- Chyba tak.

Zaśmiał się i pocałował ją znowu, lekko, przeciągle, żałując, że nie są gdzieś indziej, a nie w najbardziej publicznym miejscu w Mayfair.

- Nie wierzyłem, że jestem cię wart - powiedział, kładąc palce na jej ustach, kiedy chciała się odezwać. Poprawić go. - Nigdy nie wierzyłem, że jestem wart swojej rodziny... swojej siostry... szczęścia. A potem zjawiłaś się ty i uświadomiłaś mi, że w żaden sposób nie jestem cię wart.

Chwyliła go za palec i odsunęła go od swoich ust.

- Mylisz się.

Uśmiechnął się.

- Nie. Jest setka mężczyzn, wielu z nich w tej chwili w kościele, którzy bardziej na ciebie zasługują. Ale nie dbam o to. Jestem chytrym draniem i chcę cię dla siebie. Nie mogę sobie wyobrazić życia bez ciebie i twojej niepokojącej logiki, twojego pięknego umysłu i twojego psa o okropnym imieniu.

Uśmiechnęła się i mógł znowu oddychać swobodnie, myśląc, że może ją zdobędzie. Że może mu się uda. To go pchnęło do działania.

- Nie dbam o to, że nie jestem ciebie wart. Co zapewne czyni ze mnie typa spod ciemnej gwiazdy... właśnie takiego, jakiego nie powinnaś poślubić. Ale przysięgam tu i teraz, że zrobię wszystko, aby na ciebie zasłużyć. Na twoją uczciwość, dobroć, na twoją miłość.

Przerwał, Pippa nie odzywała się... patrzyła na niego swoimi ogromnymi, zza okularów, oczami.

Jego zbawienie. Nadzieja. Miłość.

- Potrzebuję cię, Pippo... - powiedział cicho, urywanym głosem. - Bądź moim Orfeuszem. Wyprowadź mnie z piekła.

Łzy spłynęły po jej policzkach, rzuciła się w jego objęcia. Przytulił ją mocno.

- Nie rozumiesz? - szepnęła mu do ucha. - Ja też ciebie potrzebuję. Dwa tygodnie walczyłam z tym, co mi robisz... jakie budzisz we mnie uczucia. Z tym, jak mnie posiadasz, duszą i ciałem. - Odsunęła się, patrząc mu w oczy. -

Potrzebuję cię, Cross, Jasper czy Harlow, czy kimkolwiek jesteś, potrzebuję twojej miłości.

I miała ją mieć. Na zawsze.

Pocałował ją znowu, wkładając w tę pieszczotę wszystko, co czuł, w co wierzył,

na co przysięgał. Kiedy skończył, oboje oddychali ciężko. Przycisnął czoło do jej czoła.

- Nie wyszłaś za niego.

- Powiedziałaś ci, nie mogłabym - urwała. - Co zamierzałeś zrobić? Objął ją znowu ramionami, liczyło się tylko to, że był blisko niej. Że mógł ją tulić w ramionach.

- Wszystko, co w mojej mocy.

- Przerwałbyś ślub OHvii? - wydawała się zaszokowana.

- Myślisz, że by mi wybaczyła? Uśmiechnęła się.

- Absolutnie nie.

- Czy myślisz, że ty byś mi wybaczyła?

- Nie. Ale ja już przerwałam ślub. - Skrzywiła się w stronę drzwi. - Zaczną się paskudne plotki, kiedy ludzie to sobie uświadomią... ale przynajmniej Olivia będzie do tego czasu wicehrabiną.

Naprawi to. Uczyni Tottenhama premierem, a OHwię najbardziej wpływową kobietą w Anglii.

A Pippę uczyni hrabiną na zawsze.

- Nie wyszłabyś za niego. - Przejęła go wdzięczność do tajemniczej siły wyższej, która go do niej przywiodła. Nie pozwoliła jej poślubić niewłaściwego mężczyzny.

- Powiedziałaś ci kiedyś, że nie znoszę nieuczciwości. A nie ma nic bardziej nieuczciwego, jak sądzę, niż przysięgać miłość jednemu mężczyźnie, podczas gdy serce należy do innego.

Kochała go.

- To chyba niemożliwe - szepnął - żebyś mnie kochała.

Wspięła się na palce i pocałowała go w czubek brody. Nikt go tam jeszcze nie pocałował. Nikt go nie kochał tak, jak ona.

- Jakie to dziwne - powiedziała - bo wydaje mi się zupełnie niemożliwe, żebym cię nie kochała.

Pocałowali się znowu. Czuł, że ma tylko dwa wyjścia - albo skończy pocałunek, albo rzuci ją na kamienne stopnie parafialnego kościoła Mayfair i posiadzie. Z żalem wybrał to pierwsze.

Długo nie otwierała oczu. Patrzył na tę piękną, mądrą kobietę, która miała do niego należeć na zawsze, i poczuł ciepłą, spokojną satysfakcję, jakiej dotąd nie doznał.

- Kocham cię, Philippo Marbury - szepnął. Westchnęła, uśmiechnęła się i otworzyła oczy.

- Wiesz, słyszałam, jak ludzie mówili, że słyszeli bicie dzwonów, kiedy byli bardzo, bardzo szczęśliwi... ale zawsze myślałam, że to złudzenie słuchowe. A jednak... teraz...

Skinął głową. Kochał tę dziwną, naukową piękność.

- Ja też je słyszę. - Pocałował ją.

Para najinteligentniejszych ludzi w Londynie słyszała dzwony - radosną kakofonię dźwięków znaczącą koniec zaślubin nowego wicehrabiego i wicehrabiny Tottenham... uroczystości, o której Cross i Pippa wydawali się zapominać.

Musieli sobie jednak przypomnieć, kiedy drzwi otworzyły się i połowa londyńskiej arystokracji wylała się z kościoła w szary kwietniowy poranek, pragnąc wreszcie, wreszcie, swobodnie poplotkować o najważniejszej części podwójnego ślubu - brakującej pannie młodej - i odkrywając, że owa

panna w ogóle nie zaginęła. Była tuż przy kościele. W ramionach mężczyzny, z którym nie była zaręczona.

Nie zwracając uwagi na zbiorowe zdumione westchnienie, Cross pocałował czubek jej nosa i uratował sytuację. Jasper Arlesey, hrabia Harlow, opadł na jedno kolano i na oczach świata poprosił swoją wspaniałą okularnicę sawantkę o rękę.

Epilog

Jeśli moja praca nauczyła mnie czegokolwiek, to tego: chociaż wiele ciekawych rzeczy można wyjaśnić za pomocą skrupulatnych badań naukowych i logiki, pozostaje kilka, które opierają się łatwych hipotezom. Te tajemnice zwykle są najbardziej ludzkie. Najważniejsze.

Najistotniejsza spośród nich to miłość.

To powiedziawszy, są prawdy naukowe...

Dziennik naukowy lady Philippy Marbury

10 sierpnia 1831; cztery miesiące po ślubie

Cross obudził się w wygodnym łóżu, w miejskim domu, w którym mieszkali pokolenia hrabiów Harlow, i sięgnął ręką po żonę.

Natrafił jednak tylko na świeże, białe prześcieradło, więc podniósł się, narzucił jedwabną szatę, którą dostał od niej w prezencie w ich noc poślubną, i wyruszył na poszukiwania.

Nie szukał długo. Kiedy zamieszkali w miejskim domu, Pippa z całą energią przegnała demony kryjące się w jego najciemniejszych zakamarkach, przypominając mu wciąż na nowo, że jest jej wart, wart ich miłości, tego miejsca, tego życia.

Część egzorcyzmów stanowiło zamienienie przez nią pokojów, które kiedyś

należały do Baine'a, w mały wewnętrzny ogród - bujny, zielony Eden ukryty w głębi rodzinnego domu, pachnący ziemią, słońcem i życiem.

Kiedy wszedł, pochylała się nisko nad stołem, wciąż w nocnej koszuli, z włosami upiętymi niedbale na głowie, otoczona różowymi różami. Zbliżał się po cichu, kiedy skrzypiała piórem po papierze, zauważony tylko przez Trotulę, która strzegła swojej pani, z wyrazem zadowolenia na pyszczku, z wywieszonym długim różowym jęzorem.

Objął żonę ramieniem w talii i przyciągnął do siebie, zachwycony tym, jak pisnęła zaskoczona, a potem westchnęła, kiedy pocałował miękką skórę jej szyi.

- Dzień dobry - szepnęła, wsuwając palce w jego włosy.

Boże, uwielbiał jej dotyk. Musnął językiem miejsce, gdzie szyja łączyła się z ramieniem. Uśmiechnął się, czując jej ciepło, ciesząc się, że jej puls bije dla niego. Tylko dla niego.

- Dzień dobry, hrabino. - Zerknął ponad jej ramieniem na dziennik leżący na stole i stos korespondencji. - Wcześniej wzięłaś się do pracy.

Obróciła się w jego ramionach, podając mu usta do właściwego pocałunku, który dał jej z największą przyjemnością. Po długiej pieszczocie odsunęła się z uśmiechem.

- Nie mogłam spać w nocy.

Podniósł ją, żeby usiąść na ławie, przesuwając dłonią wzdłuż jej boku, zachwycony kształtem jej ciała, napawając się jej dotykiem, ledwie mogąc uwierzyć, że do niego należy. Przykładając czoło do jej czoła, powiedział:

- Wiesz, że zawsze chętnie ci pomogę rozwiązać ten problem, jeśli zechcesz pozostać w łóżku.

Roześmiała się serdecznie.

- Albo i poza łóżkiem, jak zauważyłam.

- Po prostu usiłuję być jak najlepszym asystentem - uściślił, sięgając do kraju jej koszuli i gładząc jej szczupłą, gładką kostkę. - Nad czym pracujesz?

Przez chwilę wydawała się nie pamiętać. Podobało mu się, że ma taką moc, żeby zamroczyć jej umysł. Podobało mu się również, że zamiast zastanawiać się nad odpowiedzią, pocałowała go. Mocno. Aż jemu też zwały się myśli.

Dlatego też, kiedy podniosła głowę, mówiąc „róże”, musiał chwilę dochodzić do siebie, zanim zrozumiał.

Sięgnęła po kartkę na stole.

- Królewskie Towarzystwo Ogrodnicze rozważyło wyniki moich badań i, o ile im wiadomo, nikt nie wyhodował, jak dotąd, nowej odmiany róż. Zapraszają mnie na spotkanie Towarzystwa w przyszłym miesiącu, żebym przedstawiła swoją pracę. I proszą - czytała - żebym poinformowała ich jak najszybciej, jak nazwałam swoją różę.

Uśmiechnęła się, napełniając go podziwem i dumą.

- Nie jestem zaskoczony, mój piękny naukowcu. W istocie, nie spodziewałem się niczego innego. Ale czy oni zdają sobie sprawę - dodał po chwili - że jesteś okropna, jeśli chodzi o nadawanie imion? - Spojrzał na leżącą w cieniu doniczkowej paproci Trotulę. Pippa roześmiała się.

- To nieprawda! - Także zerknęła w stronę psa.

- To zdecydowanie prawda. Pies Castletona nigdy nie miał więcej szczęścia, jak w dniu, kiedy Meghan Knight nadała mu imię. - W wieczór, kiedy Pippa ustawiła grę w kasynie Knighta, zaczął się burzliwy romans hrabiego Castletona i Meghan. Knight zyskał tytuł, chociaż stracił klub.

- Trotula, on cię obgaduje - zażartowała Pippa, a pies natychmiast zaczął

machać ogonem.

Cross spojrzął na spanielkę.

- Mogła nazwać cię jakkolwiek. Stokrotką. Antoinette. Chryzantemą. Pippa

zerknęła na niego z ukosa.

- Chryzantemą? Uniósł brew.

- To lepsze niż Trotula.

- Nie jest. - Uśmiechnęła się. Promienieli wzajemną miłością. Zachwyceni tym,

że byli dla siebie stworzeni. - W każdym razie, już nazwałam różę. Myślę, że

będzie nosić imię Baine.

Wciągnął powietrze, zaskoczony, onieśmielony tym niezwykłym darem.

- Pippo. - Pokręcił głową. - Ja nie wiem... kochana... nie wiem, co powiedzieć.

Uśmiechnęła się.

- Nie musisz nic mówić. Sądzę, że to odpowiedni hołd dla twojego brata. Nagle

z trudem przełykał ślinę.

- Zgadzam się.

- I wspaniałe dziedzictwo dla naszego syna. A teraz prawie stracił oddech.

- Naszego... syna?

Uśmiechnęła się, wzięła jego dłoń i położyła na swoim brzuchu.

- To może być córka... - powiedziała, jakby rozmawiali o pogodzie -ale zwykle

myślę, że to syn. Przystojny, rudowłosy syn.

Wpatrywał się w miejsce, gdzie jej dotykał, mając wrażenie, że jego ręka należy

do kogoś innego. Niemożliwe, żeby należała do niego... żeby ona należała do

niego... żeby to było jego życie. Spojrzął jej w oczy.

- Jesteś pewna?

- Istnieją pewne prawdy naukowe, mój panie - odparła z uśmiechem. - Jedna z

nich mówi, że ten rodzaj badań, jakimi się zajmowaliśmy,

prowadzi do bardzo konkretnych rezultatów. - Pochyliła się, szepcząc mu do

ucha: - To nie znaczy, że zakończyłam ten rodzaj badań.

- Miło mi to słyszeć.

Zahaczyła kostkę na jego udzie, przyciągając go i podnosząc ku niemu usta.

Całowali się, póki obojgu nie zabrakło tchu.

- Jesteś szczęśliwy?

Ujął jej twarz w dłonie i powiedział prawdę:

- Nigdy w życiu nie byłem szczęśliwszy. Mam wrażenie, że ostatnio dopisywało mi wyjątkowe szczęście.

- Myślałam, że nie wierzysz w szczęście? Pokręcił głową.

- Nawet ja nie jestem taki dobry w ustawianiu gry. - Gładził znowu palcami jej kostkę, sunąc wyżej po łydce. - A skoro mowa o kasynie z jego stołami do gry, jak myślisz, co by się stało, gdybyś się położyła na tym stole?

Zachichotała.

- Myślę, że nieprędko odpisałam na list Towarzystwa Ogrodniczego.

- Nie śmiałbym się nie zgodzić. Jesteś, ostatecznie, jednym z najwybitniejszych naukowych umysłów naszych czasów.

- To takie skomplikowane pole badań. - Westchnęła, kiedy jego palce wspięły się po skórze wewnętrznej strony ud. - Ale przynosi tyle satysfakcji...

Pocałował ją znowu, podnosząc do góry jej koszulę i wsuwając się między jej uda. Pociągnęła za pasek jego szaty, rozsuwając ją. Wydał drżące westchnienie, patrząc w jej niebieskie oczy.

- Wiesz, że twój dotyk nadal doprowadza mnie do szaleństwa? Przesunęła dłońmi po jego ciele.

- Nie martw się, milordzie, masz całe lata, żeby do tego przywyknąć. Możliwe, że pewnego dnia uznasz to za całkiem naturalne.

- To się nigdy nie zdarzy. - Ujął jej dłoń, podnosząc ją do ust i całując czubki palców. - Ale jeśli chcesz, chętnie zajmę się badaniem teorii w praktyce.

Roześmiała się, wsuwając palce w jego włosy.

- W imię nauki, oczywiście. Potrząsnął głową.

- Pal licha naukę. - Jego oczy płonęły namiętnością i obietnicą. -W imię miłości.

O d a u t o r k i

Staralam się zapewnić, żeby naukowe wzmianki w książce zgadzały się z wiedzą naukową czasów przedwiktoriańskich, z jednym znaczącym wyjątkiem - róż Pippy. Pierwszą różą hybrydą była prawdopodobnie La France, piękny różowy kwiat wyhodowany z krzaka czerwonych róż w 1867 roku przez Francuza, Jeana-Baptiste'a Guillota. Przepraszam pana Guillot za lekką modyfikację prawdy historycznej - Pippa wybiega znacznie w przyszłość, jeśli chodzi o ogrodnictwo; jej Baine uderzająco przypomina La France.

Jeśli upadek Knighta wygląda znajomo, to dlatego, że plan Pippy został zainspirowany bardziej współczesnym skokiem na kasyno, tym z *Ocean's Thirteen*. Byłoby nieładnie z mojej strony, gdybym nie podziękowała Danny'emu Ocean, który zainspirował Anioła i jego właścicieli, oraz ludziom, którzy jego i jego załogę powołali do życia w 1960 roku i 2001 roku, w tym Lewisowi Milestone'owi, Frankowi Sinatrze, Stephenowi Soderberghowi i George'owi Clooneyowi. Lubię myśleć, że Pippa stworzyłaby wielką dwunastkę obok oryginalnej jedenastki.

Do innych, których chciałabym widzieć wśród uczestników skoku na kasyno, należy Carrie Feron, moja genialna wydawczyni (która z łatwością obmyśliłaby

cały plan), bajeczna Tessa Woodward i reszta zespołu Avon Books z Pam Spengler-Jaffee, Meredith Burks, Jessie Edwards, Seale Ballenger, Tomem Egnerem, Gailem Dubovem, Shawn Nicholls, Carlą Parker, Brianem Groganem, i Sarą Schwager. Dodajmy do tego moją agentkę Alysę Eisner-Henkin i mamy załogę, która nie spoczęłaby, póki nie znaleźlibyśmy się bezpieczni na jakiejś egzotycznej wyspie, popijając soki owocowe.

Dziękuję Sabine Darby, Sophie Jordan i Carrie Ryan za pierwsze czytanie maszynopisu, setki tekstów, godziny rozmów telefonicznych, doskonałe wino i niezachwianą przyjaźń. Dziękuję Scottowi Falaganowi za poradę w kwestii anatomii gęsi, doktorowi Danowi Medelowi za długie rozmowy o historii medycyny oraz Meghan Tierney za pożyczenie Beavina. Mojej rodzinie - za to, że robią wszystko, żeby znosić bez sprzeciwu długie okresy, kiedy schodzę do podziemia, poświęcając się pisaniu. To dowód, że Cross się mylił. Istnieje coś takiego, jak szczęście.

A tobie, miły czytelniku, dziękuję za to, że polubiłeś moich nicponi tak samo jak ja. Mam nadzieję, że będziesz mi towarzyszyć przy następnej książce.